

GRACE
BURROWES

*Tajemnica lady
Maggie*

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Nowa gwiazda x list bestsellerów „New York Timesa” i Top 5 Amazonu
nazwana MISTRZYNIĄ ZMYŚLOWOŚCI

GRACE
BURROWES



*Tajemnica lady
Maggie*



ROMANŚ HISTORYCZNY

*Dedykuję tę książkę wszystkim starszym siostrom,
a w szczególności mojej najstarszej siostrze
Gail Cecelii, osobie obdarzonej niezwykle czułym sercem,
determinacją, dobrocią, zmysłem praktycznym,
inteligencją i urokiem, która podejmuje się
niemożliwych zadań i zawsze potrafi
doprowadzić je do szczęśliwego zakończenia.
Gaily! Jesteś najcenniejszym darem
dla nas wszystkich.*

Ten wstrętny, przeklęty, paskudny, złośliwy drobiazg z piekła rodem musiał się tu gdzieś zapodziać. — Maggie Windham opuściła skraj narzuty przykrywającej jej łóżko i rzuciła gniewne spojrzenie w stronę szafy. — Evie, poszukaj tam, a ja zajmę się pokojem garderobianym.

— Przecież byliśmy już w garderobie — odpowiedziała Evie Windham. — Jeśli za chwilę nie wyjdziemy, to spóźnimy się na cotygodniową herbatkę u mamy. Jej Wysokość nie toleruje takiego zachowania, wiesz przecież.

— Chyba że to jest Jego Wysokość — mruknęła Maggie i usiadła na łóżku. — Będzie chciała wiedzieć, czemu się spóźniłyśmy, i rzuci mi jedno z tych swoich spojrzeń w stylu „och, Maggie...”

— Możesz mi wierzyć, że nie są gorsze niż spojrzenia w stylu „och, Evie”, „och, Jenny” albo „och, Louise”.

— Właśnie że są, słowo ci daję. — Maggie westchnęła ciężko. — Jestem przecież najstarsza i powinnam być mądrzejsza, powinnam najpierw pomyśleć, a potem działać, powinnam być przykładem dla innych. I tak dalej, bez końca.

— Dla mnie jesteś. — Evie uśmiechnęła się do niej. — Robisz to, co ci się podoba, przychodzisz i odchodzisz, kiedy chcesz, masz swój dom i własne pieniądze. Sama zarządzasz swoim życiem.

Maggie odpowiedziała krzywym uśmiechem.

— Jestem nieudacznikiem, ale w sumie całkiem mi z tym dobrze. Chodźmy już. Mogę przewrócić dom do góry nogami, kiedy wrócę.

Evie ujęła ją pod ramię. Wychodząc z sypialni, minęły stojące lustro.

Studium kontrastów, pomyślała Maggie. Oto dwie skrajności: najstarsza i najmłodsza córka Windhama. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby, że to córki jednego ojca. Maggie — wysoka, o ognistorudych włosach i krzepkiej figurze odziedziczonej po celtyckich, wiejskich przodkach matki, i Evie — drobna, jasnowłosa i krucha. Czysty przypadek zrzucił, że obie miały takie same zielone oczy jak wszyscy młodzi Windhamowie i jak Esther, księżna Moreland.

— Czy czeka nas paradna musztra? — spytała Maggie, gdy sadowiły się w jej miejskim powoziku.

— Nie, tylko damska herbatka. Siostronom skończyły się wymówki: migreny, skręcone kostki, bóle brzucha i miesięczne słabości, więc mamusia zamierza zaciągnąć nas wszystkie do klubu Almacka, otwartego dla dam. Tylko Sophie ma szczęście, bo zaszyła się na wsi ze swoim baronem.

— Nie zazdrozczę wam tego Almacka.

Za to zazdrościła Sophie szczęścia małżeńskiego, które od niedawna stało się udziałem siostry.

Szczerze, gorąco i bez słów.

— Ty też się wytańczyłaś na balach, choć nie mam pojęcia, jakim cudem udało ci się uniknąć świętych małżeńskich więzów. Przecież Ich Wysokości, oboje, nie ustawiali w przedstawianiu ci odpowiednich kawalerów.

— Czysta determinacja. Wystarczy odrzucać kolejne oświadczenia, jedno po drugim. Szczerze mówiąc, Evie, papa wcale się nie spieszy do wydawania nas za mąż, w odróżnieniu od Jej Wysokości. Nikt nie jest dość dobry dla jego ukochanych dziewczynek.

— Więc wziął się do chłopaków i teraz wszyscy są żonaci i spodziewają się potomstwa.

— Właśnie. Szkoda, że Sophie musiała wszystko popsuć, wychodząc za swojego barona.

Popatrzyły na siebie i wybuchły śmiechem. Jednak Maggie dostrzegła cień niepokoju w ślicznych zielonych oczach Evie i poczuła wdzięczność dla losu, że na dobre odstawiono ją na półkę. Przez długie lata musiała wywijać się z objęć wszystkich krostowatych wyrostków i owdowiałych hrabiów z całego królestwa, aż w końcu osiągnęła wymarzoną trzydziestkę.

Dopiero wtedy papcio ogłosił rozejm — bo bynajmniej nie poddał się całkowicie i od czasu do czasu przedstawiał jej kogoś nowego. Maggie pozwolono prowadzić własne życie i w końcu

zaznała spokoju ducha, przynajmniej do pewnego stopnia.

Naturalnie, musiała płacić podatek od wolności. Oczekiwano jej pojawienia się na cotygodniowych herbatkach wydawanych przez księżną. Nie zawsze, nie co tydzień i nie co dwa, ale jednak. Towarzyszyła braciom, gdy zaszczycali swoją obecnością sale balowe, ale, dzięki Bogu, ostatnio zdarzało się to nieczęsto. Od czasu do czasu gościła wraz z siostrami w wiejskiej siedzibie księstwa Moreland w Kent.

Ale na ogół kryła się przed światem.

Niebawem zajęły przed książęcy pałac, imponujący budynek, przed którym rozciągał się pięknie utrzymany skwer. Rodzinna siedziba stanowiła też centrum parlamentarnych kampanii księcia Moreland. Jego Wysokość kochał politykę.

Prawie tak samo, jak swoją księżną.

Właśnie kończyło się jakieś spotkanie polityków, bo spieszące na herbatkę damy znalazły się wśród tłumu uwijających się służących i dżentelmenów, którzy zbierali się do wyjścia. Lokaje podawali panom rękawiczki, kapelusze i laski, odbierając od dam czepeczki i narzutki.

Maggie przemknęła się pod ścianą do lustra i odpięła od włosów koronkową mantylkę. Uniosła ją nieco i chciała zsunąć z ramion, ale koronki się o coś zaczepiły. Pociągnęła lekko mantylkę, ale bez skutku, jeśli nie liczyć stłumionego przekleństwa, które dobiegło ją z tyłu. Niech to szlag? Będąc damą z towarzystwa, Maggie uznała, że ten ktoś powiedział „niech to licho”, i spojrzała w lustro, by zorientować się w sytuacji.

Och, tylko nie to.

Tyłu jest mężczyzn w całym Mayfair, bogatej dzielnicy Londynu, z tyloma pałacami, dlaczego musiała trafić akurat na niego?

— Jeśli pani będzie stać spokojnie, to może uda mi się nas rozplątać — powiedział.

Jej piękny, koronkowy zielony szal zaczepił o kwiat w jego butonierce — damasceńską różyczkę o intensywnej barwie i ostrych kolcach, które na pewno zniszczą mantylkę. Maggie zrobiła pół obrotu i z przerażeniem poczuła, że jedna ze szpilek wysuwa jej się z włosów.

Po chwili szpilka zadyndała w polu jej widzenia, zwieszając się na pasemku rudych, gęstych włosów.

— Na litość boską... — Sięgnęła po szpilkę i zaplątała dłoń w szal, rozciągnięty między jej włosami a butonierką. Kolejne szarpnięcie i kolejny lok opadł na jej ramiona.

— Pani pozwoli.

To nie była prośba. Dłonie mężczyzny, nieokryte rękawiczkami, zatańczyły wokół jej włosów, wysuwając następne szpilki. Burza ognistych loków zsunęła się na lewo, a potem opadła w nieładzie na ramiona.

Ciemne brwi na jego czole na moment podjechały do góry, a Maggie miała rzadką satysfakcję, widząc, że pan Benjamin Hazlit stracił rezon. Ale już po sekundzie podawał jej szpilki do włosów i zwiewną mantylkę, w której wciąż były zaplątane najdłuższe pasma jej włosów. Maggie ujęła delikatną tkaninę, a wtedy Hazlit podał jej ten przeklęty kwiat takim gestem, jakby przed chwilą zerwał go z różanego krzewu, żeby sprawić jej przyjemność.

— Przepraszam, milady. To wyłącznie moja wina.

I zaśmiał się jej w twarz. Ten wstrętny bydlak wyraźnie świetnie się ubawił, wystawiając rozczochraną Maggie Windham, nieślubną córkę księcia Moreland, na widok służby, sióstr i połowy kolegów jej ojca z Izby Lordów.

Miała ochotę go uderzyć.

Zamiast tego podeszła do niego bliżej, przyjęła pachnący kwiatek i wyciągnęła z łodyżki zdobną klejnotami szpilkę.

— Proszę się nie ruszać, panie Hazlit, zaraz wszystko naprawię.

Był tak wysoki, że musiała unieść głowę, by spojrzeć mu w oczy — kolejny niewybaczalny błąd, bo Maggie lubiła patrzeć na mężczyzn z góry. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, przebiła szpilką kilka warstw tkaniny i zadrasnęła ostrzem jego arogancką, męską skórę.

— Bardzo przepraszam — powiedziała i poklepała fular. — To wyłącznie moja wina.

Radość w jego oczach przygasła, zastąpiona uczuciami, które nie miały nic wspólnego z

wesołością. Humor Maggie wyraźnie się poprawił.

— Rękawiczki, sir? — Lokaj stanął za nimi z niepewną miną, bardzo starając się nie zauważać zbuntowanych włosów Maggie, które spływały aż do jej bioder. Maggie wzięła od niego rękawiczki i podała je Hazlitowi.

— Poradzi pan sobie, czy mam panu pomóc? — Rozchyliła mankiet jednej z rękawiczek, jakby był trzylatką, który nie potrafi sam się odziać.

— Dzięki. — Odebrał rękawiczkę, naciągnął ją, a potem wziął drugą.

Tyle że jego dłoń musnęła przy tym rękę Maggie. Prawdopodobnie nie miał takiego zamiaru, bo wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Dotknął kapelusza i chyba zamierzał skłonić się na pożegnanie, ale go znowu ubiegła.

Dygnęła, wyprostowała się, aż włosy zsunęły się na jej piersi, mruknęła „do widzenia” i odwróciła do niego plecami. Przypadkowy obserwator nie dostrzegłby w tym nic obcesowego.

Maggie miała jednak nadzieję, że Hazlit dostrzeże ten zamierzony despekt i weźmie go sobie do serca.

— Och Mags! — Evie podbiegła do niej. — Chodźmy na górę, zanim mama to zobaczy. — Ujęła w palce długie pasmo włosów. — Puść tę mantylkę, zanim ją kompletnie pognieciesz. Co ty tu wyprawiałaś, że tak wyglądasz?

— Nie powinno się gapić na córkę gospodarza spotkania, i to w jego własnym domu.

Lucas Denning, markiz Deene, odezwał się przyciszonym głosem, ale Benjamin Hazlit i tak go dosłyszał.

— Sam się też gapiłeś — odpowiedział, odbierając laskę od lokaja.

— Ale dyskretnie — odparł Deene i rozejrzał się dookoła. — Nie tak, jakbym zamierzał rzucić się na nią i rozebrać do golasa. Co ty jej, do licha, zrobiłeś? W życiu nie widziałem takich cudownych włosów, no może poza pewnym burdelem w Kairze.

Hazlit z trudem pohamował pragnienie, by wymierzyć temu przystojniakowi solidny cios prosto w twarz.

— I kto tu jest chamem?

— My obaj — odparł Deene z psotnym uśmiechem, który nadał jego surowej nordyckiej twarzy chłopięcy wyraz. — Tylko że ja musiałbym się bardzo postarać, żeby lady Magdalene Windham obdarzyła mnie choć przelotnym spojrzeniem, więc szkoda zachodu. Wybierasz się może do klubu na befsztyk?

— Wracam do domu. Mamy taką piękną pogodę, że pójde piechotą.

— Mogę cię podwieźć. Mój foryś właśnie podprowadza zaprzęg.

— Dzięki, ale chcę odetchnąć świeżym powietrzem po dwóch godzinach siedzenia i przysłuchiwania się, jak mądrzejsi ode mnie omawiają sprawy królestwa.

Rozstali się. Hazlit podążył za gośćmi, którzy nie zauważyli nieszczęsnego incydentu z rudowłosą Amazonką.

Szczerze mówiąc, ów incydent zaczął się niewinnie i tak się powinien zakończyć. Lady Maggie nie spodobał się jego głupi żart z kwiatem, więc ukłuła go jego własną szpilką.

Wyświadczyła mu właściwie przysługę, bo o mało nie stracił głowy na widok tych jedwabistych, płomiennych, cudownych włosów okalających jej ramiona. Owionął go jej zapach — czysta, świeża nuta cynamonu — i zaplątał palce w długie, miękkie sploty. Gdy poczuł ich dotyk, na moment opuścił go rozsądek, co ona niewątpliwie dostrzegła.

Rzadko narażał się kobietom, ale ta nieślubna latorośl Morelanda miała w sobie coś, co zbijało go z pantałyku i pozbawiało galanterii należnej damom. Spotkali się zaledwie kilka razy, bo Hazlit zwykle unikał balów, wieczorków tańczących i proszonych śniadań na świeżym powietrzu. Jego przyrodni brat ostatnio wzenił się w rodzinę Windhamów, co oznaczało, że Ben powinien się tym bardziej trzymać z dala od pozostałych panien.

Musiał bywać w Londynie ze względów towarzyskich, a zwłaszcza z powodu interesów, ale nikt się nie cieszył z jego obecności na spotkaniach socjety i wszyscy oddychali z ulgą, widząc go przy wyjściu.

W parlamencie sprawy przedstawiały się niewiele lepiej. Pojawiał się na zebraniach, takich

jak u Morelanda, w zastępstwie hrabiego Hazeltona, dla którego rzekomo pracował. Moreland i kilka innych osobistości znali prawdę, ale trzymali języki za zębami.

W przeciwieństwie do panny Windham. Jednak i ona zaniemówiła, dostrzegłszy gorący wzrok Hazlita. Nie powinien do tego dopuścić. Była damą, mimo nieprawego pochodzenia, a on był dżentelmenem.

A przynajmniej za takiego go miano.

Dotarł do swojego londyńskiego domu w niecałe pół godziny. Spacer trwał zbyt krótko, by rozwiać mentalny zaduch, jaki pozostawiło w nim spotkanie u księcia. Moreland był zdeklarowanym torysem, choć miał poparcie drobnych właścicieli ziemskich i niezmiernie skutecznie zdobywał głosy osób o umiarkowanych poglądach po obu stronach Izby.

Niestety, spotkania u księcia ciągnęły się w nieskończoność i aż nazbyt często przeradzały w narzekanie i wzajemne docinki.

Hazlit oddał lokajowi kapelusz, laskę i rękawiczki, spojrzął na stojący w holu zegar i ruszył do biblioteki, która służyła mu za biuro. Przez tych kilka godzin, jakie dzieliły go od wieczornych zajęć, zdąży jeszcze przejrzeć korespondencję i raporty.

Ale zanim zasiadł za biurkiem, poszukał na półce tomiku poezji Wordswortha. Odpiął różyczkę z klapy surduta i ostrożnie wsunął ją między kartki. Potem zmusił się do pracy.

— Valentine! — Maggie przefrunęła przez sypialnię do saloniku i objęła ramionami wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który bez zapowiedzi zjawił się w jej apartamentach. — Strasznie się za tobą stęskniłam. Ty łobuzie! Kiedy zjechałeś do miasta? Zabrałeś ze sobą Ellen?

Uścisnął ją mocno, uściskiem, na jaki stać tylko brata, który od Bożego Narodzenia tkwi na wsi ze swoją niedawno poślubioną młodą żoną, a potem podprowadził do siedziska pod oknem, wciąż obejmując ją ramieniem.

— Prosiłem Ellen, żeby zrezygnowała z podróży, i w końcu mnie posłuchała — odpowiedział. — Dała mi list do ciebie.

Wręczył siostrze złożoną kartkę papieru.

— Dobrze się czuje? — spytała Maggie. Jej radość nieco przygasła, kiedy zamiast Ellen zobaczyła tylko eleganckie pismo bratowej. Ellen i Val pobrali się całkiem niedawno i już oczekiwali radosnego wydarzenia. Była szczęśliwa z tego powodu, naprawdę. I szczerze im zazdrościła.

— Ellen nic nie dolega, za to ja się bardzo denerwuję jej stanem. Co tu się dzieje, Mags? — zapytał, rozglądając się po salonie, w którym panował kompletny rozgardiasz. — Czy przyjechałem do miasta po to, by się dowiedzieć, że moja siostra miewa napady szału?

Jeśli Maggie Windham darzyła uczuciem jakichkolwiek mężczyzn, byli to wyłącznie mężczyźni z jej rodziny: ojciec i bracia, wuj Tony i kuzynowie. W ich obecności czuła się doskonale, tylko niepotrzebnie trzęśli się nad nią, jej siostrami i księżną.

— Zgubiłam jeden z moich ulubionych drobiazgów. Trochę przesadziłam z poszukiwaniami.

— Kupię ci nowy. Przyjechałem do Londynu na próby z filharmonikami, ale podejrzewam, że już wysledzili mnie szpiedzy Jej Wysokości. Chodźmy na zakupy, zanim zostanę poddany matczynemu śledztwu.

— Wiesz przecież, że możesz tu zostać. Nie musisz się zatrzymywać w pałacu. Możesz też nocować u Gayle'a, przecież mają z Anną dość miejsca.

— Powiedział mi to samo. — Val wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, układając rzeczy na miejscu. Był nieprzyzwoicie przystojny. Szmaragdowozielone oczy, kruczoczarne włosy, nieco odrobinę za długie, i palce, które potrafiły wyczarować najśłodsza muzykę na dowolnym klawiszowym instrumencie.

Ale miał też wspólną wszystkim Windhamom skłonność do roztkliwiania się nad rodziną, która prawdopodobnie nasiliła się w przededniu zostania ojcem.

— Nie jesteś moją pokojówką, Val. — Maggie wstała i zaczęła wygładzać poduszki, które porzuciła podczas poszukiwań.

— Jestem twoim ukochanym braciszkiem — odrzekł, podnosząc balowy pantofelek

haftowany w róże. — Śliczny, ale mało używany. Nadal udajesz pustelniczkę, Mags?

— Czasami — odpowiedziała, poprawiając afgańską narzutę na kozetce. — Jej Wysokość nie pozwala mi stronić od ludzi, choć wie, że tego właśnie pragnę.

— Ja też bym ci nie pozwolił. — Val podniósł drugi pantofelek. — Wybieram się dziś wieczór na bal do Winterthura. Obiecuj, że ze mną pójdziesz i będziesz mnie bronić. Gdybym wiedział, jak bardzo tutejsze wesołe wdówki ostrzą sobie zęby na żonkosiów, na pewno odrzuciłbym zaproszenie.

— Lepiej zajrzyj do swojej matki, zanim pokażesz się w towarzystwie — poradziła mu Maggie. — Z taką niecierpliwością czeka na to, żeby zapytać cię osobiście o zdrowie twojej żony, że dzisiaj z trudem przetykała popołudniową herbatę.

— Jest też twoją matką. — Val zaczął układać jedwabne pończochy na otwartym wieku cedrowej skrzyni.

— Nie jest moją matką. Valentine, to moje niewymowne.

Wzruszył ramionami.

— Lubię niewymowne. Lubię śliczne rzeczy i śliczne kobiety. Chodź ze mną na tańce wieczorem, Mags. Nie mam ochoty iść tam bez ciebie.

— Dobrze, wpadnij po mnie, kiedy się już pokłonisz w pałacu.

— Umowa stoi. — Uśmiechnął się do niej i owinał szyję pończochą, jakby to była szubieniczna pętla. — Jeśli powiem Jej Wysokości, że wybierasz się ze mną w gości, nie da mi dopić herbaty.

— Przestań bawić się bielizną starszej siostry. — Zdjęła pończochę z szyi tego głuptasa. — Powiedz szczerze, jak się czujesz? Wyglądasz mizernie.

— Pracuję nad nowym utworem i zajmuje mi to cały czas. Ellen jest wyrozumiała, może nawet aż za bardzo — mówiąc to, wziął z toaletki niedużą pozytywkę.

— To od ciebie — przypomniała mu, gdy pięknymi palcami unosił wieczko. — Zagrasz dla mnie, zanim wyjdiesz, prawda?

— Nie ma chyba nikogo na świecie, kto częściej od ciebie wysłuchiwałby mojej muzyki. Zanuć sobie parę taktów Beethovena, jesteśmy nie do odróżnienia.

— Na litość boską, nikt nie nuci sobie Beethovena. — Przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie. Jej braciszek dziwnie wydoroślał, odkąd się ożenił. — Ellen naprawdę dobrze się czuje?

— Potwierdza to w liście. — Val odłożył pozytywkę, obdarzając siostrę swoim nieporównywalnym uśmiechem. — Dostałem list od Deva przed moim wyjazdem z Bel Canto. — Podał Maggie kartkę zapisaną śmiałym pismem ich najstarszego brata. — Wygląda na to, że świetnie się dogaduje ze swoimi kobietami.

— Szczęściarz z naszego Devlina.

— Tęsknisz za nim, co?

— Pewnie, że tęsknię. — Maggie ciężko usiadła na łóżku. Domyślność Vala sprawiała jej przyjemność i zarazem irytowała. — Jesteśmy prawie w tym samym wieku i łączy nas...

— Nieprawie pochodzenie — Val podszedł i usiadł obok niej, ujmując jej lewą dłoń w swoją prawicę. — Oboje zostaliście uznani przez ojca, wszyscy w towarzystwie was przyjmują, a jednak wciąż was to gnębi.

— Z kobietami jest inaczej, Val. Ja nie mogę kupić sobie pułku i wyrobić pozycji w świecie, szarżując na Francuzów, by ich stłuc na kwaśne jabłko. Devlin to hrabia bohater.

— A jednocześnie nasz brat. — Val wsunął Maggie kosmyk włosów za ucho. — I polecił mi, żebym się tobą zajął i wyciągnął twój nos z tych szatańskich ksiąg. Idzie wiosna, Mags, czas wybrać się na tańce.

Niby to ją beztrząsco zapraszał, a tak naprawdę robił jej wyrzuty.

Wielki Boże.

— Zmykaj stąd. — Wstała energicznie. — Musisz odwiedzić swoją mamusię, już ona będzie cię miała na oku.

— Wrócę tu o ósmej, ale weźmiemy twój powóz — oznajmił i również wstał. — Przeczytaj list od Deva. Na pewno czeka na odpowiedź.

— Przeczytam i będę gotowa do wyjścia na tańce, ale nie zamierzam siedzieć tam do późna, Val.

— Ja też nie.

Poszedł, przyprowadzając Maggie o dziwne uczucie przygnębienia, które odczuwała za każdym razem, kiedy wychodził od niej ktoś z jej książęcej rodziny i zostawiał ją samą... choć walczyła o tę samotność od wielu długich lat.

— Dobry wieczór, panie Hazlit.

Lokaj Winterthura przywitał go uprzejmie, choć może nie tak donośnym głosem jak innych gości, tych utytułowanych. Tak samo witano Hazlita w kręgach socjety. Niechęć, wahanie, a w końcu uprzejma tolerancja ludzi, którzy nie wiedzieli, jak mają go traktować.

Odpowiadało mu to, bo dobrze służyło jego interesom. Nie zatrzymał się u szczytu schodów, gdy lokaj półgębkiem zapowiedział jego wejście, tylko dyskretnie wmieszał się w tłum kłębiący się pod olbrzymimi kandelabrami.

— Hazlit. — Lucas Denning skinął głową i ponuro się doń uśmiechnął. — Mam nadzieję, że zaraz zaczną się tańce.

— Orkiestra już stroi instrumenty, ale pierwsze pary zawsze zbierają się powoli. Jakież to towarzyski kataklizm wyrwał cię z klubu?

Deene przejechał palcem po wykrochmalonym kołnierzyku i popatrzył na wystrojone damy.

— Matka poczęstowała mnie kolejnym wykładem.

— Na temat obowiązków spadkobiercy? Jeśli masz ich powyżej uszu, ruszaj na wyprawę w amerykańską dzicz.

— Spędziłem rok w koloniach i bardzo dziękuję za takie propozycje. Nie mów nikomu, ale z Amerykanami dużo lepiej się handluje niż z jakąkolwiek europejską nacją. Nie muszą się podnosić z ekonomicznej zapaści po tych wszystkich korsykańskich awanturach i potrzebują towarów już teraz.

— To się daje zauważyć — odparł Hazlit, usuwając się w cień pod górującą nad salą balową galerię dla muzykantów.

— Można by się spytać, jaki kataklizm przywabił tu ciebie — mruknął Deene. — Panie domu nigdy nie wiedzą, czy mają się cieszyć z twojego przybycia, czy raczej załamywać ręce.

Hazlit otaksował go spojrzeniem.

— Nie każdy ma szczęście być takim złotym kawalerem jak ty. Zważywszy na twój tytuł, to cud, że się jeszcze nie ożeniłeś.

— Nie wymawiaj tego słowa. — Deene zadygotał. Jego niesmak wcale nie był udawany. — Jestem za młody na małżeńskie okowy.

— To debiutantki są za młode. Wychodzą za nas, choć jeszcze bawią się lalkami.

— Myśl tak dalej, a niedługo sam staniesz przed ołtarzem.

Zamilkli, widząc służącego, który zbliżał się, balansując tacą z kieliszkami szampana.

Deene wychylił podany mu trunek, a potem ruszył w stronę pokoju do gry w karty, wyraźnie chcąc wymknąć się swatkom.

Hazlita kusilo, by pójść w jego ślady, ale wieczór dopiero się zaczął. Nikt się jeszcze nie upił, więc za wcześnie, by usłyszeć jakieś niedyskrecje, na co Hazlit liczył, przychodząc tu. Skierował się ku bufetowi z napojami orzeźwiającymi i po drodze wziął drugi kieliszek szampana, ale nawet nie umoczył w nim ust.

Panienki podpierające ściany i ich przyzwoitki często bywały źródłem wartościowych, choć niedocenianych informacji, więc Hazlit zaczął się przyglądać damom siedzącym wśród donic z paprociami i wypełniać w myśli swój karnet. Zacznie od przyzwoitki Abigail Norcross. Potem zatańczy z przyzwoitką damy, którą dyskretnie interesował się lord Norcross. Może z owdowiałą siostrą Norcrossa...

Na tym zejdzie mu czas aż do walca, a ponieważ nie sposób było odgadnąć, kto pojawi się później, postanowił nie snuć dalszych planów.

— Helene, cieszę się, że cię widzę — Maggie uściśnęła dłoń przyjaciółki. — Posuń się,

usiądę z tobą w tych paprotkach.

— Widziałam, jak tańczysz z lordem Valem. — Helene chętnie zrobiła jej miejsce. — Odważny z niego człowiek, że pojawił się tu bez żony.

— Rzeczywiście jest odważny. — Maggie rozłożyła fałdy sukni, zajmując połowę wyściełanej ławki obok Helene Norcross Anders. — Dorastał jako najmłodszy z pięciu braci, więc jest sprytniejszy i bardziej zdecydowany od reszty. A teraz opowiadaj, kto się już zdążył zbłąźnić i którzy kawalerowie wyszli na łowy?

— Maggie, nie jesteś wdową, więc nie powinnaś mieć takiego podejścia do wieczorków tanecznych.

— Nie tańczę — Maggie wysunęła stopę w pantofelku i poruszyła palcami. — A ty nie plotkujesz. Zmiłuj się, Helene, muszę tu tkwić do kolacji i dłużej. Co ci szkodzi opowiedzieć mi o tym i owym?

— Wszystkie debutantki trzęsą się z wrażenia, bo pojawił się Deene i podobno szuka żony.

— Lubię go — stwierdziła Maggie. — Nie gada głupot i nie częstuje nikogo fałszywymi uśmiechami.

— Podobno przyjaźni się z damami wątpliwej konduity — szepnęła Helene. — Mimo wszystko wolałabym jego niż całą tę hałastrę. Oho, nadchodzi. Ta panienka u jego boku wygląda jak kłusownik, który wybrał się na zajęcia i nagle wypadł na niego dzik.

— Okropna jesteś, Helene. — Maggie skryła uśmiech, udając, że szuka czegoś w torebce.

— Takie jest życie.

Przegadały cały pierwszy zestaw tańców. Helene była ładną, bogatą wdówką i kilku co bardziej zdeterminowanych łowców majątku próbowało ją zaprosić na parkiet. Maggie obserwowała, jak przyjaciółka zręcznie stosuje uprzejme wymówki. Do innej taktyki uciekła się dopiero wtedy, gdy pojawił się przy nich Benjamin Hazlit.

Och, czyż nie wyglądał wspaniale w tym wieczorowym stroju? Delikatne płótno koszuli skonstrastowane z ciemną cerą i włosami lśniło w blasku świateł, a złota szpilka wpięta do fularu, guziki koszuli i spinki do mankietów błyszczały na tle czerni surduta. Był równie elegancki jak wszyscy ci utytułowani dżentelmeni, a dodatkowo górował nad nimi wzrostem. Doprawdy miał wspaniałą sylwetkę.

Różny tym razem nie było. W jego klapie tkwił jasnoczerwony goździk. Maggie pochwyciła smugę kwiatowego aromatu, gdy Hazlit pochylił się nad jej dłonią.

I przytrzymał ją odrobinę za długi. Co za dureń.

— Miałem nadzieję, że lady Anders uczyni mi zaszczyt i podaruje walca przed kolacją — powiedział. Jego oszalałymi uśmiech skierowany do wdowy nie ocieplił jednak oczu.

— Obiecałam go bratu — odpowiedziała Helene z równie udawanym żalem. — Ale może zamiast mnie zatańczyłby pan z panną Windham? Siedzi tu od wieków, z dobrego serca dotrzymując towarzystwa wdowie w całym tym rozgardiaszu.

Maggie rzuciła jej szybkie spojrzenie, ale w oczach Helene lśniła tylko czysta przekora.

— Lady Magdalene? — Hazlit wyciągnął ku niej dłoń w rękawiczce. — Czy zechce pani darować mi ten taniec?

Uśmiech na jego przystojnej twarzy pociemniał. Patrzył jej w oczy. Chcąc uniknąć tego badawczego spojrzenia, przyjęła podaną dłoń i wstała.

— Będę zaszczycona.

— Dzięki, lady Helene — powiedział, gdy palce Maggie dotknęły jego ręki.

Czeka ją jednak ten przeklęty walc.

— Nie wygląda pani na zaszczyconą — zauważył, prowadząc ją na parkiet. — Mam wrażenie, że planuje pani rychły koniec znajomości z lady Anders.

— Helene ma specyficzne poczucie humoru i wie, że wcześniej czy później się na niej odegram. Zmuszę ją do tańca z Jego Wysokością albo z Deene'em.

— Języki poszłyby wtedy w ruch. — Wyciągnął prawą rękę, czekając, aż Maggie położy na niej swoją lewą dłoń. Zawahała się, więc umieścił jej prawą rękę na swoim ramieniu i ujął lewą. — Lady Magdalene, czy ja naprawdę jestem taki okropny? Pani rodzice przyjmują mnie u siebie, a

pani siostra z radością poślubiła mojego przyrodniego brata.

Dłoń na jej talii była ciepła, czuła ją nawet przez suknię i gorset.

— Bawi pana stawianie ludzi w trudnych sytuacjach — odpowiedziała, gdy orkiestra zaczęła przygrywkę. — To nie jest stosowne dla dorosłego mężczyzny. Obraziłabym się, ale podejrzewam, że pan wszystkich traktuje w podobny sposób.

— Potrafię być czarujący.

— Kiedy ma pan w tym swój cel — skomentowała, gdy zaczął się taniec. — To nie jest czar, panie Hazlit, tylko podstęp.

W odpowiedzi zatoczył z nią krąg po sali balowej, przyciskając ją nieco mocniej i nieco bliżej, niż nakazywał obyczaj.

Spodobało jej się to.

Była kobietą postawną i mało który partner okazywał się wystarczająco wysoki i stanowczy, by poprowadzić ją w tańcu. Ona sama nigdy nie prowadziła, choć kusilo ją to, gdy trafił jej się niezdecydowany tancerz, ale musiała uważać, żeby nie obracać się zbyt energicznie, nie pochylać za mocno, nie wrywać za daleko. Niepewni siebie tancerze mogliby wypuścić ją z objęć, potknąć się albo splątać własne stopy z jej stopami.

Ale nie Hazlit. Tańczył dobrze, może nawet lepiej niż Val, który do tej pory był jej ulubionym partnerem.

Do tej pory. Do chwili gdy ten nieznośny człowiek nie uniósł jej do walca, tuląc w mocnych ramionach, wirując w płynnym, zestrojonym z nią rytmie. Ani razu nie spojrzała w dół. Poczuli się.. zaniepokojona, że ktoś prowadzi ją tak pewnie i że jej się to tak spodobało.

— Teraz już wiem, jak poskromić pani ostry język. — Szepnął to wprost do ucha Maggie, niemal dotykając policzkiem jej skroni. Gdyby przysunął się odrobinę bliżej, zaczęto by na ich temat plotkować. — Wystarczy z panią zatańczyć i pani przycicha.

— Zwykle nie tańczę.

— Wiem, ale nie mam pojęcia dlaczego. Porusza się pani zwiewnie jak sylfida.

— Czy pan sobie ze mnie żartuje?

— Skądże znowu. — Odsunął się, by spojrzeć na nią w blasku świec płonących w kandelabrach. — Tańczyłem z wieloma kobietami i powtarzam, że jest pani znakomitą tancerką.

Nieco się odprężyła, słysząc te słowa. Może i był łajdakiem, ale zawsze mówił prawdę. Gdyby sobie z niej żartował, przyznałby to wprost.

— Niech mi pan coś obieca — powiedziała. Obrócił ją w piruecie i ponownie ujął w talii. Może jej się tylko tak wydawało, ale znowu przytulił ją mocniej.

— Nie rzucam obietnic na wiatr, milady — stwierdził, poważniejąc. — To, że raz zatańczyliśmy, nie oznacza, że może pani wykorzystać moje dobre serce.

— Nie wiedziałam, że ma pan dobre serce. Proszę mi obiecać, że nie będzie pan już szpiegował nikogo z mojej rodziny.

Przez moment zapanowała cisza, choć muzyka grała dalej, a jej partner ani razu nie pomylił kroku.

A więc o to chodziło.

Benjamin Hazlit, zgodnie z ogólnie przyjętymi regułami, był dżentelmenem. Nie brudził rąk pracą, niczego nie produkował — beczek, zboża, piwa ani garnków — więc nie odmawiano mu statusu dżentelmena. Ale to, co robił, kiedy nikt go nie obserwował, budziło podejrzenia w kręgach socjety.

Sąsiedzi zaczęli się zbyt nim interesować, do tego stopnia, że niedługo zapewne będzie musiał zrezygnować z dotychczasowych źródeł utrzymania.

— Odwagi pani nie brak — powiedział do swej partnerki, przyciskając ją nieco mocniej, gdy zawirowali w tanecznym obrocie. — To trzeba przyznać.

— Pan jest odważniejszy — odparła, obracając się z wdziękiem. — Zakrada się pan, węszy, wałęsa po cudzych ogrodach, pozbawiając innych prywatności.

— Zakradam się do ogrodów, żeby flirtować i kraść pocałunki, jak wszyscy młodzi ludzie.

Prychnęła z niedowierzaniem, więc Hazlit uznał, że lepiej będzie przedstawić jej swoje racje bez świadków. Gdy znaleźli się w pobliżu otwartych drzwi na taras, poprowadził ją w tańcu na kamienne patio.

— Panie Hazlit. — Odsunęła się, a przynajmniej próbowała. — Co pan, u licha, wyprawia?

— Poruszyła pani temat, na który wolałbym rozmawiać na osobności. Bez wątpienia uznała pani, że taneczny parkiet to miejsce, gdzie może mnie pani bezkarnie strofować. Niech się pani trochę zastanowi, lady Magdalene.

— Nie używam tego tytułu.

Wypowiedziała te słowa z godnością, ale Hazlit dosłyszał w jej tonie cień urazy.

— Księżę i księżna zaadoptowali panią. Wiem o tym, bo pani ojciec uznał, że może mi zaufać.

Rzuciła mu ostre spojrzenie w panujących wokół ciemnościach.

— Owszem, jestem adoptowana, ale nie używam tytułu.

Pozostawało zagadką dlaczego, a Hazlit lubił zagadki, o wiele bardziej niż powinien. Ale nie wyszli na ten nocny chłód po to, by rozwikłać sekret Maggie Windham.

— Zatem, panno Windham. — Zmarszczył brwi, gdy potarła zziębnięte dłonie o swoje ramiona. — Porozmawiajmy o moich dochodzeniach.

— O wtykaniu nosa w nie swoje sprawy.

Narzucił swój wieczorowy surdut na jej ramiona i z zadowoleniem zauważył, że tym gestem zachwiał w niej pewność siebie. To niespotykane wydarzenie zasługiwało na notkę w „Timesie”.

— Pozwolę sobie przypomnieć, że to pani matka wynajęła mnie, abym zbała pochodzenie gospodyni pani brata. Tej samej damy, którą całkiem niedawno poślubił.

— To nie jest moja matka, a pana szpiegowanie naraziło Gayle’a i Annę na większe niebezpieczeństwo. Nie życzę sobie tego, zrozumiano?

Ruszyła w głąb ogrodu, nie zdając sobie chyba sprawy, że prowadzi go w coraz większy cień.

Hazlit nie odstępował jej, przyzwyczajony do przebywania w pogrążonych w mroku zakątkach.

— Życzy sobie pani zatem, żebym zrezygnował ze źródła moich zarobków i pozbawił pani utytułowanych znajomych możliwości skorzystania z moich usług?

— Sprowadził pan Lucille Ramboulet do ojca, kiedy uciekła z domu. Jest teraz żoną Alfreda Huxtable, dwukrotnie od niej starszego.

Hazlit wziął ją pod ramię, jakby po prostu gawędzili, a nie wyklócali się ze sobą.

— Co oznacza, że ten straszny lord Huxtable ma około trzydziestu pięciu lat. Dziewczyna uciekła z łajdakiem, któremu zależało tylko na jej pieniądzech. Ona ma siedemnaście lat, panno Windham, i ani krztyny mózgu w ślicznej główce. Jak pani sądzi, czy należało się w tej sprawie kierować jej osądem?

— Miała swoje powody. Jej sytuacja dobitnie pokazuje, jakie problemy powstają przez pana tak zwane dochodzenia.

— Chyba nie dojdziemy do porozumienia — odpowiedział. Zatrzymał się i zmarszczył brwi. Magdalene Windham wyraźnie zrezygnowała z zamążpójścia i wybrała staropanieństwo — co za marnotrawstwo, choćby ze względu na te cudowne włosy — ale w jej karcących go słowach wyczuł autentyczne oburzenie. A nawet przerażenie.

A więc miała jakiś sekret. Uświadomił sobie to między jednym a drugim uderzeniem serca i poczuł przemożną chęć, by odkryć jej tajemnice. Czasem bawił się w śledztwa, za które nikt mu nie płacił. Dzięki temu nie popadał w gnuśność i ćwiczył zmysł obserwacji.

— Nie wałęsam się po cudzych ogrodach.

Odwróciła się i rozejrzała wokół.

— Właśnie się pan wałęsa.

Wzeszedł księżyc. Choć nie był w pełni, w miarę jak wznosił się nad horyzontem, stawało się coraz jaśniej.

— Karcie mnie pani za to, że zarabiam na życie, oferując potrzebne ludziom usługi. Chodźmy stąd. Jeśli zbliżymy się do pochodni, zauważą naszą sprzeczkę, a przecież żadne z nas sobie tego nie życzy.

Usłuchała. Wiedział, że tak będzie. Magdalene Windham zachowywała co najmniej pozory przyzwoitości, choć łatwo było się domyślić, jakie ukrywa sekrety. Z takimi włosami...

— Usiądziemy? — spytał, gdy odeszli od tarasu na tyle daleko, by nikt ich nie słyszał. — Na siedząco trudniej będzie pani krzyczeć.

— I trudniej wymierzyć panu policzek — odparowała, choć w jej głosie nie było gniewu. — Pewnie myśli pan, że będę pana błagać, ale ja też potrafię patrzeć i słuchać, panie Hazlit.

— Może pani podsłuchiwać pod dziurkami od klucza, w odróżnieniu ode mnie? — Specjalnie usiadł tuż obok niej, licząc na to, że bliskość jego ciała będzie ją rozpraszała.

Albo może po prostu chciał się rozgrzać. Albo jedno i drugie.

— Nie podsłuchuję pod dziurkami od klucza. Słucham rodzinnych rozmów przy stole. Jej Wysokość spytała, jak to jest, że ze wszystkich utytułowanych lordów w parlamencie tylko hrabia Hazelton wysyła pełnomocnika na poufne spotkania. Ze wszystkich hrabiów w kraju tylko Hazelton głosuje okazjonalnie, ale i tak nikt go w parlamencie nie widział. Jego Wysokość rzucił księżnej przeciągłe spojrzenie i poprosił o dokładkę ziemniaków. Papa nienawidzi ziemniaków. Mówi, że to chłopskie jedzenie, ale toleruje ziemniaki na stole, bo Evie je uwielbia.

Psiakrew.

— Hazelton unika ludzi — odparł Hazlit, ale wiedział, że musi czymś odwrócić jej uwagę. Ujął pasmo tych ognistych, cudownych, jedwabistych włosów i wsunął jej za ucho.

— Ręce przy sobie, panie Hazlit. Mam braci i potrafię się obronić w razie potrzeby.

— Jakim to niby sposobem? Jestem co najmniej o pół stopy wyższy i sporo, sporo cięższy.

— Ale jest pan mężczyzną. — Mocniej otuliła się surdudem. — Ma pan, jak wiem, jeszcze jedną słabą stronę, którą łatwo urazić, oprócz arogancji i dumy.

— Brzydka zagrywka, panno Windham.

Zachwycająco brzydka.

Zmierzyła go zniesmaczonym spojrzeniem.

— Myśli pan, że łatwo jest być bastardestem Morelanda? — Uniosła twarz ku wschodzącemu księżycowi. — Tak zwani dzentelmeni reprezentowali dwie szkoły myślenia. Jedni uznali, że ze względu na pochodzenie będę równie niemoralna jak moja matka, jakby Jego Wysokość był całkiem bez winy, i że będę łatwą zdobyczą.

To prawda, przyznał w duchu. Większość mężczyzn tak sądziła. Mieli nadzieję, że okaże się łatwą zdobyczą.

— Druga grupa uważała, że powinnam na kolanach dziękować, iż pierwszy lepszy syn baroneta albo drobny szlachcic chce mnie wziąć za żonę. Dzięki Bogu, że papa był po mojej stronie, bo już w ciągu pierwszego sezonu miałabym ośmiu starających się.

Teraz dopiero weszli na śliski grunt.

— Naprawdę musisz odrzucać wszystkich kandydatów, milady? Może ci uparci ludzie ubiegają się o twoją rękę, powodowani prawdziwym uczuciem? Nietrudno to sobie wyobrazić.

— Niech pan da sobie spokój z galanterią, panie Hazlit. Jestem po trzydziestce, zostałam starą panną i zawsze nią będę. Ale odeszliśmy od głównego tematu naszej rozmowy. Nie wolno panu szpiegować mojej rodziny.

Miał wybór. Mógł odpowiedzieć jej w nieuprzejmy sposób, bo nie lubił z nikim przegrywać, a sprzeczką z tą kobietą sprawiała mu trochę za wiele radości. Mógł z nią tu siedzieć, aż przyzwoitość każe im wrócić do sali balowej, nie zakończywszy rozmowy. Mógł też odpowiedzieć uczciwie.

— Panno Windham, pracowałem na zlecenie Jej Wysokości. Specjalnie mnie poinstruowała, żebym nie interesował się sprawami, które nie mają bezpośredniego związku z przyszłą żoną pani brata. Kiedy ktoś mnie zatrudnia, nie gromadzę wszystkich informacji jak leci, bez pozwolenia. Gdybym natrafił na coś godzącego w dobre imię Windhamów, honor kazałby mi zatrzymać to dla siebie, żeby nie psuć opinii klientowi.

— Ale powiedziała by pan o tym Jej Wysokości? Albo Jego Wysokości?

A więc o to jej chodziło. Utwierdził się w przekonaniu, że jakiś dyskretny szczęściarz regularnie miewał okazję patrzeć, jak te cudowne włosy spływają po nagich plecach Magdalene Windham.

— Nie powiedziałbym im, chyba że uznałbym, iż ta informacja mogłaby mieć istotne znaczenie dla ich zdrowia lub dobrobytu.

Nie będzie się dopytywać dalej. Odgadł to po sposobie, w jaki przygryzła pełną dolną wargę, i po zmarszczce, jaka pojawiła się między brwiami.

— Papa miał atak serca niespełna rok temu.

— Wiem. Percy Windham, choć podobno spędził dwa tygodnie w Melton w sezonie polowań, nie jest w dobrym stanie.

— Trochę wrażliwości, proszę. Dla świata jest Morelandem, ale dla nas to po prostu nasz papa.

— Twardziel z niego, panno Windham. Jeszcze pożyje.

Podniosła wzrok, badając wyraz jego twarzy.

Nie odważył się zajrzeć zbyt głęboko w jej stroskane oczy.

— Musimy przenieść się z tą interesującą dyskusją do pałacu. Nauczę panią pewnej szpiegowskiej sztuczki, jeśli pani chce.

— Oczywiście, że nie chcę.

— Doskonale. — Zdjął surdut z jej ramion i włożył na siebie. — Kiedy wejdziemy przez drzwi, proszę się nie przekradać pod ścianą, jakby przed chwilą całowała się pani ukradkiem w ogrodzie.

— Dlaczego ciągle pan mówi o pocałunkach i ogrodach?

— Proszę wejść do sali, jak gdyby nigdy nic — kontynuował, zapinając surdut. — A po kilku krokach zatrzymać się i zacząć ze mną rozmowę.

— Niby dlaczego?

— Żeby nikt nie zwrócił uwagi na nasze wejście lub wyjście. Wszyscy zarejestrują, jak stoimy w tłumie innych gości. Jesteśmy blisko drzwi, bo chcemy zaczerpnąć świeżego powietrza, ale na pewno nie mamy nic do ukrycia.

Nie spodobało jej się to, ale skinęła głową.

I zadygotała z zimna.

— Chodźmy. — Ujął ją za rękę, żałując, że są w rękawiczkach i że nie może rozgrzać jej palców. Wykonała polecenie, zatrzymując się o sześć kroków od drzwi. Posłała mu uroczy uśmiech.

— Wspaniały był ten walc. Innym damom też się należy przyjemność zatańczenia z panem, panie Hazlit.

— Gdybyż tylko inne damy tańczyły z taką gracją jak pani.

Przez chwilę przerzucali się uprzejmymi komunałami, a potem zgodnie uznali, że nie mają ochoty siedzieć obok siebie przy kolacji. Panna Windham odpłynęła w poszukiwaniu brata, a Hazlit zaczął węszyć za dowodami niewierności Abigail Norcross.

Tańczył, flirtował i gawędził z panienkami podpierającymi ścianę, zastanawiając się bezustannie, która matka nazwałaby swoje nieślubne dziecko Magdaleną. Biblijne skojarzenia nie były miłe. Absolutnie.

— Co cię tak nakręciło? — Evie rzuciła się na poduszki powozu i zaczęła układać fałdy sukni.

— Nic takiego. — Maggie spojrzała przez okno w mroczną noc, na oddalającą się, jasno oświetloną fasadę pałacu Winterthurów. Lampy i pochodnie sprawiały, że budynek przypominał rozdziawioną paszczę potwora, który wbijał w nią wzrok.

Zapuściła zasłony i spróbowała zebrać myśli.

— Nie jestem nakręcona. W dalszym ciągu nie znalazłam tej torebki.

— W końcu ją znajdziesz. Widziałam, jak tańczyłaś z uroczym panem Hazlitem, moja kochana.

— Czasem twój zmysł obserwacyjny graniczy z beczelnością, smarkulo.

— To dlatego, że nikt na mnie nie zwraca uwagi. Rozmawialiśmy o tym z Valem, jako najmłodszy z rodziny. Zawsze wleczeni się za starszym rodzeństwem. Nie uważasz, że Hazlit jest przystojny?

— Przypuszczam, że jest.

Powinna przyznać bez ogródek, że jest, a nie zbywać Evie zdawkową odpowiedzią. Hazlit był przystojny, choć nie w jasnowłosym, błękitnookim, angielskim typie. Jego uroda była dziksza. Bardziej pociągająca.

— Zatańczyłam z Deene'em. — Evie westchnęła i oparła się wygodniej. — Trochę mi go żal, bo musi obtańcowywać wszystkie debutantki. Całkiem nieźle sobie radzi na parkiecie.

— Tylko nie rozgłaszaj tego wszem wobec, bo papa zacznie już ustalać warunki umowy i termin ślubu. To markiz, Evie, i w dodatku przyjaciel rodziny. Nadałby się.

— Wcale by się nie nadał, ale tańczy świetnie. Jenny twierdzi, że przyjemnie się z nim rozmawia.

— Flirtuje, chciałaś powiedzieć.

Rozmarzony uśmiech Evie przygasł.

— Mags, od kiedy zaczęłaś krytykować wszystkich z wyjątkiem własnej rodziny? A może jesteś niezadowolona, bo Valentine postanowił zostać z przyjaciółmi na mieście?

— Jestem po prostu zmęczona.

Nie zamierzała tłumaczyć, że coraz bardziej denerwuje się z powodu tej torebki.

— Zmęczyły cię tańce.

Evie wyprostowała się, co oznaczało, że jeszcze nie koniec wypytywania.

— Pięknie wyglądaliście z panem Hazlitem.

— We mnie nie ma nic pięknego, Evie Windham. Natychmiast przestań wygadywać głupoty.

— Mówisz zupełnie jak mama, kiedy strofuje chłopców — odparła Evie z szerokim uśmiechem. — Szkoda, że się nie widziałaś, Mags. Czy ci błyszcząły, kiedy trzymał cię w ramionach.

— Evie! — Maggie mimo wszystko musiała się uśmiechnąć. Evie wciąż była rodzinną pieszczoską, której pozwolono zachować nieco dziecięcej niewinności, choć dawno wkroczyła w dorosłość.

— Naprawdę błyszcząły. Mama wyszła już do Almacka z resztą rodziny, ale myśmy z Valem cię widzieli.

— Musiałam się upewnić, że ten człowiek nie będzie już więcej szpiegował. W każdym razie nie naszą rodzinę.

— Mags, przecież nie robiłby tego na balu.

— Ależ oczywiście, że tak, Evie.

O tym też trzeba będzie porozmawiać rano z Helene Anders.

Hazlit zwolnił, zbliżając się do domu. Starał się uspokoić. Udało mu się zbliżyć do kilku gości Winterthura, wyciągnąć z nich parę informacji i wyjść zaraz po kolacji, zanim tańce zaczęły się na nowo.

Szpiegowanie, też mi coś. Szpiegowanie to zajęcie dla podglądaczy i podsłuchiwczy, a nie dla hrabiów. Na myśl o tym, jakim jest hipokrytą — posiada tytuł, ale się do niego nie przyznaje — jeszcze bardziej zwolnił kroku. Ściśle mówiąc, nie ukrywał tego tytułu, po prostu się z nim nie obnosił.

Popijając brandy w swoich pokojach, w dalszym ciągu próbował opanować w sobie złość. Poradził sobie bez pokojowca, rozebrał się do naga, powiesił wieczorowy strój na drzwiach szafy i znalazł swój ulubiony jedwabny szlafrok. Wieczór był chłodny, ale w pokojach napalono przed jego przyjściem.

Z przyzwyczajenia podszedł ze szklanką do biurka, które stało w jego prywatnym saloniku, tuż obok huczącego na kominku ognia.

Co udało mu się dziś wypatrzeć?

Zaczął spisywać obserwacje zebrane w ciągu wieczoru i doszedł do wniosku, że listę ewentualnych kochanków lady Abigail Norcross można zawęzić do dwóch. Lord Norcross zapewnił go, że nie zamierza wykorzystać jego informacji do udowodnienia żonie zdrady i do rozwodu. Chciał ją tylko postraszyć. Hazlit dobrze o tym wiedział. Będzie tupał nogami, huczał i burczał, choć sam też nie jest uosobieniem wierności.

Tylko że kobiety nie mogą wytoczyć procesu o zdradę, bo mężczyzna może siać swoje nasienie, gdzie mu się żywnie podoba. Za to łono żony jest własnością jej małżonka, podobnie jak reszta ciała. Norcross ma dziedzica i dwóch młodszych synów w zapasie, więc chce tylko żyć z dala od żony i dyktować warunki. Dama niechętnie zgodzi się na odsunięcie jej na bok, ale szybko znajdzie sobie pociechę poza małżeńskim łóżem.

W sumie nie ma to znaczenia, bo nieślubne potomstwo kobiety rzadko dziedziczy, ale dla lorda Norcross jednak by miało.

Ten nieprzyjemny temat znowu przywołał mu na myśl pannę Magdalene Windham, nieślubną córkę księcia Moreland, wychowaną razem z jego potomstwem z prawego łoża.

Zaczął ją machinalnie szkicować. Miała przepiękne oczy, idealnie pasujące do tych włosów, i mocną linię nosa. Pasował do niej ten nos, podobnie jak stanowczy rys szczęki i podbródka. Ołówek śmigał po papierze i po chwili z kartki spojrzął na niego jej wizerunek.

Magdalene Windham była piękna.

Nie tą bladą, potulną angielską urodą. Była bardziej ziemską, bardziej wyrazista. Brwi i rzęsy miała ciemniejsze od włosów, a kiedy trzymał ją w ramionach, dostrzegł kilka piegów na nosku i ramionach. Dosłownie kilka.

Aż się prosiły o pocałunki...

Rzucił ołówek, bo namalował ją nie w balowej sukni, ale taką, jaką widział ją przed wejściem na salę balową, z rozpuszczonymi włosami i przekornymi chochlikami w oczach... kiedy postanowiła ukłuć go jego własną szpilką.

Ciche stukanie do drzwi przerwało bieg jego myśli.

— Wejść.

— Zrób mi miejsce — powiedział gość. — Na dworze jest cholernie zimno, choć to prawie wiosna, i człowiekowi przydałoby się coś leczniczego na rozgrzewkę.

— Masz. — Hazlit podał mężczyźnie swojego nietkniętego drinka. — Zadzwoń po coś do jedzenia?

— Będę wdzięczny. — Archer Holloway wyciągnął w stronę ognia długie nogi. — Pracowita noc.

— Ale czy owocna? — Hazlit trzykrotnie pociągnął linkę od dzwonka, sygnalizując, by przyniesiono późną kolację.

— Nie mam pojęcia.

Holloway przeczesał dłonią jasne loki, doskonale świadomy, że ze swoją rozwichrzoną fryzurą i, przeciwnie, dopiętym na ostatni guzik strojem wygląda bardzo pociągająco. Między innymi dlatego Hazlit go zatrudnił.

— Powóz lady Abby ruszył na miasto w porze kolacji — zaraportował Holloway. — A ona była w środku. Przejechała dokładnie cztery przecznice, kazała się zatrzymać i przesiadła się do powozu Hamwaya. W zasadzie przekradła się do niego.

— Jesteś pewien, że to ona?

— Tak, bo wsiadała pod pałacem Winterthurów. Lokaje przyświecali pochodniami, żeby damom wygodniej było wsiadać do powozów.

— I Hamway był na tyle głupi, że nie zasłonił herbu? — Hazlit zmarszczył brwi, wiedząc, że tak łatwe uzyskanie informacji zazwyczaj bywa podejrzane.

— O tej porze księżyc krył się za chmurami, Benjaminie. — Holloway przechylił głowę i zamknął oczy.

— W takim razie skąd wiesz, że to był jego powóz?

— Bo dosiadłem się do jego lokaja — odpowiedział — udając, że zeskoczyłem z powozu

lady Norcross. Widziałem herb na własne oczy, w świetle ulicznych latarni.

— Czy ktoś widział twoją twarz?

— Co ty sobie wyobrażasz? — Holloway uniósł głowę, otworzył oczy i rzucił mu gniewne spojrzenie. — Znam się na tej robocie, a ty od dwóch lat ani razu nie zwątpiłeś w mój zdrowy rozsądek. Byłem w przebraniu, jak zwykle.

Hazlit zmarszczył brwi, bo Archer Holloway był równie czujny, jak przystojny. Miał nieomylny instynkt, a zresztą zadanie było rutynowe.

— W zeszłym tygodniu w ten sam sposób przesiadła się do pojazdu lorda Doolish — powiedział.

Holloway cicho gwizdnął.

— Mam ją przelecieć? Wygląda na to, że lubi odmianę, a poza tym to ślicznotka. Nie jej wina, że mężowi spodobał się ktoś inny.

Hazlit rzucił mu surowe spojrzenie.

— Nie przekraczamy pewnych granic, Archer.

— Straciłeś resztki poczucia humoru. — Holloway pociągnął łyk napitku. — Na szczęście w dalszym ciągu podajesz przyzwoitą brandy, bo zacząłbym się o ciebie martwić.

— Nie będziesz zaglądał damom pod spódnicę i nie będziesz ich pocieszał, kiedy małżonkowie odsyłają je na wieś za grzechy.

— Jeśli już mowa o spódniczkach — w oczach Hollowaya zatańczyły iskierki — widziałem, jak walczysz z Maggie Windham. Doskonały wybór, staruszku. Jak ją namówiłeś do tańca?

— Jej przyjaciółka użyła podstępny. A ty skąd ją znasz?

I dlaczego nazywasz ją z taką poufałością Maggie?

— Poznałem w Rzymie jej młodszego brata i od tej pory utrzymujemy kontakt — odparł Holloway. — Potrafi wygrywać cuda na klawiszach. Przedstawił mnie rodzeństwu, kiedy ich spotkaliśmy. Ma cały wianuszek ślicznych sióstr i tylko jedna jest mężatką.

— Czy to znaczy, że, tak jak w bajce, stary król nie wydaje księżniczek za mąż, bo żaden rycerz nie jest dla nich dość dobry?

— Nie mam pojęcia. — Holloway wstał, żeby otworzyć drzwi, do których ktoś zapukał. — Nie miałem przyjemności poznać Jego Wysokości.

Postawił tacę na biurku, przysunął sobie krzesło i zasiadł do jedzenia.

— Lord Val mówi, że Maggie trzyma się na uboczu, w odróżnieniu od reszty sióstr. Nic dziwnego, zważywszy na jej pochodzenie. Jego Wysokość wychował ją pod swoim dachem, tak samo jak tego żołnierza. Na Boga, kucharce należy się podwyżka. Zupa jest rewelacyjna i do tego gorąca.

Siorbnął cicho, na potwierdzenie.

Hazlita ogromnie kusilo, by wyciągnąć z Hollowaya szczegół po szczególe. W domowym zaciszu, popijając rozgrzewającą brandy, jego wspólnik rozgadałby się na dobre. Ale Benjamin Hazlit nie lubił przekraczać pewnych granic.

Chociaż właściwie byłoby to zwykłe plotkowanie. Często wymieniali się plotkami, bo nie mieli z kim dzielić się ciekawostkami z życia towarzyskiego, na które natykali się w pracy.

— Co ci jeszcze opowiedział lord Val o najspokojniejszej ze swoich sióstr?

Majordomus Maggie zastukał w otwarte drzwi saloniku śniadaniowego.

— Lord Valentine, madame.

— Dziękuję, Hobbs — wtrącił Val i wśliznął się do salonu, wciąż w wieczorowym stroju.

— Od kiedy to zapowiada się członków rodziny?

— Od kiedy się ożeniłeś — wyjaśniła Maggie, wstając, by go ucałować w policzek. —

Ponowna wizyta w ciągu dwudziestu czterech godzin! Kredą w kominie zapisać. Weź sobie coś na śniadanie.

— Nie mam nic przeciwko.

— Grałeś w karty całą noc?

Napełnił talerz przy bufecie. Maggie dostrzegła ślady zmęczenia wokół jego oczu. Był wspaniałym mężczyzną, marzycielskim i zmysłowym. Pewnie nie zdawał sobie sprawy ze swojego uroku. Ale po kilkumiesięcznej rozłące spojrzała na niego nowymi oczyma i zdała sobie sprawę, że z młodego, atrakcyjnego chłopaka zaczyna przemieniać się w dojrzałego mężczyznę. Stęskniła się za nim i za jego muzyką.

— Trochę grałem — powiedział, siadając po jej prawej stronie. — Nocuję u wicehrabiego Fairly i chciałem dać ci mój adres. Kiedy ostatnio stroiłaś swojego broadwooda? — Podał jej kartę z adresem wypisanym na odwrocie. Z jednym z lepszych adresów w mieście.

— Przysłałeś swoich ludzi z początkiem roku. Przecież zawsze to robisz, jeśli nie możesz nastroić go osobiście.

— Mags, czy ty jesteś szczęśliwa? — Zajadał jajka na bekonie, jakby dopiero co nie zadał bardzo nietypowego i bardzo osobistego pytania.

— Czemu pytasz?

— Czy to znaczy, że nie jesteś? — Podniósł wzrok znad talerza. W jego zielonych oczach malował się niepokój.

— Nie spałeś całą noc, Valentine. I pewnie za dużo wypiliśmy wieczorem, prawda?

— Nie da się ukryć. — Uśmiechnął się do niej. — Jestem pijany w trupa i należy mi się porządna połajanka w dobrym, starym stylu. Jeśli nie jesteś szczęśliwa, to czego ci potrzeba do szczęścia?

Za tym jego uśmiechem kryło się coś, co kobieta określiłaby jako zatroskanie, a mężczyzna nie odważyłby się nazwać nawet pod groźbą tortur.

— Mnie, zanim ożeniłem się z Ellen, ciągle czegoś brakowało, czegoś bardzo ważnego. Ale wcale nie byłem nieszczęśliwy. Ty też nie jesteś nieszczęśliwa, chyba że czegoś nie zauważyłem.

Nie jestem nieszczęśliwa. Bystry ten mój braciszek. Aż za bardzo.

— Mam moją dobroczynność — rzuciła i wstała, by stworzyć dystans między nimi. Na moment zapanowała cisza. Maggie wyglądała przez okno, obserwując ogród za domem, a Val milczał.

— Tańczyłaś z Hazlitem — odezwał się w końcu.

— Boże litościwy — odwróciła się i oparła biodrami o parapet. — Tańczyłam też z lordem Fanshaw i z Dudleyem Parringtonem. I co z tego?

— Ci dwaj ostatni to dawni znajomi Jego Wysokości, a ty zatańczyłaś z Hazlitem walca. Nie pamiętam, żebyś walcowała z kimkolwiek oprócz mnie, Deva lub Gayle'a.

Albo niegdyś z Bartem i Victorem, ich już nieżyjącymi braćmi.

— Tańczę czasem z Jego Wysokością.

— Raz, podczas twojego debiutu piętnaście lat temu.

— To wcale nie było piętnaście lat temu.

Ale niedługo będzie.

— Mags, nie spieraj się, to żadna odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego z Hazlitem?

— Miałam z nim do pogadania, a na parkiecie można spokojnie zamienić parę słów.

— O czym?

— Valentine!

Postarała się, by powiedzieć to z wyniosłością godną księżnej Moreland, i całkiem niezłe jej się udało.

— Gayle go lubi — odparł Val, bynajmniej niezbity z tropu. — Nie tylko dlatego, że przyrodni brat Hazlita poślubił Sophie. Sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Co oznaczało, że wkrótce pojawi się Gayle, będzie zadawał pytania i udzielał rad.

— Wracaj do swojego Oxfordshire, jeśli zamierzasz mnie zamęczać pytaniami o partnerów do tańca, Valentine.

Przypatrywał jej się przez dłuższą chwilę, a jego przenikliwe zielone oczy dostrzegły o wiele więcej, niżby chciała.

— Dev i Emmie? Ich Wysokości? — ciągnął. — Ich życie ma sens, Maggie, i każde z nich ma kogoś, kto ich kocha. Jeśli Bóg da, zbuduję podobny związek z Ellen, podobnie jak Gayle z

Anną.

— Ja kocham ciebie — powiedziała, pełna troski o niego. — Kocham całe moje rodzeństwo.

— A my kochamy ciebie — odparł ze smutnym uśmiechem. — Tylko nie wiem, czy to nie za mało, Mags. Dla ciebie. Dla mnie było za mało, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy i o mało się w tym nie zagubiłem. Dasz mój adres Gayle'owi?

— Naturalnie. A co z Ich Wysokościami?

— Wybieram się do pałacu, jak tylko się przebiorę, i przekażę im go osobiście.

— Idź się teraz przespać i powiedz Fairly'emu, żeby nastroił swoje fortepiany.

Val został do końca śniadania, ale potem od razu wyszedł — już drugi raz z rzędu nie usiadł przy fortepianie. Gdy tylko się pożegnali, Maggie popędziła na górę, obiecując sobie, że nie wpadnie w panikę. Zaczęła metodycznie przeszukiwać pokoje. Sypialnię, salonik, garderobę.

Ani śladu torebki.

Przeszukała tylny hol i pokoik z tyłu za przedpokojem. Dokładnie sprawdziła ścieżkę wiodącą na łąki i wszystkie alejki w ogrodzie.

Ani śladu torebki.

Zrobiła sobie przerwę. Przeczytała kilka artykułów poświęconych finansom — nabrała tego zwyczaju już jako dwunastolatka. Potem ponowiła poszukiwania.

W dalszym ciągu ani śladu torebki.

Jej brat Gayle, hrabia Westhaven i dziedzic rodu Moreland, wpadł do niej na drugie śniadanie. Uśmiechała się, konwersowała, przytakiwała i cały czas starała się nie poddawać panice.

Gdzie mogła się zapodziać ta przekłeta torebka?

Wilhelm Zdobywca był bastarodem.

Król Karol II miał co najmniej dwanaścioro nieślubnych dzieci, a troje z nich obdarzył książęcymi tytułami jednym pociągnięciem królewskiego pióra.

W czasach mniej odległych książę Devonshire wychował dwójkę albo nawet trójkę bastardów, które mieszkały pod jednym dachem z nim, z jego księżną i z jego kochanką.

Plotkowano, że jedna z córek obecnego króla miała podobno nieślubnego syna, którego wychowywał jego ojciec, a książęta krwi płodzili bastardy w odpowiedzi na ustawę o królewskich mariażach, którą zatwierdził ich ukochany papcio.

Maggie dowiedziała się o tym wszystkim, i o wielu innych sprawach, podczas swojej pierwszej prywatnej herbatki u Esther, księżnej Moreland. Maggie miała wtedy trzynaście lat i od roku przebywała wśród młodszych braci, których przewyższała wzrostem. Również od roku musiała nosić gorset, jako pierwsza wśród swoich przyjaciółek.

Teraz, po dwudziestu prawie latach od tamtej chwili, Maggie rozumiała, że księżna chciała jej w ten sposób dodać pewności siebie. Szkoda, wtedy odbierała te herbatki jako serię spotkań, w trakcie których słyszała głównie oschłe polecenia: „Wyprostuj się, przestań się użalać nad sobą i nie stukaj łyżeczką o brzeg filiżanki”. Jej siostry też nie znosiły herbatek sam na sam z księżną.

Dopiero niedawno Maggie doszła do wniosku, że księżna też ich nie znosiła. Ale poza tym ta zacna dama wychowała dziesiątkę dzieci i przetrwała trzydzieści lat u boku Percivala Windhama. Gdy Esther Windham postanowiła czegoś dokonać, determinacją przewyższała nawet bohaterskiego Wellingtona.

Więc kiedy Maggie przez trzy dni nie mogła odnaleźć swojej torebki, wzięła przykład z Esther.

Życie detektywa nie było łatwe. Zbieranie informacji w salach balowych zmuszało do prowadzenia nocnego trybu życia, co oznaczało, że człowiek ciągle chodził niewyspany. W dodatku nieraz trzeba było się zrywać z łóżka bladym świtem, by spotkać się z klientem przy śniadaniu albo na porannej konnej przejażdżce.

Hazlit zazwyczaj rozwiązywał ten problem, spędzając wczesnoranne godziny nad raportami i przesypiając większość dnia. Wielu jego znajomych prowadziło podobny tryb życia, przynajmniej podczas wiosennego sezonu balowego.

Lady Norcross pohamowała swój temperament, a Hazlit domyślał się dlaczego. Pewna rudowłosa dama o posągowej figurze szepnęła słówko Helene Anders, która z kolei ostrzegła swoją szwagierkę i już było po wszystkim. Próbował współczuć lordowi Norcross, ale musiał przyznać sam przed sobą, że popełnił błąd, decydując się wziąć od niego zlecenie.

Wrócił do swoich pokojów, by przekonać się, że któryś ze służących odsunął z okien ciężkie zasłony i salon był skąpany w promieniach słońca.

Wiosna nadchodziła nieśmiało i opornie. Hazlit przez chwilę zastanawiał się, czy tego ranka, zamiast drzemki, nie wybrać się do kawiarni. Jego wzrok padł na surdut, w którym był u księcia Moreland na początku tego tygodnia. Coś lśniło czerwienią przy samym mankiecie. Spojrzał z bliska na rękaw.

Do diaska! W guzik zaplątały się trzy rude włosy. Bardzo długie. Tak długie, że kiedy owinął je wokół palca, utworzyły splot gruby jak obręczka.

Trofeum ze zwycięskiej potyczki.

Zajrzał do garderoby, wyjął przybory do szycia, znalazł srebrną nitkę i owinął nią swój łup.

— Przepraszam, sir.

W drzwiach stanął Morse, jego lokaj, który zachowywał się z taką godnością, jakby służył u samego regenta.

— O co chodzi?

— Przyszła do pana dama z wizytą. Zaprosiłem ją do małego saloniku i kazałem podać herbatę z ciasteczkami.

— Dama?

Gdyby to była jedna z jego współpracowniczek, lokaj określiłby ją jako „kobietę”. Hazlit zatrudniał wiele kobiet, które były jego oczyma i uszami w różnych sferach społecznych. Zazwyczaj wchodziły tylnymi drzwiami, po zmroku, w kapturach naciągniętych na głowy, jeśli nie chciały wysłuchiwać gniewnych uwag.

Morse, od rana w białych rękawiczkach, podał mu srebrną tacę z kartą wizytową. Hazlit przeczytał kartę.

No, proszę...

Kolejna potyczka. Zmęczenie nagle go opuściło. Włożył przedpołudniowy strój, sprawdził w lustrze, czy ma dobrze zawiązany fular, i ruszył na dół. Zatrzymał się tylko na moment w saloniku i wsunął swój talizman między kartki tomiku poezji Wordswortha, kilka stroniczek za zasuszoną różyczką.

— Panno Windham, jakże mi miło.

Pochylił się nad jej dłonią, machinalnie zapisując w pamięci wszystkie szczegóły.

Ślicznie wyglądała w porannym słońcu. Choć właściwie nie był to żaden szczegół. Miała około trzydziestu lat, wiek, w którym kobieta zaczyna rozkwitać albo więdnąć, w zależności od tego, jak układa się jej życie.

Zbyt wiele nocnych zabaw, nadmiar jedzenia, picia i niemoralne prowadzenie się przedwcześnie postarzają każdą damę. Wieczorem, w blasku świateł, może się jeszcze wydawać pociągająca, ale poranne słońce jest brutalne w swej szczerości. Mówi prawdę.

Więc prawdę mówiąc, Maggie Windham wyglądała uroczo. Pełne wargi nie wiedziały, co to przedwczesne zwiotczenie i zmarszczki, przejrzyste zielone oczy błyszcząły, harmonizując z barwą aksamitnej, spacerowej sukni. Jej cera promieniowała zdrowiem, zdradzając upodobanie do świeżego powietrza i właściwego odżywiania.

A te włosy...

Uniosła się z miejsca, lekko dygnęła i z powrotem opadła na sofę.

— Czy zachce pan usiąść, panie Hazlit?

Usiadł obok niej, żeby zobaczyć, jak jej oczy rozszerzają się ze zdziwienia. To była jedyna reakcja — żadnego nerwowego odsuwania się, żadnej panicznej ucieczki.

— Miło panią widzieć, panno Windham. Cóż za nieoczekiwana wizyta. Tym bardziej że przyszła pani sama, bez młodszej siostry do towarzystwa.

W jego powitaniu kryło się pytanie, ale właśnie wniesiono tacę z herbatą, dzięki czemu jego gościowi udało się uniknąć odpowiedzi.

— Nalać panu, panie Hazlit?

— Bardzo chętnie. Rzadko kiedy moja taca z herbatą jest w rękach tak pięknej damy.

Zdjęła szydełkowe rękawiczki i położyła je obok siebie na sofie, ukazując śliczne ręce.

Można się było tego spodziewać. Nie były małe, ale za to szczupłe, o długich, nieozdobionych pierścionkami palcach. Paznokcie miała krótkie i niepomalowane, co go nieco zaskoczyło. Ręce do pracy, nie do ozdoby.

— Jaką herbatę pan pija?

— Proszę z cukrem i dużą ilością mleka.

Nalała mu filiżankę, potem przygotowała napój dla siebie i w końcu spojrzała mu w oczy.

— Potrzebuję pana pomocy.

Ze zdziwienia o mało co się nie zakrztusił i nie oblał ich obojga herbatą. Z namysłem pociągnął łyk, pozwalając, by cisza nieco się przeciągnęła. W końcu doszedł do siebie i był gotów odpowiedzieć atakiem.

— Mam uwierzyć, że księżęca córka, która ma aż trzech dzielnych braci, zwraca się do mnie o pomoc?

— Rzeczywiście jestem córką księcia, ale pochodzenie nie zawsze prostuje ścieżki naszego żywota. Prawda, panie Hazlit?

Teraz z kolei ona pozwoliła, by cisza się przedłużyła. Hazlit miał chęć zsalutować jej filiżanką.

Była dobra. Na miły Bóg, naprawdę była dobra.

— Nie lubię pracować dla kobiet. Proszę nie brać tego do siebie.

Nawet się nie skrzywiła na tę szorstką uwagę. Upiła łyk doskonałego darjeelinga.

— Pracował pan dla księżnej.

— W drodze wyjątku. Jak sędzę, rozmawiała z nią pani w sprawie moich usług?

— Nie, ale wiem, że stawia pan twarde warunki. — Skrzywiła się nad filiżanką.

— Skąd pani to wie?

Rzeczywiście tak było.

— Sam pan wyznacza czas i miejsce wszystkich spotkań. Nie dostarcza pan informacji na piśmie, tylko ustnie. Wymaga pan wynagrodzenia w gotówce z góry i zwraca pan niewykorzystane fundusze, również wyłącznie w gotówce. Zachowuje się pan jak adwokat, nie szuka klientów, tylko wybiera sobie tych szczęściarzy, którzy panu odpowiadają.

— Niezbyt pochlebna analogia.

— Nie miała być pochlebna.

Grymas był ledwie zauważalny, bo Maggie pochyliła się nad herbatą. Ale jego życie zależało od wychwytywania takich drobiazgów, więc oczywiście spostrzegł, jak jej wargi drgnęły, o mało nie układając się w uśmiech. Ukryła go niemal natychmiast.

Panna Windham, panna Windham... Siedziała tu w pełnym świetle dnia, ale bez towarzyszącej jej przyzwoitki. Nie miał pojęcia, jaką ona prowadzi grę, i doprawdy nie miał czasu na żadną.

— Doskonale.

Dobre wychowanie kazało mu odczekać, aż Maggie odstawi filiżankę.

— Jeśli jest pani gotowa zapłacić tę cenę.

Wymienił niebotyczną kwotę i czekał, aż ona się wycofa, nie tracąc godności.

— Życzy pan sobie gotówkę?

— Przyjmuję wyłącznie gotówkę.

Zrobiło mu się jej trochę żal. Ale tylko trochę.

— Każę dostarczyć panu tę sumę przed zachodem słońca. Jeszcze herbaty?

— Chętnie. — Zmarszczył się, widząc, jak te śliczne, nawykłe do pracy dłonie nalewają napar, na który właściwie nie miał ochoty. Naturalnie, pieniądze nie wpłyną i na tym zakończy się cała sprawa.

Kiedy prowadził te rozważania, ona nalewała herbatę z wdziękiem godnym córki księcia.

A właściwie córki księżnej, poprawił się w myśli.

— Może ciasteczko, panie Hazlit?

— Dziękuję. Zdażyłem już zapomnieć o śniadaniu.

Podawała mu talerzyk z dwoma ciasteczkami. Ich dłonie zetknęły się przelotnie.

Przypadek? Jakiś plan? Coraz bardziej ciekawiła go ta panna Windham i jej strategiczne rozgrywki.

— Pani nie je nic słodkiego?

— Od czasu do czasu należy się powstrzymać od słodczy, żeby zmieścić się w swoje ubranie.

Rzucił jej przelotne spojrzenie, choć nie zatrzymał go na wiadomych zaokrągleniach jej sylwetki.

— Pani poświęcenie jest godne uznania, ale proszę mi teraz opowiedzieć o swojej sytuacji, panno Windham, i jak mógłbym pani pomóc.

Zamieszała herbatę, powoli przesuując łyżeczką po dnie filiżanki. Pewnie ma taki nawyk, pomyślał. Drobnym nawykiem zdradzającym zdenerwowanie lub chęć rozminięcia się z prawdą.

— Straciłam cenny przedmiot.

— Bizuterię? To prosta sprawa, drogocenne drobiazgi zwykle pojawiają się w okolicach Ludgate, ukryte przed większością klientów, z wyjątkiem kilku wybranych osób. Czy to był łatwy towar dla pasera?

— Dla pasera? Dlaczego ktoś miałby dopasowywać bizuterię? — Zdziwiła się, a między jej

brwiami znów pojawiły się te drobniutkie zmarszczki.

— Pozwolę sobie zaznajomić panią z pewnymi terminami, panno Windham. Gdy złodziej ukradnie coś wartościowego i rzucającego się w oczy, nie może stanąć na rogu ulicy i oferować tego przechodniom.

— Złodziej albo złodziejka.

— Właśnie. Jeśli chce się pozbyć swojego łupu z zyskiem, zazwyczaj sprzedaje go handlarzowi, który upłynnia takie towary. Na przykład jubilerom w City. Dostaje za to jakieś pieniądze, ale zazwyczaj jest to niewielka część wartości skradzionych rzeczy. Jubiler może dużo zarobić, otwarcie sprzedając klejnoty swoim klientom. Mówimy, że jest paserem.

— A jeśli ktoś zacznie zadawać mu pytania, dowie się, że jubiler kupił ten przedmiot jako część spadku po pewnej wdowie z Northumberland, prawda?

Zmarszczki zniknęły, a usta skrzywiły się z niechęcią.

— Wie pani, jak rozumuje przestępca.

— Wiem, jak postępować, by nie dać się przyłapać.

— Czy grozi pani przyłapanie na czymś? — Zawiesił wzrok na jej twarzy. — Czy zgubiony przedmiot to podarek od kochanka? Coś, czego nie powinna pani mieć u siebie?

— Wielki Boże! — Wyprostowała się z urazą, ale nie obraziła się na dobre. — Widzę, że praca detektywa wymaga bujnej wyobraźni, panie Hazlit.

— Bez przesady. Natura ludzka sprawia, że popełniamy ciągle te same, przewidywalne grzeszki. Więc co się pani przydarzyło? Chce pani odnaleźć ojca swego dziecka? Opłacić jego żonę, żeby trzymała buzię na kłódkę? To właściwie nie jest praca dla detektywa, ale rozumiem konieczność zachowania dyskrecji. Więc o co chodzi?

— Powinam pana spoliczkować. — Powiedziała to bez cienia wrogości, raczej z pewnym znuzeniem, jakby stwierdzała fakt. — Ale potraktuję pana ulgowo, przecież jest pan mężczyzną.

— Przepraszam?

— Słusznie pan przeprasza.

Upiła łyk herbaty i rzuciła mu niechętnie spojrzenie.

— Implikacje zawarte w pana pytaniach, panie Hazlit, w pytaniach, jakich raczej nie śmiałyby pan zadać żadnej z moich sióstr, nie zmieniają faktu, że wciąż potrzebuję pana pomocy i wciąż zamierzam pana zatrudnić. Nie popełniłam żadnego czynu wymagającego zachowania dyskrecji, nie mam nieślubnego dziecka ani nie muszę uciekać na kontynent, by ukryć moje uzależnienie od laudanum.

— Więc nie trapią pani prawdziwie poważne problemy — stwierdził z ulgą i nie wiedzieć czemu rozzłościł się na siebie w duchu.

— Dla mnie są poważne. Spotkamy się i porozmawiamy, gdy już otrzyma pan wynagrodzenie.

— Porozmawiamy dziś wieczór, na tańcach u Livienów.

W jej oczach błysnęła niechęć, ale był nieugięty. Sama zaczęła tę rozgrywkę, więc albo zaakceptuje jego reguły, albo niech się wycofa.

— Zatem do zobaczenia wieczorem.

Pożegnała się i ruszyła ku frontowym drzwiom, nie bojąc się, że ktoś ją zobaczy. Nie miał pojęcia, o co chodzi tej całej pannie Maggie Windham.

— Więc co takiego wymyślił twój brat? — Chociaż rozmawiali w jego gabinecie, księżę Moreland mówił przyciszonym głosem, żeby księżna nie zorientowała się, że wypytuje dzieci o sprawy ich rodzeństwa. Według niej rodzice nie powinni tak postępować. Tylko że jakimś cudem dzieci same zwierzały jej się ze spraw, których nigdy nie wyznałyby swojemu kochanemu papciowi.

Gayle Windham, hrabia Westhaven, rzucił ojcu rozbawione spojrzenie ze swego miejsca w fotelu po przeciwnej stronie kominka.

— O ile wiem, Dev zaszył się na wsi w Yorkshire, a Val wkrótce znów będzie się rozkoszował małżeńskim szczęściem u boku Ellen w Oxfordshire.

Księżę rozparł się w fotelu, szeroko się uśmiechając.

— St. Just dobrze sobie radzi z posiadłością, musimy to przyznać, a jego żona będzie dobrą matką. Tu nie ma powodów do narzekania. Mam na myśli naszego młodego Mozarta. Zostawił żonę i zabawia się w mieście razem z Fairlym, a raczej brzdąka na jego fortepianie.

— Czemu ojciec go sam o to nie spyta?

— Ten chłopak nie usiedzi na jednym miejscu, chyba że usadowi swój kształtny zadek na taborecie przed fortepianem.

Wzrok księcia powędrował w kierunku kasetonowego sufitu, wysoko nad ich głowami. A była to jedna z najprzytulniejszych komnat w tym pałacu.

Westhaven poprawił się w fotelu i skrzyżował nogi z niewymuszoną elegancją, jakiej książę mógł mu tylko pozazdrościć.

— Z tego, co ostatnio słyszałem, Val pomaga filharmonikom na próbach i pracowicie skrobie jakiś nowy utwór.

— Ostatnio ciągle skrobie coś nowego. Niezgorzej mu to wychodzi. Jak się ma nasza Anna?

— Przesyła pozdrowienia. Przemyciłem do kuchni pudełko kremówek, żeby sprawić ci przyjemność.

— Są tam jakieś czekoladowe?

— Co najmniej połowa. Wyjąłem te, które przeznaczyła dla Maggie, i przełożyłem do pudełka przeznaczonego dla ciebie.

— Panna Maggie też lubi słodczyce. Wiesz, że tańczyła z Benem Hazlitem?

— Nie mieszaj się do tego — nagana w głosie Westhavena była zadziwiająco łagodna. — Val powiada, że to był tylko walc i że nie siedzieli obok siebie przy kolacji.

— To Val tak twierdzi. Myślisz, że jego siostrze w końcu spodobał się jakiś sensowny mężczyzna? Ciągle macie przede mną jakieś sekrety.

— Więc po co pytasz?

— Ponieważ, mój miły panie, w końcu porzucę tę marną doczesną powłokę, a wtedy będziesz miał na głowie wszystkie swoje niezamężne siostry.

Westhaven wzniosł oczy do nieba.

— Tylko nie szantażuj mnie swoją śmiercią. Jesteś w doskonałej formie i dobrze o tym wiesz.

— Posłuchaj mnie, chłopcze, niezamężna kobieta wcześniej czy później coś nabroi. Przypomnij sobie eskapadę naszej drogiej Sophie w święta Bożego Narodzenia. Wyruszyła z domu sama, nie licząc wątpliwego towarzystwa Sindala. Przypomnij sobie swoją siostrę Evie i tego koszmarnego lokaja. Katastrofa była o krok i gdybyśmy się nie wtrącili...

— Evie została by żoną przystojnego lokaja. Maggie to nie Evie, a Hazlit nie jest lokajem.

Spokój brzmiący w głosie syna nappełnił starszego pana dumą. Ten chłopak — a raczej ten mężczyzna — będzie wspaniałym księciem.

— Hazlit jest szlachcicem — powiedział spokojnie, wiedząc, że Westhaven to bystry chłopak.

— Sam mi o tym powiedział, przy okazji naszej współpracy. Ale na twoim miejscu nie narzucałbym Maggie jego towarzystwa, bo nasza siostrzyczka stanie dęba, a potem pogna cwałem do stajni. A księżna będzie bardzo rozgniewana i nie da księciu ciasteczek. — Westhaven wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie pół szklanki... lemoniady.

Może jednak nie dorósł jeszcze do książęcego tytułu.

— Wielki Boże, jest aż tak źle? Czy Maggie coś ci mówiła?

— Ani słowa. — Westhaven przyjrzał się kryształowemu pucharkowi, który trzymał w dłoni. — Zresztą, nie zamierzam zawieść jej zaufania, tym bardziej że sam ją o wszystko wypytasz.

— Jak ja mogłem wychować takiego formalistę! — Książę pozwolił, by w jego głosie zabrzmiała nuta dumy, bo Westhaven był formalistą w najlepszym znaczeniu tego słowa. Zwracał uwagę na szczegóły i przywrócił finansom obojgu księstwa zdrowe podstawy.

— Przykro mi, że minąłem się z Jej Wysokością. Pozdrów ją ode mnie. — Westhaven dopił lemoniadę i odstawił szklankę. — I proszę, żebyś się nie mieszał w sprawy Maggie ani Hazlita. Dać

ci dobrą radę?

— Nie jestem aż tak arogancki, żeby odrzucić radę mądrego człowieka.

Pod warunkiem że to był jego własny syn.

— Miej na oku Jej Wysokość — powiedział Westhaven. — Pytała Annę o walc Maggie. W dodatku dopiero wtedy, gdy się upewniła, że odszedłem zbyt daleko, żeby to usłyszeć.

— No, no, no... — Księżę również wstał. Po raz kolejny ucieszył się, że nie zakłuło go przy tym w piersi. — Pozdrów ode mnie Annę i powiedz, żeby miała uszy otwarte.

Westhaven uśmiechnął się, pokręcił głową i objął ojca na pożegnanie. Księżę odprowadził go do drzwi, a potem ruszył prosto do kuchni, najszybciej jak mógł, zważając przy tym na to, by nie tracić godności i nie rzucać się w oczy.

Maggie dorastała razem z pięcioma braćmi, więc męskie docinki nie robiły na niej wrażenia. Chłopcy często wybuchali gniewem, krzyczeli, tupali i regularnie toczyli ze sobą hałaśliwe potyczki. Czasem kończyło się to sporym zniszczeniem mebli i kwaśnym spojrzeniem księżnej.

Jej ojciec, choć nosił jeden z najwyższych arystokratycznych tytułów, poza królewskim, w zaciszu domowym nie krępował się i często krzykiem wymuszał swoją wolę albo wyrażał niezadowolony stan otaczającego go świata.

Sprowadzało się to zazwyczaj do robienia dużo hałasu na pokaz. Wściekłość i wrzask, by użyć słów Jej Wysokości.

Maggie była świadkiem niejednego takiego wybuchu, ale, oczywiście, zawsze kończyło się na słowach i nikomu nie działa się krzywda.

W spojrzeniu Benjamina Hazlita zobaczyła mordercze intencje.

— Mam poszukać pani torebki?

Jego głos był opanowany, a nawet idealnie uprzejmy, jak przystało dzentelmenowi konwersującemu na tarasie podczas wieczorka tanecznego, ale i tak Maggie poczuła gęsią skórę na ramionach.

— Właśnie. Ma dla mnie wielką wartość osobistą.

— I kosztuje tyle, co pani tygodniowe kieszonkowe. Chodźmy stąd.

Pociągnął ją za przegub dłoni i poprowadził mroczną ścieżką. Księżyc już wzeszedł, oświetlając i te alejki, wzdłuż których nie rozwieszono lampionów. Bardzo słabo, ale jednak.

— To nie uchodzi, panie Hazlit. — Szła niechętnie, ale bała się zatrzymać, w obawie, że szarpnie ją, a ona się przewróci.

— Jeszcze mniej uchodzi prowadzenie takich rozmów w miejscu, gdzie ktoś może je podsłuchać — rzucił przez ramię. — Proszę siadać. Na tej ławce.

Puścił jej nadgarstek i poczekał, aż usiądzie. Ta drobna uprzejmość sprawiła, że jego hamowany gniew wydał się jeszcze groźniejszy.

— To całkiem sensowne zlecenie — powiedziała. — Pan jest detektywem, a ja straciłam coś cennego. Proszę to odszukać.

— Dla pani informacji, panno Windham, zajmuję się odszukiwaniem ludzi.

Usiadł obok niej, nie pytając o pozwolenie.

— Szukam córek, które uciekły z domu, rujnując tym swoją reputację, znajduję oszustów i podpalaczy. Ścigam kryminalistów, których policja z Bow Street nie odważy się tknąć ze względu na ich pochodzenie i przywileje. Nie interesują mnie szpilki do włosów pogubione przez znudzone damy, które nie mają nic lepszego do roboty jak dręczyć ciężko pracującego człowieka.

Milczała, rozważając jego sytuację z nowej perspektywy.

— Zapomniała pani języka w buzi, panno Windham?

— To dla mnie poważna sprawa.

— A dla mnie nie — odparował. — Jak pani wie, sam wybieram sobie klientów. Przyjmuję zlecenia, kierując się własnymi kapryсами. Nie biegam na posyłki jak przystojny młody lokaj, starający się o względy swojej pani.

— Nie musiał pan tego mówić.

Tym bardziej że Maggie zatrudniała tylko służbę przeciętnej urody. Tacy pracowali ciężiej i

nie dawali pożywki plotkarzom.

Siedzący obok niej Hazlit wziął głęboki oddech, jego ramiona uniosły się i opadły.

— Przepraszam, ale muszę zrezygnować z tego zlecenia.

— Obawiam się, że to niezgodne z prawem.

— Ależ oczywiście, że zgodne. — Spojrzał na nią pochmurnie. — Nie ma pani nade mną władzy, panno Windham. Wykonuję wolny zawód. Jak prawnik.

Musiała się uśmiechnąć. Że też akurat musiał wspomnieć ten zawód...

— Jest pan ze mną związany umową, sir.

— Rozwiązuję ją. Mogę pani podać nazwiska wielu innych detektywów, którzy z przyjemnością wykonają dla pani to zlecenie i wyznaczą o wiele niższe honorarium niż ja.

— Wiąże nas umowa — powtórzyła. Przynajmniej tego była pewna. — Nie może pan się z niej jednostronnie wycofać, bo pozwę pana o złamanie jej warunków i wygram.

— Jak zamierza to pani udowodnić, jeśli nie ma pani nic na piśmie i rozmawialiśmy bez świadków?

— Zlecenie, przyjęcie zlecenia, wynagrodzenie i zdolność do wykonania zlecenia — powiedziała, podkreślając każde słowo. — Mamy tu wszystkie elementy umowy, a zatem działał pan zgodnie z przyjętą praktyką i nie może się pan z umowy wycofać wedle swego uznania, twierdząc, że jej nie zawarliśmy, i uzasadniając to jedynie brakiem podpisanego dokumentu.

To go w końcu zainteresowało, choć może nie należało się z tego cieszyć, zważywszy na jego aktualny nastrój.

— Co pani wygaduje?

— Mój brat Westhaven studiował prawo. Konsultuję się z nim w interesach, ponieważ Jego Wysokość nie ma czasu na zagłębianie się w książki i cyfry. Pożyczyłam od Westhavena parę książek i od czasu do czasu rozmawiam z jego prawnikami, jeśli mam taki kaprys.

— Cholerna wyedukowana stara panna. Blackstone przewraca się w grobie. — Ku jej uldze w głosie Hazlita zabrzmiało rozbawienie.

— To wcale nie jest trudne, przynajmniej nie w teorii. Poza tym ma pan w części rację. Rozmawialiśmy bez świadków, ale mogłabym wytoczyć panu proces w sądzie publicznym i raczej pan by nie wygrał.

— Owszem, mogłaby pani — odpowiedział z namysłem. — Ale musiałyby pani wystąpić tam osobiście, panno Windham, a zdaje mi się, że woli pani życie bez rozgłosu.

— Zdecydowanie tak. Dlatego nie chciałabym przepytawać służby, rozglądać się po kątach, rozpytywać wśród spacerowiczów i robotników, pytać sąsiadów, przyjaciół i członków rodziny, czy nie widzieli mojej własności, ani przewracać domu do góry nogami w poszukiwaniu cennego drobiazgu. Czuję się jak idiotka na myśl, że to straciłam.

Znowu spojrzął na nią z namysłem, a potem pochylił się do przodu, opierając przedramiona na udach.

— Trzeba było od tego zacząć. Mogłaby pani w ten sposób zdobyć moje współczucie, a nie od razu walić mnie w głowę paragrafami jak pałką.

— I zostawić pana dumie maleńki listek figowy?

— Może wcale nie taki maleńki. Może przydałby się cały wielki krzak.

Uśmiechnęła się z tego żartu, świadoma jego wulgarnej dwuznaczności.

— Panie Hazlit, błagam pana, niech pan będzie tak miły i odnajdzie moją torebkę, dobrze? Jest dla mnie bardzo cenna. Jestem przerażona jej utratą i tak się tego wstydzę, że nie mogę nikogo innego poprosić o pomoc w godzinie potrzeby. — Rzuciła mu w świetle księżycy swoje najdoskonalsze spojrzenie konającego łabędzia. Val kategorycznie zabronił jej stosowania tego triku wobec jego przyjaciół. Dla dobra sprawy pozwoliła, by w jej oczach zaśniła odrobina szczerości, bo przecież powiedziała Hazlitowi samą prawdę.

— Wielki Boże — przetarł twarz dłonią. — Proszę jednak pozostać przy tych paragrafach, dobrze? W przeciwnym razie stracę cały koncept.

Błagalny wyraz twarzy panny Windham zniknął w jednej chwili.

— W takim razie umowa stoi?

— Postaram się odnaleźć tę torebkę, ale nie mogę niczego zagwarantować, panno Windham. Zakreślmy jakieś ramy czasowe, powiedzmy, cztery tygodnie. Jeśli nie znajdę jej do tego czasu, zwrócę pani połowę pieniędzy.

— Nie trzeba. — Wstała, zadowolona, że doszli do porozumienia. — Stać mnie na to, a sprawa jest dla mnie bardzo ważna.

— Dokąd się pani wybiera? — Wstał również, zgodnie z nakazami dobrego tonu. Jednak Maggie odniosła wrażenie, że był mężczyzną o zbyt... nieokielznanej naturze, by pozwolić kobiecie tak po prostu odejść w księżycową noc.

— Wracam do sali balowej. Za długo nas tam nie było. Chyba że znowu chce pan się wykręcić ze swoich zobowiązań?

— Nie musi mi pani dokuczać. — Zbliżył się i podał jej ramię. — Trochę się przewietrzyliśmy, to prawda, ale musi mi pani jeszcze podać kilka pomocnych szczegółów, inaczej nie osiągnie pani celu. Jak ta torebka wyglądała? Kto panią z nią widział? Gdzie ją pani kupiła? Gdzie ją pani ostatnio widziała?

— Aż tyle?

— Tyle i jeszcze więcej, jeśli naprawdę chce ją pani odzyskać — odpowiedział, prowadząc ją ku bardziej uczęszczanym alejkom. — To na początek. Muszę się dowiedzieć, kto miał dostęp do tej rzeczy, co w niej było cennego i kto miałby powód do kradzieży.

— Kradzieży? — Znieruchomiała i puściła jego ramię, bo ta możliwość naprawdę nie przyszła jej na myśl. Gdy ujął ją za rękę, uświadomiła sobie, że z całej siły starała się odsunąć od siebie taką ewentualność... taką przerażającą ewentualność. — Myśli pan, że ktoś chciałby ukraść pieniądze na drobne wydatki? Przecież za kradzież kilku drobnych monet ludzie idą na szubienicę, panie Hazlit, albo wywożą ich za morze na tych strasznych statkach, a pan... pan myśli, że to był złodziej?

— Pani jest wyraźnie innego zdania.

Trzeba mu jasno dać do zrozumienia, że ona nie mogła tak po prostu paść ofiarą złodzieja. Była na to zbyt ostrożna, zbyt przewidująca. Zatrudniała tylko ludzi z najlepszymi referencjami, rzadko przyjmowała gości, więc coś takiego było kompletnie...

— Nie, nie przyszło mi to do głowy. Nie chciałam o tym myśleć.

Z oddali dobiegły ich głosy. Jakaś kobieta zaśmiała się trochę za głośno. Pewnie była pijana. Zawtórował jej przenikliwy śmiech innej damy, a potem głos mężczyzny... dwóch mężczyzn.

— Chodźmy. — Hazlit ukrył się w zaroślach, trzymając Maggie za przegub dłoni. Po prostu stanął za drzewem, oparł się o pień i przytrzymał ją przed sobą. — Proszę się nie ruszać i oddychać swobodnie — tchnął jej w ucho ledwie słyszalnym szeptem. Zrobiła to, co kazał, nie chcąc, by jacyś niedyskretni pijani goście natknęli się na nich w ciemnościach ogrodu.

Gdy stała tuż przy nim, nocny wietrzyk owionął ją zapachem męskich perfum. Zdziwiła się, jaki to był ulotny zapach. I pociągający.

Skomplikowany, jak sam Hazlit.

Główną nutę tworzył wiciokrzew, o najśłodszym aromacie, jaki kiedykolwiek zamknięto we flakonie. Uderzał do głowy jak wino. Po chwili zastanowienia stwierdziła, że dolną nutą była bergamotka. I wtedy poczuła jego dłoń na włosach.

Próbował ją przytrzymać?

Ujął w palce kilka loków, które wymknęły się z prawej strony, i w milczeniu przesuwał je w palcach.

Tylko dlaczego zdjął rękawiczki?

Stać bez ruchu, oddychać swobodnie. Dobra rada, tylko że jej serce chciało uderzać mocniej, a ona sama pragnęła biec i zarazem zostać tu na zawsze i czuć te palce, bawiące się jej lokami. Przesunął dłoń i pogładził włosy na ramieniu. Tylko raz.

Serce zabiło jej w piersi. Nie bała się, ale straciła pewność siebie.

Mężczyźni nigdy nie próbowali się jej narzucać, wiedząc, że nie czeka ich wtedy nic dobrego. Powinna się wzdragać przed znalezieniem się w takiej jak ta sytuacji. A ona stała

nieruchomo, marząc, by ponowił pieszczotę.

— Poszli sobie — szepnął. Ujął ją za rękę i wyprowadził z cienia na alejkę, podając ramię gestem jak z podręcznika dobrych manier.

Wrócili do sali balowej bez przeszkód i Maggie podziękowała wszystkim litościwym bóstwom w całym panteonie, że nie zdążyli na tańce.

— Zostanie pani na kolacji? — spytał.

— Wolalabym nie.

Po co bawił się jej włosami? Będzie teraz udawał, że nic się nie stało?

— Wezwę pani powóz. Proszę znaleźć swoją narzutkę i torebkę, jeśli wzięła pani jakąś ze sobą.

Skłonił się lekko, z odrobiną ironii, i ruszył spełnić powinność dżentelmena. Dopiero w domu, układając się do snu, Maggie uświadomiła sobie, że Hazlit wcale nie krył się z tym, że pogłodził ją po włosach.

Po prostu pozwolił jej zignorować fakt, że sama mu na to pozwoliła.

— Schowałeś się w krzakach z Maggie Windham — stwierdził Archer Holloway, podając Hazlitowi szklanekę napełnioną na dwa palce brandy. — To już drugie spotkanie w tym tygodniu, Benjaminie. Co to ma oznaczać?

— Moją ruinę. — Hazlit podziękował skinieniem głowy za napitek i usadowił się na skórzanej kanapie stojącej pod ścianą biblioteki. — Ani śladu lady Norcross przez cały wieczór, przynajmniej nie na moim terenie.

— Widziałem ją na musicalu lady Bonratty, ale odjechała swoim własnym powozem i siedziała w nim grzecznie przez całą drogę do domu. — Holloway podciągnął się i usiadł na biurku Hazlita, przygniatając zadkiem stosik raportów.

— „Bee, bee, bee, beczala, wracając do domu” — Hazlit zacytował dziecięcą rymowaną.

— Czy Maggie Windham zawróciła ci w głowie?

— Nie. Dała mi zlecenie i dopiero w połowie drogi powrotnej zrozumiałem, o co jej naprawdę chodzi.

— Chce zasmakować twego słodkiego, młodego ciała — odpowiedział Holloway. — Dawno żadnej nie przeleciałeś, przyjacielu.

— Nie wiedziałem, że się tak o mnie troszczysz, Archer. Jestem poruszony.

— Chyba raczej zakręcony. Zawsze dostajesz małpiego rozumu, kiedy za długo zachowujesz celibat. Może powinieneś zabawić się z lady Norcross.

— Może powinienem sobie znaleźć partnera, którego obchodzi coś poza baraszkowaniem w łóżku.

— Lubię takie baraszkowanie. — Holloway zeskoczył z biurka, dolał sobie brandy i usiadł na nim ponownie, wybierając narożnik obok Hazlita. — To normalna rzecz. Lady Norcross dobrze to rozumie. Ty też kiedyś rozumiałeś. Ja rozumiem to świetnie. Chcesz jeszcze brandy?

— Zostawiłeś mnie w tyle — odpowiedział Hazlit, rozbawiony tym prostym wykładem.

— A lady Maggie zrobiła cię w konia. — Holloway pociągnął solidny łyk ze szklanki. — Zazwyczaj unikasz dam z towarzystwa, pozwalając, by znalazły pociechę w moich ramionach. O co chodzi z tą lady Maggie?

— Nie używa tego tytułu, dobrze zna się na interesach, zapewniłem ją, że nie szpieguję swoich byłych klientów, a ona rozsądnie uznała, że moją klientką była przecież Jej Wysokość, a nie ona sama. Rozumie, że jeśli chce mnie pokonać moją własną bronią, czyli zyskać pewność, że nie będę wtykał nosa w jej sprawy na zlecenie jej rodziców, musi mnie sama zatrudnić.

Holloway ze zrozumieniem skinął głową.

— Chce uprzedzić atak. Zawsze twierdziłem, że kobiety są z natury bardziej przebiegłe.

— Tylko dlatego, że mężczyźni je do tego zmusili.

— Znowu myślisz o swoich siostrach. Wyczułem, że coś ci popsulo humor.

— Jest wiosna, a moje siostry po raz pierwszy od lat nie muszą unikać towarzyskich przyjemności, które im się należą. Tylko że już nabrały samotniczych nawyków, a zamążpójście wcale ich nie zmieniło. Avis ma przynajmniej wymówkę, bo dalej tkwi w Cumbrii, gdzie aura

złagodnie dopiero za kilka tygodni. — Hazlit spojrział na poziom brandy w swojej szklance, który obniżał się niebezpiecznie szybko.

— Co to za imię dla kobiety? Ptak. Mogę spotkać się z tą ptaszyną i przyprowadzić ją o rumieńce, jeśli dzięki temu przestaniesz się snuć po domu. A ta druga, ta guwernantka? — Archer wychylił resztę brandy i rozsiadł się wśród starannie ułożonych papierów jak rozradowany, przystojny gargulec.

— Alex twierdzi, że matkowanie pasierbom zajmuje jej za dużo czasu. Podejrzewam, że jest w odmiennym stanie.

— Więc to nie chodzi o siostry — stwierdził Holloway. — Wracamy do mojej teorii. Zgaduję, że Maggie Windham pozwoliła sobie na dyskretny romansik. Może warto się z nią zabawić.

— To klientka.

— A co masz niby zrobić dla tej klientki?

— Znaleźć jej torebkę.

Holloway uniósł brwi z szatańskim uśmiechem.

— Niezbyt oryginalny pomysł, takie szukanie torebki. Czy przypadkiem nie widziała jej ostatnio w pobliżu... powiedzmy, swoich rozchylnych kolan?

— Masz szczeniackie zagrywki, Archer.

— Jestem zmęczony. Wyobraźnia mnie zawodzi. Po co pakujesz się w tę rozgrywkę, jeśli nie zamierzasz przelecieć panny?

— Ponieważ zostałem związany umową.

— A od kiedy to w Londynie pozywa się do sądu arystokrację za zerwanie umowy?

— Nie zamierzam przekonywać się o tym na własnej skórze. — Hazlit wstał i dopełnił sobie szklankę z karafki. — Gdy pomagałem jej wsiąść do powozu, zatrzymała się i rozejrzała, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy. Upewniwszy się, że jesteśmy sami, dała mi ostatnią wskazówkę.

— Mów. — Holloway machnął pustą szklanką. — Czas leci, a historia staje się coraz ciekawsza.

— Powiedziała, że nie wolno mi zaglądać do tej torebki. Nie mogę nawet rzucić okiem.

— Rzucanie okiem to nasza specjalność. — Holloway uważnie przyjrzał mu się w blasku ognia na kominku. — Zresztą, nie jedyna... ale obiecałeś jej to, prawda?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo wtedy na moment straciła samokontrolę. Mówię ci, Archer, ona jest świetna w panowaniu nad swoimi reakcjami. Może nawet lepsza ode mnie.

Holloway wzruszył ramionami.

— Jest księżęcym bastardecem. Pewnie musiała się nauczyć.

— Możliwe, ale pod tą urodą i inteligencją ukrywa się bardzo przerażona dziewczyna.

Maggie odrzuciła trzecią z kolei suknię i stanęła na środku garderoby w bieliźnie, opierając dłonie na biodrach.

— Ten zielony aksamit bardzo ładnie wyglądał, psze pani.

Jej pokojówka Alice spoglądała buntowniczo, pomimo pełnego szacunku tonu.

— Wybacz mi, Alice. Chodzi o to, że przez długie lata wkładałam tylko takie suknie, w których nikt mnie nie zauważał. Nie chciałam, żeby mnie zapamiętali.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj chcę coś udowodnić.

Maggie pogładziła zielony aksamit. Kupiła tę suknię pod wpływem kaprysu, nie wiedząc, czy ją kiedykolwiek włoży.

— Co takiego?

— Sama nie wiem. — Maggie przyłożyła do siebie brązową suknię ozdobioną czerwonymi tasiemkami i obejrzała się w stojącym lustrze. — Nie chcę być niezauważalna. Ładna jest ta suknia.

— Wszystkie pani suknie są ładne. Tylko że ludzie powinni zauważać panią, a nie suknię. Maggie odłożyła brązową i podniosła kreację w kolorze bakłażana.

— To dla starszej pani — powiedziała Alice, wyjęła suknię z jej rąk i odwiesiła na miejsce. — Jeśli mają panią zauważyć, to niech pani włoży zieloną, ale bez narzutki, a ja zrobię coś z pani włosami.

— Z włosami? — Maggie dotknęła obronnym gestem włosów zwiniętych jak zwykle w surowy węzeł. — Alice, moje włosy są beznadziejne, ale nie zgodzę się, żebyś je ścięła.

— Proszę mi zaufać, panno Maggie. W głowie mi nie pozostało, żeby je ścinać.

Pociągnęła ją za rękę i poprowadziła do toaletki. Maggie usiadła. Z niewiadomego powodu postanowiła podjąć ryzyko, którego unikała od czternastu lat.

— Boże wszechmogący — Lucas Denning, stojący obok Benjamina, gwizdnął cicho z podziwu. — Spójrzcie no tylko.

Ben poszedł wzrokiem za spojrzeniem Deene'a, który gapił się na schody prowadzące do sali balowej.

— Słodki Jezu.

Maggie Windham schodziła powoli, świadoma własnej urody. Brązowy jedwabny szal mienił się na jej ramionach, a miękki zielony aksamit opinał figurę. Suknia była przyzwoita, choć dekolt miała całkiem satysfakcjonująco wycięty, z męskiego punktu widzenia, naturalnie. Ale tym, co zapierało dech w piersi mężczyzn, były... włosy.

Upięła sporą ich część wysoko, w miękkich splotach na szczycie głowy, co przydawało jej wzrostu i podkreślało urodę. A pozostałe, och, pozostałe... Spływały po ramionach w lokach i pasmach, opadały miedzianą kaskadą na plecy i opływały biodra — pełne, kobiece biodra — podkreślając każdy jej ruch.

Było to śmiałe, inne, ale w sumie... nie całkiem nieprzyzwoite.

Bena zaswędziały ręce... Sam nie wiedział, czy pragnął pochwycić pełne garście tych włosów, czy dać jej klapsa.

— Nagle zaczęły mi się podobać dojrzałe kobiety — stwierdził Deene. — A jeśli jej bracia zaczną się dopytywać, to powiedzcie im, że musiałem się nią zaopiekować podczas ich nieobecności. Weźcie mojego drinka.

Gdyby nie nieukrywany zachwyt Deene'a urodą Maggie, Ben zbłąźniłby się pierwszy. Choć, jeśli już o tym mowa, to i tak się wygłupił później, pod koniec wieczoru, kiedy Maggie już zostawiła za sobą stos złamanych męskich serc.

Gdy podano przekąski i skrzypek odegrał swoje solo z kwartetem, do Hazlita dotarło, że ona czeka, by podszedł. Od czasu do czasu, niby to przypadkiem, rozglądała się po sali, jakby obserwowała gości, jak to zwykle na takich wieczorkach. Ale jej wzrok, napotkawszy Hazlita, przesuwał się dalej. Żadnego skinienia głową, nawet spojrzenia.

Co za opanowana osóbką z tej Maggie Windham.

Postanowił, że trochę się z nią podrażni, opracował plan i, zrezygnowany, postanowił zostać do końca wieczoru. Za to miał wyjątkową satysfakcję, gdy wsiadła do powozu, opadła na poduszki z głębokim westchnieniem i nie zauważyła, że on siedzi dokładnie naprzeciwko niej, kryjąc się w cieniu. Zastukała trzykrotnie w dach i konie ruszyły sennym stępem.

— Dobrze się pani bawiła, panno Windham?

Nie krzyknęła, co zapisał na jej korzyść, tylko wsunęła dłoń do torebki.

— Mogłaby nawet pani trafić we mnie z tej odległości, choć jest ciemno — powiedział. — Ale prawdę mówiąc, wołałbym, żeby pani nie próbowała. W takiej sytuacji nawet dżentelmen musiałby się imać wszelkich możliwych sposobów.

— Dobry wieczór, panie Hazlit. Nie mam przyjemności pana widzieć.

— Zatrudniła mnie pani, panno Windham. Czy mamy się porozumiewać wyłącznie listownie, pisząc do siebie sympatycznym atramentem?

— Nie. — Wysunęła z torebki dłoń, której nie okrywała rękawiczka. — Chodziło mi o to, że nie widzę pana w ciemności.

Zdjęła drugą rękawiczkę i wsunęła obie do torebki.

— Pewnie ma pan rację, spotykając się ze mną na osobności. Nie wiedziałam, czy mam do pana podchodzić, ponieważ mówił pan, że sam wybiera miejsce i czas spotkań z klientami. Chyba niezbyt dobrze się pan bawił.

— Za to pani tak.

Jakim cudem udało mu się zmieścić tyle urazy w tym krótkim zdaniu?

Jej zęby błysnęły w uśmiechu.

— To prawda. Troszkę się zabawiłam. Staropanieństwo ma pewne zalety, choć jeszcze nie zaczęłam ich doceniać.

— Na przykład takie, że może pani przez cały wieczór flirtować, drażnić się z mężczyznami i zalecać się jak jakaś ulicznica?

Uraza ustąpiła miejsca protekcjonalności. Ben nie był z siebie zadowolony.

— Och, panie Hazlit, stać pana na więcej. Jeśli flirtuję i się zalecam, to dżentelmeni również flirtują i się zalecają, a jednak nie nazywa ich pan ulicznikami. Według pana oni są galantami, a ja niemoralną kobietą. Niezbyt to sprawiedliwe.

— Ale nie potrząsają rozpuszczonymi włosami ponad pośladkami jak jakaś lafirynda z portowej dzielnicy.

Zamarła, jakby dał jej w twarz. Ben pomyślał, że byłaby usprawiedliwiona, gdyby go zastrzeliła.

— Ma pani pistolet w tej torebce?

— Nóż.

— Och, na litość boską... — Przesiadł się na siedzenie dokładnie naprzeciwko niej. — Niech pani spróbuje mnie dźgnąć.

— Rzeczywiście przydałoby się spuścić z pana trochę powietrza, ale po co zaraz mordować?

— Chcę pani pokazać, dlaczego nie powinna pani nosić ze sobą takiej broni.

— Ale papa...

— Jest księciem, który raczej nie bierze udziału w ulicznych bójkach, odkąd księżna położyła na nim swoje łapki trzydzieści lat temu. Proszę wyciągnąć ten nóż.

— A jeśli pana zranię?

— Niech się pani naprawdę postara, z całych.

Trzeba przyznać, że zdążyła wyciągnąć sztylet z torebki, zanim przygwoździł jej przegub do oparcia, przygniatając ją ciałem tak mocno, że czuł, jak oddycha.

— Teraz rozumiem — powiedziała. Poczul na policzku jej oddech.

Ale on jeszcze nie skończył. Odrobinę zmniejszył nacisk na jej nadgarstek i kiedy pomyślała, że już zademonstrował swoje umiejętności, nakierował nóż ostrzem na jej gardło, tak że nie mogła nawet wyksztusić słowa.

— Pistolet — wyjaśnił — narobi piekielnego hałasu i sprowadzi pomoc. Po wystrzeleniu obu nabojów będzie bezużyteczny. Nożem można panią zaatakować wielokrotnie, a jeśli nie wykrwawi się pani na śmierć, to pewnie w rany wda się gangrena.

— Rozumiem, panie Hazlit.

Odczekał chwilę. Potem, przygniatając ją w dalszym ciągu, nieco opuścił nóż. W ciemnościach nie widać było, czy zbladła, ale przynajmniej się nie popłakała. Wyczułby to w jej oddechu.

I ten zapach. Boże, co za zapach. Cynamon i chyba jakieś kwiaty. Nieco bzu, smuga hiacyntu, delikatna woń róży, szept jaśminu... wszystko to omotywało zmysły i przyciągało go do niej... zapach splatał się z zapachem, aż zakręciło mu się w głowie od tych cudownych aromatów.

Nie odzywała się, ale czuł jej dłonie na swojej piersi. Nie odepchnęła go, choć była gotowa do odepchnięcia.

Czasami zwierzyna łowna zamiera w ten sposób przed drapieżnikiem. Próbuje stać się niewidoczna. Na próżno.

Przesiadł się obok niej, a potem po ciemku ujął ją za rękę.

— Proszę się tego pozbyć — powiedział, wkładając uchwyt noża w jej dłoń. — Znajdę dla

pani damski pistolecik i nauczę, jak się nim posługiwać, chyba że woli pani poprosić o to któregoś ze swoich braci.

— Braci?

— Najlepszy byłby do tego St. Just.

Devlin St. Just był odznaczonym wieloma medalami oficerem kawalerii, który otrzymał tytuł hrabiego za zwycięstwa w kampanii na Półwyspie Iberyjskim. Albo za to, że był pierworodnym bastarden księcia.

— Wyjechał na północ i pewnie zostanie tam na dłużej — odpowiedziała. — Jeśli zechciałby mi pan poświęcić trochę czasu, chętnie bym się od pana tego nauczyła. Ale zdaje mi się, że celem naszego dzisiejszego spotkania nie były nożownicze ataki.

— Oczywiście, że nie. Mamy przecież zacząć poszukiwania. Rozumiem, że nie znalazła pani tej torebki?

— Niestety nie. — Nie była zbyt wylewna, ale i tak Ben poczuł dziwną ulgę, usłyszawszy te słowa.

— W takim razie zacznijmy od faktów. Kiedy pani widziała ją po raz ostatni?

Odwróciła się, by popatrzeć na niego w świetle mijanych latarni.

— Mogłabym to dla pana spisać. Kiedy ją ostatnio widziałam, kto u mnie pracuje, co w niej było.

— Mielibyśmy wtedy informację na piśmie, którą można łatwo ukraść, skopiować, zniekształcić lub zgubić. Mamy mało czasu, panno Windham. Proponuję, żeby pani odpowiedziała na moje pytanie.

— Ostatnio raz widziałam ją po powrocie z Surrey, z wizyty u Anny. Cztery dni temu.

— Jak ona wygląda?

— Jest ozdobiona paciorkami, brązowo-turkusowa.

— Jaki ma kształt?

— Woreczka.

— Panno Windham!

— Naprawdę. Jest zaciągana na tasiemki i dość duża. Długości ramienia.

— Jakież frędzle?

— Tak, na dole.

— Co było w środku?

Milczenie. Hazlit pozwolił sobie zacisnąć palce na pasemku włosów, które przesuwiał w dłoni w ciemności. Miała tak długie włosy, że nawet nie poczuła tej pieśczozy.

Albo rozproszyło ją to odpytywanie.

— Panno Windham, czy słyszała pani pytanie?

— Zastanawiam się. — Teraz w jej głosie zabrzmiała uraza. Nie przeszkadzało mu to, mógłby tak z nią jeździć po Mayfair przez całą noc. — Zapomniałam.

— To może przypomni sobie pani coś innego. Niedawno straszyla mnie pani publicznym sądem, panno Windham, żebym przyjął to zlecenie. Sądziła pani, że jestem jasnowidzem? Musi mi pani trochę zaufać, a jeśli pani nie potrafi, to oddam pieniądze i zapomnimy o naszym uroczym interludium z nożami w ciemnościach nocy.

— To był tylko jeden nóż i to pan zaczął.

Wcale nie. To ona zaczęła, gdy zeszła po tych schodach do sali balowej, wyglądając na... rozgrzaną. Albo, co gorsza, na taką, która ma na to ochotę.

Jak on teraz. Dowód tego dosłownie rozpierał mu spodnie, wbrew jego woli.

— Chce pani mojej pomocy czy nie, panno Windham? — Niechętnie zadał to pytanie, bo przecież mogła zrezygnować z jego usług. A jemu aż za bardzo podobała się ta pogawędka w ciemnościach.

Czekał w milczeniu, udzielając surowej nagany niepokornej części swego ciała. Przywołał w wyobraźni ulubione widoki Blessings, odmówił po łacinie *Ojczy nasz* i — co najbardziej skuteczne — wypuścił z palców pasmo jedwabistych włosów, którym dręczył sam siebie od dobrych pięciu minut.

— Nie mogę przyznać się braciom.

Zrozumiał, że to jest wyznanie, więc zdobył się na ostrożność.

— Że pani zgubiła torebkę?

— Tu chodzi o coś więcej. — Westchnęła w ciemności. Nie był pewny, ale chyba lekko się o niego oparła. — Mam z pół tuzina torebek, a jutro mogę sobie kupić drugie tyle.

— Niepokoi się pani, że zostawiła ją w nieodpowiednim miejscu?

— Znowu pan wraca do mojego wszetecznego życia osobistego. — W jej głosie zabrzmiał cień rozbawienia. — Może pan sobie o mnie myśleć, co pan chce, panie Hazlit, ale to strata czasu. Nie bywam w miejscach, w których nie powinnam bywać. Nie spotykam się z panami, którzy nie są wolni, i mam dość rozumu, żeby nie popełniać występków, które skazują damę na nieodwracalne potępienie.

— Jakie występki ma pani na myśli?

— Hazard, opium, walki kogutów, zabawy ze studencikami i tak dalej. Z moim pochodzeniem nie mogę pozwolić sobie nawet na cień podejrzenia, że te rozrywki nie są mi obce.

Siedział obok niej w mroku, wdychał jej zapach i było mu trochę wstyd za samego siebie. W jej głosie brzmiała prawda podszyta smutkiem. Albo była wprawna kłamczuchą, albo właśnie przyznała się, że żyje w samotności.

Może nawet w wielkiej samotności.

— A chciałaby pani je popełnić?

To nie było uczciwe pytanie i nie miało nic wspólnego z dochodzeniem. Po prostu zaciekała go ta siedząca obok kobieta.

— Chciałabym mieć możliwość. — Zaskoczyła go ta uczciwa odpowiedź. — Chciałabym mieć wolność. Nie mam ochoty patrzeć, jak dwa koguty przerabiają się nawzajem na kupkę pokrwawionych piór. Nie zamierzam stawiać pieniędzy na kartę, żeby je przegrać albo nawet wygrać. A już na pewno nie życzę sobie stracić rozumu przez opium, ale może chciałabym mieć poczucie, że mogłabym to wszystko zrobić, gdybym tylko chciała.

— Teraz też pani może, ale jest to ryzykowne. — Za nic nie pozwoliłby jej podejmować takiego ryzyka.

— Jestem rozważna. Moja rodzina ceni tę cechę. Odetchnęli z ulgą.

— Powiedzieli to pani?

— Tak, Jej Wysokość. — Wyrzała przez okno powozu. — Zaraz dojedziemy do mojego domu. — Czy nakazać stangretowi, by pana odwiózł?

— Mamy jeszcze sobie dużo do powiedzenia.

— Przecież ciągle rozmawiamy.

Kiepsko to sformułował.

— Mógłbym panią jutro odwiedzić.

Na litość boską, skąd ten genialny pomysł? Rzadko odwiedzał kobiety, więc wszyscy natychmiast zauważą jego kontakty z Maggie Windham.

— Zwykle nie odwiedza mnie nikt oprócz rodziny.

— Nikt?

— Tylko Helene i kilka innych pań, ale... nie panowie, a już na pewno nie przystojni kawalerowie z dobrych domów.

Ona uważa, że jest przystojny?

— Proszę zrobić dla mnie wyjątek. Tańczyliśmy razem walca, więc to normalne, że panią odwiedzę po balu. Jeśli pani woli, możemy spotkać się na przejażdżce w parku, ale wtedy nie uda nam się porozmawiać na osobności.

— Nie trzymam koni pod wierzch.

— W takim razie złożę wizytę o drugiej i mam nadzieję, że porozmawia pani ze mną bardziej otwarcie niż teraz.

— Spróbuję. Ale nie odpowiedział mi pan na pytanie. Czy mam poprosić Johna, żeby odwiózł pana do domu?

— W żadnym wypadku. Może pani się wydaje, że niczego nie rozgada, ale jeszcze nie

spotkałem stangreta, który nie lubi napić się z kolegami przy miejscowym wodopoju, a przy takich okazjach zwykle pierze się publicznie brudy swoich pracodawców, szczególnie dam. Wskoczę, gdy będzie skręcał na podjazd.

— Jak złodziejaszek w mroku nocy.

— Jak dżentelmen w mroku nocy.

Wsunął do kieszeni pasmo włosów, które ukradkiem uciął jej nożem, a gdy powóz zwolnił, wyskoczył bez słowa.

— Może sądzisz, że zwariowałam — stwierdziła Maggie i wcale nie zdziwiła się, gdy Alice w odpowiedzi wzniosła oczy do nieba. — Po prostu od lat nie odwiedzał mnie nikt spoza rodziny i... jestem zdenerwowana.

Poza tym była też niezdecydowana. Stała na środku pokoju w samym gorsecie i pończochach.

— Wszystkie pani stroje są bez zarzutu, madamme. Najlepiej będzie się pani czuła w ulubionej sukni.

— Słusznie. W takim razie jedwabna brązowa i kremowe rękawiczki.

— Planuje pani wyjść na miasto z gościem?

— Nie. — Maggie wzięła suknię od Alice i wciągnęła ją przez głowę. — Ale nie ma powodu do rezygnowania z dobrych manier.

— W takim razie układamy włosy w koronę?

— Zwykła korona, jeden warkocz, bez błyskotek.

Możliwie najprostsza toaleta, w jakiej można przyjąć gościa na przedobiedniej wizycie, nie urażając go. Hazlit miał przyjść w interesach, a mimo to Maggie była rozdygotana w środku jak siedemnastolatka, której pozwolono wziąć udział w oficjalnym obiedzie wydanym przez Jej Wysokość.

Naprawdę, niepotrzebnie się denerwuję.

Usiadła przy toalecie i podała szczotkę Alice, która zabrała się do niewdzięcznej pracy szczotkowania jej włosów.

— Czy w coś się pani zaplątała wczoraj wieczorem?

— Nie. Czemu pytasz?

Alice pomachała nad jej ramieniem końcówką miedzianego loku.

— To pasemko musiało się gdzieś wkręcić. Jest krótsze od pozostałych o co najmniej trzy cale.

— Nie sądzę. W ogóle trzeba włosy przyciąć, pewnie zrobiły się nierówne.

— Tak, panienko.

Alice zamilkła, a jej palce sprawnie upinały gruby warkocz w koronę. Był tak długi, że otaczał głowę Maggie podwójnym splotem. Alice wpięła w niego chyba ze trzydzieści szpilek, a potem podała Maggie szydełkowe kremowe rękawiczki.

— Może być?

Miła twarz Alice rozpromieniła się w uśmiechu.

— Pewnie, panienko. Ten ktoś nie ma pojęcia, co go czeka.

— Skąd wiesz, że to mężczyzna?

— Bo nie widziałam panienki w takim pomieszaniu od czasów debiutu — odpowiedziała Alice, wieszając drugą suknię w szafie. — Najwyższy czas, moim zdaniem.

— Alice...

— Wiem, wiem. — Pokojówka machnęła ręką, wzięła kolejną suknię, a potem jeszcze jedną. — Mam nie plotkować o panienki sprawach, gdyby przypadkiem w kuchni pojawił się lokaj Jego Wysokości albo panna służąca Jej Wysokości, albo służba pani sióstr i braci. Panienki sprawy to nie ich rzecz.

— Uważasz, że to niedobrze?

Alice była jej pokojówką, odkąd Maggie skończyła szesnaście lat, czyli prawie przez pół życia swojej pracodawczyni. Maggie pozwalała jej na poufałość, głównie dlatego, że Alice nigdy tego nie nadużywała.

— Uważam, że kobieta, która ma taką wspaniałą rodzinę jak panienka, nie powinna tak się strasznie starać, żeby ich trzymać od siebie z daleka.

Alice mogłaby powiedzieć coś więcej, mogłaby udzielić Maggie kilku zdrowych, prostych, irlandzkich rad, ale w tym momencie młodsza pokojówka zastukała w drzwi sypialni.

— Przepraszam, panienko, ale przyszedł jakiś dżentelmen z wizytą — podała Maggie srebrną tacę z wizytówką.

Kremowy papier, zielony atrament i tylko kilka słów: „Hon. Benjamin Hazlit”.

Honorable? Czy to znaczy, że naprawdę miał odziedziczyć tytuł albo już go odziedziczył? Maggie postanowiła zapytać o to ojca, który wiedział o sprawach lordów co najmniej tyle, ile księżna wiedziała o dziedziczeniu. Oznaczało to odwiedziny w książęcym pałacu, ale jak trzeba, to trzeba.

— Zaprowadź go do salonu, Millie, i przygotuj herbatę. Podaj na tacy kanapki i ciasteczka.

— Dobrze, psze pani. — Millie dygnęła i ruszyła w stronę schodów dla służby, pozostawiając Maggie z uczuciem dziwnego zawrotu głowy.

— Niech mu pani każe poczekać z pięć minut — poradziła Alice z otchłani garderoby. — To podkreśli pani wartość.

— Im prędzej go powitam, tym prędzej sobie pójdzie. — Maggie skrzyżowała ramiona na piersi i poszła na spotkanie gościa. Pierwszego mężczyzny, który odwiedził jej dom od czternastu lat. Szkoda, że tylko po to, by rozmawiać o bardzo przykrych osobistych sprawach.

— Patrzy pan na ogród — powiedziała. — Wiosna dopiero się zaczyna, ale tulipany już prezentują się w całej okazałości.

— Dorastałem na północy — odparł. — Tam się bardzo ceni wszelkie oznaki wiosny.

Witam, panno Windham. Miło mi panią widzieć.

Skłonił się, istny wzór dobrych manier, a ona dygnęła z taką samą elegancją.

— Gdzie mam je wstawić?

W progu zatrzymała się drobna pokojówka, ledwie widoczna zza wielkiego bukietu krwistoczerwonych goździków.

Tak, moja miła.

Hazlit dobrze wiedział, jakie uczucie symbolizują czerwone goździki, ale mimo to wybrał te kwiaty. Za nic w świecie nie przysłałby tej kobiecie róż. Goździki długo się trzymały i miały świeży, korzenny aromat, który kojarzył mu się z gospodynią tego domu. Poza tym osoby w jej typie raczej nie tracą czasu na uczenie się mowy kwiatów.

— Na serwantce, Millie. — Wargi panny Windham ułożyły się w słodki uśmiech, jakiego Hazlit jeszcze u niej nie widział. — Mój najmłodszy brat przyjechał na krótko do Londynu — wyjaśniła, biorąc do ręki kartę przyczepioną do kwiatów. — Z całego mojego rodzeństwa tylko Valentine zdobywa się na takie rycerskie gesty...

Zamilkła, gdy przeczytała podpis, a jej uśmiech stał się nieco mniej pewny.

— To nie było konieczne, panie Hazlit.

„Z szacunkiem, Hazlit”. Mało poetyczne, ale przynajmniej okazał się bardziej uprzejmy od braciszka.

— Może i tak, ale człowiek ma zawsze nadzieję, że zostanie doceniony.

Wygłaszając ten komunał, znacząco spojrzął na pokojówkę, która wyraźnie ociągała się z odejściem, niby to poprawiając kwiaty wazonie.

— To wszystko, Millie. Usiądziemy, panie Hazlit?

Maggie Windham miała dość rozumu, by pozwolić mu poprowadzić tę rozmowę. Gdy nalewała herbatę i podawała mu zaskakująco solidny posiłek, Benjamin poruszał obojętne tematy. Gdyby jej uważnie nie obserwował, przeoczyłby drobne oznaki narastającej niecierpliwości. Ale przyglądał jej się bacznie. Widział, jak rzuca ukradkowe spojrzenia na kwiaty, ukrywając tęsknotę i zaskoczenie. Widział, jak spogląda na czekoladki za każdym razem, gdy on odgryzał kęs kanapki. Patrzył, jak miesza herbatę łyżeczką i pobrzękuje o dno filiżanki, i dalej konwersował o pogodzie, dobrze przyprawionym kurczaku i muzyce, jaką grano wczorajszego wieczoru.

Była dobra, nawet na moment nie wypadła z roli, w jej oczach ani na chwilę nie zgasło

uprzejme zainteresowanie.

On też był dobry, gadał jak najęty, objadał się po uszy i przez cały czas ani na chwilę nie spojrzał na tę cudowną, łabędzią szyję, na te złociste rozbłyski słońca w jej włosach...

Ach, te włosy. Rozrzucić je na poduszce...

— Może jeszcze kanapkę, panie Hazlit? — Podała mu talerzyk, dzięki czemu zyskał wgląd w jej dekolt.

— Nie, dziękuję. Już i tak zjadłem za dużo. Moje siostry stale mnie strofują z powodu niezdrowego odżywiania. Może chętniej bym słuchał ich napomnień, gdyby moja kucharka była równie utalentowana jak pani.

— Jeśli nie jest pan głodny, może wyjdziemy do ogrodu? — Wstała, mówiąc to ze zdawkową uprzejmością, ale Benjamin wiedział, co o jej chodzi. Nadszedł czas, by przejść do interesów.

— Chętnie, może spacer pomoże mi strawić te ciasteczka. — Podał jej ramię. Nie poprowadziła go korytarzem, bo to by oznaczało przejście przez cały dom. Zamiast tego skierowali się ku przeszklonym drzwiom prowadzącym wprost na taras. — Przyjemne popołudnie — powiedział, kiedy odeszli nieco od domu. — Obawiam się jednak, że czeka nas niezbyt przyjemna rozmowa.

— Jeśli zamierza mnie pan znowu karcić za fryzurę na wczorajszym wieczorku, to chyba rzeczywiście taka będzie. — Powiedziała to spokojnie, chociaż z lekką przekorą. W dalszym ciągu byli w zasięgu słuchu osób znajdujących się w domu. Jego szacunek dla tej kobiety — szacunek można mieć przecież nawet dla przeciwników — znowu wzrósł.

— Była śmiała. — Przewornie starał się jej nie obrazić. Obrażone kobiety potrafią być nudne i nieskończenie męczące. — Ale niezmiernie atrakcyjna.

— Proszę mi nie pochlebiać, panie Hazlit. Porównał mnie pan do ulicznicy.

Mówiła bardzo spokojnie, z idealnie spokojną twarzą, a on poczuł się... winny. Winny temu, że jest mężczyzną, że ją osądził, a nawet winny do pewnego stopnia temu, że go pociągała. To uczucie było tak mu obce, że rozpoznał je dopiero w połowie ogrodu.

— Rozpaczliwie chce pani odnaleźć tę torebkę.

— Czy ta obelga była sprawdzianem mojego zdecydowania? — Przesunęła ręką po gałązce lawendy, która nawet jeszcze nie próbowała zakwitnąć. — Mam znieść pana opinie, a nawet pana inwektywy, żeby w końcu odzyskać moją własność?

— Przepraszam, że nazwałem panią... lafiryndą. — Słowa z trudem przechodziły mu przez usta, zwłaszcza gdy zobaczył, że jej spokojne rysy nawet nie drgnęły.

— Usiądziemy, panie Hazlit? Odeszliśmy już wystarczająco daleko od domu.

Istotnie, byli daleko. Jej ogród, podobnie jak ogrody w sąsiedztwie, był bardzo duży. Otaczał go wysoki mur, zapewniający prywatność. Wiatr wiał od łąk. Jeśli sciszą głosy, będą mogli rozmawiać swobodnie.

Podprowadził ją do zacienionej ławki i zaczął czekać, aż usiądzie.

— Niech pan tak nade mną nie sterczy, jeśli mamy spokojnie porozmawiać — powiedziała. — Przyjmuję przeprosiny, ale potrzebuję też pewnych gwarancji.

Usiadł obok niej, czując, jak ogarnia go napięcie. Przeprosił ją, czas więc przejść do rzeczy.

— Jakich gwarancji?

— Będzie mnie pan traktował z szacunkiem należnym adoptowanej córce księcia i księżny, albo poszukam kogoś innego do pomocy, choć bardzo mi zależy, żeby odnaleźć tę torebkę. Zrobię to, jeśli zajdzie taka konieczność, panie Hazlit. Nikomu nie wspomnę o pana zachowaniu, ale w końcu to zrobię.

Gdy spacerowali, zerwała łodyżkę lawendy. Teraz, mówiąc te słowa, obracała ją w palcach. Lawenda, czyli nieufność.

— Będę traktował panią z uprzejmością należną damie — obiecał, obserwując, jak jej palce gniotą zieloną gałązkę.

— To za mało. — Dalej dręczyła roślinkę. — Uprzejmość może być bronią, panie Hazlit. Jej Wysokość nauczyła mnie tego, zanim jeszcze skończyłam szkołę. Nauczyła mnie, jak się nią

posługiwać i jak się przed nią bronić.

Co miał na to odpowiedzieć?

— Nie będziemy już więcej poruszać tego tematu. — Położyła dłonie na kolanach. — Widzi pan, książę i księżna kupili mnie sobie. Rok wcześniej kupili mojego brata Devlina, więc moja matka, zainspirowana tym wydarzeniem, zagroziła, że opublikuje swoje pikantne wspomnienia ze spotkań z Jego Wysokością.

Kupili jej brata? Jakby był obiecującym rocznym żrebakiem albo działką w dobrej lokalizacji?

— Jak rozumiem, zamierza mnie pani zarzucić szczegółami dotyczącymi pani rodzinnej przeszłości, prawda?

— Podobno przywiązuje pan wielką wagę do szczegółów. — Nie zmieniła tonu, ale w jakiś sposób sprawiła, że zabrzmiało to jak zarzut. — Chodzi mi o to, że matka mnie sprzedała. Równie dobrze mogła mnie sprzedać do burdelu. Często tak się dzieje. W odróżnieniu od pańskich sióstr, panie Hazlit, przywoitych warunków, w których dorastałam, nie traktuję jako oczywistości. Pan może o to nie dbać, ja zaś muszę.

Miała taki cudowny głos. Delikatny, miękki, ze śpiewną nutą, galijską albo celtycką... egzotyczny. Jego dźwięk był tak piękny, że niemal maskował okrutne znaczenie słów.

— Ile pani miała wtedy lat?

— Pięć, może sześć. To zależy, czy naprawdę jestem nieślubną córką Morelanda, czy to był tylko taki podstęp mojej matki.

Sześciolatka sprzedana do burdelu? Zrobiło mu się niedobrze.

— Ja... przepraszam panią.

Za to, że nazwał ją ladacnicą, za to, że musiała opowiedzieć mu tę koszmarną historię, za to, co zamierzał jej zaproponować.

Odwrociła się i przyjrzała mu uważnie. Blask jej oczu sprawił, że zrobiło mu się jeszcze bardziej przykro. Od bardzo, bardzo dawna nie czuł się tak paskudnie. Nie tyle winny i zawstydzony, ile pełen współczucia — dla tej kobiety.

Tak samo współczuł siostrze i tak samo nie mógł nic zrobić, żeby je wesprzeć w ich samotnej walce. Odsunął tę myśl, podobnie jak dziwne poczucie, że powinien wziąć Magdalene Windham za rękę, żeby ją jakoś pocieszyć.

Zamiast tego podał jej swoją chusteczkę.

— W tej sytuacji cel mojej wizyty staje się nieco krępujący.

— W tej sytuacji wszystko w moim życiu jest nieco krępujące — odpowiedziała spokojnie. — Proszę spędzić kilka lat na pensji dla panien, będąc nie tyle córką kurtyzany, bo i takie tam przecież uczęszczają, ile kurtyzany, która sprzedała swoje dziecko. Stosunkowo wcześniej sobie uświadomiłam, że najgorszą cechą mojej matki nie był jej upadek, lecz chciwość, która mu towarzyszyła.

— Wykorzystała swoje dziecko — odpowiedział. — To zupełnie co innego niż zawarcie z dorosłym mężczyzną obopólnie korzystnej transakcji.

— Tak pan sądzi? — Położyła chusteczkę na kolanach, skubiąc jego monogram. — Ktoś mógłby powiedzieć, że mnie w ten sposób ochroniła, zapewniła mi przyszłość i sprawiła, że książę poniósł odpowiedzialność za swoje młodzieńcze wybryki.

Pomimo łagodnego tonu, jakim to wypowiedziała, Hazlit uznał, że panna Windham na pewno nie podziela takiej opinii. Może by chciała, ale nie mogła. Sześciolatnie dzieci doskonale potrafią ocenić swoich dorosłych opiekunów.

Pomyśleć tylko... sześciolatnia Maggie Windham. Wielkie, niewinne, zielone oczy, gęstwina rudych włosów, cudowna skóra... dziecko w burdelu.

— Chcę pani zaproponować coś, za co pani pewnie mnie spoliczkuje — powiedział. Do diaska, sam siebie za to powinien spoliczkować. Albo się stąd wynieść.

— Rozumiem, że zmieniamy temat — oddała mu nieużywaną chusteczkę. — Proszę mówić. Muszę się zająć korespondencją, a pan pewnie chce powęszyć na mieście.

Zauważył, że nie wspomniała nic o wizytach.

— Aby ułatwić nasze kontakty w ciągu najbliższych kilku tygodni, proszę, by pozwoliła mi pani się do siebie zalecać. Stwarzać pozory, że się do pani zalecam.

Hazlit powiedział te słowa opanowanym tonem, nie spiesząc się i nie ścisząc głosu, ale wyraźnie podkreślił różnicę między zalecaniem się a stwarzaniem pozorów, że się zaleca.

Maggie zdążyła się podczas tej rozmowy popłakać, a w każdym razie była bliska płaczu, więc teraz uznała, że czas się roześmiać.

— Stwarzać pozory, że się pan zaleca. Proszę wyrażać się jaśniej, panie Hazlit.

— Co pani wie o Millie, swojej młodszej pokojówce?

Odczekała chwilę z odpowiedzią, częściowo dlatego, że była na niego zła — zmusił ją do opowiedzenia o jej pochodzeniu, choć od wielu lat nie poruszała z nikim tego tematu — a częściowo dlatego, że chciała przyjrzeć się jego profilowi. Sama się sobie dziwiła, że ten człowiek się jej podoba. Był wysoki i mocno zbudowany, jak jej bracia. Miał też czarne włosy tak jak oni, ale tu kończyły się podobieństwa. Oczy Hazlita nie były zielone, jak u wszystkich Windhamów, ale brązowe, tak ciemne, że prawie czarne. Siedząc blisko niego, widziała złociste cętki wokół źrenic, ale z oddali wydawały się po prostu ciemne.

I trochę skośne, pod nastroszonymi brwiami, co nadawało mu wygląd pirata.

Czy chciałaby, żeby zalecał się do niej — choćby dla pozorów — mężczyzna z takimi brwiami?

Jego nos, nieco haczykowany, był całkiem udany. Żaden słodki nosek. Pewnie świetnie nadawał się do węszenia.

Za to usta... usta były surowe, poważne, zaciśnięte. Perwersyjna cząstka jej natury zaciekawiła się, czy ten człowiek w ogóle potrafi się szeroko uśmiechać. A gdyby miał ją pocałować — bo zaloty wiązały się przecież z całowaniem, tego była pewna — czy te usta okazałyby się tak zimne i bezwzględne, jak na to wyglądały?

— Millie jest u mnie od dwóch lat. Jej ojciec został ranny w kampanii na Półwyspie Iberyjskim. Jest najstarsza z siedmiorga rodzeństwa, nazywają się Carruthers.

Większość pracodawców nawet tyle nie wiedziała o swojej służbie, ale Maggie, patrząc, jak brwi Hazlita opadły w dół, uświadomiła sobie, że to wcale nie jest dużo.

— Lubi bułeczki z rodzynkami — dodała. — I podkochuje się w moim lokaju, choć mógłby być jej ojcem.

Hazlit zrobił pobłażliwą minę, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”

— Ma więc motywy, by panią zdradzić.

— Zdradzić mnie?

— Sprzedać pani torebkę lub jej zawartość, o której nie chce mi pani powiedzieć. I za pieniądze pomóc głodującemu rodzeństwu.

Maggie odechciało się studiować jego rysy, bo zorientowała się, że Hazlit próbuje ukryć współczucie, a nie pobłażanie.

— Dobrze ją karmię, zimą nie marznie i dostaje cały dzień wolnego co tydzień. Dobrze jej płacę, a moja gospodyni jest bardzo życzliwa. Dlaczego Millie miałaby mnie zdradzić za kilka pensów?

Założył nogę na nogę jak elegant z kontynentu, z tą różnicą, że w jego postawie nie było nic wyzywającego.

— Jej ojciec kaleka nie może pracować i ma ile gąb do nakarmienia? Osiem. To jej rodzina, pani jest tylko pracodawcą. Millie jest bardziej lojalna wobec nich niż wobec pani.

— Przykłada pan wielką wagę do rodzinnej lojalności, panie Hazlit.

Ale, piekielnik, trafił w sedno.

— Jeśli wszyscy uznają, że się do pani zalecam, służba nie będzie się dziwić, że szepczemy do siebie po kątach i spędzamy ze sobą dużo czasu. Proponuję to tylko dlatego, by skuteczniej poszukiwać pani torebki, panno Windham, a nie po to, żeby przedłużać znajomość, która może być dla pani kłopotliwa.

Zacisnął wargi w cienką linię, co ją nieco uspokoiło. Jemu też nie podoba się ten pomysł.

— Z czym wiązałyby się takie pozorowane zaloty?

Uniósł brew.

— Nigdy się do pani nie zalecano? A co z tymi posiadaczami ziemskimi i synami baronetów, którzy polowali na awans społeczny? Nie nadawali się?

— Większość z nich się nadawała...

Ciekawe, jakby wyglądał, gdyby ktoś mu zgolił te pirackie brwi.

— ...tylko że nie zawracali sobie głowy całą resztą.

— Czułościami?

— Bzdurami.

— Bzdury będą nam właśnie potrzebne — powiedział. — Będziemy jeździć odkrytym powozem w godzinach uznanych przez socjetę za modne, będziemy prowadzić się pod rękę na spotkaniach towarzyskich. Będę składał pani wizyty o odpowiedniej porze z bukietem kwiatów i spędzał sporo czasu z mężczyznami z pani rodziny. Będę nosił pani zakupy i publicznie błagał, żeby pani zachowała dla mnie w karneciku swoje walce.

— Jest tylko jeden problem — odparła, dziwnie rozczarowana, że ten sprytny plan miał pewną wadę. Hazlit świetnie tańczył, to fakt.

Poza tym uwielbiała kwiaty i zielone trawniki Hyde Parku.

Lubiła też zakupy, ale zwykle zadowalała się krótkimi wypadami do sklepów w towarzystwie sióstr.

A publiczne błaganie o zatańczenie z nią walca...

— Jaki tu może być problem? Wiosną pary zawsze zalecają się do siebie. Na tym polega sens londyńskiego sezonu.

— Jeśli będzie pan się w ten sposób zachowywać, Ich Wysokości prędko się zorientują. Pewnie już wiedzą, że mnie pan odwiedził.

— W czym więc problem?

Wyraźnie brak mu było cierpliwości i chyba nie wiedział, co to są wścibscy rodzice.

— Wtedy się zacznie, panie Hazlit. Zaczną mieć nadzieję. Będą wzdychać, rzucać półsłówka, przepytywać moje rodzeństwo... w nadziei że zdejmie pan im kłopot z głowy.

— W takim razie czeka ich rozczarowanie. Taki jest los rodziców. Moja siostra była guwernantką i dużo mi o tym opowiadała.

Wyglądał, jakby szykował się do wygłoszenia wykładu w Towarzystwie Królewskim, więc położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie chcę rozczarowywać Ich Wysokości — powiedziała cicho. — Wystarczająco dużo wycierpieli już przez swoje dzieci.

Zamrugał i zacisnął wargi, jakby jej sentyment był czymś nienaturalnym.

— Nie oświadczę się o pani rękę — zapowiedział. — Jeśli kilka głupich gestów rozbudzi ich nadzieję, to będą mieli problem. Ma pani liczne rodzeństwo. Niech się o nie zamartwiają.

— To tak nie działa. — Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego uważnie. Czy ten człowiek nie ma rodziców? — Mogłabym mieć siedemnastkę rodzeństwa, a oni i tak by się o mnie zamartwiali. Wspominał pan o swoich siostrach. Czy o jedną z nich troszczy się pan bardziej niż o drugą?

— Oczywiście, że nie. — Nie spodobał mu się ten przykład. — Troszczę się bez przerwy o obie. Twierdzą, że przesadzam, ale w ogóle nie dbają o moje uczucia, bo w przeciwnym razie pisałyby dłuższe listy, a nie krótkie notki o nieistotnych sprawach.

— Tak?

— Nieważne.

Coś ją podkusiło, żeby zapytać go o szczegóły.

— Jak mają na imię?

— Avis mieszka w pobliżu naszej rodowej siedziby w Cumbrii, zaś Alexandra, która ostatnio przedłożyła wątpliwe wdzięki swego małżonka nad posadę guwernantki, tkwi tu na południu.

Zmarszczył brwi z niesmakiem, a w oczach zabłysła frustracja i niepokój o siostry.

Wyglądał jak prawdziwy brat, jak mężczyzna, który chce się zatroszczyć o swoje siostry, ale nie bardzo wie, jak się do tego zabrać.

Maggie знаła tę minę, często ją widywała u swoich braci, zwłaszcza u Devlina, który także musiał się uporać ze stygmatem nieprawego pochodzenia, a poza tym był najstarszy. Pomimo ogólnej niechęci do Hazlita, spodobało jej się to, że przejmował się siostrami.

W granicach rozsądku.

— W takim razie będzie się pan do mnie zalecał, na niby, ale od czasu do czasu.

— Ja niczego nie robię na niby, a pani nie jest kobietą, którą mężczyzna przy zdrowych zmysłach odważyłby się emablować na niby.

— Czy to komplement?

Bo jeśli nie komplement, to prawdopodobnie zniewaga.

— Stwierdzenie faktu. — Obrzucił spojrzeniem jej twarz i włosy, ciasno splecione wokół głowy. Zmarszczył brwi, a potem kąciki jego ust lekko się uniosły.

— A teraz powiem komplement. Ładna pani jest, panno Windham.

— Wielki Boże. — Wstała, żeby się od niego odsunąć, bo zaczął bredzić od rzeczy i w dodatku prawie się do niej uśmiechnął. — Proszę się nie fatygować, gdy jesteśmy sam na sam.

— Ależ to konieczne... a poza tym to święta prawda.

Wstał również i ruszył za nią.

— Jeśli nie będę absolutnie przekonany, że nikt nas nie widzi, nie słyszy ani nie śledzi, zamierzam się zachowywać jak zakochany po uszy.

— Zakochany po uszy? — Śmieszne. Mogła sobie go wyobrazić, jak darzy dyskretną, wykalkulowaną atencją jakąś damę o nieskazitelnym pochodzeniu i eleganckiej blond fryzurze, ale nikt przecież nie uwierzy, że zakochał się akurat w niej.

— Zakochany po uszy.

Skinął głową, zadowolony z wyboru słów.

— Może bez zbytniego demonstrowania uczuć, ale jednak zakochany po uszy.

— Będzie to od pana wymagało aktorskich zdolności na miarę pana Keana. — Popatrzyła na niego uważnie. Ciekawe, jak by to było, gdyby naprawdę zakochał się w niej po uszy...

— Na pewno sprostam temu zadaniu.

Rozejrzał się wokół. Właśnie przechodzili pod różanym krzewem rozpiętym na trejazu.

— Oto drobna prezentacja moich talentów.

Odwrócił się, pochylił i pocałował ją.

Benjamin wcale nie planował całowania się z Magdalene Windham. Planował tylko odkryć, co zburzyło jej spokojne życie, jakie wiodła na uboczu. Należało się to od niego rodzinie Windhamów. No i oczywiście chciał rozwiązać problem, za wynagrodzeniem. Właśnie dlatego musiał zawrzeć z nią bliższą znajomość. Wcale nie chodziło o tę głupią torebkę.

Zamierzał udawać uprzejme zainteresowanie mężczyzny zastanawiającego się nad ewentualnym, sensownym związkiem, jak każdy rozsądny, w miarę bogaty kawaler pragnący założyć rodzinę. Planował zachować czujność, zamiast usypiać zmysły bliskością, zapachem i smakiem uroczej kobiety w piękny wiosenny dzień.

Uroczej, nieco opornej kobiety, która była wystarczająco wysoka, by idealnie pasować do jego sylwetki. Jej biodra ocierały się lekko o jego lędźwie, piersi napierały na jego tors. Miękkie, słodkie usta wahały się, jakby pytały go, co będzie dalej.

Pokazał jej, choć tego też nie miał w planach. Poglądził jej podbródek i brwi, chwytając w nozdrza aromat leśnych kwiatów i cynamonu, którym pachniały jej włosy. Skubnął płatek ucha i poczuł drżenie, które przebiegło przez jej ciało. Gdy przytuliła się do niego z westchnieniem, musnął wargami kącik jej ust, drocząc się z nią i czekając, aż uniesie ku niemu twarz.

A wtedy przyszła kolej na nią. Pokazała mu, jak długi czas minął od ostatniego pocałunku, który był dla niego czymś więcej niż obowiązkowym, zdawkowym wstępem do równie zdawkowego stosunku. Pokazała mu, jaka przyjemność płynie z pożądania, które pokonuje skromność, pokazała, że Benjamin naprawdę może jej coś dać, nawet jeśli jest to tylko udawany pocałunek.

— Panie Hazlit... — Objęła go dłonią za szyję, a drugą głaskała powoli jego pierś. — Nie powinniśmy...

Uciszył ją, dotykając wargami jej ust... delikatnie, bo oprócz ciała, które pragnęło pocałunku, Magdalene Windham miała też umysł, wrażliwość damy i przeszłość...

Ta myśl otrzeźwiła go jak strumyk zimnej wody spływający po plecach. Bardzo pragnął wsunąć język w jedwabiste, ciepłe usta, ale powstrzymał się. Ręka, która wędrowała po jej ciele, zamarła irytująco blisko jej piersi. Choć druga ręka już czekała na jej plecach, nie przyciągnął jej ciała do siebie, by poczuło jego potężną erekcję.

Zamiast tego przesunął wargi nieco wyżej i dotknął jej czoła swoim.

Nie odsunęła się, na szczęście, bo jego niepokorne męskie ciało potrzebowało kilku chwil, by odzyskać równowagę. Na litość boską, właśnie skradł pocałunek w różanym ogrodzie, jak panicz uganiający się za gęsiarką.

— Przekonał mnie pan — szepnęła. Schylił się, żeby pochwycić jej słowa, przy okazji wdychając aromat tysiąca leśnych kwiatów i jednej jedynej kobiety.

— O czym? — Gładził palcami jej odsłoniętą szyję, hamując się, by nie uwolnić tego grubego warkocza i nie wtulić twarzy w rozpuszczone włosy.

— Że nie robi pan niczego na niby.

Na niby? Odsunął się o krok. W głowie miał kompletny zamęt. Myśli, plany i precyzyjne obrazy zostały wyparte przez impulsy i ulotne wrażenia. Oddech muskający jego szyję, palce igrające z włosami z tyłu głowy, biodra wygięte ku jego biodrom, choć ich ciała już nie przylegały do siebie tak ściśle. Wyprostował się nieco i uniósł twarz, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

Może też potrzebowała tych kilku minut? Uspokoił się na tę myśl i zaczął powoli głaskać jej szyję i plecy. Chyba jej się spodobało, bo zezwoliła mu na tę prostą pieszczotę.

— Pocałuje mnie pan jeszcze kiedyś? — niewyraźnie mruknęła w jego ramię, ale zrozumiał, bo poczuł jej słowa w całym ciele.

— Bardzo możliwe. — Nie spodziewał się, że jego głos zabrzmiał tak gardłowo.

— Ale nie tak całkiem bez uprzedzenia.

Doprawdy, uprzedzi ją.

— Następnym razem bardziej się postaram. — Żadne z nich więc nie zastawi pułapki.

Uniosła ku niemu twarz. Ta wariatka uśmiechała się do niego. Nie był to uśmiech całkiem

taki sam, jak wtedy, gdy myślała, że goździki są prezentem od brata. Bardziej tajemniczy, bardziej kobiecy.

Wielki Boże, ta kobieta jest niebezpieczna, potrafi zawrócić mężczyźnie w głowie i sama o tym nie wie.

— Jeśli pan się bardziej postara, panie Hazlit, będę potrzebowała soli trzeźwiących. — Oparła się o niego. Poczul, że jego usta układają się do uśmiechu.

Nie obraziła się. Odetchnął z ulgą, większą niż powinien, ale wolał się nad tym nie zastanawiać. Nieraz całował się z kobietą w ramach obowiązków zawodowych i nieraz jeszcze będzie po temu okazja.

Szczerze mówiąc, nie mógł się już doczekać.

Benjamin Hazlit to szatan wcielony. Maggie doszła do tego wniosku, gdy po opróżnieniu trzeciego dzbanka herbaty — lubił darjeeling z cukrem, bez śmietanki — nadal dręczył ją pytaniami o domowników, jej zwyczaje i o to, co robiła w dniu, kiedy zniknęła ta przekłeta torebka.

W dodatku przez cały czas — choć powinna się skupić na tym, jak odzyskać swoją własność — Maggie jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego usta, z których płynęły kolejne pytania.

Usta, które nie były ani zimne, ani surowe, tylko ciepłe, świadome i delikatne, a nawet czule.

O nieba. Te usta były... były objawieniem, oknem, które pozwoliło dostrzec w tym człowieku coś, czego istnienia Maggie nigdy by nie podejrzewała. Znosiła niezgrabne uściski i oślinione czułości smarkaczy i podstarzałych arystokratów. Całowali ją, obmacywali, gnietli w ramionach i ogólnie pokazywali, jak bezsensowna może być bliskość kobiety i mężczyzny.

Dzięki zalotnikom, którzy ubiegali się o jej majątek, choć wiązało się to z koniecznością poślubienia jej, od czasu do czasu odczuwała współczucie dla własnej matki. Dopóki nie spytała Devlina, dlaczego mężczyźni muszą się tak zachowywać, i zmierzyła go morderczym, gniewnym spojrzeniem. Wtedy nauczył ją kilku sprytnych sztuczek z użyciem kolana, pięści i palców. W rezultacie zalotnicy nabrali do niej nieco szacunku.

W pewnym momencie miała ochotę poczęstować pięścią także Hazlita, choć podejrzewała, że potem bolałyby ją palce, a jemu nic by się nie stało.

Jak ktoś może całować tak słodko i czule i być zarazem takim... szatanem?

— Niech mnie pani zaprowadzi do swoich prywatnych pokoi.

Odstawił filiżankę i wstał, bez wątpienia oczekując, że Maggie poderwie się i bezzwłocznie spełni jego zachciankę.

— Najpierw pošlę tam Millie, żeby przekonała się, czy moje pokoje są w należyтым porządku.

Nie ruszyła się z sofy i spokojnie popijała herbatę.

— Porządek nie będzie potrzebny. — Wyciągnął do niej rękę. Dużą, opaloną jak reszta ciała, choć może miał po prostu ciemną karnację. Na małym palcu załśnił sygnet.

— Panie Hazlit? — Upiła łyk herbaty.

— Panno Windham?

— Jeśli tknie mnie pan choćby palcem albo, niech Bóg broni, pochwyci mnie w rękę, to pana ugryzę. — Ponad dwa dziesiątki lat temu ugryzła jednego z braci i pozostała czwórka nabrała do niej znacznego respektu.

Opuścił rękę. Spodziewała się, że wygłosi wykład na temat poszukiwań torebki oraz licznych przeszkód i trudności z jej strony — co w sumie było dość uzasadnione — ale on tylko pochylił się nad nią.

— Gdzie? — W jego oczach lśniło coś, czyżby... rozbawienie?!

— Jak to gdzie?

— Gdzie mnie pani ugryzie?

Boże dopomóż, zniżył głos do tego zduszonego szeptu, który słyszała już pod krzewem różanym. Ten głos wyczyniał z jej ciałem dziwne rzeczy... niesłychane, nieznanne, cudowne i

niebezpieczne.

Spojrzała mu w oczy, wyczuwając, że teraz nie wolno jej się wycofać.

— W ten pana zgrabny nos.

Przekora w jego oczach zmieniła się w wesołość, a potem na jego twarzy pojawił się taki uśmiech, że w brzuchu Maggie odbyła się cała wojskowa parada... emocje maszerujące we wszystkich kierunkach, wiwatujące tłumy, powiewające sztandary. Wielki Boże.

Zrozumiała swój błąd.

— W pański arogancki, zgrabny nos.

— Przepraszam panią.

Przyszło jej na myśl, że za pocałunek w ogrodzie wcale jej nie przeprosił. Zawsze to coś.

— Czy zechciałaby mi pani pokazać swoje prywatne apartamenty, panno Windham, żebym bezzwłocznie mógł zabrać się do poszukiwania pani torebki?

— Oczywiście. — Podała mu dłoń i wstała z jego pomocą. W jej sypialni zawsze panował porządek — pokojówki dbały o to — choć dopiero po wpuszczeniu Hazlita do prywatnego saloniku uświadomiła sobie, że jego wizyta będzie co najmniej tak intymna, jak pocałunek w różanym ogrodzie.

Albo jego uśmiech.

Dwie godziny później Maggie popijała smakowitą, mocną pekoe — żaden tam wymyślny darjeeling — i rozglądała się po swoim saloniku.

Saloniku, który pan Hazlit drobiazgowo obejrzał, od stiuków na suficie poprzez boazerię aż po dywany. Obejrzał wszystko, co znajdowało się w saloniku. Zmusiła się do patrzenia, jak cał po cał bada jej najbardziej prywatne pomieszczenie. Najpierw usiadł na tym właśnie fotelu i rozejrzał się z chmurną miną. Spędził parę minut przy jej biurku — zwalistym antyku znalezionym na strychu Morelandów — bawiąc się piórami, atramentem, piaskiem i woskiem.

Nieprzyjemny moment. Korespondencja to bardzo, bardzo osobista sprawa dla każdej kobiety. Potem zaczął kręcić się po pokoju, wyglądając przez wszystkie okna, zajrzał do kominka i przesunął palcami po półce nad paleniskiem, jakby sprawdzał, czy starto z niej kurz.

Naturalnie, niczego nie znalazł. Nic dziwnego. Przecież Maggie nauczyła się sztuki prowadzenia domu od samej Esther, księżnej Moreland.

Potem wpadł do jej sypialni. Poszła za nim, zadowolona, że skończył rozglądać się po salonie, ale kompletnie nieprzygotowana, że ten człowiek rozsiądzie się wygodnie na jej łóżku.

Łóżko było kolejnym odrzutem z gospodarstwa Morelandów, ale książęce meble — nawet te niepotrzebne — zawsze robią wrażenie. Maggie była wyższa od większości kobiet w swojej rodzinie, więc przywłaszczyła sobie łożo odpowiednie dla siebie.

Pan Hazlit ściągnął buty do konnej jazdy i rozparł się na poduszkach. Skrzyżował nogi w kostkach i zaczął się rozglądać. Miała ochotę na niego nawrzeszczeć, tak dla zasady. Co on sobie myśli, żeby się rozpierać wśród jej poduszek, koronek i jedwabnej pościeli...

Na szczęście zaraz wstał, wciągnął buty i poszedł do garderoby, co okazało się dużo, dużo gorsze.

Obmacał wszystkie suknie, wygładził wszystkie szale, ukląkł i obejrzał starannie poustawiane pantofelki i buciki.

— Te wyblakłe kolory wcale do pani nie pasują, panno Windham.

Jego milczenie było okropne, ale uwagi w sypialni okazały się nieskończenie gorsze.

— Nie ma pani butów do konnej jazdy?

Miała, ale były tak stare, że trzymała je pod łóżkiem. Natrafił na nie po chwili, niech go piekło pochłonie.

Podniósł książkę leżącą na nocnym stoliku i pytająco uniósł brew.

— O rozmnażaniu się świń? Jak to, panno Windham?

Czytała wszystko, co napisał ten autor, bo miał naukowe podejście do natury, mimo że był najmłodszym synem jakiegoś hrabiego. Poza tym, na litość boską, nie pójdzie przecież rozmawiać o tych sprawach ze świniami.

— Żadnych kwiatów, panno Windham? Służba się nie stara.

Przesunął palcami po grzbietach książek, nie komentując powieści Jane Austen ustawionych na honorowym miejscu, a potem tak długo wpatrywał się w jej łóżko, że w końcu musiała się odezwać.

— Co pan robi, panie Hazlit? To tylko stare, wygodne łóżko.

— Liczę poduszki.

Jasne. Miała ochotę przyłożyć mu jedną z tych poduszek. Albo lepiej kilkoma.

— I to panu pomoże odnaleźć moją torebkę?

— Prawda pomogłaby mi bardziej — mruknął. Ale i tak go usłyszała.

— Jaka prawda?

Patrzył na nią bez słowa, jakby tym razem liczył niewidzialne poduszki w jej głowie. Albo w duszy.

— Skończył pan już, panie Hazlit?

— Nie, ale na razie zobaczyłem wystarczająco dużo. Ma pani jakieś plany na wieczór?

— Może zabiorę się do wyszywania kolejnych poduszek.

Kąciki jego ust opadły.

— Jutro po południu zabiorę panią na przejażdżkę powozem, jeśli pogoda pozwoli.

Skrzyżowała ręce na piersi, bo nie spodobał jej się ten rozkazujący ton.

— Być może mam już jakieś plany i być może zakochany po uszy zalotnik powinien cierpliwie poczekać, aż dama jego serca zechce skorzystać z zaproszenia.

— To nie było zaproszenie.

— No właśnie.

Odwróciła się na pięcie, chcąc z godnością opuścić pokój, ale położył rękę na jej ramieniu. Gdy na niego spojrzała, wcale nie opuścił dłoni. Wręcz przeciwnie, przesunął palcem po jej podbródku.

— Przepraszam, panno Windham. Czy miałyby pani czas wybrać się ze mną na przejażdżkę jutro po południu? Byłoby mi bardzo miło.

Jego usta już się nie śmiały, w oczach nie było wesołości, a Maggie nagle poczuła się nieswojo. Wyglądał, jakby jego szczęście zależało od tej odpowiedzi.

Niech go licho.

— Naturalnie, panie Hazlit. Nie sposób się nie zgodzić, kiedy ktoś tak pięknie prosi.

Opuścił rękę, dzięki czemu Maggie mogła skierować się do frontowych drzwi.

— Czy odkrył pan w moich pokojach coś, co naprowadziło pana na trop torebki?

Westchnął i zaczął kroczyć obok niej.

— Odkryłem, że jest pani bardzo przewidująca, że czujność to pani druga natura, choć prawdopodobnie jest wyuczona, a nie wrodzona. Odkryłem, że celowo ubiera się pani tak, by ukryć swoje liczne wdzięki, i ma pani bystry umysł. Bez śladu frywolności. Odkryłem też, że pani służbie naprawdę leży na sercu pani dobro.

— Chyba to pana rozczarowało.

Jakim cudem dowiedział się tego wszystkiego, licząc poduszki?

— Złodziej wśród służby byłby łatwym rozwiązaniem tej zagadki, a ze względu na panią miałem nadzieję, że znajdziemy łatwe rozwiązanie.

Ze względu na nią? Jak to?

— Przyjadę po panią około trzeciej — oznajmił, gdy majordomus Maggie podał mu rękawiczki i kapelusz, po czym rozpląnął się w ciemnościach korytarza. Hazlit włożył kapelusz i spojrzał na nią tymi ciemnymi oczyma. — Proszę się nie martwić, panno Windham.

Nie spodziewała się usłyszeć takich słów. Było w nich więcej empatii niż w poprzednich uwagach.

— Będę się zamartwiać, dopóki nie odzyskam mojej własności.

— Czyli bardzo krótko. — Ujął jej dłoń i skłonił się nad nią bardzo nisko, tak nisko, że poczuła ciepło jego oddechu na kostkach palców.

— Do jutra.

I wyszedł, a wszystkie obawy, które Maggie odsunęła na bok podczas jego długiej i

kłopotliwej wizyty, znowu zaczęły ją dręczyć ze zdwojoną siłą, bo Millie doniosła jej o kolejnej wieści, która dotarła do kuchni w czasie wizyty pana Hazlita.

— Składałeś poranne wizyty?

Mówiąc to, Archer ziewnął i podrapał się po piersi, ale nie oszukał Benjaminą. Pomimo pozorów beztroskiego lenistwa umysł Archera Hollowaya był czujny i uważnie rejestrował wszystkie szczegóły.

— Konkretnie jedną. — Benjamin wstał w wannie i tkwił tak, ociekając wodą, aż wreszcie Archer rzucił mu ręcznik. Wytarł pierś i ramiona, i wyszedł z wanny na dywanik przed kominkiem. Archer usadowił swoją długą postać na fotelu przy biurku.

— Jedną poranną wizytę, która zajęła ci całe popołudnie.

— Prowadzę sprawę, Archer. — Ben skończył się wycierać i podszedł do garderoby, gdzie czekał na niego wieczorowy strój. — Wychodzisz wieczorem?

— Lady Abby je kolację u siebie, więc nie muszę. Za to pchnąłem do przodu temat ksiąg Allarda. — Archer wstał i zaczął przerzucać pudełko z dokumentami na biurku Benjaminą. — Która to sprawa zmusiła cię do wałęsania się po Mayfair przez całe popołudnie?

— Wcale się nie wałęsałem, tylko starannie przeszukiwałem sypialnię pewnej damy.

Sprawa Windhamów.

Zaczął wkładać elegancki strój, choć zdecydowanie wolałby zostać w domu i pozwolić, by Archer ogrywał go w karty.

— Myślałem, że gospodyni okazała się niewinna. — Archer rzucił mu zaciekawione spojrzenie. — Ten szczeniak Morelanda ożenił się z nią w końcu, prawda?

— Dawno temu, Archer. To był Gayle Windham, hrabia Westhaven. Faktycznie ją poślubił. Przestań się krygować. Co chcesz wiedzieć?

— Przeszukanie paru pokoi nie zajmuje całego popołudnia. — Arthur podrzucił w powietrze spinę do mankietu, potem drugą i kolejną, aż w końcu żonglował czterema. — Co ty kombinujesz, przyjacielu?

— Otoczenie może dużo powiedzieć o człowieku. — Ben wciągnął kalesony, spodnie i pończochy, podczas gdy Archer dalej bawił się spinkami.

— Więc czego się dowiedziałeś?

— Nie jestem pewien. — Koszula była szyta na miarę, czyli luźna i wygodna, choć niezgodna z najnowszą modą. — Dowiedziałem się, że jest damą.

— Wątpiłeś w to? — Archer złapał po kolei wszystkie spinki i rzucił dwie z nich na tacę.

— Nie przyjmuję niczego na wiarę. — Te włosy... te pełne, cudowne usta, ten obfity biust i słodkie, kobiece kształty... — Prowadzi przyzwoity dom, troszczy się o swoją służbę, poświęca czas i pieniądze na dobroczynność i jest mocno związana ze swoją rodziną.

Poza tym czytała wszystko, co jej wpadło w rękę — od rolniczych broszurek o zwyczajach rozrodczych świń po traktaty finansowe i romantyczne powieści.

Archer podszedł do niego ze spiną i wpiął ją w prawy mankieta koszuli.

— Dziwi cię to, Benjaminie? Jej ojciec jest księciem. Dlaczego nie miałyby się zachowywać jak księżniczka? — Przesunął drugą spinę przez dziurkę w mankiecie i rzucił Benjaminowi bystre spojrzenie. — Albo jak hrabina?

— Co do tego...

Tak, tak, Archer zawsze był specjalistą od wyciągania na wierzch najtrudniejszych tematów.

— Być może wkrótce usłyszysz, że interesuję się tą damą w sensie matrymonialnym.

Przystojną twarz Archera rozjaśnił szczery, serdeczny uśmiech — prawdziwa rzadkość. Zwykle zastępował go wykalkulowany, sztuczny grymas.

— Czas najwyższy, żebyś zainteresował się tym, co w życiu najważniejsze.

— Wcale się nią nie interesuję.

Uśmiech zgasł jak zdmuchnięta świeca.

— Masz dwie siostry, Benjaminie. Obie zostały w młodości źle potraktowane przez łajdaków bez serca, więc powinno ci to...

Zamknął mu usta dłonią.

— Nie zamierzam igrać z uczuciami tej damy, więc wstrzymaj się, miłosierna siostrzyczko Mary Holloway. Magdalene Windham nie była ze mną szczera i muszę się do niej nieco zbliżyć, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak się stało i jak mam w związku z tym postępować.

Całkiem rozsądny plan. Tyle że nie tłumaczył pocałunku pod krzewem róży, naruszania kobiecej prywatności, przesiadywania w buduarze, głaskania sukni ani też zapoznania się z wymiarami jej łoża i liczbą poduszek, które je zdobiły.

Ani też szczerego zadowolenia na wieść, że spodobał się jej jego nos.

Archer podszedł do biurka.

— Czy ona wie, że to tylko gra?

— Porównała mnie do pana Keana. Najlepszego aktora w Anglii.

Gdy Archer przeglądał zawartość tacy na biurku, Benjamin wyciągnął z szafy wykrochmalony fular i zaczął formować prosty węzeł.

— Na litość boską. — Archer podszedł i odsunął jego ręce na bok. — Wiązesz fular jak jakiś studencik, zamiast zrobić stylowy węzeł.

— Prosty i stylowy. — Benjamin nie musiał tego mówić, bo Archer miał idealne wyczucie mody.

— Prosty, lecz elegancki, jak ja sam. — Jego przyjaciel wbił szpilkę w idealnie zawiązany fular. Złoto z bursztynem załśniły na tle kremowego płótna. — Może być.

— Dziękuję.

Lustro potwierdziło, że Archer miał rację, jak zwykle. Bursztyn dodał tej niezbędnej odrobiny stylu. Subtelnie podkreślił brąz jego oczu i cerę o ton ciemniejszą, niż nakazywała moda.

— Co ty byś zrobił beze mnie?

— Pewnie utkwilibym w Blessings i niańczył potomstwo Avis na moich kościstych kolanach.

Archer kręcił się po pokoju, porządkując rzeczy po kąpieli. Poskładał mokre ręczniki.

— Naprawdę? Cumbria jest podobno wilgotna i odległa od cywilizacji, a poza tym podejrzewam, że nie usiedziałybyś w jednym miejscu. To nie twój styl.

— Cumbria potrafi być urocza, właśnie dlatego połowa Londynu zjeżdża tam latem. Jest niesamowita, przy tamtejszych wrzosowiskach Kent wygląda jak wiejski ogródek. Powietrze jest czyste, a niebo świetliste... o co chodzi?

Archer przyglądał mu się z politowaniem.

— Tęsknisz za domem, Benjaminie. Zamartwiasz się o siostry tak samo jak przed ich zamążpójściem. Niepokoisz się o swój majątek, kręcisz się po Londynie i wtykasz nos w nie swoje sprawy, bo przez to nie myślisz o domu. Ożeń się, wracaj do siebie i zostaw zajęcie detektywa ludziom takim jak ja, którzy traktują to jako czystą sportową rozrywkę.

— Wcale nie tęsknię za domem.

Choć trzeba przyznać, że tęsknił za siostrami.

— Jasne.

— Nie czekaj, aż wrócę.

— Nigdy nie czekam. — Archer pomachał mu na pożegnanie. Benjamin spojrział ostatni raz w lustro. Aha. Zdaniem Maggie Windham tak wygląda arogancki, ale zgrabny nos.

— Archer?

— Tak, mój drogi?

— Jeśli nie masz dziś w nocy nic lepszego do roboty, może mógłbyś wyświadczyć mi pewną drobną przysługę?

To był kaprys, przeczucie, ale rozwikłanie zagadki często było wynikiem inspiracji. Naturalnie, wszystko dla dobra damy.

— Dziś nie pracuję, Benjaminie. Muszę się wyspać, bo zbrzydnę.

— A gdyby chodziło o obserwowanie pięknej damy?

W bezwzględnych oczach profesjonalisty błysnęła iskierka zainteresowania.

— To całkiem inna sprawa.

Dobry król Henryk nasłał swych cnotliwych zbrojnych na opactwa i klasztory papistów, dając jasno wyraz swej opinii na temat Rzymu i zarazem znacząco zwiększając zawartość swego skarbcza.

Poza tym wybrukował dla londyńczyków ulice, żeby mogli podziwiać setki akrów wiejskiego zacisza, które nazwano potem Hyde Parkiem. Esther, księżna Moreland, zawsze uważała, że ten park to jeden z nielicznych sensownych pomysłów Henryka.

W takim otoczeniu dama może się spokojnie rozglądać i wypatrywać odpowiednich kawalerów, godnych włączenia do rodziny Windhamów. Bo tak to już jest. Gdy dziewczęta biorą ślub, ich mężowie dołączają do ich rodu. Nigdy na odwrót.

— Z każdym rokiem robi tu się większy tłok — mruknęła Evie ze swego miejsca przy boku matki. Reszta dziewcząt pożegnała się wcześniej, pozostawiając najmłodszej siostrze honorowe miejsce w dwukółce Jej Wysokości.

— I coraz więcej tu dżentelmenów, spośród których możesz wybrać sobie męża — stwierdziła Esther ze spokojnym uśmiechem. — Podbródek do góry, kochanie. Jeśli papa się dowie, że się dąsałaś, będzie się denerwować.

Sztuczka się udała, zgodnie z przewidywaniami Esther. Podbródek Evie powędrował w górę, a na ślicznej buzi pojawił się uśmiech godny jej uroczego ojca.

— Tak lepiej.

— Wasza Wysokość, lady Evie.

Do powozu podjechał Lucas Denning — ten lekkoduch. Uniósł kapelusze i posłał im szeroki uśmiech. Mógłby się nadać — miał dość pieniędzy, został ostatnio markizem, a jego poglądy polityczne w miarę odpowiadały Percy'emu.

— Deene. — Esther skinęła głową i odpowiedziała uśmiechem, a Evie wyciągnęła do dżentelmena dłoń w rękawiczce. Pochylił się nad nią zgrabnie, stępując na koniu obok pojazdu.

— Co roku jest tu coraz piękniej. Lady Evie, gratuluję kapelusza.

— Przynajmniej jest pan stały w swoich opiniach — odparła Evie. Esther nieco upadła na duchu. — W zeszłym tygodniu też się panu spodobał, gdy miała go na sobie moja kuzynka.

Esther, doświadczona matka pięciu synów, dostrzegła lekkie skrzywienie warg lorda Deene.

Niedawno zakończył żałobę, ale wszyscy wiedzieli, że doprowadził swego ojca do rozpacz. Poczucie winy i żal widocznie mu ciążyły. Doświadczone oko Esther dostrzegło, że Deene jest gotów przyznać się do porażki i wziąć sobie żonę.

— Prawdziwe piękno umie przetrwać czas — rzekł, rzucając zalotne spojrzenie na Esther.

— A pochlebstwa przemijają z wiatrem — odpowiedziała, uśmiechając się do niego. — Choć dają też przelotną przyjemność. Czy to nowy koń, milordzie?

Jeszcze nie skończyła zdania, a już wiedziała, że popełniła błąd i kompletnie odwróciła uwagę Deene'a od Evie. Jej córka wyraźnie przygasła i słuchała, jak Deene opiewa zalety swego gniadosza, włącznie z jego rodowodem. Gdyby Esther nie знаła mężczyzn, mogłaby pomyśleć, że Deene odgrywa się w ten sposób na jej córce za uszczypliwe uwagi na temat kapelusza.

— Patrzcie — Evie nagle oprzytomniała. — To nasza Maggie, w powozie uroczego pana Hazlita.

Punkt dla damy. Deene nie dał po sobie tego poznać, ale ubodło go, gdy określiła Hazlita jako uroczego. Nieco wyprostował się w siodle.

— Gdzie?

— Pod drzewami — odpowiedziała Evie. — Mamo, jedźmy dalej. Nie możemy się jej pokazać, bo zaraz każe mu się zawieźć do domu.

Deene, sprytny chłopak, przejechał na drugą stronę dwukółki, zasłaniając ją przed wzrokiem Maggie.

— To na pewno była Maggie? — spytała Esther.

— Na pewno — powiedzieli razem i spojrzeli po sobie.

— Powiadacie, że była z panem Hazlitem? Z Benjaminem Hazlitem?

— Nikt inny nie ma takich marzycielskich brązowych oczu — wyjaśniła Evie. — Poza tym Dev i Val wspominali, że jego para gniadych jest wręcz idealnie dobrana.

Esther widziała te konie, dwa gniadosze o sierści lśniącej jak mahoń, tego samego wzrostu, o karych grzywach i starannie zaplecionych ogonach. Nawet skarpetki na pęcinach były w jednakowych miejscach.

— Rzadko wyjeżdża na spacer — powiedział Deene z namysłem. — Może powinienem przywitać się z damą?

Esther skinęła głową.

— Chyba tak.

Percy wydobędzie z niego szczegóły podczas spotkania w klubie, nad porcją zapiekanych nerczek i stekiem.

— Do zobaczenia, milordzie.

— Wasza Wysokość, lady Evie. — Zasalutował palcatem, wykonał wierzchowcem piruet w miejscu i podjechał do tamtych dwojga. W tym czasie Esther zjechała w boczną alejkę prowadzącą do obwodnicy.

— Jutro zajrzemy do Maggie? — spytała Evie.

Esther popatrzyła na swoją najmłodszą córkę. Troszczyła się o wszystkie — każdy rodzic się troszczy — ale ta smarkula dawała jej najwięcej powodów do niepokoju.

— Lepiej pojutrze. Nie można być wścibskim.

— Można, jeśli jest się tobą i właśnie się widziało Maggie na spacerze z mężczyzną po raz pierwszy od dziesięciu lat. Lubisz pana Hazlita, podobnie jak papa.

— Jego Wysokość szanuje pana Hazlita — stwierdziła Esther sucho. Kiedy ta mała zdążyła tak zmądrzeć?

— Mamo, kocham cię, ale jeśli będziesz za mocno naciskać, Maggie się go pozbędzie.

— Maggie za nic nie zrezygnowałaby z odpowiedniego kandydata.

Obie wiedziały, że nieraz już to zrobiła. Odrzucała jednego konkurenta za drugim.

Magdalene Windham stawiała się zupełnie inną osobą, gdy wychodziła na świeże powietrze. Benjamin spostrzegł to już wczoraj, kiedy spacerowali po jej ogrodzie. Między innymi dlatego ją pocałował. Usadowiła się obok niego w powozie, wciągnęła w płuca potężny haust powietrza i westchnęła od serca.

— Wiosna to prawdziwy dar — powiedziała. — Co roku zapominam, jak bardzo ją kocham, kiedy zaczynają kiełkować pierwsze krokusy, w ślad za nimi idą tulipany, a ja nie mogę się doczekać liści na drzewach.

— Zastanawiała się pani kiedyś, czyby nie zamieszkać na wsi?

— Posiadłość Morelands jest cudowna. Wyjeżdżam tam każdego lata. Ależ pan ma piękną parę w zaprzęgu.

— Berlin i Sztokholm, czyli Berek i Sztok. — Ściągnął konie i oboje zetknęli się ramionami. — Niech pani weźmie lejce, panno Windham. Widzę, że ma pani na to ochotę.

— Nie mogę.

Dotknął jej dłoni, złożonych na podołku. Nie miała rękawiczek do powożenia, więc przełożył lejce do jednej ręki i ściągnął zębami swoje rękawice.

— Może pani.

Z tęsknotą w oczach spojrzała na te rękawice.

— Umie pani?

— Devlin nauczył nas wszystkie, głównie z rozsądku.

Zatrzymał zaprzęg pod Bramą Cumberlandzką.

— Naprawdę, nie powinnam.

— Naprawdę, powinna pani. — Kusilo go, by powiedzieć, że gdyby naprawdę się do siebie zalecali, dokładnie tak zachowywałby się w roli pobłażliwego narzeczonego. — Rozkwita pani na świeżym powietrzu, pożera pani wzrokiem te konie, jakby były z czekolady, i nie dba pani ani trochę, że wiatr może zburzyć pani fryzurę. Raz się żyje, Magdalene Windham.

— Maggie — powiedziała bardzo cicho, nie odwracając wzroku od lejc. — Nikt nie

nazywa mnie Magdalene.

— Wiec bierz te lejce, Maggie, bo będziemy tu siedzieć na widoku całej przejeżdżającej obok nas socjety.

Chwyciła je, nawet nie próbując włożyć jego rękawiczek. Wziął je z powrotem z jej kolan, uważając, by nawet nie dotknąć sukni.

— Jedźmy obwodnicą — zaproponował. — To odpowiednia trasa, a ponieważ jest jeszcze wcześnie, będzie pani tam miała swobodę manewru.

Skinęła głową, co oznaczało, że dobrze zna park. Czy zadbali o to jej bracia, czy też zdobyła tę wiedzę, występując w roli panny na wydaniu?

Zastanawiał się nad tym, gdy jego zwariowane konie kłusowały w idealnym ustawieniu, jakby tęskniły za damską rączką na wodzach.

— Nie czuje się pan nieswojo? — spytała. — Gdy kobieta powozi?

Znajdowali się w publicznym miejscu. Trzeba ją zacząć przyzwyczajać do roli narzeczonej. Posłał jej uśmiech i spojrzenie półprzymkniętych oczu.

— Milady, nie sposób czuć się nieswojo w pani uroczym towarzystwie.

Uśmiechnęła się szerokim, psotnym uśmiechem, który zalśnił w cudownie zielonych oczach i obnażył dwa rzędy białych zębów.

— Łobuz z pana, panie Hazlit. Skończony łobuz. Nie oddam panu lejc, jeśli pan nie przestanie mówić takich rzeczy.

Dopiero ten uśmiech — skierowany do niego, do koni i do całego świata — uświadomił Benjaminowi, jak wielki dystans utrzymywała między nimi. Jej uśmiechy były zaledwie miłe, jej maniery bezbłędne, jej konwersacja zdawkowa — naturalnie, jeśli nie liczyć tego pocałunku.

Pocałunku, który skończył się, zanim się zaczął — bo Benjaminowi została jeszcze odrobina rozsądku.

— Czy to pani matka?

— Moja ma... — W miejsce uśmiechu zjawilo się napięcie... i strach? Ukryła go błyskawicznie, tak że wcale nie był pewny, czy je rzeczywiście spostrzegł. — Och, miał pan na myśli księżną. Boże wielki. Proponuję strategiczny odwrót.

— *Suitez-vous, mademoiselle*. Jak pani sobie życzy.

Tylko że było to niemożliwe, bo w tłoku mogli jechać wyłącznie stępą, a bocznych alejek było tu niewiele.

Hazlit już przygotowywał się, by obdarzyć Jej Wysokość uśmiechem i komplementem — w końcu była to jego klientka — ale jakiś jeździec na gniadym koniu zasłonił powóz księżnej przed ich wzrokiem.

— Deene do nich podjechał — powiedział Benjamin, wyciągając szyję, by rozpoznać jeźdźca pomiędzy dwoma lokajami przycupniętymi z tyłu landa lady Dandridge. — Chyba jest pani uratowana.

— Nie na długo. Ktoś i tak jej doniesie. Za chwilę papa będzie pana pytał o zamiary.

Patrzyła wprost przed siebie, więc musiał się przechylić, by zajrzeć w jej posmutniałą twarz.

— Musi pani być taka ponura? — To miał być żart, ale ona tylko spojrzała na niego oczyma, w których malowało się bezbrzeżne nieszczęście.

— Panno Windham. — Deene uchylił kapelusza z siodła. — To rzadka przyjemność spotkać panią w parku. Hazlit.

— Deene. Myślałem, że unikasz tych okolic.

— Zazwyczaj unikam. — Posłał uśmiech pannie Windham. — Bez urazy dla tu obecnych. Zaspiałem dzisiaj, więc postanowiłem tu przyjechać, żeby Potwór mógł wreszcie rozprostować kości.

— Czemu tak piękny koń nosi takie imię? — Panna Windham ujęła lejce prawą ręką, a lewą wyciągnęła do jego wierzchowca. — Pewnie jest mu przykro.

Walach delikatnie obwąchał jej palce, a potem spojrzał na swego jeźdźca, jakby robił mu wyrzuty.

— Bo na nie reaguje — odparł Deene, głaszcząc konia. — Lepiej niech on je nosi, a nie ja. I posłał jej olśniewający uśmiech.

— Jedźmy już, bo tamujemy ruch — wtrącił się Benjamin.

Deene, przeklęty arogant, ruszył stępa obok nich.

— Jeśli lubi pani powozić, milady, może zechce pani wybrać się na spacer parą moich gniadych.

Maggie, anielska kobieta, spuściła wzrok z pewnym zakłopotaniem.

— Pan Hazlit właśnie spełnił jeden z moich rzadkich kaprysów, ale dziękuję ci, milordzie, za tę propozycję.

— Może innym razem. — Deene skłonił się po raz kolejny — jakim cudem ten drań wyglądał elegancko, kłaniając się z siodła? — i oszczędził im swojego sympatycznego, wścibskiego towarzystwa.

— Możemy już jechać do domu? — W jej oczach zgasł blask, policzki zbladły. Posmutniała i poszarzała.

— To pani powozi. Niech pani nas wiezie, dokąd pani chce.

Skręciła w główną alejkę, a Benjamin wciąż nie wiedział, co zepsuło ich spacer. Ten flirciarz Deene? Jej Wysokość? A może jakieś jego nieopatrzone słowo lub gest?

Trudno powiedzieć, czemu po trzech dekadach wychowywania mu dzieci, sprzeczek, miłości i kolejnych sprzeczek Jego Wysokość Percival St. Stephens Tiberius Joachim Windham stał się jeszcze droższy dla swojej żony, niż przedtem. Przyjmował to jako bezcenny dar, na który nigdy nie będzie w stanie zasłużyć.

Pocałował żonę w policzek.

— Ci przekłeci idioci są z każdym dniem coraz głupszy, Esther. — Objął ją w tali i westchnął w jej bladozłote włosy. — Prinny ciągle buduje jakieś swoje militarne fanaberie, a szeregowcy przymierają głodem. Chyba przejdę na emeryturę i wyniosę się do Morelands na stałe.

— Domyślam się, że spotkania były niełatwe? — Zaczęła masować mu kark. Książę poczuł, jak opuszcza go napięcie i ulatniają codzienne troski, jakby był starym psem, który w końcu może rozłożyć się na ulubionym dywanie przy kominku.

— Zawsze są niełatwe. Jeśli Izba Lordów nie zdecyduje się na eleganckie ustępstwa w drobnych sprawach, czeka nas bunt. Wspomnisz moje słowa, Esther.

— Chodź. — Wzięła go za rękę i podprowadziła do ulubionego fotela. — Powiedz mi, kto ci sprawia największe kłopoty, a ja zaproszę damy z jego rodziny na herbatkę.

Gdy opowiadał o trudnych głosowaniach, które nie przyniosły efektu, ściągnęła mu buty i przyniosła kieliszek wina, a potem usiadła obok z haftem i słuchała, jak drobiazgowo analizuje wszystkie wypowiedzi i propozycje, jakie padły na naradach u niego.

— Rozmawiałeś na te tematy z Westhavenem? — spytała godzinę później.

Pytanie dotarło do niego po pewnym czasie, bo właśnie spostrzegł, że w blasku świec profil jego żony jest dokładnie taki sam jak trzydzieści parę lat temu: łagodny, pełen wdzięku i spokoju. Dzięki Bogu, że miał dość rozsądku, by poślubić Esther, a nie jedną z tych kokietek, które próbowały zawrócić mu w głowie.

— Tylko dziecko go interesuje — odpowiedział, zaglądając do pustego kieliszka. — I tak powinno być.

— Mógłby się na chwilę oderwać — sprzeciwiła się księżna, odkładając tamborek. — Annie też by się przydała chwila wytchnienia, gdy jej małżonek będzie cię od czasu do czasu odwiedzał w sprawach polityki. Odziedziczył po tobie umiejętność pojęcia na kompromis, ale jeśli ma zająć twoje miejsce, powinien przejąć twoją siatkę szpiegów i partyjnych kolegów.

Wstał i nalał sobie pół kieliszka wina. Rok temu, po ataku serca, żona powitałaby to zmarszczeniem brwi. Dwa lata temu wypiłby już pół butelki.

— Gdzie ty się nauczyłaś tak mną rządzić, kochanie? — Przysunął do jej warg kieliszek, z którego elegancko upiła łyżeczkę, a potem z powrotem usiadł w fotelu. — Chcesz powiedzieć, że powinienem oddać Gayle'owi moje miejsce w polityce, ale robisz to w taki sposób, że czuję się

mile polechtany i ani się obejrzą, a z własnej nieprzymuszonej woli przejdę na emeryturę.

Spuściła wzrok i lekko zacisnęła wargi, jakby nie wiedziała, od czego ma zacząć następny temat. Doskonale znał tę minę, więc czekał cierpliwie.

— Chciałabym poznać twoje zdanie w pewnej sprawie. — Podniosła na niego wzrok. Miała takie piękne zielone oczy.

Uniósł kieliszek w jej stronę.

— Pytaj, ukochana. Wiesz, że niczego ci nie odmówię.

— Jak oceniasz Lucasa Denninga?

Aha. Znowu swaty. Cała rodzina uważała, że księżę ma obsesję na punkcie stworzenia dynastii i że imał się przeróżnych sposobów, by posłać swoich synów na ślubny kobierzec. Rzeczywiście, rodzina się nie myliła, ale zapominano, że jego żona była co najmniej tak samo, a może i bardziej, zainteresowana tą sprawą. Przecież to ona zatrudniła Bena Hazlita, by zbadał przeszłość żony Westhavena, to ona podsuwała różne sugestie St. Justowi, kiedy rozważał temat swojego pochodzenia, i to ona trzęsa się nad Valentine'em, który postanowił spędzić zimę u tegoż St. Justa — na wyżynach Yorkshire! — choć całkiem niedawno włożył na szyję małżeńskie jarzmo.

Z Esther Windham bezwarunkowo należało się liczyć. Deene znalazł się w polu jej matrymonialnego ostrzału, a więc był stracony.

— Jakoś sobie radzi — odparł. Neutralna odpowiedź, pasująca do większości mężczyzn w wieku od czterech to stu czterech lat. — A czemu pytasz?

— Co to znaczy jakoś? — Znowu zajęła się wyszywaniem. Taktyczna sztuczka, żeby ukryć przed mężem wyraz twarzy.

— Dziedziczenie tytułu zawsze wiąże się z żalobą i poczuciem straty. Deene miał nie najlepsze układy z ojcem, mimo że trudno za to winić chłopaka. Stary markiz był bezwzględny, choć trzeba przyznać, że miał wspaniałą psiarnię. Sądzę, że Deene doskonale sobie poradzi, jeśli znajdzie odpowiednią kandydatkę na markizę.

— Czy uważasz, że byłiby dobraną parą z Evie?

— Z Evie?

Z ich małą dziewczynką? Niemal o niej zapomnieli, gdyż całą ich uwagę pochłonęli Bart i St. Just.

— Jeśli pozwoli mu się do siebie zalecać, może reszta sióstr jej pozazdrości i też zainteresuje się zamążpójściem. Jak do tej pory, tylko Sophie dała wszystkim dobry przykład.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Odłożyła ten przeklęty tamborek i spojrzała na męża, marszcząc brwi.

— Iskry lecą, kiedy ta para rozmawia, ale niezbyt mi się to podoba. Deene rzucił dziś uwagę świadczącą, że wie o niechęci Evie do koni, i nie chciał porzucić tego tematu. Być może przesadzam, ale matki zawsze się martwią o takie rzeczy.

Poklepał jej rękę.

— Dobre matki się o to martwią.

Jeśli się dobrze zastanowić, to matka, która pochowała dwóch dorosłych synów, miała prawo się martwić o swoje dzieci.

— Myślisz, że byłby odpowiednim kandydatem?

Znowu do tego wraca?

— Esther, nie widzę powodów, by odrzucić jego kandydaturę, jeśli o to pytasz. Gdy głosuje, robi to w odpowiedzialny sposób. Nie zawsze trzyma się wytycznych partii, ale zawsze ma po temu rozsądne powody, zresztą ja sam też czasem wyłamuję się z partyjnej dyscypliny. Jeśli człowiek głosuje zgodnie ze swoim sumieniem, ci wszyscy idioci robią się nagle całkiem przytomni. — Pociągnął łyk wina i obserwował reakcję żony.

— W takim razie wszystko zależy od Evie, prawda? Ale rozpytasz się o niego?

Innymi słowy, ma rozesłać wywiadowców. Wielki Boże... śluby synów to jedno — ich żony stały się fantastycznym uzupełnieniem rodziny, a wnuki okazały się jeszcze większą przyjemnością. Pogodził się z koniecznością oddania Sophie Sindalowi, którego majątek leżał zaledwie kilka mil od Morelands — ale jak tu wydać za mąż jego dziewczynkę?

Jest zbyt kochana, żeby rzucić ją w ramiona pierwszego lepszego przystojnego, rozpuszczonego jak dziadowski bicz markiza.

— Napuszczę na niego Hazlita. Wkrótce będziemy wiedzieli, po której stronie łóżka Deene lubi sypiać i jakiego mydła używa w kąpieli. Chcesz ostatni łyteczek? — Podał żonie kieliszek.

— Dzięki. Widziałam dziś pana Hazlita w parku. Maggie powoziła parą jego gniadych, całkiem ładnie wyglądała. Chyba już czas zejść na kolację.

Odstawiła kieliszek i pozwoliła, żeby pomógł jej wstać.

— Dostałam dziś list od Rose. Pytała, czy zechcesz odwiedzić ją tego lata.

— Rose chce widzieć swego dziadzia? Patrzcie no tylko!

Poprowadził księżną do jadalni, sensownie odpowiadał na wszystkie pytania córek, przydawał przy jowialnym, sympatycznym rodzinnym posiłku, jak wiele razy przedtem. Ale cały czas się zastanawiał, dlaczego Esther naopowiadała mu tyle o Evie i młodym Deenie, wyłącznie po to, by zamaskować zaskakującą nowinę: oto ich droga Maggie w końcu pojechała na spacer z kawalerem, który być może zacznie się ubiegać o jej rękę.

Archer podał Benowi drinka, a potem nalał kieliszek dla siebie.

— Nie spodoba ci się to.

— Masz na myśli whisky? — Ben powąchał złocisty płyn, który miał ten sam subtelny, dymny zapach co zwykle. Zapach odprężenia i komfortu. — O co chodzi, Archer?

— Nie spodoba ci się mój raport.

Dzień był długi i pracowity — Ben był tak zajęty, że nie miał czasu porozmawiać z Archerem na osobności, a co dopiero omówić najnowsze wydarzenia w sprawie Windhamów.

Usiadł na sofie w bibliotece i ściągnął buty.

— Jeszcze bardziej mi się nie spodoba, jeśli będę musiał na niego czekać przez resztę nocy.

Archer ustawił wolterowski fotel pod kątem prostym do sofy i oparł odziane w pończochy nogi na niskim stoliku.

— Abby Norcross zniknęła z horyzontu. Albo dowiedziała się, że ją obserwujemy, albo ma miesiączkę.

— Jeszcze nie dogadałeś się z jej pokojówką? — Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Ben zaczął się zastanawiać, dlaczego zajmuje się sprawami, które wymagają gromadzenia tego rodzaju informacji.

Wkraczanie w życie prywatne dam tak dalece, jak oni to robili, było po prostu niesmaczne.

— Dogadałem się, ale ostatnio byłem troszkę zajęty. Do twojej panny Windham przyszło z wizytą dwóch panów.

— Dwóch? O tej samej porze? — Mężczyźni odwiedzający we dwóch piękną kobietę zwykle pilnowali się nawzajem albo, wręcz przeciwnie, popełniali najgorsze głupoty.

— O tej samej porze. I nie zapukali do frontowych drzwi. Wpuszczono ich od kuchni, po zmroku. Przyszli przez łąki.

— Przez kuchenne drzwi, po zmroku. Miałeś rację. Rzeczywiście to mi się nie podoba.

Ben pociągnął łyk whisky i poczuł ciepło pulsujące w żołądku.

— Rozumiem, że to nie byli lokaje, wracający z pubu po zmroku?

— Wysocy, mocno zbudowani, poruszali się ze sprawnością młodzików, i było w nich coś dziwnego... — Zapadła irytująca cisza.

— Stłukę cię na kwaśne jabłko, Archer, bo stroisz sobie ze mnie żarty.

— Może trochę.

W dodatku ten drań uśmiechnął się, udając, że rozważa jego groźbę.

— Miałem wrażenie, że widzę tego samego człowieka w dwóch egzemplarzach. I to było naprawdę dziwne. Benjaminie, ci ludzie poruszali się identycznie, jak wyszkoleni.

— Czegoś takiego można się nauczyć tylko na scenie.

Dwaj mężczyźni? Wysocy mężczyźni? Weszli do domu Maggie przez kuchnię? Rzeczywiście mu się to nie spodobało, ale nie zamierzał dawać Archerowi satysfakcji.

— W naszym zawodzie też przydaje się takie przeszkolenie — rzucił Archer.

— Bzdura.

Niestety, wszystko zaczęło się logicznie układać. Jeśli Maggie miała jakieś tajemnice, to wcześniej czy później powinien się natknąć na dwóch osiłków w pobliżu jej domu.

— Nie widziałeś ich twarzy?

— Było za ciemno. Mieli na sobie przyzwoite, nierzucające się w oczy ubranie. Nie wyglądali na robotników, raczej na rzemieślników lub nauczycieli, złotników, sekretarzy... coś w tym rodzaju.

— Może przyszli z wizytą do służących? Prawo nie zabrania służbie życia towarzyskiego po godzinach pracy. Maggie na pewno na to pozwala.

— Nie wiem. Możesz spytać swoją damę, czy wie o wizytach tych dryblasów, a jeśli tak, to po co do niej przychodzą.

Tak, ale wtedy musiałby się przyznać, że ją szpiegował. Nic z tego.

— Jak długo tam siedzieli?

— Około godziny. Nie przynieśli nic ze sobą i niczego nie wynieśli. Poszedłem za nimi do tawerny pomiędzy Soho a St. James, ale straciłem ich z oczu, bo... coś mnie rozproszyło.

Pewnie jakiś flirt, albo i gorzej.

— Umrzesz na wstydliwą chorobę, Archer. I kto mi wtedy będzie pomagał? Hm?

— A raczej, kogo będziesz straszyl biciem, to chciałeś powiedzieć, prawda?

Archer uwielbiał komplementy i odplacał się za nie słodkim, nieśmiałym uśmiechem, który mało kto miał okazję oglądać.

— Nie widziałeś nic, poza dwoma dziwnie podobnymi do siebie dryblasami z klasy średniej, których wpuszczono przez kuchenne drzwi?

— Widziałem, jak ta mała pokojówka, ta pomocnica, uśmiecha się do nich na powitanie, ale potem zamknęli drzwi. Zawsze zasłaniają tam okna po zmroku, więc nic nie udało się podejrzeć.

— Masz więc rozwiązanie: para dryblasów zaleca się do dziewczyny. Nawet pomocnica pokojówki ma prawo do romansów.

Tylko że Maggie zdradziła mu, że pokojówka kocha się w majordomusie.

— Z dwoma naraz? Po nocy? Tak się nie zaleca do porządnych dziewcząt.

— Dopij whisky, Archer, a potem dam ci łupnia w karty.

Im dłużej trwały poszukiwania torebki i jej zawartości, tym bardziej Maggie żałowała, że zwróciła się do pana Hazlita o pomoc.

Przejażdżka w parku udowodniła, że trzeba go odwieść przynajmniej od pomysłu zalecania się do niej. Wystarczyło jedno spojrzenie lady Dandridge i Maggie kompletnie straciła odwagę. Ta kobieta była największą plotkarą w towarzystwie i strach było pomyśleć, ile wiedziała i jak wielu osobom to rozgadała.

— Pan Hazlit przyszedł, panienko. — Millie dosłownie tańczyła z emocji, że może zapowiedzieć wizytę mężczyzny.

— Przyjmę go we frontowym... albo lepiej w moim prywatnym salonie.

W taki piękny, słoneczny dzień okna we frontowym salonie były zasłonięte, między innymi z powodu wczorajszej przejażdżki z tymże panem Hazlitem. Socjeta była aż tak ciekawska, zaś Maggie — przeszkolona przez Jej Wysokość — aż tak przewidująca.

— Chodźmy razem. — W drzwiach do gabinetu stał Hazlit w eleganckim stroju jeździeckim i uśmiechał się niewinnie do Millie. — Przydałoby się nam coś na przekąskę.

Pokojówka zniknęła, uśmiech na jego twarzy przygasł, a spojrzenie ciemnych oczu skupiło się na Maggie.

— Nie wyglądasz dziś na szczególnie wypoczętą, kochanie. — Wyciągnął do niej rękę. — Może to sny o mnie nie dały ci spać całą noc?

— A może zjadłam nieświeżą rybę, z podobnym skutkiem? — Zamrugła, niezbyt z siebie zadowolona, bo Hazlit znowu się rozpromienił.

— *Touche*. — Ten idiota sklonił się i ucałował szarmancko jej rękę, robiąc z tego całe przedstawienie. Oboje byli bez rękawiczek, więc nie tylko dotykał jej dłoni, ale także powoli

przesunął drugą rękę po kostkach i palcach, potem przycisnął usta do grzbietu dłoni, a następnie dotknął tego miejsca czołem.

Miała wielką ochotę wyrwać mu tę rękę. Z drugiej strony zaciekało ją nagle, jak by się zachował, gdyby przeczesalała palcami jego włosy, by rozprostować miejsce, w którym przygniótł je kapelusz.

Gdy się wyprostował, jego oczy błysnęły tak wyzywająco, że nie odważyła się zaspokoić tej ciekawości.

— Interesujący pokój. — Puścił jej dłoń i rozejrzał się wokół.

— Zupełnie zwyczajny. — Maggie powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem: cztery białe ściany, na dwóch półki z książkami, broszurami i traktatami, na kolejnych dwóch okna wpuszczające dzienne światło i świeże powietrze. Do tego biurko i kominek. Nic szczególnego.

— Kto to? — Hazlit spoglądał na portret mężczyzny w mundurze: wysokiego blondyna o psotnych zielonych oczach. — Wygląda, jak ktoś z rodziny Windhamów.

— Mój nieżyjący brat, Bartholomew.

Nic nie odpowiedział, ale przyglądał się portretowi przez dłuższą chwilę, zanim zajął się następnym.

— A to?

— Victor, mój drugi zmarły brat.

Namalowano go w pozycji siedzącej. Miał suchoty już wtedy, gdy pozował do tego obrazu.

— Możemy już iść na górę?

Hazlit zmarszczył brwi, a potem zaczął się znowu rozglądać i węszyć. Oglądał poduszki haftowane przez jej siostry, oprawiony manuskrypt krótkiego walca, który Valentine napisał z okazji jej debiutu w towarzystwie, serwis do herbaty, który dostała od księżnej na nowe mieszkanie, jej bezwstydnie pochlebny portret, który Victor naszkicował, gdy była małą dziewczynką; stary myśliwski bat papy, zwinięty i powieszony obok portretu Barta.

— Ma pani psa? — Znowu zmarszczył brwi, przyglądając się staremu posłaniu Blake'a przy kominku.

— Kiedy się tu przeprowadziłam, mój brat Gayle dał mi wielkiego szorstkowłosego mastifa, staruszka, który potrzebował spokojnego domu na ostatnie lata życia. Te psy nie żyją zbyt długo.

Wstała i ruszyła ku drzwiom. Najchętniej siłą wyciągnęłaby go z tego pokoju.

— Mam nadzieję, że nie zamierza mnie pan znowu zabrać na przejażdżkę?

— W żadnym razie. — Dzięki Bogu, ruszył w ślad za nią. — Zamiast tego wybierzemy się na zakupy.

Uwielbiała sklepy.

— Obawiam się, że nic z tego.

— W takim razie nie wybierzemy się. — Przepuścił ją przodem w drzwiach do prywatnego salonu. — Zajrzemy jednak do kilku magazynów, bo chcę zobaczyć, gdzie pani kupiła tę torebkę. Może uda nam się znaleźć taką samą.

— Rozumiem.

— Co pani rozumie, panno Windham? — Znów zaczekał, aż Maggie usiądzie. Wybrała fotel bujany przy kominku, w bezpiecznej odległości od wszystkich miejsc, gdzie mógłby się usadowić.

— Mogłabym ją panu narysować — zaproponowała. — Niech pan siada, panie Hazlit. Proszę nie stać damie nad głową, to jest w złym tonie.

Kocim ruchem przesunął się w stronę okna.

— Wybrała pani ten dom, bo jest na uboczu, prawda? Ma mur, otaczają go drzewa i stoi na rogu ulic, co oznacza, że sąsiedzi nie mogą pani podglądać.

— Wybrał go dla mnie Gayle, ale rzeczywiście powiedziałam mu, na czym mi zależy.

Odwrócił się tyłem do okna i oparł biodrami o parapet. Jej bracia też byli wysocy i lubili tak stać.

— Jest pani blisko z Westhavenem?

Znowu to wścibstwo i wypytywanie. Niech go piekło pochłonie.

— Kocham moją rodzinę, panie Hazlit. Można powiedzieć, że jestem mocno związana z całym moim rodzeństwem.

— Nie przedkłada pani nikogo nad innych?

Kiedy wreszcie wniosą tę przeklętą tacę?

— Byłam blisko z Bartem, moim rówieśnikiem, a Victor wszędzie mi towarzyszył, bo Valentine zajmował się resztą sióstr. Czemu pan pyta?

— Mężczyzna zainteresowany kobietą chce wszystko wiedzieć o jej najbliższych.

Uśmiech, którym ją poczęstował, był czystą sacharyną.

— Chciałaby pani wiedzieć coś o moich?

— A jest wśród nich ktoś, kto mógłby mnie zainteresować? — Udało jej się powiedzieć te słowa z niezmiernie satysfakcjonującym znużeniem. Podejrzewała, że Hazlit jest lepiej skoligacony, niż się do tego przyznaje, być może nawet odziedziczy tytuł. Dowodziła tego jego wizytówka.

— Każdy ma jakieś sekrety, panno Windham. Czy mogę mówić ci po imieniu, Maggie?

Kiedy zdążył odejść od okna? Siedział teraz na oparciu sofy, w pozie, która pozostawiała wiele do życzenia, w dodatku bardzo blisko niej.

— Jeśli pan ma udawać zaloty, panie Hazlit, powinien pan zachowywać maniery, bo swobodny styl bycia nie robi na mnie należytego wrażenia.

— Jeśli mam się do ciebie zalecać, moja miła Maggie, to będę pozwalać sobie na wszelkie poufałości, przeciwko którym nie zgłosisz wyraźnego sprzeciwu.

Ściszył głos i wpatrywał się w nią wzrokiem właściciela, nie sposób było tego określić inaczej. Na szczęście stukanie do przymkniętych drzwi — Maggie nie przypominała sobie, by zostawiła je ledwie uchylone — zaanonsowało wreszcie Millie z tacą.

— Proszę mi pozwolić. — Hazlit przemierzył pokój trzema krokami, wpuścił pokojówkę i wziął od niej tacę. — Dziękujemy.

My?

— Myślę, że naprawdę potrzebuje pan żony, panie Hazlit, bo pana opiekuńcze zachowania są bardzo przekonujące.

— Może i tak.

Postawił tacę na stole. Maggie dostrzegła w jego oczach cień smutku.

— Mogę nas obsłużyć?

W tych prozaicznych słowach był jakiś daleki od niewinności podtekst, ale Maggie nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

— Jak pan sobie życzy.

Nie pytając, przygotował dokładnie taką herbatę, jaką zwykle pijała: z dużą ilością śmietanki i odrobiną cukru. Wybrał też dla niej kanapkę z masłem i grubym plastrem żółtego sera, i dołożył kilka dojrzałych truskawek.

— Skąd pan wiedział, na co miałam ochotę?

Rzeczywiście nie pomylił się.

— Łut szczęścia. Nie ufa mi pani, prawda?

— Ufam, że odnajdzie pan moją torebkę.

Wziął kanapkę z pieczoną wołowiną i serem i pochłonął ją w dwóch kęsach.

— Chce pani, żebym ją znalazł, ale mi pani nie ufa. Będziemy musieli nad tym popracować.

Zmarszczyła nos nad filiżanką herbaty.

— Chcę, żeby pan znalazł zgubę, a nie zaręczył się ze mną.

Bez zaproszenia sięgnął po kolejną kanapkę, jakby już byli rodziną.

— Ona ci nie zginęła, Maggie Windham. Ktoś ukradł ci coś wartościowego. Nie muszę wiedzieć, co to było, choć bardzo by mi to pomogło.

Sączyła herbatę, by zyskać na czasie.

— Dlaczego pan uważa, że ją skradziono?

Westchnął i poprawił się na sofie. Bardzo powoli odstawił na tacę filiżankę wraz ze spodkiem.

— Mieszkasz sama, ale twój papa i bracia prawdopodobnie dokładnie przyjrzeni się całej twojej służbie, prześwietlając ich na wylot, przy udziale Jej Wysokości. Nie jesteś roztargniona, a domownicy są ci oddani. Kiedy ostatnio coś naprawdę straciłaś, Maggie?

Straciła dwóch braci, dwie osoby, z którymi łączyła ją przyjaźń...

— Jeśli zgodzę się, że to była kradzież, to zacznij mnie pan wypytywać na nowo.

Przyglądał jej się długą chwilę, chmurnie marszcząc brwi.

— Nigdy nie plotkuję i nie zdradzam tajemnic. Naprawdę. W mojej pracy byłoby to zgubne, żeby nie powiedzieć niehonorowe. Proszę nie traktować mnie jak pary uszu. Myśl o mnie raczej jak o mechanicznej zabawce. Jeśli nakręcisz mnie odpowiednio, dając wystarczająco dokładne informacje, to znajdę twoją torebkę, wraz z zawartością. Nie będę cię oceniał, niezależnie od grzeszków, jakie popełniłaś.

— Tylko tak pan mówi.

Wstała i podeszła do okna, żeby znaleźć się od niego jak najdalej, nie wychodząc z pokoju, z domu ani z miasta.

Miała ogromną, przemożną pokusę, żeby mu się zwierzyć. Demonstrował tę szorstką pewnością, która pozwalała wierzyć, że rzeczywiście potrafi wysłuchiwać okropnych historii, nie wydając sądów. Pewnie robił to już mnóstwo razy w niezliczonych rezydencjach w całym Mayfair.

— Opowiem ci coś — powiedział, podchodząc do niej. Spoglądał z absolutną powagą, jak człowiek godny pełnego zaufania. Wziął ją za rękę, podprowadził do sofy, posadził na niej obok siebie. Już raz siedzieli tak blisko siebie, w jego dwukółce, ale teraz Maggie czuła się zupełnie inaczej. — To nie będzie wesoła historia — zaczął i splótł palce ich dłoni. Maggie pozwoliła na to, nie chcąc wszczynać sporu. Ten dotyk, podobnie jak inne, nic dla niego nie znaczył, ale pomimo tego dawał poczucie bliskości z drugim człowiekiem.

Wy tłumaczyła sobie w duchu, że znosi ten dotyk z konieczności i wcale się nim nie raduje.

— Dlaczego chce mi pan opowiedzieć smutną historię?

— W dowód zaufania. — Wargi mu zadrgały i uśmiech zgasł. — Mam dwie młodsze siostry. Wiele lat temu wybrały się na przejażdżkę po naszej posiadłości, w bardzo nieodpowiednim towarzystwie. W wyniku tego zaręczyny starszej zostały zerwane, a młodsza odniosła obrażenia na ciele.

Skandal. Tak to się zawsze kończyło. Ktoś skrzywdził młode, niewinne kobiety, które w dodatku oskarżono o skandaliczne zachowanie. Mówiąc „nieodpowiednie towarzystwo”, Hazlit użył łagodnego określenia. Maggie była tego pewna. Wielki Boże.

— Przetrzywały to jakoś?

Zacisnęła usta.

— Lepiej nie pytaj o szczegóły.

— Chcę wiedzieć, czy sobie z tym poradziły. To nie jest szczegół — odparła surowo.

Przyglądał jej się z uwagą.

— Nie wiem. — Przeczesał włosy dłonią. — Naprawdę nie wiem, czy sobie z tym poradziły i czy kiedykolwiek w końcu pogodzą się z losem, ale obie wyszły za mąż, dlatego nie mam już prawa troszczyć się o ich dobro.

Więc o to chodziło. Nie tyle o tę smutną historię, ile o wyznanie, że on, starszy brat, nie potrafił dopisać do niej sensownego zakończenia. Naprawdę jej zaufała, ale nie w tym sensie, w jakim zamierzał. Była o tym przekonana.

— Proszę mi opowiedzieć o nich coś więcej.

W dalszym ciągu trzymali się za ręce. Chcąc odwrócić jego uwagę, zaczęła głaskać wskazującym palcem jego dłoń.

— Jak mają na imię?

Do licha, jak do tego doszło? Benjamin czuł się nieswojo, jakby jego skóra nagle stała się przyciasna. Opowiedział jej rodzinną historię, o której milczał przez dwanaście lat. Chciał, by wiedziała, że w jego rodzinie też doszło do skandalu. I że nie zamierza potępiać jej uczynków, jakiegokolwiek by one były. Zwłaszcza że on, kiedyś, nie zapewnił swoim siostronom opieki, gdy znalazły się w niebezpieczeństwie.

— Alexandra i Avis. Avis jest starsza i mieszka niedaleko naszej rodzinnej posiadłości w Cumbrii.

— Słyszałam, że tam jest bardzo pięknie.

Wolną ręką nalała mu herbaty, wysypała cukier i zamieszała napar, jakby rozmawiali o rąbku sukni, który oderwał się komuś na wczorajszym balu.

— Cumbria jest... nie do opisanego. Trzeba ją samemu zobaczyć. W całej Anglii nie ma takiego drugiego miejsca. Światło jest tak... przejrzyste, a wrzosowiska tak dzikie... Lasy ciągną się aż do podnóża gór i są tak piękne, że człowiek cieszy się, że ma oczy do patrzenia i płuca do oddychania. Nie mam pojęcia, jak Alex znalazła dość siły, żeby wyjechać na południe...

Podawała mu filiżankę, gdy umilkł na moment.

— Jest pan dobrym bratem — powiedziała, głaszcząc kostki jego dłoni. Jej wzrok spoczął na ich splecionych palcach. Hazlit udawał, że popija herbatę. — Może rzeczywiście powinniśmy wybrać się na Strand. Mam tam kilka ulubionych sklepów i w jednym z nich kupiłam pewnie tę torebkę.

Puściła jego dłoń i wstała.

— Wezwę powóz, dziś chyba będzie padało. Przepraszam na chwilę, pójdę włożyć płaszcz i kapelusz.

Wróciła po krótkiej chwili, ale zdążył przez ten czas zjeść kilka kanapek. Płaszcz i kapelusz były tak niepozorne, że wręcz prostackie, a torebka jeszcze bardziej bezosobowa niż odzież.

Kamuflaż. Świetny pomysł, gdy ktoś wybiera się na wyprawę do dżungli.

Wcale nie zbierało się na deszcz, w każdym razie nie w najbliższym czasie, ale nie sprzeciwiał się przejażdżce w zamkniętym powozie. Oznaczało to, że pojedzie z nimi jej służąca. I bardzo dobrze, bo może to powstrzyma go od rozwodzenia się nad czystym powietrzem i głębokimi lasami. Na litość boską, co się z nim dzieje?

Przejażdżka okazała się udana. Bez trudu znaleźli identyczną torebkę. Maggie Windham naprawdę doskonale wiedziała, gdzie kupuje swoje rzeczy, ile za nie zapłaciła, kto ją obsługiwał i kiedy dokonywała zakupów.

Gdy weszła do sklepu wsparta na ramieniu Benjamin, subiekci wymienili między sobą ledwie zauważalne, udręczone spojrzenia, które oznaczały, że pojawił się wybredny klient. Benowi pozostało tylko stać obok w roli nieszkodliwego, zakochanego po uszy kawalera, i patrzeć, jak Maggie rozstawia po kątach cały personel. Z przyjemnością obserwował ją w działaniu. Prowadzenie towarzyskiej pogawędki było o wiele trudniejszym zadaniem.

Benjamin wiedział, jak wyciągać wiadomości z osób wysokiego, średniego i niskiego pochodzenia. Wiedział, jak flirtować z kobietami z każdej sfery. Nauczył się nawet flirtować z mężczyznami i ku swej cichej konsternacji był w tym bardzo dobry.

Umiał się przekomarzać z kobietami i z mężczyznami.

Nie umiał tylko po prostu... rozmawiać.

Za to Maggie Windham umiała. Gdy usiedli w powozie i dała sygnał, by stangret ruszył, oddała służącej zakupy i posłała Benowi szczery uśmiech.

— Brat mówił mi, że przejawia pan całkiem spory talent malarski, panie Hazlit. Był pan już na wystawie niemieckiego malarstwa w Muzeum Królewskim?

Był, i bardzo mu się spodobała. Ale kiedy uświadomił sobie, że bełkoce o perspektywie i melancholijnych obrazach, ona już zmieniła temat.

— Pana rękawiczki są doskonale uszyte. Czy może pan zdradzić, gdzie je kupił? Zauważyłam, że mój najmłodszy brat bardzo szybko zdziera swoje.

— Lord Valentine?

— Tak, nasz rodzinny muzyk, choć Jej Wysokość zadbała o to, by każde z nas dobrze grało przynajmniej na jednym instrumencie. Jest pan muzykalny?

Pomyślał o Avis, która zdziwaczała do tego stopnia, że grała na flecie, wędrując po leśnych ścieżkach wokół Blessings.

— Potrafię niezłe akompaniować, ale nie nadaję się na solistę. A pani?

— Przez cztery lata męczyłam pianino, a potem zagroziłam, że wezmę się do dud. Jej Wysokość kazała mi sobie wbić do głowy dwa utwory do wykonywania na przyjęciach, po czym uznała, że spełniłam swój obowiązek.

— Nauczyła się pani grać na tych dudach?

— Próbowałam, ale to trudny instrument. Poza tym bracia mi ciągle dokuczali, więc zrezygnowałam. Mieszkańcy Morelands z pewnością ucieszyli się z mojego braku konsekwencji. Zwierzyna raczej też.

— Ale nie zrezygnowała pani tak po prostu, prawda?

Na pewno dała tym dudom spokój, dopiero wtedy gdy postawiła na swoim. Tacy jak ona nie rezygnują z czegoś tylko dlatego, że napotykają trudności. Maggie była konsekwentna z natury. I stoicko cierpliwa.

Było w niej jeszcze coś... musiał się przez chwilę zastanowić, by zrozumieć, co to takiego.

Gdy szła na zakupy, to szła na zakupy. Nie flirtowała z subiektami, nie traciła czasu na pogawędki z przypadkowo spotkanymi znajomymi, nie kręciła się bez celu, czekając, aż socjeta dostrzeże jej wyszukane toalety.

Nawet w zatłoczonych sklepach, wśród osób, które znały ją z widzenia, Maggie była samotna.

Znał to dobrze. Jego siostry też zaczęły się tak zachowywać, choć w dzieciństwie były towarzyskie, gadatliwe i sympatyczne. Niewinne dzieci, niemające pojęcia, jak smutne może być życie młodej kobiety.

Miał nieokreślone wrażenie, że Maggie Windham też utraciła niewinność... i zrobiło mu się jej żal.

To był błąd. Nie wolno angażować się emocjonalnie w sprawy klientów, nawet takich, z którymi od czasu do czasu trzeba się całować. Opiekuńczość to jedno — był przecież dżentelmenem, a ona damą w opresji — ale inne bzdury...

Gdy dojechali do domu, skłonił się przed nią, nie dotykając nawet jej dłoni, i dosiadł swego wałacha.

Koniec z całowaniem rączek.

Koniec z dzieleniem się rodzinnymi problemami.

I, na litość boską, koniec z rozmowami.

— Przyszła lady Maggie z wizytą, milordzie.

Gayle Windham, hrabia Westhaven i spadkobierca księstwa Moreland, podniósł wzrok na swego lokaja.

— Moja siostra tu jest?

Sterling skinął głową.

— Zaprosiłem ją do rodzinnego salonu i zaraz podam herbatę.

— Rozumiem, że moja żona jeszcze nie wróciła z zakupów?

— Jest jeszcze wcześniej, milordzie.

Długa twarz Sterlinga była doskonale obojętna, bez śladu rozbawienia ani zniecierpliwienia. Tylko w oczach pojawił się cień współczucia. Dobra żona to życiowy atut dla każdego mężczyzny — Anna zaś bez wątpienia była dobrą żoną — ale też źródło ciągłych zmartwień, zwłaszcza gdy godzinami kręci się po mieście zupełnie sama, jeśli nie liczyć służby.

— Witaj, braciszku. — Maggie wsunęła się do biblioteki i zlustrowała go od stóp do głów, gdy wstawał zza biurka. — Westhaven, powinieneś od czasu do czasu wyjść na świeże powietrze, ale twoja żona ma lepsze rzeczy do roboty niż wyciąganie cię na światło dzienne z tej jaskini. Sterling, napijmy się herbaty na tarasie. Może być darjeeling i coś porządnego do zjedzenia dla

Jego Lordowskiej Mości.

Pocałowała Westhavena w policzek, zanim zdążył dorzucić choć słowo.

— W takim razie chodźmy na taras. Ładnie wyglądasz, Maggie.

— Bo nie siedzę całymi dniami za biurkiem, mamrocząc przekleństwa i zaklęcia pod adresem moich rozrzutnych siostr i kupców, którzy je nieustannie wodzą na pokuszenie. — Uśmiechnęła się przy tym niespodziewanie, co kompletnie zbiło go z pantafelku. — Ale ty uwielbiasz mamrotać pod nosem i uprawiać magiczne sztuczki finansowe. Jak się czuje kochana Anna?

Wstrzymał się z odpowiedzią, do chwili gdy znaleźli się na dworze, bo Maggie nigdy nie zadowolalała się komunałami. Wyglądała... fantastycznie, jak zwykle. Jej ubiór celowo ukrywał urodę — figurę, którą nawet brat, jeśli tliła się w nim choć odrobina życia, musiał uznać za kobiecą, cudowną skórę, przejrzyste zielone oczy i te włosy...

— Anna czuje się dobrze, choć macierzyństwo wymaga poświęceń.

Przysunął siostrze kute żelazne krzesło, ustawione w cieniu, ale pocętkowanym słonecznymi plamami. Tulipany szalały wszędzie dzięki ogrodniczym wysiłkom Anny, a Maggie zawsze kochała przyrodę.

— Ojcostwo też wymaga poświęceń — powiedziała, przyglądając mu się uważnie, i zdjęła rękawiczki. — W pewnych sprawach człowiekowi pozostaje tylko się modlić. Więc modlę się za was oboje.

Umilkła, gdy w polu widzenia zjawili się dwóch lokajów, jeden z herbatą na tacy, drugi z kanapkami, plastrami owoców i marcepanu. Zakrzętała się przy herbacie.

— Czy ktoś rozmawiał z tobą w sprawie kanału Jamisona? — Podała mu filiżankę, a potem naląła drugą dla siebie.

— Owszem. Przedsięwzięcie wygląda obiecująco i stoi za nim rzetelny kapitał. — Pociągnął łyk herbaty. Sama Anna nie przygotowałaaby lepszej.

— Nie daj się oszukać. Ten człowiek jest bez grosza, pomimo pary pięknych siwków i apartamentów na Brook Street. Odwiedził Wortha Ketteringa w nadziei na jakąś życiową odmianę, ale Kettering powiedział mu, że nie może teraz rozmawiać o nowych przedsięwzięciach. Jamison ma wszędzie długi. A Kettering nie znosi durniów.

— Maggie, przerażasz mnie. — Legendarna dyskrecja Ketteringa, prawnika i biznesmena, była powszechnie znana. — Skąd ty się dowiadujesz takich rzeczy?

— Mężczyźni rozmawiają z kobietami i w obecności kobiet, tak jakby były głuche i głupie. A tak nie jest. Z tym, że tego smakowitego kąska nie zawdzięczamy niedyskrecji samego Ketteringa. Tym razem Jamison roztkliwił się sam nad sobą. Zjedz coś. Człowiek musi mieć siłę do zamartwiania się o żonę. — Podała mu talerz z dwoma kanapkami i kilkoma plasterkami marcepanu.

— Dobrze, będę się trzymać z dala od Jamisona. Jeszcze jakieś ostrzeżenia?

Wargi jej zadrzały, jakby wcale nie uważała tego za ostrzeżenie. I rzeczywiście tak było. Maggie miała lepsze rozeznanie w finansach niż reszta Windhamów razem wzięta i to jej Westhaven częściowo zawdzięczał „szczęście”, jakie sprzyjało mu przy wyciąganiu finansów rodziny z dołka.

— Słyszałam, że Prinny nabrał upodobania do brzoskwiń.

— Brzoskwiń?

— To taki owoc z Chin, choć Amerykanie uprawiają je u siebie z całkiem niezłym skutkiem. Przyślę ci kilka. Zamierzam znaleźć jakiegoś importera drzewek i wykupić udział w jego przedsięwzięciu. Są odporne na całkiem spore mrozy, ale potrzebują łagodnej pogody przy dojrzewaniu. Jedz słodczyce. Poprawią ci nastrój.

Znając Maggie, zdążyła już przeczytać wszystko, co do tej pory napisano o brzoskwiniach, poznała wszystkich sadowników hodujących te drzewa, rozesłała szpiegów, żeby się dowiedzieć, kto planuje założenie sadu w południowej Anglii, i zaczęła eksperymenty z brzoskwiniami we własnej kuchni.

Zjadł kawałek marcepanu.

— Wyglądasz na zmęczoną, Mags.

— Zawsze tak jest na przełomie pór roku.

— Wybierz się do Morelands i pogalopuj trochę po okolicy albo nawet przejedź się do Willow Bend. Wiesz przecież, że zawsze jesteś tam mile widziana.

— A kto będzie wysłuchiwał narzekań Jej Wysokości na Jego Wysokość i na nasze młodsze siostry?

Fakt, że księżna zawsze niepokoiła się o męża i córki, ale głównym powodem jej troski była Maggie. Troski, a nawet rozpacz. Westhaven dobrze o tym wiedział.

— Przecież kochasz wieś. — Podał jej kawałek marcepanu. — A do tego nie lubisz życia towarzyskiego, więc po co siedzisz w Londynie?

Bez słowa wpatrywała się w herbatę. Była jego starszą siostrą, zawsze gotową go wspierać, zawsze tą samą Maggie, ale miała swoje sekrety. Anna zawsze się o nią denerwowała. Devlin, zahartowany w bitwach, znużony życiem żołnierza, też denerwował się o Maggie.

Denerwowali się, bo tyle tylko mogli zrobić. Nic poza tym. W towarzystwie panowała opinia, że Maggie jest najprawdopodobniej na utrzymaniu księcia, ale nic nie mogło być dalsze od prawdy. Brat pomógł jej przy pierwszych inwestycjach, gdy doszła do pełnoletności, a teraz, jako trzydziestolatka, miała dość pieniędzy, by kupić wspaniały pałac. Mimo to wybrała niepozorną posiadłość przy cichej, bocznej uliczce.

— Czy Kettering zaczął już przychodzić do ciebie po porady, siostrzyczko?

Podniosła wzrok znad filiżanki, a jej usta znowu wygięły się w tym niespodziewanym, przekornym uśmiechu.

— To bardzo miły dżentelmen i całkiem przystojny. Rozmawiamy sobie od czasu do czasu.

— Jest też całkiem dobrą partią, Maggie.

— Tylko że straszny z niego maruda. Nie nadaje się do małżeństwa, chyba że zmieni się, jeśli spotka właściwą osobę. Jeszcze herbaty?

Patrzył, jak napelnia filiżanki. Dzień był rzeczywiście tak piękny, że usprawiedliwiał wagary od ksiąg finansowych i korespondencji. Postanowił cierpliwie poczekać, aż Maggie sama poruszy następny temat. Nie wątpił, że siostra go kocha, ale nie należała do osób, które przychodzą z wizytą, bo zabrakło im kieszonkowego na zakupy.

— Byłam ostatnio na przejażdżce z panem Hazlitem. Ma piękną parę gniadych.

To była nowina.

— Z Benjaminem Hazlitem? — Z trudem zachował zdawkowy ton głosu.

— Tak. Podobno krążą o nim różne plotki.

Wyraźnie chciała się czegoś dowiedzieć, ale Westhaven za nic nie mógł zgadnąć czego.

— Jakie plotki?

— Że posiada tytuł, jest dość bogaty i ma żydowskich albo cygańskich przodków.

— Obeszłoby cię to, gdyby plotki okazały się prawdą?

Odstawiła filiżankę na spodek mocniej, niżby wypadało damie na towarzyskiej wizycie.

— O Boże, braciszku. Naprawdę uważasz, że mam tak pusto w głowie?

— Nie. Ale jesteś człowiekiem. — Zlitował się nad nią i spytał wprost, żeby oszczędzić jej podchodów. — Co chciałabyś wiedzieć?

— Ufasz mu?

— Tak. Bez zastrzeżeń. — Obserwował, jakie wrażenie zrobiła na niej ta natychmiastowa odpowiedź.

— Czy to przyjaciel?

Trudniejsze pytanie.

— Gdyby miał przyjaciół, z radością znalazłbym się w ich kręgu, ale ani on, ani ja nie bawimy się w utrzymywanie towarzyskich kontaktów.

Wstała, zniecierpliwiona.

— Lubisz go?

— Tak, lubię. — Westhaven wstał również i ruszył za nią. — Myślę, że naprawdę ma tytuł albo go odziedziczy, chociaż nie wiem, czy to będzie baronia, czy dostatni markizat. Spytaj o to

Jego Wysokość. Jeśli Hazlit rzeczywiście jest arystokratą, to jego przodkowie muszą być bez zarzutu. Podejrzewam, że należą do jakiegoś iberyjskiego rodu. Jeśli chodzi o jego majątek, to sam się zastanawiałem...

— Nad czym? — Pochyliła się, żeby powąchać żonkil, i pyłek kwiatowy pobrudził jej nos. Zabawny kontrast — żółta smuga i poważne zielone oczy. Podał jej chusteczkę i dotknął czubka własnego nosa. Na pewno nie zgodziłaby się, żeby wytarł jej twarz. Lepiej było nie próbować, bo dostałby solidną reprimendę.

Zapatrzył się na kwiaty, gdy Maggie wycierała czubek nosa.

— Zastanawiałem się, dlaczego ten człowiek, pomimo że jest majątny, zarabia pieniądze, tropiąc córki, które uciekły rodzicom, i członków socjety, którzy zbłądzili? To nieprzyjemne zajęcie, które wymaga wysłuchiwania zwierzeń, zachowywania tajemnicy i spotykania się na gruncie towarzyskim z ludźmi, którzy prali u niego swoje brudy.

Maggie oddała mu chusteczkę.

— Może to lubi. Może czerpie satysfakcję z tego, że wie wszystko o wszystkich. Są tacy ludzie, a niektórzy nawet zbili na tym majątek.

— Hazlit nie jest taki. Jej Wysokość nigdy by się do niego nie zwróciła, gdyby wątpiła w jego uczciwość i nie uważała, iż jest godny zaufania.

To zapewnienie nieco uspokoiło jego siostrę, ale nie samego Westhavena. Maggie w coś się zaangażowała... w coś, co wcale niekoniecznie dotyczyło Hazlita. Może dotyczyło hodowli świń albo uprawy brzoskwiń... Jednak nie chciał się nad tym dłużej zastanawiać.

— Maggie, zwrócisz się do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować, prawda?

— Nie. Wszyscy w tej rodzinie zwracają się do ciebie w potrzebie, a przecież teraz powinieneś się przede wszystkim zajmować Anną. A ty zwróciłbyś się do mnie, gdybyś czegoś potrzebował?

Objął ją i pocałował w policzek.

— Tak. Na tym między innymi polega miłość. Od czasu do czasu możesz się na kimś wesprzeć, a ten ktoś może się wesprzeć na tobie. Devlin pojechał na północ, rzucił się w ramiona swojej hrabiny i zostawił nas samych. Valentine ostatnio brzdąka i komponuje w Oxfordshire, zachwycając się urokami swej młodej żony, a Sophie zaszyła się na wsi w Kent i też nurza się w matrymonialnych rozkoszach. My, strażnicy skarbcza, musimy się trzymać razem.

Westchnęła, a do niego dotarła smuga kwiatowego zapachu, który zawsze otaczał Maggie.

— Małżeństwo ci służy, Gayle. Wprost wyjątkowo.

— Polecam tę instytucję, ale tylko z właściwym partnerem. Ich Wysokości są tego samego zdania.

Odwróciła się ku niemu z pochmurną miną.

— Hazlit nie nadaje się na męża. Nie rozpowszechniaj plotek o naszej znajomości, bardzo cię proszę.

— Nawet nie przyszło mi to na myśl.

Podprowadził ją niespiesznym krokiem do stolika. Jego świat całkowicie się zmienił po poślubieniu Anny i zmieniał się coraz bardziej od narodzin ich pierwszego dziecka.

— Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym, wiesz przecież.

Puściła jego dłoń i sięgnęła po rękawiczki. Skinęła machinalnie głową, jakby nie dotarło do niej, że zapewnia ją o swoim głębokim uczuciu.

— Mags, chciałem powiedzieć, że cię kocham. Tęsknię za tobą, kiedy nas nie odwiedzasz, ale nie chcę ci się narzucać z wizytami. Dzięki za ostrzeżenie przed inwestowaniem w projekt Jamisona. Pewnie bym się dał złapać na haczyk, gdyby nie ty.

— Nawet robaczywe jabłko może pięknie wyglądać, jeśli spojrzeć na nie pod odpowiednim kątem. — Wzięła do ręki torebkę i odwróciła się do niego. — Nie przepracowuj się.

Wyszłaby z tymi słowy, ale złapał ją za ramię i objął mocno. Straciła na wadze od chwili, kiedy obejmował ją po raz ostatni.

— Przestań się zachowywać jak obca, Maggie Windham.

— W moim domu nigdy nie będziesz intruzem.

Powiedziała to niemal szeptem, oddając mu uścisk, zdumiewająco serdeczny jak na jego opanowaną siostrę. Odsunęła się i ruszyła ku drzwiom, wyraźnie nie oczekując, że brat odprowadzi ją do wyjścia.

Nieznośna kobieta, trzeba przyznać, ale siostra ma prawo być nieznośna. Po kilku minutach, gdy podniósł wzrok, spostrzegł Annę, wchodzącą przez drzwi od strony stajni.

— Ukochana żono — wstał i wyciągnął do niej rękę, przesuając wzrokiem po ciemnych włosach, cudownych oczach i wspaniałej figurze, nieco zaokrąglonej. — Udało ci się wykupić cały targ?

— Oczywiście. Czy zbuntowałaś się przeciwko swoim księgom, Westhaven? W takie piękne dni jak dziś zwykle tkwisz za biurkiem.

Oparła się o niego, jakby to było dla niej najbardziej naturalne miejsce na świecie, i z jego punktu widzenia rzeczywiście tak było.

— Naprawdę jestem taki nieruchawy?

— Naprawdę jesteś taki pracuś. Zgaduję, że Jej Wysokość wpadła z wizytą i oderwała cię od korespondencji.

— Nie księżna, tylko Maggie. Mówi, że małżeństwo bardzo mi służy.

Anna wtuliła nos w jego szyję.

— Bardzo przenikliwa osoba z tej twojej siostry. Zakupy trochę mnie zmęczyły. Znajdziesz czas na krótką drzemkę?

— Naturalnie.

Prowadząc żonę po schodach, Westhaven mimo wszystko zdążył zadać sobie pytanie, dlaczego Maggie prowadzi prywatne dochodzenie na temat najbardziej zaufanego i dyskretnego detektywa wśród londyńskiej socjety.

Na widok tego listu wśród codziennej korespondencji poczuła niemalże ulgę.

Niemalże.

Oddała rękawiczki i kapelusz gospodyni i poczuła, jak spływa na nią znajomy lodowaty spokój. Nigdy jej nie opuszczał całkowicie, ogarniał ją całą, ilekroć tego potrzebowała. Nie był to spokój arystokratyczny.

Podejrzewała, że to spadek po matce, która potrafiła się uśmiechać i rozkładać nogi dla mężczyzn, którzy wcale jej się nie podobali.

Dla pijanych, niedomytych, otyłych mężczyzn o zepsutych zębach i szorstkich rękach... Maggie odsunęła te myśli jak najdalej, by czekały, aż kiedyś znowu wyobraźnia zerwie się ze smyczy.

— Spędzę za biurkiem całe popołudnie — oznajmiła. Oznaczało to, że nikomu nie wolno jej przeszkadzać.

Pani Danforth dygnęła w odpowiedzi.

Maggie najpierw zajęła się pozostałą korespondencją, od zarządców, prawników, od przyjaciółki z pensji, która prawie dziesięć lat temu wyszła szczęśliwie za mąż, i od ziemianina, którego pola sąsiadowały z Morelands i który pisywał do niej w sprawach rolniczych. Gdy uporządkowała swoje sprawy, podniosła wzrok i wyjrzała przez okno.

Prowadziła życie na małą skalę, ściśle ograniczone kanonami dobrego tonu i miłością do rodziny, która ją adoptowała. Ostrożnie postępując, zapewniła sobie pewną niezależność i trzymała się z dala od świata swojej biologicznej matki. Zresztą niedługo będzie za stara, żeby dawać pożywkę jakimkolwiek podejrzaniom w tej mierze.

Pomimo uspokajającej litanii, którą powtarzała w myśli jak zwykle, czuła, że wnętrzości skręcają się w węzeł. Otworzyła list.

Witaj, Maggie!

Jak ja kocham wiosnę! Wiosna oznacza kocięta w stajniach i zakupy! Mama mówi, że ubierze mnie na nowo — od stóp do głów — i że niedługo zacznę z nią jeździć na wizyty. Wiesz, że niedługo skończę piętnaście lat, a dziewczęta w tym wieku już wychodzą za mąż. Byłyśmy też u

modystki, gdzie Mama zamówiła dla mnie bardzo śliczny toczek, i Maggie, muszę ci powiedzieć, że kiedy Mama powiedziała: od stóp do głów, to miała na myśli naprawdę wszystko. Nie miałam pojęcia, że koronki też się do tego nadają! I w dodatku mogą być w kolorach, różowe, a nawet czerwone!

Wyobrażasz to sobie?

Dużo czytam w deszczowe dni, choć Mama mówi, że panowie nie lubią rozmawiać o tych wszystkich okropnych powieściach. Mój francuski bardzo się poprawił, bo nasza nowa pokojówka dużo mnie nauczyła. Ma na imię Adele, choć Mama zawsze mówi na nią Martins, po nazwisku. Francuski Mamy chyba kompletnie zardzewiał, bo nic nie rozumie, kiedy się do niej zwracam w tym języku.

Albo może po prostu tak się przejmuję nadchodzącym sezonem. Czasem wychodzi do teatru, do filharmonii i opery. Niedługo zacznę jej towarzyszyć — już nie mogę się doczekać tego wszystkiego!

Tęsknię za tobą. Napisz do mnie koniecznie. Teddy mówi, że fantastycznie wyglądasz, ale Thomas martwi się, że jesteś zmęczona. Muszę już kończyć. Mama uczy mnie trochę gier hazardowych — świetnie się bawimy!

Całuję cię i kocham jak zawsze

Bridget

To było o wiele, o wiele gorsze niż kolejne żądania pieniędzy. Maggie pomyślała, że powinna napić się herbaty dla uspokojenia nerwów, ale zaczęło ją mdlić. Lepiej nie ryzykować.

Zresztą, może to jest tylko ostrzegawczy strzał, wymierzony w finanse i nerwy Maggie. Cecily na pewno czyta wszystkie listy Bridget co do słowa, a jednak małej udało się przemycić mnóstwo informacji, i to bardzo niepokojących. Wkrótce zażądataj pieniądze. Pewnie dużo więcej niż w poprzednich latach.

A gdy ich zażądataj, Maggie zapłaci. Wiele lat uczyła się, jak robić pieniądze, właśnie po to, żeby zawsze, ale to zawsze mogła bez zmruczenia oka płacić na czas. Była bogata i z każdym rokiem stawała się coraz bogatsza. Potrzebowała do tego tylko jednej rzeczy — pieniędzy na inwestycje, a tych miała zawsze dość.

Dzięki Bogu, szczęściu, ciężkiej pracy albo losowi miała pieniądze.

Choć wołałaby je wydać na coś innego, bo przyzwoite piętnastoletnie dziewczęta w żadnym wypadku nie powinny ubierać się w czerwone koronki.

— Przyszedł pan Hazlit, milordzie.

Westhaven pochwycił uśmiezek żony. Pili właśnie herbatę w bibliotece, po orzeźwiającej drzemce w środku dnia. Lokaj miał dość rozsądku, by zapowiedzieć gościa z kamienną twarzą, ale Anna nie musiała zachowywać powagi.

— Pójdę już i przyślę wam nową herbatę — powiedziała, wstając. — Pewnie będziecie rozmawiać na tematy, które mnie nie interesują.

— To dezercja. — Chciał, żeby to zabrzmiało jak stwierdzenie faktu, a nie skarga, ale uśmiezek żony, który zmienił się w szeroki uśmiech, zdradził mu, że się nie udało.

— Bezcelność. Nawet po drzemce jestem zmęczona. Pewnie przez to ciągle nocne wstawanie do twojego syna.

Wstał i zmarszczył brwi.

— Ty i to dziecko.

Anna wyglądała jeszcze piękniej niż w ciąży... a wtedy wydawało mu się, że jest najpiękniejsza na świecie.

— Co chwila wstajesz, a ja przez to jestem bardziej niewyspany od ciebie. Idź już. Chyba wszyscy się sprzysięgli, żebym dziś nic nie zrobił.

— Bardzo możliwe. — Pocałowała go w usta, choć zza pleców lokaja widać już było sylwetkę Hazlita. — Do zobaczenia w snach.

Poklepała go po klapie surduta i ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się na moment przed gościem.

— Miło pana widzieć, panie Hazlit.

Hazlit ujął jej dłoń i skłonił się nisko.

— Milady, promieniujesz urodą. Jego Lordowska Wysokość zajmuje się chyba nie tylko korespondencją, bo po prostu rozkwitasz.

— Rozkwitam? — Rozpromieniła się w uśmiechu. — Westhaven, musimy zaprosić pana Hazlita na kolację. Powiedział, że rozkwitam. — Cofnęła rękę. — Zajmijcie się, panowie, swoimi sprawami, pójdę rozkwitać gdzie indziej.

Cicho zamknęła drzwi. Westhaven patrzył, jak rozbawienie znika z twarzy Hazlita.

— Wszystkie młode matki powinny być tak spokojne jak pańska żona — powiedział gość. — Należą ci się gratulacje, milordzie.

— Raczej wyrazy współczucia. — Westhaven wstał od biurka i powitał go uściskiem dłoni. — Siadajmy, dobrze? Pewnie zaraz zjawi się tu taca wielkości Madagaskaru, ale na razie mogę zaproponować whisky, brandy i porto.

— Dlaczego wyrazy współczucia? — Hazlit zasiadł w wolterowskim fotelu. Poruszał się jak kot, w oczach miał czujność, jakby baczne obserwowanie otoczenia w celu zdobycia informacji stało się jego drugą naturą.

— Jeśli pójdziemy w ślady moich rodziców, to Anna będzie często w ciąży. Ciężko jest żyć ze świadomością, że ukochana kobieta tak śmiało mierzy się z milionem wyzwań i trudów.

Hazlit przekrzywił głowę.

— Stałeś się prawdziwie rodzinnym człowiekiem, milordzie.

— Jestem po uszy zakochany w mojej żonie. — Westhaven pokręcił głową. Nie byli z Hazlitem przyjaciółmi, a gawędzili jak starzy drухowie. Takie tematy poruszał tylko z Valentine'em, Devlinem, albo — o dziwo — z Jego Wysokością. — Czy wpadłeś dziś do mnie w interesach, Hazlit? Muszę przyznać, że ostatnio trudno mi się skupić na interesach.

Hazlit wydał wargi, jakby w myślach doszedł do jakiegoś wniosku.

— Ona da sobie radę, Westhaven. Nie jest taka jak inne damy, które tylko siedzą na tłustych zadkach, mdleją, wzdychają i histeryzują, bo są zbyt próżne i głupie, żeby wykorzystać swoje atuty. Jest zdrowa, szczęśliwa i będzie cieszyć się każdym kolejnym dzieckiem. Nie utracisz jej.

Westhaven wyjrzał przez okno na tonący w kwiaty ogród, który Anna wniosła w jego życie.

— Trudno się przyznać, że potrzebowałam takiego pocieszenia. Dziękuję.

Hazlit spojrział z rozbawieniem.

— Każdy młody mąż potrzebuje takiego pocieszenia. Spytaj Jego Wysokość, ilu swoich przyjaciół musiał upić w trupa podczas porodów ich żon. I spytaj go, czy poród najmłodszego dziecka różnił się czymś od porodu pierwotnego. Myślę, że jest to pewnego rodzaju lekcja dla nas, mężczyzn.

Westhaven podał gościowi szklanekę whisky, bo przy takiej męskiej dyskusji należało się wzmocnić prawdziwie męskim napitkiem.

— Jaka lekcja?

— Kobiety są odważne inaczej niż my — powiedział Hazlit, przyjmując szklanekę. — Ale w pewien sposób są odważniejsze od nas.

Westhaven oparł biodro o biurko i spojrział na gościa siedzącego w fotelu.

— Czy to znaczy, że gdzieś jest pani Hazlit, która zainspirowała cię do tych przemyśleń?

— Jeszcze nie. Ale Bóg mi świadkiem, że będzie, jeśli spotkam wystarczająco odważną damę, zanim się zestarzeję.

— Moja siostra podejrzewa, że jesteś utytułowany. — Siostry stanowiły bezpieczniejszy temat niż żony. — Kazałem jej zapytać o to Jego Wysokości.

— Chodzi o Mag... pannę Windham?

To przejęzyczenie wiele mówiło. Westhaven go nie skomentował.

— Maggie, dla najbliższych. — Całkiem możliwe, że Benjamin Hazlit zostanie wkrótce zaliczony do tej gromadki. No, no, no. — Uwielbia jazdę konną, wiesz?

Hazlit zmrużył oczy.

— Powiedziała mi, że nie trzyma konia pod wierzch.

— To prawda. Mówi, że jeździectwo jest dla młodych dziewcząt, które uganiają się za dżentelmenami w parku. Mimo to uwielbia konie.

Hazlita zainteresowała ta wiadomość, choć nie dał tego po sobie poznać.

— Domyślam się, że słyszałeś o naszej przejażdżce kilka dni temu.

— Maggie o niej wspominała. To świetnie, że udało ci się wyciągnąć ją z domu.

Hazlit pociągnął łyk whisky, z namysłem formułując odpowiedź.

— Wydaje mi się, że byłaby niezadowolona, gdyby jej rodzina żywiła jakieś oczekiwania w związku z tą przejażdżką. Ale świetnie powozi, to było widać. Mój zewnętrzny wałach nie należy do najbardziej ufnych koni, a jej zawierzył bez wahania.

— Dzieci, konie i psy... — Westhaven usadowił się w fotelu naprzeciwko. — Wszystkie uwielbiają Maggie.

Zapadła chwila ciszy, gdy obaj popijali whisky.

— Więc mamy nie robić sobie nadziei z tego, że wybrała się z tobą na tę przejażdżkę?

— Byłbym wam za to wdzięczny. Nawet jeśli będę z nią tańczył albo razem pójdziemy na lody, albo na zakupy. Nie zalecam się do twojej siostry.

Bardzo ciekawa sprawa, gdy dwie osoby zgodnie upierają się, że nic ich nie łączy.

— W takim razie pewnie nie zainteresuje cię wiadomość, że damskie siodło Maggie leży u mnie w stajni, a klacz Anny, mocno zbudowana, ze świetnymi chodami, nie chwaląc się, powinna się trochę przewietrzyć?

Usta Hazlita drgnęły nieznacznie.

— Nawet gdybym w nadchodzących tygodniach parę razy pożyczył siodło i klacz, nie będzie to oznaczać, że zalecam się do twojej siostry.

— Szkoda. — Westhaven wstał i podszedł do okna. Jego żona klęczała przy grządce tulipanów, które właśnie zaczynały przekwitać. Szeroki słomiany kapelusz ocieniał jej twarz. Będzie ją trzeba spytać o braterskie powinności w takiej sytuacji.

Odwrócił się do swojego gościa.

— Gdybyś się zalecał do Maggie, pewnie by cię szybko zniechęciła swoimi wykładami.

— Co to za wykłady, milordzie?

Kiedy ten człowiek zdążył podejść do okna?

— Zaczyna od procentów, potem mówi, które inwestycje są najkorzystniejsze i dają najmniejsze ryzyko, i dlaczego powinieneś włożyć w nie kapitał. Potem przechodzi do wiadomości finansowych i tłumaczy, dlaczego ten czy inny artykuł jest mało treściwy albo tylko pozornie nudny. Potem, jeśli jesteś naprawdę twardym człowiekiem, możesz posłuchać o różnych projektach inwestycyjnych. Potrafi tak perorować godzinami. Można oszaleć z nudów.

— Całkiem sensowne tematy do rozmowy, choć może trochę mało kobiece.

— W rękach Maggie artykuły finansowe stają się śmiercionośną bronią. Gdybyś przypadkiem miał jakieś miłosne zamiary, wystarczy jeden wykład, żeby cię od nich odwieść. Jest pośrednim, ale znaczącym inwestorem w hodowlę trzody chlewnej we wschodniej Anglii, choć jest to nieomal tajemnica państwowa, o której wie tylko Jego Wysokość i ja.

Hazlit wyglądał na zaintrygowanego. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

— Trzody chlewnej?

— Świnie rozmnażają się jak szalone, o wiele szybciej niż owce, a przy tym potrzebują o wiele mniej przestrzeni, i większości z nich nie trzeba wypasać. Ludzie wolą wieprzowinę od baraniny, skóra jest wartościowa, a mięso dobrze się konserwuje. Świnie, panie Hazlit. Zrób sobie wyliczenia albo niech ci je Maggie zrobi. Teraz zastanawia się nad inwestowaniem w brzoskwinie. Jeśli to robi, to możesz być pewny, że inwestycje Morelandów też zaczną kierować się w tamtą stronę.

— Fascynujące. A przy tym żyje bardzo skromnie.

— Dużo łoży na dobroczynność.

W ogrodzie Anna wstała z klęczek, więc Westhaven nagle zapragnął znaleźć się u jej boku.

— Proponuję, żebyś sam rozpytał Maggie o jej działalność, bo jest bardzo droga jej sercu.

Stukanie do drzwi zapowiedziało pojawienie się tacy. Westhaven obserwował, jak spojrzenie Hazlita przenosi się z zastawy herbacianej na taras i na twarz gospodarza. Teraz będą musieli usiąść, zjeść tyle, ile powinni, omówić zbliżające się wyścigi lub najlepsze konie wystawiane na aukcjach u Tattersalla. Dobre maniery czasem bardzo człowiekowi ciążyą.

— Może zrezygnowalibyśmy z tego dobrego jedzenia i, zamiast tego, przedstawiłbyś mnie klaczy twojej żony, milordzie?

— Doskonały pomysł. Weźmy ze sobą parę ciastek, co ty na to? Możemy przejść przez ogród.

Gdy ruszyli do tylnych drzwi, Westhaven wpadł na pewien pomysł.

— Może wykonałbyś pewną drobną pracę dla Ich Wysokości? Tym razem nie będziesz musiał gnać na północ, by poznać przodków mojej żony.

Hazlit uniósł brwi i zatrzymał się pod drzwiami prowadzącymi na taras.

— A o co chodzi?

Westhaven widział przez szklane drzwi swoją żonę, która właśnie prostowała się po pracy, opierając obie dłonie na biodrach. Rzucił pospiesznie, nie chcąc tracić czasu na drobiazgi.

— Rutynowe badanie kandydata na męża dla jednej z moich sióstr. Moim zdaniem i tak nic z tego nie będzie. Kandydat wcale się nie spieszy do małżeńskich oków, ale w sumie kto z nas mówi o takich rzeczach publicznie?

— O kogo chodzi?

— O lorda Deene. Jej Wysokość ma nadzieję, że Evie go omota.

— Muszę się zorientować w moim rozkładzie zajęć, zanim dam odpowiedź.

Westhaven odwrócił się, by mu się przyjrzeć, ale twarz Hazlita była niewzruszona jak zwykle.

— Nie musisz się spieszyć z odpowiedzią, możesz nawet skończyć aktualnie prowadzone sprawy i dopiero potem wrócimy do tematu. Gdy ostatnio rozmawiałem z Evie, twierdziła, że nie grożą jej małżeńskie zakusy rodziców, bo jest przecież najmłodsza. Chodźmy, może Anna pójdzie z nami do stajni.

Minęły trzy dni, od chwili gdy Maggie dostała list od Bridget. Trzy dni okropnej wiosennej pogody — zimnej, deszczowej, wietrznej i niezachęcającej do wychodzenia na dwór.

Nie powinna umawiać się z Hazlitem na zakupy.

Powinna natychmiast posłać mu notkę zwalniającą go ze wszystkich zobowiązań.

Sama odnajdzie te listy. Przecież nie były bardzo obciążające, jeśli ktoś nie znał szerszego kontekstu...

— Pan Hazlit do panienki. — W otwartych drzwiach gabinetu stała pani Danforth, a jej solidna postać niemal trzęsła się z emocji.

— Nie bądźmy tacy oficjalni. — Hazlit prześliznął się obok niej, poklepując ją przy okazji po ramieniu. Maggie dosłownie widziała, jak gospodyni miękłą kolana, tym bardziej że posłał jej też szeroki uśmiech.

— Pan Hazlit. — Maggie wstała na równe nogi, nie zauważając, że ona też cieszy się na jego widok. — Co za niespodzianka.

— Przyniosę herbatę. — Pani Danforth rozpromieniła się i wyszła.

— Proszę jej nie winić. — Hazlit wszedł do pokoju, niecałkiem przymykając drzwi. — Chciałaby panią widzieć jako szczęśliwą mężatkę, z gromadką kochanych, zadbanych dzieci.

Maggie skrzyżowała ramiona, dzielnie odsuwając od siebie obraz, jaki pojawił się w jej myślach.

— Rozmawialiście sobie o mojej przyszłości?

— To oczywiste, że oddana służba zwykle dobrze życzy swoim pracodawcom. Jak się pani czuje?

Ujął jej dłoń, żeby nie mogła się od niego odwrócić.

— Poczuję się lepiej, kiedy odnajdzie pan moją torebkę. Mam nadzieję, że zakłócił pan moje spokojne popołudnie, bo ma pan coś nowego do zakomunikowania w tej sprawie.

Pogładził jej rękę i kostki palców, a potem spojrzał na nią, marszcząc brwi.

— Nie mam nic nowego do powiedzenia poza tym, że zamierzam przeszukać ten dom od piwnic aż po strych, kiedy tylko służba będzie miała wolne. Zacząłem rozpytywać moich informatorów, ale odpowiedzi dostanę dopiero za jakiś czas. Wyglądasz na zmęczoną. Co się dzieje, Maggie Windham?

Spoglądał na nią z dziwnym błyskiem w oku. Maggie miała wrażenie, że rozmawia nie z panem Hazlitem, detektywem do wynajęcia, ale po prostu z Benjaminem Hazlitem. Na jego twarzy był widoczny lekki niepokój, nie zaś zwykła chłodna ciekawość.

Martwił się o nią.

Poczuła, jak przekłete gardło zaciska się coraz mocniej przez to spojrzenie i przez te dzieci, o które ona nigdy nie będzie się troszczyć i kochać. Wyrwała rękę i podeszła do okna.

— To nie jest dobry moment, by podtrzymywać pozory łączącego nas związku, panie Hazlit.

Spojrzał na drzwi, ostrzegając ją wzrokiem, że złamała reguły.

On zresztą też. To miękkie, niespokojne spojrzenie jego ciemnych oczu złamało reguły, które miały moc papieskich bulli, wydawanych przez jej zdrowy rozsądek i kontrasygnowanych przez instynkt samozachowawczy.

Słyszała, jak dokłada do kominka, ale uparcie wpatrywała się w ogród. Kwiatom przyda się ten deszcz, ale...

— Panie Hazlit! — Nie krzyknęła, ale kiedy dżentelmen zakrada się od tyłu i obejmuje damę w pasie, trudno jest mówić przyciszonym głosem.

— Cicho. — Obrócił ją w ramionach. Głos rozsądku twardo nakazał jej, by wyrwała się z objęć, ale go zignorowała. Puści ją w końcu. Zaufała mu, wiedząc, że za chwilę przyjdzie służąca z tacą. — Coś cię dręczy. Powiedz mi, o co chodzi.

Te objęcia były takie zwodnicze, tak dobrze udawały serdeczność... Kilka dni temu objął ją Gayle — życzliwym, szorstkim, braterskim i krótkim uściskiem. Teraz było inaczej. Teraz czuła ciepłe, mocne męskie ciało Benjaminu Hazlita, gotowe, by ją pocieszyć. Bez żadnych warunków, bez skrępowania, bez udawania na użytek publiczny.

Westchnęła i wtuliła twarz w jego ramię, nie chcąc, albo nie mogąc, odmówić sobie tej pociechy. Przez kilka chwil mogła udawać, że nie walczy samotnie, stawiając czoło morzu kłopotów. Że są przyjaciółmi, może nawet kuzynami, i że to nie są kradzione chwile. Mogła podtrzymać iluzję, że ma prawo do tych cudownych marzeń o dzieciach i mężu jak wszystkie inne kobiety.

— Jesteś napięta jak struna, Maggie Windham. — Poczuła jego dłoń na szyi. Palce delikatnie ugniatały mięśnie. — Utarczki między służbą czy naciski ze strony Jej Wysokości?

— Ona nigdy nie wywiera nacisków. — Maggie oparła się o niego czołem, mając wrażenie, że topnieje pod tym dotykiem. — Ona tylko patrzy, z wyrazem rozczarowania w tych jej cudownych zielonych oczach, a wtedy chcesz zapaść się pod ziemię i nigdy spod niej nie wyrzeć, dopóki z powrotem nie przywołasz uśmiechu na jej twarz. Jego Wysokość powiada, że czuje to samo co my.

Maggie czuła niezwykley zapach Hazlita, dymny i korzenny, jak kadzidło. Przenikał jego ubrania, a kiedy oparła policzek na wełnianej tkaninie, poczuła, że jego szyja pachnie tak samo. Jego dłoń przesunęła się po jej łopatkach i powędrowała na plecy.

— Jesteś zmęczona — powiedział, a ona poczuła w sobie wibracje jego głosu. — Co ci zakłóca sen, Maggie? Niech ci się tylko nie wydaje, że odwrócisz moją uwagę mruzeniem i wyginaniem grzbietu.

— Nie jestem kotem.

— Masz kocie oczy.

Obrócił ją, żeby móc objąć ją w talii.

— Usiądziemy sobie przy kominku, a ty opowiesz mi o swoich zmartwieniach.

Co za pokusa! Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

— Moje zmartwienia to drobiazg. — Choć często to sobie powtarzała, wcale nie brzmiała przekonywająco. — Może twoje są ważniejsze?

Gdy tylko posadził ją na sofie, podszedł do drzwi i otworzył je z nienacka. Stał w nich zaskoczony lokaj z tacą w rękach.

— Wezmę to sam. — Hazlit przejął tacę i przymknął drzwi ramieniem. — Nie róbmy przeciągu, dobrze?

Nigdy nie mówił do niej takim głosem, cichym, przyjemnym... poufnym. Ten głos pieścił jej zmysły i kusił bliskością... a to był błąd.

On zresztą i tak usiadł bardzo blisko i zaczął nalewać herbatę.

— Lubisz dużo śmietanki i mało cukru, prawda? Nos podpowiada mi, że zaparzyli pekoe, pewnie wolisz ją niż darjeeling. Proszę.

Patrzyła z rozbawieniem, jak przygotował napar, a potem podał jej filiżankę na spodku.

— Wypij. Gdybym wziął ze sobą piersiówkę, moglibyśmy dolać ci coś leczniczego na odwagę. Zaraz wróciłyby ci rumieńce.

Sobie nic nie nalał, natomiast zaczął się jej z uwagą przypatrywać. Ona z kolei wbiła wzrok w filiżankę.

Nie bawił jej zdawkową rozmową, pozwolił jej się napić w milczeniu. Ta zwykła czynność — picie herbaty, którą ktoś przygotował specjalnie dla niej — mimo wszystko trochę ją pocieszyła.

— Nie jestem dziś sobą. — Odstawiła filiżankę na tacę. — Przepraszam za brak rumieńców.

— Jesteś stuknięta, moja miła. — W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. Za to ona wcale nie poczuła rozbawienia, gdy założył jej pasmo włosów za ucho.

— Doceniam pańską zyczliwość, panie Hazlit, ale nie jest ona konieczna.

Znowu zachciało jej się płakać. Wyjść z pokoju, zaszyć się na osobności i dać upust niechcianym, nieeleganckim emocjom. Benjamin Hazlit nie był złym człowiekiem. Zaczynała podejrzewać, że jest co najmniej człowiekiem przyzwoitym albo nawet dobrym. Nie zasługiwał na to, by oglądać wybuch płaczu.

— Czy zawsze musimy się ograniczać do tego, co konieczne, panno Windham? Czy koniecznie trzeba chodzić do parku przy ładnej pogodzie? Dodawać do herbaty śmietankę i cukier? Czy konieczna jest prokreacja?

Zamrugła. Usiadł obok, ale wciąż mówił spokojnym głosem.

— Może najpierw opowiem o swoich kłopotach, dobrze? W ten sposób stworzymy odpowiedni nastrój do zwierzeń, co?

— Czy to ma być kolejny dowód zaufania?

Zmarszczył brwi i nalał sobie herbaty, a potem ponownie nappełnił jej filiżankę.

— Może i tak. Zresztą, nieważne. Nic na to nie poradzę. Rodzice pewnej dziewczyny poprosili mnie o zbadanie sytuacji potencjalnego narzeczonego.

— Czy to typowe zlecenie? — Zetknęli się dłońmi, gdy brała od niego filiżankę.

Boże, nawet ręce miał ciepłe.

— Często mnie o to proszą, jeśli klienci albo kandydaci to wysoko postawione osoby. Widzisz, ja jestem bardzo dyskretny. — Zamieszał herbatę, a Maggie nie potrafiła powiedzieć, czy żartuje, czy mówi poważnie. Popatrzyła z tęsknotą na dzbanek z herbatą. Gdyby nie Hazlit, mogłaby przyłożyć ciepłą porcelanę do zbolałego brzucha.

— Jeśli to typowe zlecenie, to w czym problem? — Zaciekawilo ją to, mimo wszystko. Był nieco zatroskany. Widać to było w jego oczach, w sposobie, w jaki trzymał filiżankę nad spodkiem, jakby zapomniał, że powinien się z niej napić.

— Mam opory przed przyjęciem tego zlecenia — powiedział, odstawiając herbatę, której nawet nie spróbował. — Większe, niż przypuszczałem.

Maggie przemknęły przez myśl słowa, które usłyszała wcześniej od brata... zachowywanie cudzych tajemnic może być rzeczywiście niełatwe... szczerze mówiąc, ona z trudem potrafiła

zachować nawet własne.

— W takim razie niech pan z niego zrezygnuje — stwierdziła. — Chyba że rozpaczliwie potrzebuje pan pieniędzy?

— Nie potrzebuje — odpowiedział. Większość mężczyzn poczułaby się urażona takim pytaniem. On prawie nie zwrócił na nie uwagi. — Potrzebuję pieniędzy jak każdy, ale już się trochę dorobiłem.

W podzięcie za wcześniejsze taktowne zachowanie pozwoliła mu rozważyć sytuację w milczeniu.

Ponieważ Hazlit dołożył do ognia na kominku i zamknął drzwi, pokój już nie był chłodny, ale siedział tak blisko niej, że ogrzewało ją dodatkowo ciepło jego ciała. Powinna się odsunąć, ale to byłoby niegrzeczne. Zresztą, czy to ważne, jak siedzieli, skoro i tak pozwoliła mu zamknąć drzwi?

— Sądzę, że dżentelmen, o którego chodzi, uznałby moje dochodzenie za afront — powiedział. — Dochodzenie nie dotyczyłoby tylko jego finansów, bo sprawdzenie ich można by potraktować jako czysty biznes.

— Więc o co jeszcze? — Wzięła ciastko z tacy i położyła mu na talerzu.

— Bardzo dziękuję. Gdy troskliwi rodzice sprawdzają kandydata do ręki córki, przede wszystkim interesuje ich, czy ma odpowiedni majątek, ale oprócz tego chcą wiedzieć, czy lubi hazard, czy pije, czy przebywa w nieodpowiednim towarzystwie i czy jest przy zdrowych zmysłach. I jak traktuje kochanki, jeśli je ma. Czy jest ryzyko chorób wenerycznych... mam nadzieję, że nie czujesz się urażona. — Przeczesał włosy dłonią. — Wymaga to wścibiania nosa w cudze sprawy, a ten człowiek jest moim dobrym znajomym albo nawet więcej.

— Moim zdaniem Deene traktuje pana jak przyjaciela.

Zamknął usta tak mocno, że usłyszała stuknięcie zębów.

— Czyżby Westhaven stał się plotkarzem?

— Skądże. Podobnie jak większości mężczyzn, wydaje się panu, że wymiana znaczących informacji zachodzi tylko między męskimi przedstawicielami naszego gatunku. Evie nigdy nie umiała ukrywać swoich emocji, a już na pewno tak oczywistych.

— Mówisz o swojej siostrze, lady Evie?

Maggie prawie zrobiło się go żal. Tak się starał przedstawić swój problem w oderwaniu od rzeczywistości... choć przecież był bardzo konkretny. Spędzał w towarzystwie Deene'a długie godziny na różnych spotkaniach. Widziała ich razem, jak ramię w ramię szli do karcianego pokoju albo popijali poncz na musicalach.

— Evie jest najmłodsza, a poza tym to pupilka rodziny. Myśli, że to uchroni ją przed zakusami Jej Wysokości, ale nie ma szans. Evie i Deene albo doprowadzą się nawzajem do obłędu, albo zakochają się w sobie po uszy.

— Albo jedno i drugie... — W jego oczach smutek mieszał się z wesołością.

— Do czasu. Niech pan nie bierze tego zlecenia tylko dlatego, że prosi o to moja rodzina. Zmarszczył brwi.

— Kiedy tak rozmawiamy, dochodzę do wniosku, że naprawdę nie chcę wtykać nosa w jego sprawy.

— Więc proszę tego nie robić. Życie niesie ze sobą wystarczająco dużo nieprzyjemności, których nie możemy uniknąć. Evie nie lubi Deene'a, flirtuje z nim tylko i czasem tańczy. Niech ktoś inny ma przyjemność dochodzenia, z kim ten młody człowiek począł nieślubne potomstwo, jeśli jakieś ma.

Posłał jej długie, badawcze spojrzenie.

— Nie zamierzałem o tym wspominać.

Znowu wstała, trochę sztywno, bo się zasiedziała. Ponownie zaczął padać deszcz, zacinając długimi strugami. Wiatr przyginał do ziemi drzewa pokryte młodą zielenią. Pogoda idealnie odzwierciedlała jej wewnętrzny krajobraz: było zimno, burzowo i ponuro.

— Maggie.

Tym razem ostrzegł, zanim ją objął. Wewnętrzna walka z nakazami dobrego tonu zajęła jej

blisko minutę, a potem odwróciła się i wtuliła twarz w jego pierś. Pozwoliła, by ją tulił przez dłuższą chwilę, aż wreszcie wykrztusiła przez ściśnięte gardło:

— Chce mi się płakać.

Głupie słowa. Może zresztą ich nie dosłyszysz.

— Chyba jest gorzej — powiedział, głaszcząc ją po plecach — jeśli chcesz i nie możesz.

Płacz pozbawia nas godności, ale jeśli nie możemy już nawet płakać, jesteśmy z niej kompletnie odarci.

Skinęła głową przytuloną do jego surduta. Skąd on wie takie rzeczy? Przez to, że jego siostry przeszły piekło? Bo zna grzeszki połowy angielskiej socjety?

— Nie myśl tyle, Maggie Windham. Każdy miewa czasem chandrę.

Mówił bardzo cicho, prosto do jej ucha. Podobał jej się ton jego głosu. Szkoda, że się mylił.

Długie lata oglądania się przez ramię, strachu przed listonoszem, ciulania pieniędzy, pens do pensa, i ukrywania sekretów nie miały nic wspólnego z chandrą. Najgorsze, najtrudniejsze i najcięższe było uczucie, że spędzi w ten sposób resztę życia i że tylko śmierć może ją od tego uwolnić.

Ręka Hazlita przestała gładzić jej plecy i zamiast tego dotknęła podbródka. Delikatnie unióś jej twarz do góry.

Dotknął jej warg swoimi tak miękko, że chciała jęknąć z rozkoszy. Poczowała smak migdałowego lukru i ciepło jego ust. Wtuliła się w niego, doskonale wiedząc, że ma on dość sił, by utrzymać ich oboje.

W tym pocałunku nie było pośpiechu, przemocy ani niezgrabności. Nagle dotarło do niej, że to zaproszenie do intymnej bliskości.

Gest zaufania.

Nigdy jej w ten sposób nie całowano. Co za pokusa. Jak to się dzieje, że męskie usta — przez które przechodzą te wszystkie męskie głupoty i nieprzyzwoitości — potrafią być tak kojące i podniecające?

Może na tym polega uwodzenie. Umysł zapada w śpiączkę, a ciało i duch budzą się do życia. Wtuliła się jeszcze głębiej, obejmując go ramieniem w pasie. Drugą rękę zanurzyła w jego gęste jedwabiste włosy.

Przestąpił z nogi na nogę, przyjmując na siebie jej ciężar. A potem, tak lekko, że niemal niezauważalnie, przesunął językiem po jej dolnej wardze...

Tak. Och, tak.

Ktoś cicho jęknął. Maggie czekała, aż Hazlit powtórzy delikatną, subtelną pieśczętę, a kiedy to zrobił, poczuła, jak w jej żyłach zaczął pulsować głód, na razie powoli, leniwie. Czula go w dole brzucha, w miejscu, o którym damy nigdy nie wspominają, a samotne kobiety nie potrafią o nim zapomnieć.

Kiedy zrobił to po raz trzeci, rozchyliła wargi i też powoli, czule popróbowwała jego smaku. Zamarł. Jego ręka znieruchomiła na jej plecach, ciało skamieniało.

Zakłopotanie zagłuszyło pożądanie, które śpiewało w jej żyłach. Czy zrobiła coś nie tak? Czy tylko mężczyźni mogą całować w ten sposób?

— Jeszcze raz — szepnęła gardłowo. — Zrób to jeszcze raz, Maggie.

Pochylił głowę, zastygając bez ruchu, gdy ich usta niemal się zetknęły.

Stanęła na palcach i musnęła go wargami. Jęknął i rozchylił usta, kiedy przesunęła po nich językiem.

Aha, więc to jest prawdziwy pocałunek.

Badala językiem jego wargi i proste białe zęby. Wdarła się w gorącą, miękką, ciepłą, dzielącą je przestrzeń. Kiedy dotknęła jego języka, ze zdziwieniem poczuła odwzajemnioną pieśczętę, delikatną i pobudzającą.

Wielki Boże. Przytulał ją tak mocno, a ona pragnęła być jeszcze bliżej, mocniej czuć jego ciało, dotykać go, chłonać jego zapach. Chciała mieć więcej i więcej.

— Maggie... — zamruczał gardłowo. — Zdaj się na mnie.

Co on powiedział? Była jak pijana, jak w dzieciństwie, kiedy razem z Bartem wypili syrop

z brzoskwiń zaprawionych brandy. Gdyby nie obejmujące ją ramiona, chyba by się przewróciła.

Westchnęła prosto w jego ramię. Dotyk dłoni wędrującej po włosach uspokajał ją coraz bardziej, nawet kiedy uświadomiła sobie, co to za twardy drąg wciska się jej w brzuch.

Był podniecony. Był podniecony i to z jej powodu. Powinna się tego wstydzić, ale chyba nie potrafiła.

Ona także czuła podniecenie, a on bez wątpienia nie uważał, że to coś wstydlwego, choć na szczęście nie zachowywał się też jak paw w zalotach. Szczerze mówiąc, był chyba oszołomiony, tak samo jak ona. Poczowała, jak wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze, raz, drugi i trzeci.

— To na nic. — Opuścił ramiona, ale zaraz pochylił się i pocałował ją w czubek nosa. — Kiedy mam cię w ramionach, mogę sobie myśleć o węgorzu w galarecie, o moim wiekowym wychowawcy z Eton i jego zapleśniałych surdutach, o deklinacji *hic, haec, hoc*, i pomimo to jestem sztywny jak kij od szczotki. Do tej pory uważałem się za zdyscyplinowanego mężczyznę, ale przy tobie, moja miła...

Przekrzywił głowę, a Maggie bez powodzenia próbowała rozszyfrować jego nastrój. Czy sobie żartował? A może tego żałował?

I jakim cudem potrafił mówić pełnymi zdaniami, jeśli był równie rozdygotany jak ona?

— Jak się czujesz, Maggie? Tylko oszczędź mi pokerowych zagrywek. Zdaje mi się, że żadne z nas się tego nie spodziewało.

— Ja... Ja... — Rozglądała się po pokoju, byle tylko nie spojrzeć w te poważne, ciemne oczy. — Potrafisz wspaniale całować.

— Ciebie, owszem. Ze zbytnim entuzjazmem.

Wyczuła w tym jakiś ukryty podtekst, zrozumiała tylko dla mężczyzn. Nie spodobało jej się, że nie potrafi odgadnąć, o co chodzi. Poczowała falę gorąca na szyi.

— W dodatku sprawiłem, że się zarumieniałaś. — Objął ją ramieniem i ucałował w skroń. — Nie zamierzałem tak cię całować, ale wcale tego nie żałuję. Może jestem łajdakiem i niegodziwcem, trudno. Ten pocałunek był wart wszystkich wyzwisk, którymi możesz mnie teraz obrzucić.

Odsunął się, a Maggie w dalszym ciągu nic z tego nie rozumiała.

— Czy to znaczy, że ci się podobało?

— Tak, Maggie Windham. — Spojrzał jej prosto w oczy. — Podobało mi się. I to bardzo.

— Mamo, patrzysz na księżną Moreland takim wzrokiem, jakbyś ją chciała zabić... — powiedziała Bridget przyciszonym głosem, choć w parku o tej wczesnej porze panował znacznie mniejszy tłok niż zazwyczaj.

Strofowanie kochającej mamusi, zwłaszcza publicznie, podczas przejażdżki w Hyde Parku, było głupotą, za którą nieopatrne nastolatki karano solidnym laniem i kilkoma dniami o chlebie i wodzie.

— Gdy jesteśmy poza domem, mów do mnie Cecyli, kochanie, bo i tak nikt nie uwierzy, że mogę mieć córkę w twoim wieku.

Kiedy mama mówiła przez zaciśnięte zęby, tak jak teraz, Bridget zawsze bała się o konie. Były gorąco krwiste i nerwowe, a takie właśnie mamie podobały się najbardziej. Akurat teraz zaczęły smagać się kurtyzowanymi ogonami po bokach, jakby wyczuły niechęć powożącej do damy, która właśnie minęła ich w eleganckim landzie.

— Esther Windham za bardzo zadziera nosa — odpowiedziała mama półgłosem. Lepiej było nie obgadywać księżnej publicznie. — Szasta się po całym mieście z tymi swoimi pustogłowymi córkami o końskich twarzach, jakby nie wiedziała, że wkrótce czeka je staropanieństwo.

Bridget rozglądała się rozpaczliwie, pragnąc zmienić temat rozmowy. Kiedy mama wpadała w taki nastrój, potrafiła gniewać się całymi dniami i wytłuc przy tym wszystkie porcelanowe figurki w serwantce.

— Jak myślisz, spotkamy dziś lady Dandridge?

Matka posłała jej zabójcze spojrzenie.

— Tę zasuszoną małpę w malowanym powozie? Starą kłepę, co udaje łanie?

Ten temat zawsze był dla mamy interesujący. Wprawdzie był też dowodem jej hipokryzji, ale Bridget nauczyła się zachowywać takie uwagi dla siebie. Mama właściwie nie była stara i kiedyś była bardzo ładna, ale nawet dla dziecka było oczywiste, że nie jest zadowolona ze swojego wyglądu. Kiedyś odwiedzały ją całe tłumy panów. Wesołych panów, którzy głaskali Bridget po głowie i mówili, że będzie łamać męskie serca, jak dorośnie. Mama była wtedy szczęśliwsza, rano pisywała listy, wieczorem wychodziła na miasto, do teatru, do opery i do filharmonii, zawsze z jakimś uśmiechniętym panem. I nie musiały się wtedy tak często przeprowadzać.

A teraz...

Teraz mama rzucała dziwne uwagi o tym, że Bridget będzie jej zemstą, i o tym, że pewni wysoko postawieni ludzie zapomnieli już, że ktoś to i owo wie. Wszystko to było bardzo niepokojące, zwłaszcza gdy mama rozwodziła się nad podobieństwem Bridget do Maggie. Dziewczynka starała się przemycać w listach do Maggie jak najwięcej informacji, ale matka czytała każde słowo. Trudno powiedzieć, czy Maggie zrozumiała z jej półsłówek, że sytuacja stawała się nie do wytrzymania.

— Popatrz. — Matka trąciła ją łokciem. — Sam książę Wellington. Jak on się puszy przed tą Esther Windham! To nie do zniesienia.

— Pani Wilson bardzo dobrze się wyrażała o Żelaznym Księżu, prawda?

Mama spojrzała na nią z nieodgadniętą miną.

— To prawda. Dobrze mówiła o tym biedaku.

Pani Wilson to jedna z mamy przyjaciółek z czasów „występnej młodości”. Mama była naprawdę występna, o czym wiedziała czternastolatka. Cecily miała niewielu przyjaciół, choć niektórzy panowie uśmiechali się do niej przelotnie, gdy szła na zakupy do Mayfair. Bridget odnosiła wrażenie, że ich uśmiechy są wymuszone. A kiedy zaczęli się uśmiechać i do niej, stawały się... niebezpieczne.

Gdy Cecily zawróciła konie i ruszyła do wyjścia z parku, Bridget zaczęła szukać neutralnego tematu do rozmowy. Kapelusze! Gadała jak najęta, jednocześnie układając w myślach kolejny list do Maggie, tak żeby tamta w końcu zrozumiała, że Bridget coraz bardziej się niepokoi, a raczej boi.

Zdaniem Benjamina, Maggie Windham nie była niedoświadczona. Ale miała zbyt wiele godności i opanowania, więc nawet przez myśl mu nie przeszło, że pozwoliła sobie choć odrobinę wysunąć się poza linię dobrego wychowania, nakreśloną przez socjetę.

Ale krostowaty wyrostek lub wiekowy szlachcic, który próbował rozbudzić w niej namiętność, albo też wiele wyrostków i szlachciców, zważywszy na wiek damy i jej urok, kiepsko sobie z tym poradzili. Po takim pocałunku, który sprawił, że serce Benjamina chciało się wyrwać z piersi, a w żyłach rozpałało się pożądanie, ta kobieta patrzyła na niego tak, jakby chciała się upewnić, że jest usatysfakcjonowany.

Do diabła z tym. Powiedział prawdę.

— A tobie? Też się podobało? — I spojrzał na nią. Zabrzmiało to tak, jakby i on potrzebował upewnienia się, że jest zadowolona, choć szczerze mówiąc, bardziej potrzebował wskoczyć do końskiego poidła i zanurzyć się z głową w lodowatej wodzie.

— Nie wiem... — Przesunęła się w stronę sofy i usiadła we wdzięcznej pozie obok stolika z herbatą. — Jak by to powiedzieć... to było trochę nieoczekiwane.

Cierpliwie obserwował, jak przekłada na talerzyk dwa ciastka. Ucieszył się, widząc, że lekko drżą jej ręce. Chcąc ją jeszcze bardziej zbić z tropu, a może chcąc się samemu nieco uspokoić, przysiadł obok i ukradł jej jedno ciastko.

— Kiedy twoja służba ma wolny dzień?

Z uwagą przyglądała się ciastku. Całkiem przekonująco udawała, że się zastanawia, tylko po to, żeby się z nim podrażnić, ale siedząc tuż obok, czuł, jak bardzo jest napięta. Co najmniej tak samo jak on.

— Jutro, całe popołudnie. Bardzo lubię, kiedy mają wolne.

— Lubisz samotność? — Położył na jej talerzu kolejne ciasteczko, wziął dla siebie drugie.

Maślana polewa smakowała wanilią i czymś jeszcze... czymś, czego nie potrafił do końca rozpoznać, ale pamiętał z lunchów u Westhavena.

Spojrzała na ciastko.

— Wolę samotność.

— Moje siostry też lubią być same, a raczej lubiły. — Pohamował się, by znowu nie wsunąć jej pasma włosów za ucho. — Nie były szczęśliwe z tego powodu, ale mogły łatwiej znieść nieszczęście. Myślał, że tego nie rozumiałem, ale się mylą.

Popatrzyła na niego. Widać było, że tak jak on bardzo chce uniknąć roztrząsania, kto pocałował kogo i jak się to obojgu spodobało.

— Uważasz, że powinny obracać się w towarzystwie i znosić szeptki za plecami i nieprzyjemne komentarze prosto w oczy?

— Na to pytanie powinni odpowiedzieć ich mężowie, ale zdaje mi się, że ci, co obracają się wśród ludzi, mają większe szanse na zawarcie prawdziwej przyjaźni z życzliwą ludzką istotą, niż ci, co błądzą wśród kwiecistych ogrodów w Blessings albo po wiejskich bezdrożach Sussex.

Pomyślał, że powinien podsunąć jej więcej słodyczy — przydałoby się trochę więcej ciała na tych długich, wdzięcznych kończynach — ale ciastka już się skończyły.

Obrzuciła go przeciągłym, poważnym spojrzeniem. Niemal słyszał, jak się zastanawia, czy wspólne wyglądanie przez okno i odwiedzanie sal balowych to dobra droga do odnalezienia prawdziwej przyjaźni.

— Przyjdę jutro — powiedział i wstał z sofy. — Kiedy wyjdzie służba?

— W południe, po drugim śniadaniu.

Wstała, znacznie wolniej niż on, i podprowadziła go do zamkniętych drzwi.

— Długo mają to wolne popołudnie.

— Ciężko u mnie pracują. Jeśli chcą się zobaczyć z rodziną, niektórzy muszą dotrzeć piechotą aż na East End i z powrotem, a dni są przecież w dalszym ciągu krótkie.

Założył jej pasmo włosów za ucho. Zniosła to w milczeniu, a jej zielone oczy nie zdradzały żadnego uczucia.

— Porozmawiamy jeszcze o tym pocałunku, Maggie Windham.

Zanim zdążyła wymyślić jakąś niechętną ripostę, pocałował ją znowu, — przelotnie i władczo, a potem wymknął się na korytarz, żeby nie pojawiło się więcej tematów do rozmowy niż tylko pocałunki.

Adele Martins z trudem opanowała dreszcz na widok swojej podopiecznej, obracającej się przed stojącym lustrem.

— Mama mówi, że muszę się przyzwycząić do sypiania w jedwabiach.

Mała powiedziała to po francusku, wygładzając dłonią przód jedwabnej nocnej koszuli. Haftowany rąbek sięgał niemal podłogi. Co za parodia skromności. Przecież materiał był tak delikatny, że prześwitywały przez niego sutki i włosy łonowe dziewczynki.

— Zmarzniesz w tym — odpowiedziała Adele. — Wskakuj do łóżka.

Dziewczynka po raz ostatni spojrzała do lustra.

— Mama mówi, że jutro pójdziemy do fryzjerki. Ale nie będziemy ścinać włosów, bo panowie uwielbiają długie loki.

Biedaczka była wyraźnie zaniepokojona, co oznaczało, że ma przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, by się zorientować, jaki los czeka ją niebawem. Niestety, Adele nie mogła jej przed nim uchronić.

— Powiedz fryzjerce dokładnie, czego chcesz. — Adele przesunęła szkandelą po prześcieradle. — Nie pozwól jej robić tego, co zechce, bo zetnie za dużo. Rude włosy to powód do dumy, wbrew temu, co niektórzy twierdzą. Wiem, o czym mówię.

— Lubię moje włosy. — Bridget przesunęła w palcach długi, rdzawobrzązowy warkocz, przelozony przez szczupłe ramię, przyglądając się jednocześnie lokom Adele, w nieco jaśniejszym odcieniu. — Mama mówi...

— Do łóżka. — Matka tej małej była koszmarna, nawet jak na gust pokojówki dorastającej w najgorszych slumsach East Endu, która szlifowała swój francuski, podając piwo w portowych spelunkach.

— Co sądzisz o moich nowych sukniach i bieliźnie, Adele? — Bridget obróciła się przed lustrem z wdziękiem baleriny. — Muszę przyznać, że uwielbiam jedwab.

— Panno Bridget... — Adele przerwała i odsunęła kołdrę. Co jej powiedzieć? Że jej matka jest nienormalna? Że ta starucha zamierza ją wykorzystać jako narzędzie gorzkiej zemsty? Ale może mała będzie miała szczęście i znajdzie dobrego opiekuna. Przecież lady Berwick też była tylko nieletnią kochanką swojego lorda, który zakochał się w niej po uszy i się z nią ożenił. Jej trzy siostry bez zmruczenia oka nadal zajmowały się swoją profesją, nawet gdy ich siostrzyczka kroczyła w bieli do ołtarza.

— Idź już spać, dziecko. W nowej fryzurze będzie ci na pewno do twarzy.

Bridget była mądrą dziewczynką i Adele wyraźnie dostrzegła niepokój w jej oczach.

— Uważasz, że te wszystkie koronki i jedwabie są dla mnie za dorosłe. A przecież dużo dziewcząt wychodzi za mąż, mając piętnaście lat.

— Ale ty masz czternaście, panno Bridget, a poza tym łóżko ci stygnie.

Bridget podeszła do niego i usiadła na pościeli.

— Szkoda, że nie mogę porozmawiać z Maggie.

Z Maggie, do której mała pisywała listy, marszcząc brew i wysuwając język z kącika ust. Maggie, która podobno troszczyła się o małą, ale nie zrobiła nic, by uratować ją od losu, który za chwilę ją dogoni, jak dylizans niesiony przez spłoszone konie.

Adele miała szczęście, że dostała tę posadę. Żaden porządny dom nie zatrudniłby pokojówki, która pracowała dla tylu kurtyzan. Gdy ostatnia z tych zbrukanych gołębic wsiadła na statek do Irlandii, Adele nie dostała nawet jednej linijki referencji, mimo trzech lat wiernej służby.

Zapakowała dziewczynkę do łóżka i zaczęła zdmuchiwać świece, jedną po drugiej. Całkiem możliwe, że pierwszy opiekun Bridget będzie w miarę porządnym człowiekiem. Mała była uderzająco ładna, świeża i niewinna.

Tylko że następny opiekun będzie nieco mniej miły, a piąty albo siódmy będzie ledwo zachowywał pozory. Kiedyś ktoś ją uderzy, potem zacznie bić, i jeśli szczęście jej dopisze, nie wykończy jej choroba weneryczna albo alkoholizm.

— Może powinnaś opisać Maggie te wszystkie śliczne rzeczy, które dziś dostałaś od mamy.

Opowiedz jej o jedwabiu i koronkach, o jutrzejszej wizycie u fryzjerki i o gorsetach i pończoszkach, które dostaniesz za tydzień.

— Już do niej pisałam. — Bridget podciągnęła kołdrę pod brodę i ziewnęła, gdy Adele przyklęła, żeby poprawić polana na kominku. — Bardzo mi jej brakuje.

Adele wyprostowała się i zaciągnęła zasłony, tak by zachodziły na siebie.

— To napisz, że za nią tęsknisz. I koniecznie opowiedz jej o nowych toaletach.

— Mama mówi, że to dopiero początek. Że dostanę nowe suknie, i peniuary, i szlafroki.

Chyba powinnam być szczęśliwa, Adele...

Szczęśliwa dziewczynka — w której głosie wcale nie brzmiało szczęście — ziewnęła po raz kolejny. Adele upewniła się, że palenisko zostało porządnie osłonięte kratą, i życzyła małej słodkich snów. Wiedząc, że mama dziewczynki wróci z miasta dopiero za kilka godzin, Adele też mogła w końcu wymknąć się na spotkanie.

Dom był podobny do swej właścicielki: doskonale utrzymany i starannie zabezpieczony, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Benjamin spędził prawie dwie godziny w przyziemiu, oglądając pokój dzienny służby, spiżarnię, pralnię, apteczkę, pomieszczenia lokajów, pokój gospodyni, piwnice i kuchnię.

— Panie Hazlit.

Wstał z obmurówki paleniska, na której przysiadł na chwilę. Tak się zamyślił, że nie słyszał nawet, jak Maggie — panna Windham — zeszła w dół po schodach.

— Milady. — Patrzył, jak taksuje go wzrokiem od stóp do głów.

— Postanowił pan zostać ogrodnikiem czy stajennym?

— Postanowiłem odwiedzić cię niezauważenie, a przy tym nie pobrudzić się, myszkując po twoich zaskakująco czystych piwnicach. Czy mogę sobie ukroić trochę tej szynki?

— Proszę siadać. — Wyjęła nóż z szuflady. — Jak długo pan tu jest?

— Poczekaj, aż służba wyjdzie, i wpuściłem się do środka.

Podszedł do zlewu i umył ręce, przy okazji przyglądając się pani domu, która kroila cienkie plasterki szynki.

Szynka.

— Czy to produkt jednej z twoich farm?

Spojrzała na niego znad sterty plasterków.

— Myślałam, że nie szpieguje pan za plecami swoich klientów.

Odwiesiła szynkę na hak z taką łatwością, jakby mięso nic nie ważyło, i zniknęła na moment w spiżarni, po to, by za chwilę pojawić się z kręgiem sera o średnicy co najmniej sporego słonecznika.

— Jeśli szuka się osób mających motyw, by skrzywdzić mojego klienta, to nie jest szpiegowanie. Następną sprawą, którą się zajmujemy, są twoje finanse.

Położyła ser na blacie z takim impetem, że aż trzasnęło, i oparła pięści na biodrach.

— Sama prowadzę swoje księgi, panie Hazlit. Nikt mi nie wyprowadza pieniędzy z kasy. Masło czy musztarda?

— Jedno i drugie oraz twoje miłe towarzystwo. I tak już wiem, że jesteś bogata.

Spojrzała ostro, nie tyle z zaskoczeniem, ile z niechęcią.

— Skąd wysnuł pan takie wnioski?

Nie zaprzeczyła. Zauważył to pomimo faktu, że włosy miała związane w luźny węzeł nad szyją i włożyła staromodną, bladezieloną empirową suknię. Wyglądała miło i przystępnie, jeśli nie liczyć zmarszczonych brwi i promieniującego z niej napięcia.

I tego noża, który ścisnęła w garści.

Podszedł do niej.

— Ukrywasz swoje bogactwo, choć i tak widać jego oznaki. Twoja piwniczka na wino jest niewielka, ale każda butelka zawiera doskonały rocznik. Twoja codzienna porcelana jest lepszej jakości niż komplety, które większość twoich sąsiadów używa od wielkiego dzwonu. Nawet prześcieradła lokajów są czyste i porządne. Masz kuchnię z żelazną płytą, luksus, na który mało kto

z tutejszych mieszkańców może sobie pozwolić. — Wyjął nóż z jej dłoni i odłożył go na blat. — Twoje suknie są pięknie uszyte, choć ukrywają sylwetkę, zamiast ją podkreślać. Meble w jadalni służących są nowe. Tylko we własnych pokojach uciekasz się do najsurowszych oszczędności.

Był na tyle blisko, by poczuć jej kwiatowo-cynamonowy zapach. I dostrzec zmęczenie wokół oczu i ust oraz ośli upór, wyrażający się uniesieniem podbródka. Mógłby ucałować ten podbródek...

— Panie Hazlit, prosiłam, żeby pan znalazł zwykłą torebkę, a nie wtrącał się w moje prywatne sprawy. Wolalabym, żeby pan mnie informował o swoim pobycie w moim domu.

Żeby nie wpakować się w kolejne kłopoty, wziął bochenek chleba, który wyjęła z pudełka, i zaczął go kroić.

— Chciałem coś udowodnić.

— Że nie jestem bezpieczna we własnym domu? — Mówiła cicho, ale z hamowanym gniewem. A może strachem?

Odpowiedział bardzo spokojnie, nie przerywając krojenia.

— Wszedłem przez piwniczne okno, które ktoś zostawił otwarte, żeby mieć przewiew w pogodny dzień. Twój dom jest bezpieczniejszy niż większość posiadłości. Kto sprawdza wieczorem, czy wszystkie drzwi są zamknięte?

— Ja.

— Na litość boską, Maggie. — Przerwał krojenie i spojrzał na nią z irytacją. — To nie jest odpowiednie zajęcie dla pani domu.

Złapała miskę, drewniany nóż i zaczęła szczerze smarować kromki. Jej opanowane ruchy wskazywały, że potrafi przygotowywać jedzenie, przynajmniej tak proste jak to.

— Nie mam majordomusa ani zarządcy, panie Hazlit. To skromne domostwo, mimo pana oskarżeń i podejrzeń.

— Twoje domostwo jest skromne — przytaknął, obserwując jej zajęte pracą dłonie. — Ale fortuna całkiem spora. — Przeszedł na drugą stronę kuchni, bo kusiło go, by przykryć te dłonie swoimi i zażądać, żeby mu wreszcie powiedziała, co było w tej cholerniej torebce.

Ustawił na tacy zastawę do herbaty, podczas gdy ona zajmowała się chlebem, serem, szynką i musztardą.

— Będziemy dziś rozmawiać o twoich finansach, Maggie. Osoba, która cię okradła, może zechce cię szantażować, jeśli zna wielkość twojego majątku.

Przestała chłapać musztardą na kanapki i spojrzała na niego chmurnie, z drewnianym nożem w ręku.

— To są bezpodstawne oskarżenia. Nie przeszukiwałby pan tego domu, gdyby nie zakładał, że ta cholerna torebka gdzieś tu zginęła.

Stała tak, oddalona o trzy jardy i co najmniej trzy awantury. Za każdym razem, kiedy się widzieli, była trochę bardziej zirytowana i trochę bardziej napięta.

— Masz rację.

Wziął w ręce tacę i skłamał gładko, jak profesjonalista.

— Najpierw eliminuję najbardziej oczywiste możliwości. Zjemy przy stole?

Skinęła głową i ułożyła kanapki na talerzu.

— W glinianej fasce w spiżarni są pieczone jabłka.

— Może później. Usiądź ze mną, Maggie. Powiem ci, czego jeszcze się dowiedziałem, przeszukując twój dom.

Postawiła jedzenie na stole i, ku jego zdumieniu, usiadła obok niego, zamiast naprzeciwko. Może nie chciała, żeby zaglądał jej prosto w twarz, a może nie chciała patrzeć na niego.

Zapowiadała się trudna rozmowa.

Jak prawdziwy lord, na jakiego go wychowano, nalał herbaty, zanim wystrzelił w jej kierunku pierwszy pocisk.

Zamieszała herbatę, lekko postukując łyżeczką o dno filiżanki, i upiła łyk.

— Więc co takiego znalazł pan w moim domu?

Nie potrafił tego zrobić. Nie mógł zdzielić jej między oczy prawdą, niby pałką, żeby

straciła samokontrolę i dała z siebie wyciągnąć informację, co było w torebce. Jeszcze nie teraz.

Podał jej kanapkę.

— W domu mieszkały kiedyś dzieci, nie tylko dzieci służby, ale też dzieci właścicieli.

Pewnie wszystkie bawiły się razem, kiedy dorośli nie patrzyli, chyba że poprzedni właściciele byli zaskakująco demokratyczni.

— Po czym to pan poznał?

Począł, aż ugryzie kanapkę, i dopiero potem odpowiedział:

— W piwnicy, która jest najlepszym miejscem do zabawy w jaskinię piratów, ktoś wyskrobał w boazerii napisy, na wysokości dziecka. Większość jest po angielsku, ale jeden wpisano po łacinie.

— Co to za napis?

— Trudno go odczytać. Ale chyba *noli desperare*.

Uśmiechnęła się blado.

— „Nie tracić nadziei”?

— Dobra maksyma dla więźnia piratów. Skończ kanapkę, Maggie.

Spojrzała ze zdziwieniem.

— Kiedy to postanowił pan nazywać mnie Maggie?

Gdy cię ostatnio całowałem.

— A kiedy postanowiłaś mi na to pozwolić?

Uśmiechnęła się lekko, a potem uśmiech rozjaśnił całą twarz.

— Uwielbia pan prowokować ludzi, prawda, panie Hazlit? Co jeszcze pan znalazł?

W dalszym ciągu nie potrafił jej tego powiedzieć.

— Bardzo niewiele kurzu. Twoja gospodyni kocha się w swoim kuzynie ze wsi. Piszą do siebie mnóstwo listów o owcach i wymieniają się przepisami na lecznicze nalewki. Młodszy lokaj ma pod poduszką lok włosów młodszej pokojówki, ale z tego, co mówiłaś, ona kocha się w kimś innym. Zapominasz o jedzeniu.

Znowu ugryzła kanapkę. Powie jej znacznie więcej, ale nie teraz, gdy dopiero co się odprężyła i odrobinę przestała się kontrolować.

— Dobra ta szynka, Maggie, ale w końcu nie powiedziałaś mi, skąd pochodzi.

— Z Morelands. — Odgarnęła wierzchem dłoni pasmo włosów, które opadło jej na czoło.

— Mamy w Kent dobrych zarządców i sąsiada, z którym koresponduję na tematy rolnicze. To on namówił mnie na inwestycje w trzodę chlewną.

Drobny szczegół, ale cenny. Jego Maggie była świńskim nababem.

Uniosła dzbanek.

— Jeszcze trochę herbaty?

— Poproszę.

Pozwolił jej skończyć posiłek w milczeniu, ale nie mógł zapomnieć o tym, co odkrył, i co przyprawiało go o mdłości. Będzie przestraszona i przygnębiona. Dzięki temu uda mu się wyciągnąć z niej kilka informacji. Dziwne, ale wcale mu się to nie podobało.

— Maggie.

Odstawiła dzbanek i spojrzała mu w oczy.

— Niech pan to powie wprost, panie Hazlit. Jest pan podejrzenie poważny, odkąd nakryłam pana w mojej kuchni. Próbuje pan oszczędzić mi czegoś.

Z każdym zdaniem ciepło w jej oczach zmieniało się w chłód. Obsadzała garnizon wojskiem i ustawiała działa.

— Czy to źle, że chcę uszanować twoją wrażliwość?

Chciał złapać ją za rękę, ale wstała, zebrała resztki posiłku i zaniósła je na blat.

— Te ciągłe podejrzenia, że nie poradzę sobie z realiami życia, są po prostu męczące.

Nieprawe pochodzenie daje tak bezpośredni, twardego kontakt z rzeczywistością, że człowiek uodparnia się na wszystko. — Odwróciła się, oparła na blacie i skrzyżowała ramiona na piersi. — Wolę wiedzieć, co się dzieje, panie Hazlit. Nie chcę, żeby pan mnie rozpieszczał, zabawiał i traktował jak dziecko. Co pan odkrył?

Wstał, postawił tacę z herbatą na blacie i ruszył ku niej, ale się odsunęła.

— Benjamin — powiedział wolno i wyraźnie. — Jestem Benjamin Braithwaite Holloway Portmaine... Hazlit.

Przełknęła ślinę, gdy zatrzymał się o pół kroku przed nią.

— To jest moje imię i, proszę, zwracaj się tak do mnie.

— Powiedz mi prawdę, to będę.

Och, podobało mu się to. Nie wahała się ani nie krygowała. Chciała go nazywać po imieniu. Objął ją w tali i przysunął usta do jej ucha.

— Ktoś próbował dostać się ukradkiem do twojego domu, wiele razy, i udało mu się to.

Dotknął wargami miękkiej, pachnącej skóry na szyi, przytulił ją do siebie jedną ręką, a drugą zburzył ten grzeczny kok.

Do diabła z nim, do diabła... Maggie nie była w stanie myśleć, nie potrafiła złożyć prostego zdania, kiedy wargi Hazlita wędrowały po jej szyi. Takie miękkie, ciepłe, wprawne wargi. Nie spieszyły się ani nie wahały.

— Ktoś włamał się do mojego domu?

Wargi, które delikatnie dotknęły jej ust, kiedy ręka zatonęła we włosach i przytrzymała głowę, dając jej oparcie przy pocałunku.

Bardzo chciała, żeby ją pocałował. Wstrętne realia życia nigdy nie oddalały się na zawsze, ale czasem można je było utrzymać z dala choć przez kilka chwil. Teraz właśnie potrzebowała takich kilku chwil. Kiedy indziej będzie się zastanawiać, kto wielokrotnie przeszukiwał jej dom i czego w nim szukał.

Objęła go ramionami i przechyliła głowę, czekając na pieszczotę. Oderwał wargi od jej warg i podniósł ją, tak że usiadła na blacie.

— Panie Hazlit? — Byli teraz równi wzrostem. Spodobał jej się ten nowy układ.

Wtulił się w nią i szepnął „Benjamin” prosto w jej usta. Jego język wsunął się między jej wargi, słodki o smaku herbaty, i z męską władczością je eksplorował.

— Benjamin — powtórzyła, a właściwie tchnęła w jego usta, zdziwiona, że można się całować i jednocześnie mówić. Siedząc na blacie, mogła dotykać jego jedwabistych, ciemnych włosów i się nimi bawić.

Gdzieś w oddali jej zdrowy rozsądek lamentował i zarzucał ją pytaniami. Po co to robisz? Co pocałunki mają wspólnego z włamaniem do domu? I dokąd to wszystko doprowadzi, na litość boską?

Jej ciało doskonale wiedziało, do czego to doprowadzi, bo rozsunęła kolana i objęła nogami jego biodra, opierając o nie kostki stóp. Po raz pierwszy od trzydziestu lat Maggie Windham zrozumiała kobiety, które opowiadały, że dały się ponieść namiętności.

— Przestań myśleć, moja Maggie. — Przyciągnął ją jeszcze bliżej, wciskając się w jej ciało.

Jego język nadawał rytm, powolny i lubieżny. Łono Maggie odpowiedziało pulsowaniem, a fala gorąca popłynęła w jej żyłach.

— Nie chcę...

Przytuliła się, sama nie wiedząc, czy jej ciało szuka ucieczki, czy pragnie większego podniecenia.

— Ależ chcesz, i Bóg jeden wie, jak bardzo ja też chcę.

Położył dłoń na jej kolanie, dotykającym jego biodra.

— Pozwól mi to zrobić, Maggie Windham, bo oboje oszalejemy.

To? Zrobić to?

Odsunął odrobinę biodra, a ona aż jęknęła z rozczarowania. Jego język w ustach to było za mało, była gotowa zeskoczyć z blatu i rozciągnąć Bena na podłodze, żeby tylko móc znaleźć się jeszcze bliżej niego.

— Benjaminie...

Na litość boską, przecież to nie były normalne słowa, tylko jakieś mruczenie... Poczula, jak

Hazlit uśmiecha się, wyczuwając jej konsternację. Przerwał pocałunek i pozwolił, by wtuliła się w jego szyję.

— Pozwól mi się dotknąć, Maggie. Tylko tyle.

Gdy próbowała odnaleźć właściwe słowa, żeby mu odpowiedzieć, poczuła, że suknia powoli podjeżdża ku biodrom. Dotykał jej, przesuwając palcem wokół rozcięcia w jedwabnych desusach i nagle błyskawica przeszła jej ciało.

— To tylko dłoń, tylko dotyk. Pozwól mi na to...

Zaparło jej dech w piersiach, gdy coś musnęło jej zwilgotniałą kobiecość, raz i drugi... i nagle już nic nie czuła, tylko ten delikatny dotyk kciuka. Pragnęła coś ugryźć, otworzyła usta, z trudem walczyła o oddech, a jej serce tłukło się jak oszalałe.

— Co ty...?

Nieco mocniejszy dotyk, tym razem w rytmie, który wywołał w niej kaskadę rozkoszy. Odjęło jej mowę, więc tylko jęknęła w jego szyję, a potem przesunęła językiem po podbródku.

— Pozwól mi na to. Pozwól, żebym ci to dał.

Jedną rękę trzymał pod jej spódnicą, druga powędrowała ku jej piersiom. Maggie objęła go nogami i rękami.

— Daj mi... — Wygięła się ku tej dłoni, bezwstydnie i pożądliwie. To przecież nie był stosunek, nawet nie zdjęła sukni.

A bardzo chciała. Jeszcze bardziej chciała, żeby on się rozebrał, ale ten delikatny dotyk sprawiał, że nie potrafiła myśleć o niczym, tylko podsuwała się pod jego dłoń.

— Benjaminie Hazlit... — Jego dłoń sprawiała, że żar i pożądanie stopiły się w nienazwaną tęsknotę, oszalamiającą i płomienną. Maggie pragnęła wciąż więcej i więcej.

A on jej to dawał. Och, jak szczerze. Łagodnie pieścił pierś, a nieco mocniej jej kobiecość, darząc ją niesłychaną, wibrującą rozkoszą, płynącą coraz większymi falami, aż zatoneła i tylko jęczała, wzdychała i prosiła o jeszcze, wargami przytkniętymi do jego szyi. A kiedy nie mogła już znieść tego, co dzieje się w jej własnym ciele, jego dotyk złagodniał i stał się kojący, ale wciąż tak samo niezbędny.

Pocałował ją i tego też było jej potrzeba. Potrzebowała tych warg i uścisku szerokich ramion, jego ciepła i siły.

— Wielki Boże. — Oparła czoło o jego obojczyk i opuściła nogi. — Słodki, litościwy, dobry Boże...

Włosy miała kompletnie rozpuszczone. Przerzucił je na jej plecy. Znowu pocałowała, że nie są nadzy i że nie czuje dotyku jego dłoni na skórze. Co za głupia myśl. Przytulił policzek do jej skroni. Twarda jak skała erekcja świadczyła, jak bardzo jest podniecony, a mimo to w jego objęciach czuła się bezpieczna.

I szczęśliwa, co było o wiele gorsze.

Co ona narobiła?

— Czemu wzdychasz, Maggie Windham?

Pokręciła głową, niezadowolona, że Hazlit potrafi w takiej chwili składać rozsądne zdania. Pocałowała jego szyję, przesunęła językiem po bijącym pulsie, bijącym mocno i szybko, co zauważyła z przyjemnością.

— Powiedz mi, że wszystko jest w porządku, kochanie.

Udało jej się skinąć głową. Ucałował jej skroń, odsunął się i odwrócił tyłem. Widziała, jak wyciąga z kieszeni chusteczkę i poprawia na sobie ubranie. Wiedziała, co chce zrobić.

Patrzyła jednak, choć tylko od tyłu. Gdy pieścił sam siebie, jego plecy wygięły się w łuk, a głowa się uniosła i opadła w tył w momencie spełnienia. Maggie chciała widzieć jego twarz i malującą się na niej rozkosz, choć świadomość, że zrobił to w jej obecności, była szokująca. Taki intymny akt.

W dowód zaufania?

Poprawiła się na blacie, pozwalając, by suknia opadła za kolana. Gdy odwrócił się do niej, spokojnie spojrzała mu w oczy. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, miał włosy i odzież w nieładzie, a w oczach dostrzegła coś... poruszającego. Czyżby świadczącego o tym, że i on ma słabe strony?

— Jestem bardziej rozczochrana niż ty, Benjaminie.

Uśmiechnął się psotnie, kącikiem ust, i pomógł jej zeskoczyć na podłogę.

— Twoje włosy są cudowne. Mógłbym się z tobą kochać.

Przyłożyła dwa palce do jego warg.

— Ani słowa więcej. Odeszliśmy od tematu i choć doceniam, że zechciałeś odwrócić od niego moje myśli, to był tylko przerywnik. Nic więcej.

Mówiła łagodnie, nie chcąc go strofować. Starła się spojrzeć na to, co się stało, w możliwie konstruktywny sposób, i przypomnieć sobie o celu tego spotkania. Zaraz zaczęła sobie robić wyrzuty, gdy tylko jej ciało przestanie mrużyć z zadowolenia. I z pożądania.

Przytulił ją do siebie na moment, a potem puścił.

— Porozmawiamy jeszcze na ten temat, Maggie Windham. Takie wzajemne przyciąganie nie jest żadnym przerywnikiem.

Przesunął dłonią po włosach, chyba równie wstrząśnięty jak ona.

— To był bardzo miły przerywnik — odpowiedziała. — Chodźmy do mojego gabinetu. Nie ma tam okien wychodzących na ulicę, a poza tym należy nam się zmiana scenerii.

Mruknął pod nosem coś na temat końskiego poidła i poszedł za nią na górę.

— Abby Norcross ma taki zamęt w głowie, że sama nie wie, jak się puszczać.

Benjamin nie odpowiedział. Archer usiadł obok niego na sofie, ze szklanką brandy w dłoni. Zdaje się, że wszyscy mieli dziś dzień pełen zamętu. A raczej noc.

Jedna z bosych, zgrabnych stóp Archera wylądowała na niskim stoliku, a po chwili dołączyła do niej druga.

— Nie pijesz?

— Jeszcze nie. Noc jest młoda.

Archer popatrzył na niego.

— Psiakrew, Ben, są dwie godziny po północy. Sześć godzin temu zostawiłem cię przy kominku, zagapionego w płomienie. Dalej się w nie gapisz i nawet drinka sobie nie nałałeś. Napij się z mojej szklanki.

Archer trącił go łokciem, nie rozlewając ani kropli. Benjamin pociągnął łyk, bo w przeciwnym razie nie miałby spokoju przez resztę nocy.

— Czyja sprawa tak cię męczy? — Archer wziął od niego szklankę i zapadł się głębiej w poduszkę. — Zawsze jak masz problem, robisz się taki ponury. Za żadne skarby nie potrafię wykombinować, co planuje nasza ulubiona lady Norcross. Dziś wieczór znowu przesiadła się do powozu, tym razem Hammerschmidta, ale w środku Hammerschmidta nie było.

— To bez sensu.

Ta uwaga świetnie pasowała do całego dnia. Marzenie o tym, żeby kochać się z Maggie Windham do utraty tchu, też było bez sensu.

— Może damy po prostu sobie mile poplotkowały, w odróżnieniu od nas. — Archer pociągnął łyk, a Benjamin zmusił się, żeby chwycić przynętę.

— Podejrzewam, że ktoś szantażuje Maggie Windham, a ona rozpaczliwie próbuje chronić tę osobę.

Archer postawił sobie szklankę na płaskim brzuchu.

— Jest adoptowaną córką księcia. Ktoś, kto miałby nad nią taką przewagę, musiałby być bardzo wysoko postawiony.

Archer świetnie się nadawał do testowania hipotez, choć trochę za bardzo lubił docinki i żarty. Rozmowa się przyda, tym bardziej że długie godziny wpatrywania się w ogień nie przyniosły żadnych rezultatów, oprócz, ma się rozumieć, pobudzenia intymnych części jego ciała.

— To może być któryś z jej braci — mruknął i wypił od Archera kolejny łyk. — Do niedawna wydawało się, że ten ich muzyk ma szczególne upodobania.

— Lord Valentine. — Archer uśmiechnął się, patrząc na pustą już szklankę. Wstał i podszedł do karafki. — Który dżentelmen o szczególnych upodobaniach spędza długie godziny w luksusowym burdelu?

— Taki, który chce ukryć swoje upodobania.

— Ulubieniec dam nie musi być zaraz pieszczoszkiem panów. Gdyby młodszy dziedzic księcia wolał mężczyzn, całe miasto huczałoby od plotek.

— Może i tak. Siedzi teraz w Oxfordshire, ożenił się z wdową po baronie Roxbury. Mówi się, że to związek z miłości.

— Jakie to staromodne. — Archer podał Benowi drinka i wrócił na swoje miejsce na sofie. — Spytaj jej braci, jakie mroczne sekrety ukrywa ich siostra.

— Tylko najpierw zapiszę cały mój majątek w powiernictwo siostrze, a ty, mój drogi, będziesz administratorem.

— Fantastycznie. Dwie gorące panienki i majątek powierniczy.

Nie wspomniał nawet o tytule, co było typowe dla jego poczucia lojalności.

Ben westchnął i podrzucił bardziej prawdopodobną teorię:

— A może Maggie chroni swojego ojca?

— Percy Windham nieźle sobie poszalał w młodości, a teraz ma duże wpływy w Izbie Lordów. Myślisz, że przekroczył pewne granice, w sensie politycznym albo i w innym?

— Intryguje i spiskuje dla przyjemności, chyba nie potrafi się powstrzymać. Nie wiem, czy zniżyłby się do zwykłego szantażu albo przekupstwa, ale nie mogę się w to szczegółowo zagłębiać.

— Dlaczego? — Archer zamknął oczy, nabierając zwodniczo anielskiego wyglądu.

— Honor mi nie pozwala. Jej Wysokość nie byłaby zbyt szczęśliwa, gdybym wziął od niej pieniądze, a potem zwrócił się przeciwko nim i zaczął rozgrzebywać brudy Jego Wysokości.

— Książęta nie mają brudów. To powszechnie znany fakt. Popatrz na Devonshire. Bastardy i spadkobiercy chowani pod tym samym dachem. Ale żadnych brudów. Nawet pogniecionej chusteczki do nosa tam nie ma. Bo to przecież książę krwi.

W tym tkwiło sedno sprawy. Książęta krwi, w wyniku prawa o królewskich mariażach, przeforsowanego przez ich drogiego papę, mieli w sumie co najmniej tuzin nieślubnych dzieci, choć niektórzy obliczali, że raczej około dwudziestu. Sam William miał spore stadko, a po śmierci księżniczki Charlotty mógł przecież nawet któregoś dnia odziedziczyć tron.

Archer miał rację. Wszyscy wiedzieli, że książęta nie mają żadnych brudów; oni byli ponad to.

— A księżne? — Benjamin wypowiedział to powoli, mając poczucie, że natrafił na właściwą, choć bardzo nieprzyjemną, linię rozumowania. — Czy księżne miewają brudy do wyprania?

Archer zamilkł na moment.

— Obawiam się, że tak. A Esther Windham nie zwróciłaby się wprost do Jego Wysokości, żeby załatwić sprawę. Jej drogi Percy pewnie by przy tym kogoś wypatroszył, a synowie tylko naostrzyliby mu szpadę. Na szczęście Rosecroft siedzi na północy, on jest najgorszy z tego towarzystwa.

— Zazwyczaj lubię zagadki.

— Świetnie sobie z nimi radzisz. Dlaczego z tą jest inaczej?

Niewygodne pytanie. Ben wstał, poszedł po karafkę i postawił ją na stoliku.

— Maggie Windham zatrudniła mnie, żebym pomógł jej znaleźć torebkę. Nie wiem, jak to zrobić, nie zdobywając jej zaufania, a to wydaje się prawie niemożliwe.

— Przecież doskonale umiesz postępować z damami, Benjaminie. Podoba im się twoja chmurna uroda i szerokie ramiona.

— Tak samo lubią twoje blond wdziki.

— To prawda. Nie potrafisz zawrócić pannie Windham w głowie i wkraść się w jej łaski? Albo do łóżka?

— Mam wrażenie, że mógłbym, a potem, kiedy bym już osiągnął swój cel, pokazałaby mi drzwi i spytała, kiedy wreszcie zobaczy swoją torebkę.

Archer otworzył oczy.

— Ależ nas to irytuje, kiedy kobiety zaczynają nam odpłacać pięknym za nadobne. Nie możesz jej nastraszyć? Pomachać szpadą, powiedzieć, że poskarżysz się jej papie?

— Nie mogę. — Był całkowicie pewny, że Maggie Windham nie da się zastraszyć. Po

pierwsze, wiedział, że to mu się nie uda, a po drugie, nie miał na to ochoty. — Posłalaby mnie... wiesz, gdzie.

— Zdecydowana kobieta. Lubię zdecydowane kobiety.

— A jeszcze bardziej lubisz wskakiwać im pod spódnicę.

— Bardzo, bardzo je lubię. Jeszcze brandy?

Benjamin podstawił szklankę i pozwolił, by Archer nalał na dwa palce złotego płynu. Jego wspólnik rzeczywiście lubił kobiety, lubił je w zasadzie przy każdej okazji, co było dość niebezpieczne, chociaż w ich pracy bardzo się przydawało.

— Co to za śliczna pokojówka, Archer?

— Która pokojówka? Tyle ich jest na świecie.

— Ta, która przeszkodziła ci w śledzeniu pary osiłków, którzy wyszli od panny Windham. Ta, którą odwiedziłeś dziś wieczór po drodze do domu.

Na twarzy Archera odmalowało się autentyczne zmieszanie.

— Skąd wiesz?

— Poznałem po zapachu. — Benjamin dotknął nosa. — Kwiatowy, z lekkim powiewem cynamonu, ale też z nutami lawendy i cedru. Pokojówka, która spędza długie godziny w gotowni swojej pani, szyjąc i prasując. Pewnie też zagląda do pralni, żeby się upewnić, czy suknie jej pani są tam właściwie traktowane.

Zapach był zresztą zaskakująco podobny do aromatu Maggie.

— Taki węch powinien być karalny. To po prostu zwykła pokojówka.

— Jesteś moim dziedzicem, Archer.

W odpowiedzi jak zwykle usłyszał długie, cierpiętnicze westchnienie.

— Ale szczęściarz ze mnie. Gramy w karty czy też będziesz dalej dumał?

Benjamin pozwolił mu się ograć parę razy, choć szczerze mówiąc, chciał jeszcze trochę podumać. Wiedział, że musi coś zrobić z tą Maggie Windham, tylko że nie miał pojęcia co.

Maggie posypała piaskiem kartkę z listem, który tworzyła bite dwie godziny. Napisała przez ten czas całe trzy zdania, ale do diabła, nie co dzień elegancko zwalnia się z pracy człowieka, który tak cudownie... całuje. Jak tu go zwolnić, skoro udało mu się ją pocieszyć w prosty, zwierzęcy sposób i to było jego jedyne wykroczenie? Nie wspominając o nieodpartym uroku. I jak tu go zwolnić, skoro niedawne wydarzenia w zupełności potwierdziły jego teorię, że torebka i, co ważniejsze, przechowywane w niej listy dostały się w ręce złodzieja, który włamał się do jej domu?

Odłożyła list na bok, sięgnęła po tacę z korespondencją i natychmiast poczuła znajomy, złowróżbny, zimny skurcz w żołądku. Kolejny list od Bridget. Maggie rozpaczliwie potrzebowała tych listów i nowin, tylko że do listu dołączono najprawdopodobniej żądanie pieniędzy.

I to bardzo dużych pieniędzy.

Rozcięła kopertę nożem.

Moja kochana,

szkoda, że nie widzisz moich włosów! Wyglądam, jakbym miała co najmniej dwadzieścia lat, z tymi wszystkimi loczkami naokoło twarzy i przedziałkiem na boku. Właściwie nie ścięłyśmy ich ani trochę. Mama też mówi, że bardzo dojrzałe wyglądam. Czy tak właśnie się czułaś, kiedy pierwszy raz upięłaś włosy? Szczęśliwa, podniecona i trochę niespokojna?

A moja garderoba! Mama mówi, że nie musimy się przejmować pieniędzmi, więc jestem za to bardzo wdzięczna. Mam nowe „niewymowne” z prawdziwego jedwabiu, obszyte koronką i całe haftowane. Moje ulubione są czerwone, z czarnym wykończeniem, ale Mama mówi, że to na specjalne okazje. Adele to się nie podoba. Nic nie mówi, ale to widać.

Kiedy nas znowu odwiedzisz, Maggie? Strasznie bym chciała ci pokazać wszystkie moje rzeczy. Mama mówi, że niedługo zaczniesz mnie zabierać na przejażdżki o modnych godzinach. Nie mogę się doczekać, aż wszyscy zobaczą mnie w tych sukniach. Teraz już rozumiem, dlaczego damy lubią bale, i pytałam Mamę, kiedy zatrudni nauczyciela tańca. Coraz lepiej gram na pianinie i mój francuski też się poprawił. Kochana Maggie, musimy kiedyś porozmawiać po francusku. Tak za

tobą tęsknię, a od wieków cię nie widziałam. Niedługo będę taka dorosła, że w ogóle mnie nie poznasz.

Kocham cię

Twoja Bridget

Wielki, słodki Boże... konwersuje po francusku, chodzi w peniuarach z czerwonego jedwabiu, a nie skończyła piętnastu lat.

Choć Bridget przekazała te wiadomości z entuzjazmem nastolatki, Maggie wiedziała, co małej grozi. Tylko że nie miała pojęcia, jak ją ochronić. Cecily była sprytna. Maggie założyłaby się o każde pieniądze, że wkrótce wysunie nowe żądania. Pewność tę dawało jej poranne odkrycie Bena.

— Pan Hazlit do panienki.

Pani Danforth znowu była cała w uśmiechach, za to Maggie czuła, jak przerażenie, które pulsowało w jej brzuchu, przemienia się w desperację. Miała nadzieję, że już nigdy w życiu go nie zobaczy. Ani tych ciemnych oczu, ani dłoni, ani ust...

— Nie trzeba mnie zapowiadać, pani Danforth. — Hazlit stanął za przysadzistą gospodynią, trzymając w dłoni swój wysoki, bobrowy cylinder. — W taki piękny dzień jak dzisiaj ma pani na pewno lepsze rzeczy do roboty, niż chodzić za mną krok w krok.

— W takim razie podam herbatę, dobrze? — Gospodyni pospieszyła do kuchni, uśmiechając się jak psotna uczennica.

Hazlit wsunął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— W dalszym ciągu za mało odpoczywasz.

— Już niedługo odpocznę. Zwrócono mi torebkę. — Nie powiedziała tylko, że bez wcześniejszych listów Bridget, które w niej trzymała. To na pewno robota Cecily, która chciała mieć pewność, że Maggie bez wahania wypłaci jej jakąś niebotyczną sumę. Hazlit właśnie odkładał kapelusz na półkę nad kominkiem. Maggie obserwowała, jak znieruchomiał, jak jego jeździecki surdut napiął się na ramionach, ciało obróciło się powoli, a oczy pozostały bez wyrazu.

— Naprawdę?

Wstała zza biurka, zamierzając podać mu kapelusz i pożegnać na zawsze.

— Dziś rano. Znalazłam ją na siedzeniu mojego powozu.

Bóg świadkiem, że mówiłam prawdę. Tyle że nie całą.

— Ja też coś dziś rano znalazłem. Czeka na ciebie w stajniach.

— Panie Hazlit.

Ale on już zdążył podejść do biurka i — niech go piekło pochłonie, a szatany dręczą — nawet nie musiał odwracać kartki, żeby przeczytać ten list.

— Zwalniasz mnie?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

— Torebka została zwrócona. Może pan zatrzymać zapłatę. Jestem zadowolona z zakończenia sprawy, panie Hazlit.

Stanął przed nią i spojrzał z takiej bliskości, że czuła jego korzenny, egzotyczny zapach.

— A ja nie.

Zamrugła i przestała się gapić na bursztynową spinkę wbity w jego krawat.

— Jak to?

Pochylił się i powiedział jej prosto w ucho:

— Nie jestem zadowolony. Chodźmy.

Wziął ją za rękę i pociągnął ku drzwiom na taras. Nie wiedziała, czy radować się dotykiem ich splecionych dłoni, czy wpaść w panikę, że nie przyjął zwolnienia.

— Panie Hazlit, herbata...

— Do diabła z nią. Przecież razem przeszukiwaliśmy ten powóz. To tylko potwierdza, że torebka została skradziona, a nietrudno zgadnąć, że oddano ci ją bez zawartości.

— Nie zginął nawet jeden pens. — Co, paradoksalnie, potwierdzało, że Cecily maczała palce w tej sprawie.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie wpadła na niego.

— To tylko pogarsza sprawę, prawda? Ktoś się z tobą bawi, pokazuje, że może się do ciebie włamać, ukraść ci coś cennego, a potem każe ci z przerażeniem czekać na swój kolejny kaprys. Czy ty mnie w ogóle słuchałaś, gdy pokazywałem ci wszystkie oznaki włamania?

Kiedy był zirytowany — a także kiedy się z nią całował — wokół jego źrenic błyskały złociste iskierki. Te jego ciemne oczy były takie wyraziste.

— Widziałam zadrapania wokół zamków, a jednak z domu zginęła tylko torebka. Pan z kolei widział, sir, że zamki zastąpiono nowymi, zgodnie z pana wskazówkami.

Znowu ruszył przed siebie, ciągnąc ją w stronę stajni.

— Tylko dlatego, że nie znaleźli jeszcze twojego sejfu.

— Skąd pan wie, że mam sejf?

— Znalazłem go już pierwszej nocy, gdy oglądałem twój dom.

— Ogląd... — Zaraz! Wyrwała mu rękę i z trudem powstrzymała się od krzyku. —

Włamałeś się do mojego domu? Kręciłeś się po nim jak złodziej, kiedy ja spałam we własnym łóżku?

— Nie jak złodziej, tylko jak ktoś, kto stara się schwytać złodzieja.

Przejechał włosy dłonią. Coś w jego twarzy powiedziało Maggie, że nie zamierzał się przyznać do swoich nocnych wizyt. Świadomość, że on też jest wyprowadzony z równowagi, pozwoliła jej trochę dojść do siebie.

— Włamanie to przestępstwo, panie Hazlit.

— Ale nie jest przestępstwem ochrona damy przed niebezpieczeństwem. Jeśli to panią pocieszy, nie znalazłem nic, co mogłoby panią pogrzyżić.

— Wielki Boże. — Ruszyła szybciej, nie mogąc pogodzić się z taką nieprawdopodobną arogancją.

— Przepraszam.

Usłyszała, jak się zatrzymał. Byli w ogrodzie za domem, widoczni tylko dla domowników. Odwróciła się, krzyżując ramiona.

— Niby za co?

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem kącik jego ust podjechał do góry.

— Za to, że dałem się przyłapać, jeśli musisz wiedzieć. Wiele lat temu ustaliliśmy z Archerem, że standardowa procedura będzie obejmować inspekcję domu klienta. Czasami klienci nie są z nami szczerzy, a to może nas narazić na niepotrzebne ryzyko.

— Nie narażam pana na żadne ryzyko. Zwalniam pana, natychmiast.

Nie spodobało mu się to. Poznała to po błysku oczu.

— Przynajmniej zobacz, co ci przyniosłem.

Nie poddawał się, jak widać, ale też nie zamierzał dyskutować z nią na środku ogrodu. Poszła z nim dalej i pozwoliła, by przytrzymał furtkę.

Nie trzymali się za ręce, co dobrze wróżyło. Powtarzała sobie, że ich ścieżki się właśnie rozchodzą i że zwrot torebki — bez listów Bridget — stanowi ostateczny argument, zwalniając ją z konieczności podejmowania decyzji. Będzie za nim tęskniła, ale przecież od dawna nawykła do tęsknienia za bliskimi.

— Uwaga — ujął ją pod ramię, boby się potknęła. — Prawdę mówiąc, mam dla ciebie dwie rzeczy, ale jedna jest pożyczona. — Poprowadził ją do stajni, w której trzymała parę podstarzałych koni, których używała do wypraw na miasto.

Puściła jego ramię i wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

— Klacz należy do mojej szwagierki, ale czyj to jest pies? Zwierzak był spory i szorstkowłosy; wśród jego przodków na pewno było wielu szkockich gończych. Zaczął bić ogonem o nogi stajennego, który trzymał go na smyczy, mimo że pies nie szczekał ani nie rzucał się na nowo przybyłych.

Hazlit wziął smycz od chłopca i przekazał ją Maggie.

— To twój nowy przyjaciel. Ma na imię Deacon.

— Psy robią straszny nieporządek, panie Hazlit. — Pogłaskała czworonoga po głowie. — Linieją, ślinią się i nie tylko. Nie potrzebuję psa.

— Trochę się starzeje, ale wciąż jest w nim sporo ikry. Maggie przyjrzała mu się bliżej i wypatrzyła kilka siwych włosów wokół pyska. Był w tym wspaniałym psim wieku, kiedy pies traci już szczenięcą energię, ale wciąż jest w pełni sił i uwielbia się godzinami wylegiwać przed kominkiem.

— Niech go pan zabierze tam, skąd pan go wziął, panie Hazlit, choć doceniam pański gest. Ukłakł obok zwierzęcia i popatrzył na nią.

— Nie pozwolisz nawet psu zbliżyć się do siebie, prawda, Maggie? Przecież on nie zdradzi twoich sekretów, a tak bardzo potrzebuje domu.

Dwie pary brązowych oczu wpatrywały się w nią prosząco, sprawiając, że ścisnęło ją w gardle.

Odrzuciła właśnie Hazlita. Co jej przeszkadzało wziąć do domu bezdomnego psa?

— Mam nadzieję, że nie brudzi w domu?

Hazlit się wyprostował.

— Ma doskonałe maniery. Może niech się trochę przyzwyczai do nowego miejsca, a my w tym czasie trochę się przewietrzymy.

— Słucham?

Rozejrzał się wokół, a potem pochylił ku niej.

— Przejedziemy się konno, Maggie Windham. Wiem, że masz w szafie odpowiedni strój, więc idź się przebrać. Jeśli chcesz, mogę zastąpić twoją pokojówkę.

— Dość tych bzdur. — Odeszła kawalek, żeby leniwy ton jego głosu znowu nie zawrócił jej w głowie. — Moje napięte plany nie pozwalają na takie beztroskie rozrywki, panie Hazlit, choć dziękuję panu za zaproszenie i za wszystkie pana wysiłki dla mojego dobra.

Odwróciła się, żeby odejść, ale zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

— Maggie, na końcu wozowni stoi mój powóz. Nie ma herbów, a okna można zasłonić. Twoje damskie siodło jest w bagażowym pudle, a konie pod wierzch poprowadzimy za sobą. Wyjedziemy z miasta i nikt nie zobaczy nas razem. Twój brat powiedział mi, że uwielbiasz jeździć.

Bracia potrafią uprzykrzyć człowiekowi życie, nawet z dobrej woli.

— Westhaven powiedział też, że klaczy jego żony przydałoby się trochę ruchu.

Mówiąc to, Hazlit gładził psa po głowie. Dziś jest ostatni dzień ich bliskiej znajomości, dumiała Maggie, potem będą się tylko czasem spotykać w przelocie u księcia, witać uprzejmym skinieniem głowy i wymieniać uwagi o pogodzie. Nigdy nie poczuje pieszczoty tej dłoni na swoich włosach, nigdy więcej nie pocałuje pierwszego mężczyzny, który obudził w niej zapomniane marzenie o mężu i dzieciach.

Zależało jej na nim. Ta niewygodna myśl dotarła do niej, kiedy szła obok niego... i wyobrażała sobie pustkę bez niego. Nie rozstałaby się z nim przecież, by trzymać go z dala od tego okropnego zamieszania, tak drogo ją kosztującego, które uwięziło ją we własnym domu i pozbawiło normalnego życia, gdyby jej na nim tak nie zależało.

— Nikt nas nie zobaczy?

— Wątpię, by socjeta zjechała dziś do Richmond. Lady Davenroy wydaje śniadanie na tarasie, a lord Montrose gromadzi stronników, przygotowując się do głosowania. Nie spotkamy tam nikogo ważnego.

Oczywiście, nie mógł tego zagwarantować, ale papa będzie na pewno u lorda Montrose, a Jej Wysokość u lady Davenroy na śniadaniu. Dobrze, że zdecydowała się zerwać z Benjaminem Hazlitem. Był zdecydowanie za mądry, zbyt dociekliwy i burzył spokój jej ducha.

— Jak znalazł pan sejf?

— Zawiasy obrazu, który go maskuje, są trochę zużyte i przez to obraz odstaje kilka milimetrów od ściany. Całkiem ładny obraz, tak na marginesie.

— Moja siostra Jenny namalowała go kilka lat temu. Poczeka pan, aż się przebiorę?

— Kochanie, zawsze będę na ciebie czekał.

Puściła te bzdurne komunały mimo uszu i ruszyła w stronę domu. Uwielbiała jeździć konno, a jej towarzysz sprytnie wszystko zorganizował, żeby nie widziano ich razem. Miał zresztą rację. Nikt nie będzie o tej porze jeździł po Richmond, więc co jej szkodzi spotkać się po raz ostatni z tym mężczyzną, jedynym, który jej się spodobał od wielu długich lat.

Nietypowy charakter planu, który wyklął się w głowie Bena, utrudniał przeprowadzenie go, choć cała sprawa zazwyczaj nie przedstawiała większych kłopotów. Jego praca wymagała od niego, by sprawiał wrażenie, że słucha swego rozmówcy, a jednocześnie obserwował otoczenie, podsłuchiwał prowadzone obok rozmowy, krótko mówiąc — miał podzielną uwagę.

Maggie Windham piękniała w miarę oddalania się od miasta. Mówiła z coraz większym ożywieniem, wybuchała śmiechem, a kiedy dotarli do zielonych wiejskich pól, zaprosiła gestem, żeby usiadł obok niej, przodem do kierunku jazdy.

— Dlaczego mieszkasz w Londynie, skoro na wsi jesteś o wiele szczęśliwsza? — Nie odważyłby się zadać tego pytania pięć mil temu.

— Dlaczego mieszkasz w Londynie, skoro serce zostawiłeś w Cumbrii? — W jej oczach lśniło rozbawienie i wyzwanie. Jeszcze nie widział jej tak odprężonej i promieniującej urodą.

— Sytuacja mojej siostry... — umilkł. Avis miała dużo czasu, dwanaście lat, żeby się pogodzić ze swoją sytuacją, a teraz wyszła szczęśliwie za mąż za porządnego człowieka i zamieszkała w sąsiedztwie. — Przedtem nie bardzo mogłem wrócić do domu, a teraz mam zobowiązania w Izbie Lordów które trzymają mnie w mieście.

— Jesteś utytułowany, prawda?

Nie zawahał się.

— Tak, mam hrabiowski tytuł. Jestem hrabią Hazeltonem. — Przechyliła głowę. Czekał, aż kąci jej ust opadną na myśl, że została oszukana przez przemilczenie przez niego tego faktu.

— Papa nie lubił obowiązków związanych ze swoim tytułem. Ale nie chciał się pozbyć praw z nim związanych, więc go przyjął. Nie powiem o tym nikomu.

Rzeczywiście by nie powiedziała. Zdziwił się na myśl, że jej zaufała w tej sprawie.

— Zostało mi niewiele czasu — powiedział, wyglądając przez szparę w skórzanych zasłonach. Było tak pięknie, że ogarnęła go tęsknota za domem. Maggie ujęła go za rękę i spłótła z nim palce.

— Jakiego czasu?

— Niełatwo jest ukryć tytuł hrabiego. Twój papa zgodził mi się w tym pomóc, bo pamięta, przez co przeszły moje siostry, i rozumie moje powody, ale ludzie zaczynają coś podejrzewać. Posłać zwykłego pana Hazlita w pogoń za płochą córką albo na poszukiwanie zagubionych dowodów miłości to zupełnie inna sprawa, niż powierzać swoje brudne sekrety utytułowanemu hrabiemu.

Uścisnęła jego dłoń.

— Mówisz mi o tym, bo nasze drogi się rozchodzą.

Na lepszy wstęp do szczerzej rozmowy nie miał co liczyć, a ciężar uknutego niedawno planu dławił mu pierś.

— Szczerze mówiąc, wcale nie chcę się z tobą rozstawać, Maggie Windham, i proszę, żebyś mnie uczciwie wysłuchała.

Odwróciła głowę, spojrzała mu w oczy i przyjęła wyniosłą postawę godną imperatorowej, choć właściwie tylko uniosła podbródek.

— Słucham.

— Mam dziedzica, ale to daleki kuzyn, który nie chce mieć nic wspólnego z tytułami, głosowaniem ani zobowiązaniami, jakie nakłada na dziedzica posiadanie sióstr. To mieszczych, kobieciarz i nie interesuje się wsią i rolnictwem.

— Archer?

Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

— Tak. Chciałbym, żebyś go poznała.

Pokręciła głową, ale wolał mówić dalej, niż się z nią spierać.

— Jeden niechętny spadkobierca nie zapewni bezpiecznego dziedziczenia. Podobasz mi się

i, zdaje mi się, że z wzajemnością. Wyjdź za mnie, Maggie Windham. Dajmy na zapowiedzi, pobierzmy się u świętego Jerzego, niech twoja mama płacze w pierwszym rzędzie, a bracia wbijają mi w plecy wrogie spojrzenia, że im cię zabieram.

Nie potrafił ocenić jej reakcji.

— Jej Wysokość nie jest moją matką, a bracia nie byliby twoimi wrogami. Ale, choć rozumiem, jaki to zaszczyt.

Odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Patrzył, jak porusza się jej gardło. Zaciśnięła palce na jego dłoni.

— Benjaminie, nie mogę.

Spodziewał się sprzeczki, a nawet walki. Nie sądził, że w kąciku jej oka pojawi się jedna jedyna, srebrna łza i spłynie po policzku.

— Czemu nie?

Pokręciła głową i przyjęła podaną jej chusteczkę.

— Jestem nieślubną córką, a ślub z tobą i hrabiowski tytuł byłyby ciągłym powodem do plotek. Nasze dzieci byłyby wytykane palcami. Mnie by ciągle krytykowano...

— Nasze dzieci byłyby wnukami księcia i hrabiego. Jeśli jedna z sióstr Wilson może wyjść za mąż za hrabiego i być przyjmowana przez wszystkich, to nie rozumiem, o co ci chodzi. Zamieszkalibyśmy w Cumbrii, gdzie najwięcej komentarzy można się spodziewać od owiec wypasanych na wrzosowiskach. Dam ci tyle dzieci, ile zechcesz. Będziemy do siebie pasować, Maggie Windham. Będzie nam dobrze.

Był wykształcony i przedsiębiorczy, ale był też mężczyzną. Nie potrafił przekonać jej słowami. Był gotów walczyć aż do zdobycia twierdzy, ale nie spodziewał się ani takich argumentów, ani upartego milczenia.

Pocałował ją. Włożył w ten pocałunek całą swoją tęsknotę, całą determinację, by zapewnić jej bezpieczeństwo i pokonać jej wrogów. Kiedy westchnęła i zaciśnięła dłonie na jego bicepsach, zmusił się, by przestać, bojąc się, że skonsumuje na siedzeniu powozu ten związek, którego mu właśnie odmówiono.

— Nie wolno ci... — Wzięła głęboki, powolny oddech, ledwie odsuwając wargi od jego ust. — Nie próbuj zmienić mojej decyzji, Benjaminie. Zwalniam cię i od tej pory będziemy po prostu bliskimi znajomymi.

Przysunęła czoło do jego czoła i objęła palcami nadgarstek dłoni, gładzącej ją po policzku.

Przydałby się teraz taktyczny odwrót, ale Ben nie zniechęcał się tak łatwo.

— Będę do ciebie śpiewał serenady pod balkonem, Maggie Windham. Będę koszmarnym natrętem, aż wyjdiesz za mnie, żeby oszczędzić sobie dalszych kompromitacji.

Uśmiechnęła się na te groźby.

— Pojeźdźmy konno, a potem rozstańmy się w pogodnym nastroju.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

— Przygotowałem się na piknik. Odrzuconemu zalotnikowi należy się chyba posiłek na pociechę?

Oparła głowę na jego ramieniu. Ten zwyczajny gest wcale nie uspokoił serca tłukącego mu się w piersi... i to zaledwie po jednym pocałunku.

Uśmiechnęła się i nie zmieniła położenia.

— Jeśli pojeźdźmy konno tak jak lubię, to będziemy musieli się potem wzmocnić.

Opowiedz mi coś więcej o swoich siostrach.

Zaczął opowiadać. Gdy osiodłali konie i ruszyli stępą uroczymi alejkami Richmondu, gadał dalej. Ze zdziwieniem złapał się na tym, że wspomina, jakie były jego siostry przed tym feralnym wieczorem, kiedy jedną z nich zgwałcono, a drugą pokaleczono. Opisywał Blessings i sielankowe piękno tej posiadłości, a potem słuchał, jak Maggie z równym zapałem zachwyca się posiadłością Morelandów w Kent.

W dobrą godzinę później oddali konie luzakowi. W tym czasie lokaje rozłożyli już koce i rozpakowali piknikowy kosz w odludnym zagajniku, daleko od ścieżek i alejek. Podczas całej wycieczki Benjamin wypatrywał zaledwie jeden solidny miejski powóz, który zmierzał przed siebie,

z dwoma lokajami z tyłu i stangretem, któremu towarzyszył luzak.

W dalszym ciągu było ciepło i ładnie, co dobrze wróżyło jego następnej próbie zdobycia ręki Maggie Windham i zapewnienia bezpieczeństwa tej niemożliwej kobiecie.

Dzień był wspaniały, wiał lekki wiaterek, pachnący kwitnącymi kwiatami i młodą zielenią drzew.

Maggie rozejrzała się po parku, zachwycając się jego wczesnowiosennym urokiem. Pogoda była wprost wymarzona. Odetchnęła świeżym powietrzem i powiedziała sobie w duchu, że to dobry dzień dla złamanych serc.

W dzieciństwie marzyła, że będzie miała męża, dzieci, własny dom i rodzinę. Prawdziwą rodzinę. Każda dziewczynka z porządnej rodziny miewa takie rozsądne, zwyczajne marzenia. Cudowne marzenia.

A potem, gdy pokazała się na salonach socjety, szybko zorientowała się, że jeśli ma nie doprowadzić rodziny, w której się wychowała, do ruiny finansowej i nie dopuścić do skandalu, musi się pożegnać ze swoimi prostymi, przyziemnymi, zwyczajnymi marzeniami. I to na zawsze.

Benjamin, hrabia Hazelton, właśnie poprosił ją o rękę. Ogarnął ją słodki, przesywający ból, bo odrzuciła marzenie, które nigdy się dla niej nie spełni, marzenie tak drogie jej sercu, że sama przed sobą nie chciała się przyznać, że jeszcze w niej żyje.

Mąż, którego mogłaby szanować i kochać, dzieci, piękna posiadłość z dala od plotkarek i intrygantów, namiętność, jaką dopiero niedawno poznała, i złudzenie bezpieczeństwa i spokoju. Tak, to byłoby tylko złudzenie.

Rozwiąły je pierwszy list Bridget, który by ją odnalazł.

Gdyby kieszonkowe Maggie znowu zaczęło znikać co miesiąc, na jej szczęściu pojawiłyby się pierwsze rysy, a gdyby Benjamin poskładał fragmenty układanki, marzenie rozsypałoby się w pył.

— Kurczak czy wołowina? — Benjamin klęczał przy potężnym wiklinowym koszu, przeglądając jego zawartość. — To jest niezwykle ważna decyzja, bo od niej zależy, które wino mam otworzyć pierwsze. Dali nam też szklarniowe truskawki. — Popatrzył na nią. — Będę walczył o te truskawki jak lew, czuj się ostrzeżona.

Przez cały posiłek pozostawał w tym nastroju, żartował z poważną twarzą, karmił ją tymi truskawkami, tylko trzy zostawiając dla siebie, i między kęsami kurczaka poił ją słodkim, białym winem o owocowym posmaku. Gdy skończyli posiłek, Maggie spostrzegła, że powóz gdzieś odjechał razem z luzakami, lokajami i końmi pod wierzch.

— Zostałam z tobą sam na sam, Benjaminie, a ty przez całą ostatnią godzinę byłeś podejrzanie miły. Co ty knujesz?

— Sam nie wiem. — Zaczął przepakowywać kosz. — Raduję się ostatnim posiłkiem skazańca. Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść, Maggie? Tylko powiedz prawdę, oszczędź mi grzecznych wymówek.

Ponieważ udawał, że bardzo go zajmuje pakowanie talerzy, butelek i szkła, miała okazję mu się przyjrzeć. Pracował metodycznie, ale ona wiedziała, że jej uważnie słucha, a nawet ją obserwuje.

Nie mogła mu nic powiedzieć, a będąc dżentelmenem, w przyszłości nie będzie więcej zadawał takich pytań. Wróci do swoich zajęć, będzie wypełniał obowiązki hrabiego, drugą nogą stojąc w mrocznych sprawkach socjety, będzie tęsknił za domem, martwił się o siostry i witał Maggie Windham uprzejmym skinieniem głowy, jeśli będą się mijać na ulicy.

Ból w gardle, który wywołały jego oświadczenia, dławił ją coraz mocniej, aż zaczęła się dusić.

— Pocałujesz mnie na pożegnanie, Benjaminie?

Usiadł na piętach, trzymając w dłoni ostatnią butelkę wina. Nie odpowiedział, tylko włożył ją do kosza i zamknął wiklinowe wieko. Spojrzał jej w oczy. Jego źrenice miały dziwny, bursztynowy połysk w cętkowanym słońcem cieniu.

— Tak. Pocałuję cię, Maggie Windham.

Przeszedł na czworakach po kocu, niczym wielki, ciemny, dziki kot, który zwęszył łup.

Maggie siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, obserwując, jak zbliża się coraz bardziej, aż w końcu znalazł się tuż przed nią.

I nagle rzucił się na nią, w przenośni i dosłownie. Wylądowała na plecach, on na niej, a jego usta napały na jej wargi z pierwotną siłą. Nigdy wcześniej się tak nie całowali. Nie wyobrażała sobie nawet, że tak można.

To była napaść i grabież. Pocałunek, który w jednej chwili obudził w niej namiętność. Instynktownie przywarła do jego ciała. Zapłonęło w niej gorące pożądanie.

— Benjaminie... — Unieruchomił jej głowę, przytrzymując dłonią włosy, i zaczął badać językiem tajemnice jej ust.

— Nie myśl o niczym. Tylko mnie całuj. — Położył dłoń na jej piersi, aż Maggie wygięła plecy z zachwytu. To było niewłaściwe, niebezpieczne, głupie... i niezbędne dla przetrwania jej duszy. Pocałowała go z głębin swej istoty, za te wszystkie lata — długie lata — samotności i rozpacz.

Pocałowała, jakby był jej ostatnią nadzieją na miłość, bo tak rzeczywiście było.

Poczuła, że jej suknia wędruje do góry. Chciała szepnąć, by się pospieszył, ale poczuła, że się podnosi.

— Dokąd idziesz?

Usiadł tuż obok i, nie spuszczać z niej wzroku, rozpiął bryczesy.

— Jak mi Bóg miły, nie wezmę od ciebie tego, co należy się tylko mężowi, ale sprawię, że się dobrze zastanowisz, czy naprawdę chcesz mnie odrzucić.

Podciągnął jej suknię jeszcze wyżej i ukląkł nad nią.

— Powstrzymaj mnie teraz, Maggie, albo pozwól, żebym dał ci przyjemność, na jaką zasługujesz.

Powędrowała spojrzeniem ku rozpiętym spodniom. Chciała zobaczyć, jak wygląda, dotknąć go jak żona, poznać jego intymny zapach i dotyk.

Leżała na plecach z podciągniętymi kolanami, wystawiając bieliznę na słoneczne promienie i rozpalony wzrok Benjaminu Hazlita.

— Nie powstrzymam cię, nawet gdybym mogła, Benjaminie. Ten jeden raz, pragnę... pragnę ciebie.

— Ale nie całego. — Jego palce powędrowały ku wstążkom jej spodniej bielizny. — Nie zamierzam cię zrujnować, Maggie, chociaż ty zrujnowałaś mnie do reszty.

Uniosła biodra i jednym ruchem pozbyła się desusów. Zwinął je w kulkę, rzucił na brzeg koca i zanim Maggie zdążyła zsunąć kolana razem, poczuła jego dłoń wędrującą po udzie.

— Będę na ciebie patrzył, Maggie, i będę cię dotykał, a ty mi na to pozwolisz.

Już patrzył — na to miejsce w jej ciele, którego sama Maggie nigdy nie widziała i którego rzadko dotykała własnymi palcami.

— Jesteś cudowna.

Jego kciuk wędrował po wzgórku Wenus. Zamknęła oczy i starała się zapamiętać to uczucie. Gorączkowe pragnienie, które przepelniało ją jeszcze przed chwilą, spłynęło w to miejsce, którego dotykał, i stopiło się w pulsujący powoli ból.

— Masz tu odrobinę ciemniejsze włosy. Podoba ci się to? — Zapytał takim tonem, jakby rozmawiali o pogodzie, choć przy tym powoli, nieustannie krążył palcami wśród jej kędziorków. — A może wolisz bardziej intymne podejście?

Przesunął dłoń i pieszczotliwie rozchylił fałdki. Ciało Maggie przeszył gorący dreszcz. Wygięła się ku niemu, bo niespełnione potrzeby przeważyły nad pozorami samokontroli.

— Chciałbym obnażyć cię całą — powiedział, wpatrując się w trójkąt jej włosów. — Patrzeć na twoje piersi, pieścić cię dłońmi i ustami, czuć cię pod sobą nagą i na pół szaloną z miłości.

Jego niski głos emanował namiętnością. Maggie poruszyła się na kocu, pętając ją ubranie było torturą.

Benjamin dotykał jej intymnych miejsc i pieścił obiema rękami naraz. Niesłychane, podniecające uczucie.

— Przestań! — Objęła palcami jego nadgarstek, próbując przekazać mu swoje emocje. — Nie wytrzymam dłużej.

— A co, mam cię zamiast tego pocałować?

Oniemiała, bo przez chwilę myślała, że pocałuje ją właśnie tam, ale on zamiast tego podłożył jej ramię pod głowę i przygniótł ją swoim ciężarem.

— Wielki, miłosierny Boże... — Jej ciało pragnęło właśnie tego ciężaru. Uniosła ku niemu biodra, czując, jak twarda erekcja napiera na jej brzuch. Cudowne uczucie, ale ogarniało ją coraz większe pożądanie.

Oparł się na łokciach.

— Nie w ten sposób. — Jedną ręką uniosł fałdy spódnicy i haleczki, rozpinając też swoje odzienie. — Właśnie tak. Boże, miej mnie w opiece.

Właśnie. Boże.

Wreszcie ich ciała zetknęły się ze sobą, a jego gorąca męskość była blisko miejsca, gdzie Maggie pragnęła ją mieć. Mówił, że nie chce jej zrujnować, ale właściwie czemu nie? Przecież nigdy nie będzie miała innych kochanków, nikt się nie dowie, nikogo to nie będzie obchodziło...

— Proszę cię, Benjaminie... Pragnę...

Leżąc w jasnym blasku słońca, oddychając ciepłym, pełnym obietnic, wiosennym powietrzem, pragnęła coraz bardziej, zachłanniej i bez końca.

Nie odpowiedział, tylko oparł się na niej.

— Unieś biodra i poruszaj się ze mną. — Usłyszała gardłowy głos przy uchu i w tym samym momencie jego męskość zagłębiła się w jej wilgotne ciało.

— Ale to nie...

Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem odsunął się odrobinę.

— Razem ze mną — powtórzył.

Znowu w nią wszedł, twardy i gorący. Na próbę uniosła biodra i poczuła jego nacisk bliżej, tam, gdzie pragnęła go mieć. Poruszał się powoli, co doprowadzało ją do szaleństwa, ale pozwoliło jej znaleźć odpowiednią pozycję.

— Tak lepiej? — Znowu podsunął ramię pod jej szyję i podparł ją dłonią, gdy wygięła się ku niemu. Przesunęła ręce w dół, ku mocnym, gładkim mięśniom pośladków.

— Za mało...

Przygniótł ją mocniej, prowadząc ku mrocznym wirom rozkoszy, której już raz zaznała dzięki niemu. Przycisnęła otwarte usta do jego szyi i cicho jęczała, gdy jej ciało zmierzało ku zaspokojeniu.

— Nie spiesz się. — I jeszcze bardziej zwolnił.

Ale Maggie wykorzystała właściwy moment. Kiedy pchnął znowu, uniosła biodra odrobinę wyżej i sprawiła, że wsunął się w nią cały, obdarzając słodką, gorącą rozkoszą.

Jezu słodki, Maggie... Nie możemy przecież... — Zamarł, a potem zaczął się wycofywać.

— Nie — wbiła paznokcie w jego pośladki. Nigdy w życiu nie była tak zaborcza. — Nie zostawiaj mnie. Co się stało, to się nie odstanie, a tak bardzo... tak bardzo pragnę...

Chciało jej się płakać i schować go w sobie tak głęboko, żeby został z nią na zawsze.

Chciała składać szalone obietnice, które skazałyby go na nieszczęście u jej boku, chciała mu rodzić dzieci i patrzeć, jak dorastają w odległej, pięknej posiadłości w Cumbrii.

Przez długą chwilę, kiedy żegnała marzenia dziewczynki, z której wyrosła samotna, zdesperowana kobieta, Benjamin nawet nie drgnął. Poglądziła jego plecy, rozpaczliwie pragnąc jego bliskości.

— Proszę, Benjaminie. O nic więcej już cię nigdy nie poproszę. — Bo tylko na tyle starczy jej odwagi.

Całe jego ciało przeszło subtelną przemianę, jakby nabrało nowej mocy.

— Jak sobie życzysz.

Poruszył się w środku, a jej z zachwytu odebrało mowę. Być z kimś tak blisko, tonąc w jego ramionach, upragniona, ukochana... duszą i ciałem. Całe jego ciało było do niej dostrojone, wsłuchiwało się w jej rozkosz, z całych sił starało się ją zadowolić.

Wiedziała to, czuła i rozumiała. A teraz, teraz, gdy jej ciało bez wysiłku wznosiło się na szczyt, chciała, żeby zwolnił, żeby przeciągnął to przeżycie w nieskończoność, dla nich obojga.

On się nie spieszył, ale jej ciało ogarnął pośpiech. Z każdym cudownym, powolnym ruchem spieszyła ku spełnieniu. Dyszała urywanie, trzymała się go kurczowo, dygotała, aż rozkosz targnęła jej ciałem w konwulsjach tak potężnych, że straciła z oczu wszystko, oprócz mężczyzny, którego zamknęła w swoich ramionach i w swoim ciele.

Kiedy burza ucichła, była w niego tak mocno wtulona, że brzuch ją bolał z wysiłku, a w gardle zapiekły łyzy. Czuła go w sobie, twardego i napiętego w erekcji, i znowu poczuła tęsknotę i pustkę, choć ledwie udało jej się uspokoić oddech.

— Bolało?

Pokręciła głową i pocałowała go w policzek. Westchnął. Czuła na sobie ciepło jego mocnego ciała. Instynktownie przesunęła po nim wargami i nagle zamrugowała, bo wysunął się z niej całkiem. Odczuła to jako wstrząs, fala żalu przepłynęła z podbrzusza i dotarła aż do umysłu i duszy.

— Jeszcze chwila, moja miła, i stanie się coś naprawdę nieodwracalnego.

Zawisł nad nią, wpatrując się z napięciem w jej twarz. Nie osiągnął w niej spełnienia. Mimo braku doświadczenia, rozumiała dlaczego i wiedziała też, że i on pragnie doznać spełnienia.

Objęła go dłonią za szyję, podniosła się na łokciu i pocałowała go.

Odpowiedź była gwałtowna. Przytrzymał ją jedną ręką, a drugą zajął się sobą. Czuła szybki, rytmiczny ruch jego dłoni, czuła, jak rośnie w nim napięcie, prowadząc do szczytu. Pragnęła odepchnąć jego dłoń i zamknąć go w sobie, być z nim, tak jak on był z nią jeszcze przed chwilą, ale on już cicho jęczał prosto w jej usta, jego ręka znieruchomiała, a Maggie poczuła na brzuchu falę ciepła.

Zawisł nad nią, oddychając ciężko. Opadła na plecy. Gdy usłyszała, jak poprawia ubranie, fala jej napiętości opadła, pozostawiając bolesną pustkę. Myśli zaczęły swoją gonitwę, bo nie wiedziała, co w takich chwilach należy powiedzieć. Poczuła, jak wyciera jej brzuch chusteczką, a potem poprawia suknię, stwarzając pozory przyzwoitości.

— Musimy porozmawiać, Maggie Windham.

Ton jego głosu brzmiał ugodowo, choć dosłyszała w nim smutek. Usiadł obok niej. Ułożyła się na boku tyłem do niego. Już zamierzała wygłosić jakąś mętłą opinię na temat korzyści płynących z konwersacji, kiedy poczuła jego dłoń na włosach.

— Jesteś kompletnie rozczochrana, dziewczyno. Siadaj i zażyj swoje lekarstwa.

Trochę poweselał, ale wciąż był pełen napięcia.

Maggie ogarnęła fałdy sukni i, pokonując zmęczenie, usiadła po turecku na kocu. Wyciągnął z kieszeni grzebień i w sekundę doprowadził swoje włosy do porządku. Fircyk.

— Odezwij się, najmilsza, bo pomyślę, że wrócił ci rozsądek i żałujesz tego, co się tu przed chwilą stało.

Zaczął rozczesywać jej włosy, a ona zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Nie chcę z tobą walczyć — powiedziała w końcu, zrywając źdźbło trawy rosnące obok koca. — I wcale nie żałuję tego, co się stało.

— Nie. — Delikatnie przerzucił jej rozpuszczone włosy przez ramię. — Żałujesz tego, co się dopiero ma stać.

Próbowała się odwrócić, ale trzymał ją za włosy.

— A co się stanie?

Puścił włosy.

— To jest moja chusteczka, Maggie Windham. Jeszcze niedawno była biała jak śnieg.

Delikatna tkanina wylądowała na jej kolanach. Z początku nie dostrzegła na niej nic niezwykłego, poza zagnieceniami, ale po chwili zauważyła delikatny różowy ślad na płótnie.

Wyglądziła ją i spostrzegła jeszcze kilka takich śladów.

— To nic nie znaczy — odrzuciła dowód rzeczowy. — Nic a nic. To, co się stało, nie ma żadnego znaczenia.

— Jestem innego zdania. Nie ruszaj się.

Zrobił jej przedziłek. Pozwoliła mu, bo i tak ją trzymał.

— Kiedy ktoś ci się oświadcza, a potem zaznajamia się z tobą bardzo blisko i intymnie, i jest pierwszym, który miał tę przyjemność, co widać, to znaczy, że przyjął jego oświadczytny.

— Wcale nie.

— Maggie — pochylił się nad nią od tyłu i odezwał się bardzo cicho, trzymając ją za ramiona. — Nie skończyłem w tobie, ale mimo to mogłaś począć. Czy naprawdę chcesz, żeby nasze pierwsze dziecko było siedmiomiesięcznym wcześniakiem?

Dziecko. Dłoń Maggie powędrowała do brzucha, a całe ciało przeszła nieznośna tęsknota.

— Grasz nieczysto. Niemożliwe, żebym poczęła.

— Tego nie wiesz. — Grzebień poruszał się powoli, troskliwie, systematycznie rozczesując pasmo za pasmem. — A jeśli będziesz się wahać i czekać, dasz pożywkę plotkarom, które tylko czekają, by pobiec na herbatkę do Jej Wysokości i podzielić się z nią domysłami.

Maggie ogarnęło przerażenie na myśl, że Jej Wysokość mogłaby się dowiedzieć, co tu się stało.

— Myślałam, że będziesz dyskretny — powiedziała trzęsącym się głosem.

— Będę, ale co z tego, skoro nasze dziecko zacznie rosnać ci w brzuchu. Jeśli wolisz, możemy wziąć cichy ślub, choć Ich Wysokości będą tym bardzo zdziwione.

Był taki cholernie pewny siebie. Maggie skwapliwie wykorzystała swoje wzburzenie i warknęła:

— Przestań wygadywać głupoty o ślubie. Nie kochasz mnie przecież, więc nie pójdziemy do ołtarza tylko z powodu chwili wspólnej przyjemności na kocu, w zagajniku, gdzie nikt nas nie widział.

Czuła, jak zaplata jej włosy, słyszała, jak starannie dobiera argumenty, niczym strzały w kołczanie gotowym do walki.

— Chwilę przyjemności, Maggie? — Jego głos zadygotał na samo wspomnienie. — Dałem ci zaledwie chwilę przyjemności? To wyobraź sobie, co mógłbym ci dać, gdybyśmy byli sami w zamkniętej sypialni, bez ubrania, na wielkim łożu z mnóstwem poduszek. Wyobraź sobie, jak mnie dotykasz. Mogłabyś mnie związać, badać całe moje ciało do woli, dotykać wszystkiego, czego zechcesz, a ja nie mógłbym cię powstrzymać.

— Cicho bądź. — Zamknęła oczy, bo ogarnęła ją fala niemocy. — Jesteś niepoprawny, Benjaminie Hazlicie.

Choć właściwie to ona była niepoprawna.

— Jestem zdecydowany. — Zaczął upinać jej warkocz w kok z tyłu głowy. Był w tym lepszy niż Alice, a Maggie z trudem odepchnęła od siebie myśl, że mógłby tak ją czesać przez długie lata... Nie wspominając o tych innych rzeczach. — Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść?

— Boże, jaki ty jesteś uparty. — Poklepała kok, który zwinął tak zrećźnie. — Nie wpadłeś na to, że jeśli za ciebie wyjdę, utracę cały majątek i niezależność?

— Jeśli nie wierzysz, że zostawię twoje pieniądze w spokoju, przepisuj je na brata. Będzie zarządzał majątkiem, tak jak sobie zażyczysz.

Gayle byłby jeszcze ostrożniejszym zarządcą niż ona, a to wiele mówiło.

— A moja wolność, moja niezależność?

To niepojęte, jak szybko potrafił się poruszać, mimo swojego wzrostu. Przed sekundą Maggie rozglądała się za pończochami i pantofelkami, a w następnej leżała na plecach, czując na sobie ciężar mocno zirytowanego hrabiego, przygniatającego ją do ziemi.

— Mówisz o niezależności, a nie odważysz się nawet na przejażdżkę po parku, Maggie Windham. Nie odwiedzasz nikogo poza rodziną, nie przyjmujesz gości, nie wzięłaś sobie nawet psa. Jako hrabina, moja żona, będziesz mogła prowadzić normalne życie towarzyskie, wszyscy będą przyjmować twoje zaproszenia i będziesz miała przy sobie moją uroczą osobę, całkowicie ci oddaną, na każde skinienie, zwłaszcza w czasie ciąży. Zauważ liczbę mnogą. Jeśli Bóg pozwoli. Wyjdź za mnie.

Przedstawił całkiem pociągającą perspektywę, szczególnie tych ciąży w liczbie mnogiej, tym bardziej że przekonywająco dotknął jej warg swoimi.

Ten pocałunek nie był napastliwy ani grabieżczy, tylko przekonywający. Słodki i zniewalający czułością. Wielki Boże, od tych pocałunków traciła rozum. Uniosła dłoń do jego twarzy, myśląc tylko o tym, jak strasznie będzie za nim tęsknić... aż nagle przez rozkoszną mgłę wypełniającą jej umysł przedarł się zgorzszony, przepity kontrakt.

— Magdalene Windham! Nie wierzę własnym oczom!

Szybki refleks Bena nieraz już uratował go przed poważnym niebezpieczeństwem. W sytuacji zagrożenia potrafił zawęzić pole widzenia i błyskawicznie zareagować, jak przy przeskoku iskry elektrycznej.

— Lady Dandridge. — Skoczył na równe nogi i podał dłoń Maggie. Dzięki Bogu i wszystkim jego aniołom byli już w miarę przyzwoicie ubrani. — Przepraszam za brak dyskrecji, ale ten piękny dzień i towarzystwo mojej narzeczonej odebrały mi rozsądek.

Maggie poderwała głowę. Czuł, że zaraz zaprzeczy, więc pochylił się, by pocałować ją w policzek.

— Nie teraz — warknął jej ostrzegawczo do ucha i uściśnął jej dłoń, a potem posłał gładki uśmiezek lady Dandridge. — Proszę mi pogratulować zdobycia ręki mojej Maggie.

— Pogratulować? — Malowana brew podjechała do góry, a dwaj idealnie dobrani lokaje w nieskazitelnej liberii i karbowanych perukach wyglądali, jakby mieli ochotę stłuc go na kwaśne jabłko.

— Lady Maggie zgodziła się zostać moją małżonką. Muszę tylko porozmawiać na ten temat z Jego Wysokością, ale jestem pewny, że możemy polegać na twojej dyskrecji, milady.

Grób, który kopał, ział coraz szerzej i głębiej, ale przecież miał pomieścić i jego, i Maggie, więc w sumie było mu wszystko jedno.

— Lady Magdalene, czy to prawda? Jeśli zostałeś wykorzystana, to mogę poinformować twoją matkę o niegodnym zachowaniu pana Hazlita.

Ben nie musiał nawet patrzeć na swoją narzeczoną, żeby doskonale wiedzieć, co sobie teraz myśli: Jej Wysokość nie jest moją matką.

— Jego Lordowska Mość postanowił zacząć używać swojego tytułu, lady Dandridge. — Maggie posłała mu uroczy uśmiech. — Gdy człowiek zaczyna myśleć o małżeństwie, musi zająć właściwe mu miejsce w świecie.

W duszy pewnie zapisała mu śmierć, był tego więcej niż pewny. Uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

— Moja przyszła żona będzie dzielić ze mną wszystko, włącznie z rangą towarzyską i płynącymi stąd przywilejami.

Oburzenie lady Dandridge zaczęło przemieniać się w zdziwienie.

— A cóż to niby za ranga?

— Jest hrabią Hazelton — wyjaśniła Maggie. — Rodowa siedziba leży w Cumbrii, dokąd Jego Lordowska Mość uda się zaraz po rozmowie z Jego Wysokością.

— Albo raczej odłożę tę przyjemność aż do naszej podróży poślubnej, kochanie — uzupełnił Ben, unosząc jej dłoń do ust.

Lady Dandridge zastukała laską w ziemię.

— Dość tego, młodzi ludzie. Będę tu promenować co najmniej godzinę. Spodziewam się, że natychmiast wrócić do miasta. Oczekuję również ogłoszenia w „Timesie” do końca tygodnia. Do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku powozu — tego starego wehikułu, który Ben widział na drodze dwie godziny temu.

Lokaje rzucili mu gniewne spojrzenia i ruszyli w ślad za swoją panią.

Wtedy, jak w dobrej komedii, zza niedalekiego zakrętu wytoczył się powoli powóz Bena. Konie szły tak spokojnie, jakby wszystko było w najlepszym porządku, a Bóg w niebiosach radował się rozwojem wypadków.

— Pan Hazlit z wizytą do Jego Wysokości, Wasza Księżęca Wysokość. — Andover podał księżnej czytającej przy oknie srebrną tackę z pojedynczą, ascetyczną kartą wizytową.

Esther Windham rzuciła na nią okiem.

— Prosić tutaj, Andover. Mamy akurat świeżą herbatę, a pan Hazlit jest przyjacielem rodziny.

Andover skłonił się i wyszedł bez słowa, a jego konsternację — bo nie śmiałyby okazać dezaprobaty — zdradzały tylko uniesione blond brwi. Jego zdaniem książe majestat wymagał, by przyjąć tego dzentelmena oficjalnie, a nie w przytulnym, prywatnym saloniku na tyłach książęcego pałacu.

Sama Esther też zresztą była nieco zmieszana. Lubiała Benjaminą Hazlita i ufała mu, ale mimo wszystko...

Był detektywem. Nikt nie lubi być śledzony. Starannie przybrała wyraz twarzy, który nie zdradzał jej uczuć, i wyprostowała podkurczone stopy, ustawiając je jak należy.

— Wasza Wysokość — Hazlit zatrzymał się w drzwiach, zanim zdążyła wsunąć domowe pantofelki. Skłonił się wyjątkowo nisko i pozostał w ukłonie chwilę dłużej, niż powinien, ewidentnie dając jej czas, by się należycie obuła.

— Panie Hazlit. Andover, dziękuję. To wszystko. — Nie wstała, czekając, aż lokaj się oddali. — Co za nieoczekiwana przyjemność. Proszę siadać, jeśli pan ma ochotę.

Uniósł ciemną brew.

— Jeśli mam ochotę?

— Wychowałam pięciu synów, panie Hazlit. Mężczyźni lubią chodzić po pokoju, wszystkiego dotykać i zaglądać po kątach, tak jak mali chłopcy lubią zjeżdżać po poręczy, gdy nudzą się w czasie deszczu. Napije się pan herbaty?

— Nie, dziękuję. Czy Jego Wysokość pojawi się wkrótce?

Nalała sobie filiżankę, próbując ocenić jego nastrój. Ten człowiek bardzo się różnił od jej drogiego Percy'ego, który zwykle miał uczucia wypisane na twarzy, i to drukowanymi literami.

— Jego Wysokość pojechał w tym tygodniu do Morelands, żeby nadzorować orkę i siewy, a raczej żeby wymigać się od pewnych obowiązków w swojej komisji. Czy chciał pan z nim omówić jakieś polityczne sprawy?

Popijała herbatę, spoglądając nań znad filiżanki. Przeczesał włosy dłonią i choć wpatrywał się w ogród za oknami, miała wrażenie, że przez kilka uderzeń serca przesuwają się w myślach szachowe figury.

— Może to i dobrze, że Jego Wysokość nie może do nas dołączyć, choć moja sprawa jest trochę pilna.

— Czy coś może być trochę pilne, panie Hazlit? — Odstawiła filiżankę na spodek. — To tak, jakby ktoś był trochę żonaty.

To miała być żartobliwa odpowiedź, nic więcej, ale spojrzął na nią z takim zaskoczeniem, że poczuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej.

— Może jednak usiądę — powiedział. Zajął krzesło stojące dokładnie naprzeciw sofy, na której rozsiała się z książką. Rzadko pozwalała sobie na ten luksus za dnia, kiedy mąż był w domu. Przy Hazlicie delikatny mebel wyglądał jak sprzęt z lalczynego domku.

— Mamy w stajniach pocztowe gołębie, które błyskawicznie dolatują do Morelands.

— Mogę? — spytał, wskazując na herbaciany serwis.

— Naturalnie. — Pochyliła się, by nalać mu herbaty, ale on wziął sobie ciastko z kremem i wgrzyzł się w nie z zapalem, jaki Esther nieraz widywała u głodnych mężczyzn. Mimo to podejrzewała, że robi to na pokaz i coś knuje.

— Rozważam oświadczenie się pani córce, lady Maggie.

Esther natychmiast zrozumiała sens jego ostrożnych słów.

Powiedział, że rozważa oświadczyzny. Ogarnęła ją troska o najstarszą z dziewcząt. Proszę cię, Boże, tylko niech to nie przysporzy kolejnych cierpień mojej Maggie. Nie teraz, kiedy wreszcie zaznała trochę spokoju.

— Panie Hazlit, Maggie jest cudowną kobietą, ale jej życie nie należy do łatwych. Osoba, która by ją lekko potraktowała, miałaby ze mną do czynienia.

— Ze mną też. — Usiadł wygodniej i założył nogę na nogę. Synowie Esther w takiej sytuacji wędrowaliby niespokojnie po całym pokoju, a jej mąż pożerał ciastko za ciastkiem.

— Nieco pospieszyłem się z okazywaniem moich uczuć dla lady Maggie... i przesadziłem z entuzjazmem.

Przechyliła głowę i czekała. Pośpiech i przesada oznaczały, że ktoś przyłapał Maggie i tego mężczyznę w nieprzyzwoitej sytuacji. Ciekawe, co Hazlit zamierzał z tym zrobić.

— Chciałbym ożenić się z lady Maggie, ale pragnę uzyskać zgodę jej rodziców, zanim się o nią oficjalnie oświadczę.

Mówił z idealnym spokojem, a jego ciało nie zdradzało napięcia.

— A mimo to twierdził pan, że to pilna sprawa, panie Hazlit. Rozumiem, że jest panu pilno nie tylko do okazywania pannie czułości. Chodzi też o coś innego.

— Pilno mi, bo chciałbym zapewnić mojej damie spokój ducha.

Jego damie, a nie po prostu damie.

— Panie Hazlit, czy pan kocha Maggie? — Nie oczekiwała, że przytaknie, bo mężczyźni byli kompletnymi durniami w sprawie własnych uczuć. Po prostu była ciekawa, co odpowie.

Zwlekał chwilę. Rozglądał się po pokoju, szukając właściwych słów. Śliczny był ten salonik. Esther traktowała go jak swój osobisty azyl. Maggie miała podobny pokój, z którego zarządzała domostwem.

— Czuję się blisko związany z lady Maggie i chcę ją chronić. Myślę, że będziemy do siebie pasowali.

— Niezła odpowiedź, panie Hazlit. — Esther podniosła się z sofy, co oznaczało, że on też musi wstać. — Podejrzewam, że nawet jest szczerą, ale Maggie zasługuje na więcej, nie tylko na męża, który myśli, że będzie do niego pasowała. Jego Wysokość odesłał z niczym co najmniej dwa tuziny takich zalotników, zanim nasza córka zaczęła drugi sezon towarzyski.

Po rozmowie z piątym kandydatem przestał nawet pytać Esther o zdanie. Nie musiał.

— Dwa tuziny? — Hazlit ściągnął brwi w chmurnym grymasie. Niech się niebo ulituje nad biedną Maggie, bo z taką miną był jeszcze przystojniejszy niż zwykle.

— Zanim zaczęła drugi sezon.

Esther skrzyżowała ramiona i zapatrzyła się w rozkwitający ogród za oknem.

Hazlit podszedł do niej bezgłośnie. Ciekawe, że tak potężny mężczyzna potrafił się tak cicho poruszać.

— Jeśli to robi jakąś różnicę, to jestem przekonany, że ona jest tego samego zdania co ja. Też uważa, że bardzo dobrze do siebie pasujemy, choć idea małżeństwa ogólnie niezbyt jej się podoba.

Esther odwróciła się do niego.

— Panie Hazlit, Maggie zasługuje na kogoś, kto będzie ją uwielbiał i kochał, kto oddałby za nią życie. Miałam szczęście, że sama znalazłam takiego męża i że jego oddanie pomogło mi uporać się ze wszystkimi trudnymi aspektami związku małżeńskiego. Nie mogę w tej sprawie wypowiadać się za Jego Wysokość. Maggie nie jest moją córką.

Zabolały ją te słowa. Zawsze ją bolały. Nawet myśl o tym bolała.

— Pod wieloma względami, Wasza Wysokość, Maggie jest zdecydowanie pani córką. Kiedy Jego Wysokość wróci z Kent?

Wydawał się bardzo pewny odpowiedzi. Esther pomimo wszystko miała nadzieję, że mu się uda.

— Najprawdopodobniej w sobotę, jeśli utrzyma się ładna pogoda.

— Obawiam się, że w sobotę może być za późno. — Mówił powoli i z uwagą wpatrywał się w ogród.

— Rozumiem, że ogarnął was wielki entuzjazm, tak?

Skinął głową, rumieniąc się lekko. Wzruszył ją ten rumieniec. Benjamin Hazlit wykonywał brudną robotę dla rodów z Mayfair i zachowywał przy tym wszystkie należne pozory. Zresztą, pracował też na jej zlecenie. Był w wieku jej dorosłych synów i lubił Maggie.

A poza tym potrafił się rumienić.

— W takim razie, panie Hazlit, muszę porozmawiać z lady Maggie. Na osobności.

— Jest z siostrami w ogrodzie zimowym. Poproszę ją, by przyszła do Waszej Wysokości.

Pochylił się elegancko nad jej dłonią i oddalił się z godnością, ale Esther dostrzegła w jego oczach błysk ulgi.

Zdaje się, że ich entuzjazm był niemały.

— Jej Wysokość chce z tobą rozmawiać.

Maggie nie potrafiła nic wyczytać z miny ani z głosu Benjamina. Przynajmniej do czasu, aż znaleźli się u podnóża schodów, z dala od ciekawskich spojrzeń jej sióstr.

— Czy była bardzo zła?

— Raczej zaniepokojona. O ciebie. — Benjamin też wyglądał na zaniepokojonego, co sugerowało, że Jej Wysokość była nie tyle zaniepokojona, ile rozczarowana.

Przez całą drogę z Richmond Benjamin prawie się nie odzywał. Usiadł w powozie obok Maggie, objął ją ramieniem i dopiero kiedy przejechali ze dwie mile, powiedział trzy słowa:

— Wszystko będzie dobrze.

Odplaciła mu pięcioma:

— Nie mogę za ciebie wyjść.

W odpowiedzi otrzymała skinienie głowy i pocieszający uścisk dłoni. A teraz byli już w samym środku Mayfair, próbując opanować towarzyską katastrofę, o skutkach daleko wykraczających poza prywatne uniwersum Maggie.

— Czy Jej Wysokość wie, że jesteś hrabią?

— Pewnie książę jej o tym powiedział. Czeka na ciebie.

Z uczuciem podobnym do tego, jakie ją ogarnęło po pamiętnej aferze z Bartem i gruszkami zaprawianymi brandy, Maggie wzięła Benjamina pod ramię i pozwoliła się zaprowadzić do wewnętrznej świątyni księżnej. Kiedyś, w tym samym ślicznym saloniku, Jej Wysokość wytłumaczyła jej, dlaczego kobiety co miesiąc krwawią i co należy wtedy robić. Powtarzała jej tam oświadczenia wszystkich zalotników i spokojnie popijała herbatę, gdy Maggie odrzucała kandydata za kandydatem. Innym razem przy herbacie opowiedziała jej o sekretach małżeńskiej alkowy. Jeden Bóg wie, co wyniknie z dzisiejszej rozmowy...

— Maggie?

Stali już pod drzwiami. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

— Denerwuję się. — Wymknęło jej się mimo woli.

— Nie masz powodu, by się tłumaczyć. — Spokojnie patrzył jej w oczy, poważniejszy niż kiedykolwiek. — To ja ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co się dziś wydarzyło. Pozwól mi zrobić, co w mojej mocy, żeby to naprawić.

— Nie ponosisz większej odpowiedzialności niż ja sama.

— Ponoszę. — Mówił cicho, ale bardzo surowo. — Naprawdę ponoszę. Byłaś niewinna, kompletnie niedoświadczona, a ja pozwoliłem sobie na poufałości, które obudziły w tobie namiętność nie do opanowania.

— Więc to robiłeś przez całą drogę do miasta? Biczowałeś się w myślach z powodu decyzji, którą podjęłam jak najbardziej świadomie?

Tylko że miał rację: jej namiętność była nie do opanowania. Na tę myśl prawie się uśmiechnęła, pomimo serca bijącego na alarm i ssącej pustki w żołądku.

— Porozmawiaj z matką. Bądź z nią szczerą, Maggie. Myślę, że ci pomoże, bo twoje dobro leży jej na sercu. — Przez chwilę wydawało jej się, że powie coś jeszcze, ale zamilkł, pocałował ją czule w policzek i odszedł.

Pocałunek na odwagę. Kto mógł przypuszczać, że jest tak wiele różnych rodzajów pocałunku?

Maggie zastukała do drzwi i zebrała siły, by stawić rozczarowaniu księżnej.

Esther odwróciła się w stronę najstarszej córki swego męża. Maggie, odziana w strój do konnej jazdy, była opanowana, spokojna i pewna siebie. Tyle że jej uroda subtelnie rozkwitła, jakby coś rozjaśniało ją od środka.

— Nie wyglądasz na zrujnowaną.

— Nie czuję się zrujnowana.

— Usiądź. Zastanowimy się, co należy zrobić. — Esther nie otworzyła ramion, by objąć tę młodą kobietę, którą wychowała. Napięta sylwetka Maggie zdradziła jej, że dziewczyna godnie zniesie matczyne uściski. Zawsze tak było, przy wszystkich nielicznych okazjach, kiedy Esther próbowała ją przytulić. Tyle lat już minęło, a ona się nie zmieniła.

Esther z powrotem usiadła na sofie i podniosła dzbanek.

— Nalać ci herbaty?

— Obawiam się, że tym razem herbatka z ciastkiem nie rozwiążą problemu, Wasza Wysokość. — Maggie usiadła na tym samym krześle co Hazlit, tyle że on rozłożył się na nim swobodnie, a Maggie upozowała siebie na uosobienie przyzwoitości.

— Ale też nie pogorszą sprawy. — Esther nałożyła jej na talerzyk ciastko z kremem, nalała filiżankę naparu, dołała śmietanki i pomodliła się, by przyszła jej do głowy jakaś światła i sensowna rada. — Czy poczęłaś?

— Być może. — Maggie przyjęła herbatę, ale pokręciła głową na widok ciastka.

— Nie żartuj, Maggie. Jego Wysokość niedługo tu będzie, a wtedy nie zostanie dla nas ani jedna babeczka. Twój brat Bart był siedmiomiesięcznym wcześniakiem. Wiedziałaś o tym?

Maggie zamarła z filiżanką w połowie drogi do ust.

— Bartholomew urodził się wcześniej?

— Ależ skądże, dokładnie w terminie.

Na litość boską, czyżby żadne z ich dzieci na to nie wpadło?

— Oboje z Jego Wysokością nie byliśmy w stanie pohamować uwielbienia, jakim się nawzajem darzyliśmy. Tylko mi się tu nie gorsz.

— Wtedy były inne czasy. — Maggie upiła łyk herbaty z niepewną miną.

— Maggie, trzydzieści lat temu to nie przedpotopowa era. Może i byliśmy wtedy bardziej tolerancyjni, ale młodzi ludzie w pewnych sytuacjach kompletnie zapominali o zdrowym rozsądku, tak jak teraz.

— Nie jestem już młoda.

— Ale i nie stara, a to może być twoja ostatnia sensowna szansa na związek z mężczyzną, który cię szanuje i da ci dzieci. Czego tak naprawdę chcesz?

Maggie wpatrywała się w herbatę.

— Wyemigrować do Baltimore.

— Albo w najdalsze zakątki Peru?

Maggie spojrzała na nią. W jej twarzy malowała się taka beznadzieja, że Esther ścisnęło się serce.

— Moja droga, nie tobie jednej coś takiego się przytrafiło. Czy pan Hazlit cię wykorzystał?

Maggie odstawiła filiżankę i wstała, ale nie podeszła do okna, tylko do ściany naprzeciwko sofy Esther. Wisiał tam rząddek oprawionych w ramki szkiców.

— Pan Hazlit za żadne skarby nie wykorzystałby żadnej kobiety. Jego siostry przeszły przez takie piekło wiele lat temu, i on do dzisiaj nie potrafi o tym zapomnieć.

— Jego Wysokość wspominał mi o tym.

Maggie zatrzymała się przed portretem Barta. Często byli współnikami w różnych psotach, a Maggie zawsze brała na siebie winę za jego wariackie pomysły.

— Szczerze mówiąc, to ja jego wykorzystałam, choć on ma na ten temat inne zdanie.

— Próbowałaś go złapać na męża?

Maggie odwróciła się jak fryga i spojrzała jej w oczy.

— W żadnym razie.

— To może on ciebie?

— Absolutnie nie.

— To bardzo ucieszy twoich braci.

Ta uwaga spełniła swój cel. Maggie z powrotem usiadła, a raczej padła na krzesło z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Żadnych pojedynków. Proszę im na to nie pozwolić.

— Wtedy, gdy dla mężczyzny w grę wchodzi honor, głos rozsądku, a tym bardziej głos matki, przestaje się liczyć. Valentine w szczególności potrafi być głuchy na wszelkie argumenty, podobnie jak jego ojciec.

Postawiła sprawę uczciwie, choć bezlitośnie.

— Valentine... — Maggie spojrzała na swoje ręce, prawdopodobnie myśląc o jego utalentowanych dłoniach, które trzymają pistolet... i może już nigdy więcej nie będą tańczyć po klawiaturze, wydobywając z instrumentu cudowną muzykę.

— Moja droga, decyzja należy do ciebie. Według mnie masz kilka możliwości. Możesz przeczekać skandal. Osoba, która zaskoczyła cię z panem Hazlitem, jest prawdopodobnie niższej rangi niż twoja rodzina. Za rok lub za dwa lata wpływ tej sprawy na szanse zamążpójścia twoich sióstr będzie praktycznie nieistotny. — Esther mówiła z ożywieniem, choć widziała, jak krew odpływa z policzków Maggie.

Percy, wybacz mi to. On tak się niepokoi o tę dziewczynę... Jakby wciąż była siedmiolatką, która płacze za zgubioną lalką.

— Moje siostry nie zasługują na coś takiego.

— Zgoda, ale jeśli je o to poprosisz, bez zmruczenia oka staną po twojej stronie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?

Skinienie głowy.

— Więc możesz nic nie robić, mieć nadzieję, że nie poczęłaś dziecka, i czekać, aż po jakimś czasie sprawa pójdzie w zapomnienie. Jeszcze herbatki?

— Nie, dziękuję.

Esther eleganckimi ruchami nakładała na talerzyk kolejne ciastko z kremem. Maggie otarła łzę z policzka.

— Możesz wyjść za Hazlita, który zrobił na mnie wrażenie porządnego człowieka.

Prowadząc dochodzenie w sprawie Anny, poznał różne nasze nieczyste sprawki, jeśli to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

— Nie chcę za niego wychodzić. To nie byłoby wobec niego uczciwe.

Kolejna łza, ale Maggie siedziała na krześle wyprostowana jak struna.

— A jeśli poczęłaś dziecko? — Esther starała się mówić jak najłagodniej, choć miała świadomość, że szermuje tymi logicznymi pytaniami jak zapaśniczą pałką, by wytłuc z tej kochanej dziewczyny resztki sprzeciwu. — Czy chcesz, żeby twoje dziecko dźwigało takie samo brzemień jak ty?

Maggie pokręciła głową, nie ocierając łez, które płynęły już strumieniem po policzkach. Esther podała jej serwetkę, choć najchętniej z całej siły trzasnęłaby filiżanką w ścianę.

— Masz jeszcze jedną możliwość, Maggie.

Maggie przechyliła głowę i spojrzała księżnej w oczy.

— Jeśli poczęłam, za nic nie skrzywdzę naszego dziecka.

Naszego dziecka?

— Wybij sobie z głowy takie pomysły. Na litość boską, Maggie... nie pozwolilibyśmy ci ryzykować życia, a tym bardziej... co ty sobie myślisz...

Wychowanie chłopaków na dzentelmenów było trudnym zadaniem, ale dziewczęta... dziewczęta stanowiły jeszcze większe wyzwanie. Szczególnie takie, które pomimo wszelkich wysiłków rodziców, nie wiedzieć skąd posiadały wiedzę o mrocznych, strasznych stronach życia. Takich stronach, o których lepiej było nie myśleć.

Czas kończyć tę rozmowę i wysłać pocztowego gołębia do Jego Wysokości.

— Maggie, możesz kupić sobie trochę czasu i podjąć decyzję później, kiedy będziesz wiedziała, jak się sprawy mają.

Maggie osuszyła oczy i nie zareagowała, jakby słuch ją zawiódł. Westchnęła ciężko i spojrzała Esther w oczy.

— Jak to?

— Zatkaj dziurkę palcem, jak to się mówi. Ogłoście zaręczyny, nie wyznaczając daty. Jeśli nie jesteś w ciąży, możecie w przyszłym roku po cichu zrezygnować. A jeśli jesteś, to weźmiecie po cichu ślub i po narodzinach przesiedzicie dłuższy czas na wsi, żeby plotkarze nie skojarzyli daty urodzin i innych szczegółów. Naturalnie, pomogę ci absolutnie we wszystkim.

Cisza, podczas której Maggie wpatrywała się w zwiniętą w kulkę serwetkę na swoich kolanach. Patrzyła na nią, jak na jakąś wyrocznię, a Esther w duchu modliła się o cierpliwość.

— Tak chyba będzie najlepiej.

Maggie rzuciła serwetkę na tacę i był to jedyny niegodny damy gest podczas całej tej rozmowy.

— Najlepiej powiedzmy o tym panu Hazlitowi. — Zmarszczyła brwi i zamrugła. — On jest hrabią.

— Słucham?

— Pan Hazlit jest hrabią Hazelton. Występuje pod przybranym nazwiskiem, ze względu na przeszłość swoich sióstr.

Aha, mamy następny ciekawy szczegółik.

— A ty nie jesteś pewna, czy pragniesz być hrabiną, tak?

— Moje pragnienia nie mają tu nic do rzeczy.

Była taka załamana. Mimo to Esther odparła z przekąsem:

— O ile się nie mylę, to pragnienia wpakowały cię w tę sytuację, prawda?

— Wasza Wysokość się nie myli.

Przyznała się do tego z taką godnością, że Esther przez chwilę straciła rezon. Co właściwie zaszło między Maggie a tym panem Hazlitem?

— Chodź, Maggie. Twój wybranek pewnie siedzi jak na szpilkach, czekając na decyzję. Zagraj na przeczekanie, zobacz, jak się z tym wszystkim czujesz, a potem, kiedy sytuacja się uspokoi, będziecie mogli spokojnie podjąć dalsze decyzje.

Esther wstała i podeszła do drzwi. Maggie ruszyła za nią z ociąganiem. Hazlit czekał na korytarzu oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach. Wyprostował się, nie wyjmując rąk, i patrzył na nie z napięciem.

— Wasza Wysokość.

— Gratuluję, milordzie. — Esther posłała mu najserdeczniejszy ze swoich uśmiechów. — Wygląda na to, że jesteście zaręczeni. Zajmę się ogłoszeniem tego, a wy możecie powiadomić o tym siostry Maggie.

Nie powitała go w rodzinie. Chciała, ale obok niej stała napięta, milcząca Maggie. Czasami nawet matka niczego nie wskóra. A tym bardziej macocha.

Maggie, która szła obok Bena ledwie dotykając jego ramienia, promieniowała niemal dotykającym napięciem.

— Czy była dla ciebie niemiła? — spytał przyciszonym głosem. Na obu końcach korytarza stali lokaje, wysocy, poważni mężczyźni, którzy przypominali mu bliźniaczych przybocznych lady Dandridge.

— Jej Wysokość nigdy nie bywa niemiła. Nigdy.

Postanowił nie dopytywać się bliżej. Niezależnie od tego, co powiedziała Jej Wysokość, był z Maggie zaręczony, a więc udało mu się dopiąć celu. Ulgę, jaką odczuł na tę wieść, powoli zastępowała nieugięta determinacja, by doprowadzić idącą obok kobietę do ołtarza. Dopiero wtedy będzie mógł zapewnić jej bezpieczeństwo.

Maggie zatrzymała się pod drzwiami do ogrodu zimowego.

— Mamy nie ustalać daty. — Rozejrzała się i szepnęła: — Nie chcę za ciebie wychodzić, Benjaminie.

— Płakałaś. — Potarł jej policzek opuszką kciuka, czując dotyk jedwabistej, miękkiej skóry. — Nie musimy wyznaczać daty, jeśli nie jesteś na to gotowa.

— Nie słuchałeś mnie. — Otoczyła palcami przegub jego dłoni i odsunęła ją od swojej twarzy. — Nie mogę za ciebie wyjść, to wszystko dzieje się za szybko. Nie chcę skandalu dla mojej rodziny, to jest dla mnie najważniejsze. Ale nie chcę też... — Spojrzała na niego strapionymi oczyma i dokończyła: — ...nie chcę też, żeby się z ciebie śmiali, kiedy cię porzucę.

— Zerwane zaręczyny to nic nowego u Portmaine'ów.

— Port...?

Spostrzegł, że skojarzyła jego rodowe nazwisko.

— Jeśli weźmiemy ślub, będziesz się nazywać Maggie Portmaine.

— Tylko że my nie weźmiemy ślubu.

Tak się przy tym upierała, że zaczął się coraz bardziej denerwować i niepokoić.

— Powiedziałaś wprawdzie, że wszystko dzieje się za szybko, Maggie, ale jeśli poczęłaś, to naprawdę trzeba się spieszyć.

W jej oczach błysnął niepokój, a dłoń powędrowała do brzucha.

— Posłuchaj — powiedział, ścisząc głos i przykrywając jej dłoń swoją. — Dziś jesteśmy zaręczeni. Nie musimy na razie podejmować żadnych innych decyzji. Możesz mnie odrzucić, a ja odejdę, albo możemy wziąć ślub, albo możemy przeciągnąć zaręczyny i podjąć decyzję po dłuższym czasie. — W końcu zaczęła go słuchać, a nawet wpatrywać się w jego wargi. Pocałował ją, głównie po to, żeby przestała się z nim wreszcie spierać. — Bardzo chciałbym, żebyś została moją żoną, hrabiną, Maggie. Wiedziałem o tym, zanim jeszcze znaleźliśmy się w tej sytuacji, ale myślałem, że będę się do ciebie zalecał, uwodził cię i traktował z taką uwagą i uczuciem, na jakie zasługujesz. Daj mi kilka tygodni. Zorientujemy się lepiej w sytuacji, a przy okazji zadowolimy lady Dandridge i podobne jej wścibskie damy.

— Dobrze — odpowiedziała powoli. — Ale Benjaminie, pamiętaj, że nic więcej nie mogę zrobić. Nie wyobrażaj sobie, że weźmiemy ślub.

— Nawet jeśli będziemy mieli dziecko?

Pokręciła głową, ale nie opierała się, kiedy ją objął. Miał nadzieję, że naprawdę poczęła, i sam się zdziwił na tę myśl. Rozumiał konieczność posiadania dziedzica, ale do tej pory jakoś o tym nie myślał, póki Archer cieszył się dobrym zdrowiem. Ale kiedy miał Maggie... Pocałował ją znowu, musnął wargami policzek i skroń.

— Płakałaś, ukochana?

— To wszystko jest takie poplątane. — Westchnęła ciężko, ale nie wysunęła się z objęć. — Moje siostry będą bardzo szczęśliwe. Jego Wysokość będzie się puszył jak kogut. Bracia wreszcie poczują ulgę.

Nie wspomniała o księżnej, tylko spojrzała na niego:

— Czy moglibyśmy na razie nic nie mówić twoim siostram?

Bardzo chciał im powiedzieć, chciał wziąć ślub w Blessings, w obecności obu sióstr i ich kochających mężów.

— Poczekamy, jeśli chcesz. Ani Avis, ani Alex nie czytują kolumny towarzyskiej w gazetach i obie żyją z dala od ludzi. Jeśli sam im nie powiem, raczej się o tym nie dowiedzą. Ale twoim siostrom powiemy, prawda? Jej Wysokość chyba się tego spodziewa.

Wyprostowała się jak żołnierz na musztrze.

— Będą strasznie piszczeć.

— Pozwólmy im na to, ten jeden raz. — Podał jej ramię i wprowadził ją do ogrodu zimowego. Wilgotne powietrze było nawet przyjemne, tym bardziej że przez szkło sączył się miękki blask popołudniowego słońca.

— Tu jesteśmy! — Drobną blondynka pomachała do nich ręką. — Przegrywamy z Jenny w wista, a herbata już dawno wystygła.

— Miłe panie — Ben zwrócił się do trzech najładniejszych dziewcząt, jakie widział w życiu w jednym miejscu naraz. — Wasza siostra ma dla was nowinę.

— Mów, Mags. — Blondynka odciągnęła Maggie od Bena. — Nigdy nie miałaś żadnych nowinek, chyba że dawno temu, kiedy zdechł twój pies.

Ben stał wyprostowany, patrząc na Maggie siedzącą w otoczeniu sióstr na wiklinowej kanapie. Blondynka przysunęła do kanapy krzesło i wskazała mu je ręką.

— Proszę siadać, panie Hazlit. Rzadko miewamy Maggie tylko dla siebie, bo jedynie wezwanie od mamy potrafi ją oderwać od ksiąg i finansów. Mów, co to za nowina, kochanie. Ledwie mogę usiedzieć i to dosłownie. — Pochyliła się odrobinę do przodu i uśmiechnęła do siostry.

— Pan Hazlit poprosił... to znaczy, ja się zgodziłam... zaręczyliśmy się.

Pisk był ogłuszający, a uściski trwały całą wieczność. Ben nigdy w życiu, przy żadnej okazji, nie zaznał tylu pachnących damskich objęć, pocałunków w policzek i życzeń szczęścia. To było... zaskakujące. Patrząc na Maggie, która tonęła w ramionach swych sióstr, uświadomił sobie jedno: ci ludzie ją kochali. Nie była przyszywaną krewną, którą się akceptuje z poczucia przyzwoitości, nie była kłopotliwym dodatkiem do rodziny. Była kochana i ceniona. Wszystkim szczerze zależało na jej szczęściu.

Jeżeli go rzuci, cała jej rodzina będzie bardzo rozczarowana.

Gdy eskortował ją do powozu, po godzinie i po dwóch butelkach szampana, zaczął się zastanawiać, co każe Maggie zaryzykować rozczarowanie ludzi, którym zależy tylko na jej szczęściu i powodzeniu.

— Zmęczona?

Zadając to pytanie, objął ją ramieniem. W ciągu zaledwie kilku godzin udało mu się wytworzyć między nimi dwojgiem taki rodzaj intymności, która miała niewiele wspólnego z tym, co zaszło rankiem na pewnym kocu.

To nic nie znaczyło. Albo bardzo dużo.

— Trochę zmęczona. — Jak prawdziwa narzeczona, Maggie oparła głowę na jego ramieniu, gdy stangret cmoknął na konie, żeby ruszyły. Złudzenie, że są parą, było bolesne i słodkie... i było jedynie złudzeniem.

— Dowiedziałem się dzisiaj czegoś o tobie.

Widział, jak płakałam, albo prawie płakałam. Może zrozumiał, że nie nadaję się na hrabinę.

— Zrozumiałem, że jesteś nieśmiała. — Pocałował ją w skroń, a Maggie nie starczyło hartu ducha, żeby go powstrzymać.

Teraz, kiedy byli zaręczeni — co za dziwaczne słowo, „zaręczeni” — nie mógł oderwać od niej warg. Ciągłe ją całował, w policzek, w czoło, we włosy, w ręce.

Podobało jej się to, choć wiedziała, że potem tym bardziej będzie żałować.

— Jak można ukryć nieśmiałość?

— Otaczając się pozorami godności i przyzwoitości, które ukrywają prawdziwą naturę. Twoje siostry cię kochają.

— Chyba po to są siostry, prawda? — Chciała unieść głowę, by spojrzeć na niego w

półmroku, ale wygodnie jej było pod jego ramieniem, a poza tym nigdy jeszcze nie rozmawiali w ten sposób.

— Pewnie tak. Jak myślisz, czy moje siostry też chcą, żebym się ożenił?

Sądząc po głosie, nie bardzo mu się to podobało.

— No cóż, pozostaje mieć nadzieję, że nie będą takie naiwne.

Tyle że jej siostry takie były. Poza gratulacjami i docinkami, Maggie wyczuła ich ulgę.

Ulgę, że teraz będą mogły zawrzeć małżeństwa, idąc w ślady braci. Tak jakby ona i Sophie były drogowskazami... albo drogowskazówkami?

— Zrozumiałem coś jeszcze.

— A więc był to prawdziwy dzień objawień, panie Hazlit.

— Benjamin. — Jego dłoń odgarnęła jej włosy z czoła delikatnym, pieścizotliwym ruchem, niemal pozbawionym erotycznych podtekstów. — Kiedy byłaś dzisiaj taka smutna, nazwałaś mnie po imieniu. Podobało mi się to.

Kiedy leżała na kocu, też nazwała go po imieniu, ale o tym nie wspomniał. Jej narzeczony — tymczasowy narzeczony — był dżentelmenem.

Wtuliła twarz w miękką wełnę surduta, czując nutę korzennego, męskiego zapachu.

— Musimy się zachowywać jak narzeczeni. A twoje imię nietrudno jest zapamiętać.

— To dobrze. — Ucałował jej włosy. — Słyszę szcęk szabel, a armaty już zajeżdżają na pozycje. Niepokoiłem się o ciebie, moja Maggie.

— Nie jestem twoją Maggie. Więc co to było za objawienie?

Przyciągnął ją lekko do siebie.

— Widziałem was, jak śmiejecie się we czwórkę i świetnie czujecie się ze sobą, i jak po przyjeździe Westhavena zrobiło się jeszcze weselej, i zrozumiałem, że pozwoliłem komuś wykraść to ciepło z naszej rodziny. Przez cały ten czas, kiedy wspinałem się do cudzych okien i uchylałem drzwi, żeby odzyskać skradzione narzeczone i liściki miłosne, zgadzałem się na to, by moja własna rodzina została odarta z radości, a nawet z przyjemności bycia razem przez wypadek, który zdarzył się ponad dziesięć lat temu.

Benjamin był spostrzegawczy. Żadna nowina. Maggie zatrudniła go właśnie ze względu na tę spostrzegawczość, inteligencję i zmysł obserwacji. Ale to, że podzielił się z nią swoimi przemyśleniami na temat tak osobistych spraw, sprawiło, że przytuliła się do niego mocniej, pełna współczucia dla niego, a nawet dla jego sióstr, prowadzących samotne życie na odludziu.

— Powinieneś do nich napisać. O tym, co mi przed chwilą powiedziałeś.

— Chyba tak zrobię. Prześpij się chwilę. Powiedziałem Johnowi, żeby powiózł nas do domu przez park, a konie są tak zmęczone, że mogą iść tylko stępa.

Nie zasnęła, ale zamknęła oczy i udawała, że drzemie. Zamiast tego zastanawiała się nad tym, co powiedział. O tym, że można pozwolić komuś, by odarł życie z całej radości i przyjemności bycia razem z bliskimi, i nawet nie spytać, czy ten ktoś miał do tego prawo.

Po zaledwie dwóch godzinach w roli narzeczonego Ben uznał, że jego relacje z narzeczoną co nieco się poprawiły. Pewnie wkrótce Maggie zacznie powtarzać swoją śpiewkę, może za dzień, może za dwa, ale w intymnej przestrzeni powozu, podczas spokojnej przejażdżki, pozwoliła mu na bliskość.

Czuł się taki... spokojny, kiedy trzymał ją w ramionach, wdychał jej kwiatowo-korzenne perfumy, czuł jedwabiste ciepło włosów pod dłonią.

— Kiedy będziesz wiedziała?

Udawała, że śpi, przytulając się do niego, ale słysząc to pytanie, otworzyła oczy.

— Za dwa tygodnie, chociaż o tej porze roku czasem mi się spóźnia.

Przetłumaczył sobie w myślach: wiosną nie miesiączkuje regularnie.

— W takim razie proszę cię o co najmniej sześć tygodni narzeczeństwa, Maggie. Im dłużej będziemy czekać, tym bardziej będziesz przekonana o konieczności zawarcia małżeństwa, jeśli jesteś w ciąży.

— Chyba żebym poroniła. Jej Wysokość kilka razy roniła, zanim urodziła Evie.

Lodowate przerażenie ścisnęło mu wnętrzności.

— Chyba tego nie planujesz?

— Nie.

— To... dobrze. Nie chciałbym, żeby przeze mnie coś ci się stało, Maggie. W żadnym wypadku.

Usiadła i rzuciła mu groźne spojrzenie.

— To zaręczyny na pokaz, Benjaminie. Nie musisz udawać opiekuńczości. Całkiem dobrze sobie radzę sama.

— Przez kilka nadchodzących tygodni, moja droga, będziemy całkiem dobrze sobie radzić we dwoje.

Spojrzała na niego w półmroku panującym w powozie, a potem zaczęła szukać czegoś w torebce.

— Myślałam o dwóch tygodniach tego narzeczeństwa. Powinnam do tego czasu już wiedzieć.

— Jeśli będziesz wiedziała na pewno, nie będę cię powstrzymywał, ale musisz mi coś obiecać. — Ujął ją za rękę, zanim zdążyła włożyć rękawiczki. — Że nie odwołasz zaręczyn, dopóki nie będziesz wiedziała na pewno. Bo wtedy musielibyśmy się zaręczyć drugi raz, a to wywołałoby o wiele większe plotki.

— Ale mówiłam ci przecież...

Przyłożył palec do jej ust.

— Oboje jesteśmy wykończeni, mieliśmy ciężki dzień. Jutro możemy się kłócić do woli, bo zamierzam odwiedzać cię regularnie, Maggie, prowadzać cię na herbatki do Jej Wysokości i zachowywać się pod każdym względem jak zakochany po uszy narzeczony.

— To wcale nie jest konieczne.

— Ależ jak najbardziej, kochanie.

Odprowadził ją do frontowych drzwi i by pokazać, że ma rację, bardzo elegancko pochylił się nad jej dłonią i przez moment zatrzymał ją na progu, dając jej pojęcie o tym, jak będą wyglądać zaloty w wykonaniu Bena Hazlita. Zniosła to spokojnie, mówiąc sobie, że jest zbyt zmęczona, by się mu opierać, a potem wyprostowała się jak żołnierz i zniknęła za drzwiami.

Ben machnięciem ręki odesłał powóz i postanowił przejść się do domu, korzystając z resztek dziennego światła. Objawienia takie jak dzisiejsze wymagały głębszych przemyśleń. Gdy dotarł do domu, było już całkiem ciemno, a gorąca kąpiel i zimny drink wydały mu się przedśmionkiem raj.

Ledwie zdążył zrzucić jeździecki strój, gdy do jego garderoby wsunął się Archer w oficjalnym wieczorowym ubraniu.

— Mam coraz bardziej dosyć ścigania Abby Norcross — powiedział i opadł na stołek. — Ci, co twierdzą, że kobiety mają więcej sił od mężczyzn, mówią, jak się okazuje, nie tylko o fizycznej miłości.

— Czy ty nie masz innych tematów?

— Kiedy się kocham z damą, wspominam o jej oczach, włosach, jej wspaniałych...

— Podaj mi mydło. — Ben usiadł w parującej wannie, wdzięczny losowi, że stać go na takie luksusy. — Dokąd się dzisiaj wybierasz?

— Na jakiś cholerny musical, potem na wieczorek, a na końcu do Peasedicka na bal i kolację. Wiem z pewnego źródła, że lady Abby zaszczyli co najmniej jedno z tych spotkań swoją cudzołożną osobą.

Ben zaczął szorować stopy, ramiona, pierś i pachy.

— A jeśli ona nie cudzołoży?

— Przecież niemal dosłownie powiedziała Jego Lordowskiej Mości, że pierwszy lepszy fagas zadowoli ją lepiej niż on, i że współczuje jego kochance.

— Och. Nic dziwnego, że chce ją zesłać na wieś. Mam dla ciebie pewną wiadomość, którą powinieneś usłyszeć, choć nie krąży jeszcze w towarzystwie.

Zanurzył się i wychynął z wody, a potem namydlił sobie włosy.

Archer zapiął spinki w mankietach.

— Plotka jest najbardziej soczysta, gdy młoda, tak samo jak...

— Czy to szmaragdowe spinki, kuzynku?

— Kiepskiej jakości, ale szmaragdowe. Podkreślają duchową głębię mojego spojrzenia. —

Zamrugał, a potem pochylił się, poprawiając ogień na kominku. — Co to za nowiny? Pewnie je już słyszałem, bo nie migąłem się od pracy przez cały dzień jak niektórzy z nas.

Ben obserwował Archera, który potrafił wyglądać elegancko, nawet gdy wykonywał pracę należącą do służby.

— Zaręczyłem się z lady Maggie Windham.

Jego kuzyn wyprostował się, dzierżąc w dłoni żelazny pogrzebacz.

— Co takiego? Chyba się przesłyszałem, bo rzadko zwracam uwagę na twoje słowa, gdy zaczynasz mnie pouczać i nadymać się jak biskup. Naprawdę się zaręczyłeś?

— Z Maggie Windham.

Ben znowu się zanurzył. Kiedy otrząsnął się z wody, jego spadkobierca bardzo uważnie wieszał pogrzebacz na kominkowym stojaku z narzędziami. Chyba nie zamierzał komentować, więc Ben zanurzył się w wodzie jeszcze raz, żeby się dobrze opłukać. Archer podał mu suchy flanelowy ręcznik.

— Zaręczyłeś się z lady Maggie. No, no, no.

Ben rzucił mu czujne spojrzenie, bo Archer potrafił bezlitośnie drwić z ludzi, ale w oczach kuzyna nie było wesołości.

— Być może to nie potrwa długo. Nie zachowywaliśmy należytej przyzwoitości, kiedy natknęła się na nas lady Dandridge. Zdaje mi się, że pojutrze ukażą się ogłoszenia w gazetach, ale Maggie nie jest przekonana, czy będziemy do siebie pasować.

Archer z powrotem zasiadł na stołku, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Maggie Windham to kobieta z problemami, Benjaminie. Nie musisz się z nią żenić, by je rozwiązać.

— Chyba jednak tak. Zwrócono jej tę torebkę, podobno razem z pieniędzmi.

— A ty się zastanawiasz, co z niej ukradziono i dlaczego to coś miało dla Maggie większą wartość niż pieniądze?

— Dokładnie tak. I jeszcze kto to zrobił i jak zamierza to wykorzystać? Jeśli to były listy, to nie od kochanka.

Archer skrzyżował ramiona.

— Na pewno?

Ben rzucił mu mokry kawałek flaneli.

— Na pewno, choć ze względu na Maggie chyba wolałbym, żeby były. Złapałbym podleca, stłukł na kwaśne jabłko i posłał na kontynent, żeby dochodził do siebie przez parę dziesiątków lat.

— Jasne, jasne. Niejeden skandal zrobił z narzeczonego bohatera. Wychodzisz za damę z rodziny Windhamów, Benjaminie. Masz pojęcie, jaką radość będą mieli plotkarze, jeśli da im się choć nikły pretekst, by wyciągnąć na światło dzienne jakiegokolwiek sprawy tego rodzaju?

— Mam, Archerze. Czy możesz mnie splukać?

— Jasne. — Archer spełnił jego życzenie, zlewając go dwoma dużymi kankami letniej wody, a potem podał mu ręcznik. — Kiedy ślub?

— Jeszcze nie ustaliliśmy daty.

Cisza. Ben wyszedł z wanny i wytarł się do sucha. Archer poczekał, aż włoży szlafrok i przeczesze włosy, i dopiero potem podszedł do kominka. Zapatrzył się w płomienie.

— Powinieneś ustalić datę.

— To zwykle należy do damy. Czy znowu przywłaszczyłeś sobie moje najlepsze wełniane skarpetki?

— Ja miałbym sobie coś przywłaszczyć? Od własnego kuzyna? Pod naszym własnym dachem? — Odwrócił się i stanął, opierając się łokciem o półkę nad kominkiem. — Są bardzo ciepłe, a człowiek przecież marznie, biegając całą noc po mieście. Dlaczego nie wyznaczyła daty?

Ben spojrzał na jego odbicie w lustrze.

— Bo nie jest przekonana, czy ten związek będzie konieczny.

Archer zamrugnął.

— Ty łobuzie. Ukartowałeś te zaloty i oświadczyły, co?

— To nie twoja sprawa, ale dla twojej informacji powiem, że gdybym oświadczył się wcześniej, to musiałbym powiedzieć lady Dandridge, że właśnie wybieramy imię dla naszego pierworodnego. Tylko że wszystko odbyło się inaczej. Miej oczy i uszy otwarte, i nie siedź za długo u tej twojej pokojówki. Chciałbym skończyć wreszcie sprawę Norcrossów.

Archer nawet nie mrugnął.

— Spodziewasz się, że nasi klienci znikną, gdy okaże się, że jesteś hrabią Hazelton, prawda? Nie możesz się zaręczyć jako zwykły Ben Hazlit, bo ten smętny gnojek prawnie nie istnieje. Kapitalna historia... naprawdę kapitalna.

Archer wyszedł z garderoby do salonu Bena i ruszył wprost ku karafce.

— Domyślam się, że zrezygnujesz z pracy, przyjacielu, ale ja nie zamierzam tego robić.

— To nie rezygnuj. Ja pewnie się wyprowadzę z tego domu, więc możesz sobie z niego do woli korzystać. W dalszym ciągu jesteś moim spadkobiercą, masz zwyczajowy tytuł, zabezpieczający twoje dziedzictwo. Jeśli ożenię się z Maggie Windham, przeniosę się na północ, co najmniej na długi pobyt na wsi.

Archer zatrzymał się ze szklanicą w połowie drogi do ust.

— Czy to znaczy, że właśnie przekazałeś mi interesy?

— Nigdy nie lubiłem tego węszenia, Archer, choć pocieszałem się myślą, że od czasu do czasu odgrywamy pożyteczną rolę.

— Co z pieniędzmi?

— Hojnie wyposażylem siostry, zostawiając sobie fundusik dla własnych dzieci, choć zaczyna mi się wydawać, że siostry wcale nie potrzebowały ode mnie tych pieniędzy.

Archer pociągnął łyk brandy.

— Czuję się zbity z tropu... ale raczej się tego spodziewałem. Obserwowałem cię przez cały zeszły rok i widziałem, że to wszystko przestaje cię bawić, kobiety cię nie interesują, a twoje pocztowe gołębie coraz częściej odwiedzają północ. Czy chodzi ci o siostry?

— Z jednej strony tak, a z drugiej wcale nie. Czy ty lubisz dzieci, Archer?

— Czemu pytasz? — Archer odwrócił się, żeby nalać mu drinka.

— Jeśli nie uda mi się spłodzić synów, to ty przejmiesz sprawę dziedziczenia. — Ben wstał i stanął obok niego, bo temat rozmowy wyraźnie poruszył Archera, tego samego Archera, który zwykle podchodził obojętnie do wszystkich spraw.

— Będziesz miał synów, jakoś ich zmagajstrujecie z lady Maggie, jeśli jeszcze nie poczyniliście prób w tym kierunku.

— Chcę mieć z nią dzieci, chociaż oboje późno zaczynamy — odpowiedział Ben powoli.

— Ale ze względu na nią mam nadzieję, że jeszcze nic się nie zdarzyło... nie chciałbym, żeby to się odbyło w ten sposób.

Archer podał mu szklankę.

— Opiera ci się?

— Mówi, że do siebie nie pasujemy, ale moim zdaniem myśli, że powinienem znaleźć sobie lepszą partię. Chyba że stara się ochronić mnie przed swoimi problemami.

— W takim wypadku... — Archer nachmurzył się i zamilkł na moment, a potem dokończył — ...wystarczy, żebyś rozwiązał jej problemy, a sama wpadnie ci w ramiona. Tak?

— Już w nie wpadła. Chodzi o to, że jeśli rozwiążę jej problemy, zgodzi się zostać moją żoną.

Archer wyraźnie miał ochotę coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko wychylił swoją szklankę do dna. Ben odczekał, aż kuzyn podejdzie do drzwi i położy dłoń na zasuwie.

— Archer?

Odwrócił się powoli, z pokerową miną.

— A ta twoja pokojówka? Ciebie też mało co bawi, a kobiety przestały cię interesować, od czasu gdy wsadziliśmy Anitę Delacourt na statek do Irlandii.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Della Martin zdychałaby teraz z głodu w rynsztoku, gdybyś nie podrobił dla niej paru listów. Zawsze byłem zdania, że to jedna z twoich bardziej udanych improwizacji.

Archer odwrócił się do drzwi i powiedział cicho, bez zwykłej nonszalancji:

— Ona teraz nazywa się Adele i przez trzy lata cierpliwie znosiła tę okropną kobietę i jej zapijaczonych adoratorów, aż w końcu jej pracodawczyni zwędziła wszystkie klejnoty, które dało się wsadzić do kieszeni, i zniknęła w środku nocy, jak złodziej.

— A rok później w dalszym ciągu troszczysz się o bezpieczeństwo Adele. Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że cię trafiło.

— Może mnie nie znasz.

Rzucił to zdanie przez ramię i wyszedł po cichu, zostawiając Bena zadumanego nad tą odpowiedzią.

— Przepraszam, że się tak tobą przejmuję.

Westhaven mówił równie poważnym tonem jak Benjamin poprzedniego wieczoru, kiedy rozmawiali w powozie.

— Uczysz się, jak być księciem — odpowiedziała Maggie. — To normalne, że troszczysz się o rodzinę. Napij się lemoniady. Anna mi zdradziła, że lubisz bardzo słodką.

Usiadła na kutym żelaznym krzeselku przy ogrodowym stole na tarasie, a brat zajął miejsce obok niej. Dzień był piękny, a na tarasie było mniej ciekawskich uszu.

Westhaven skrzyżował nogi w kostkach, oparł się na krzesło i uważnie popatrzył na Maggie, która krzątała się przy tacy z przekąskami.

Kochający bracia czasem bywają błogosławieństwem, czasem utrapieniem. Maggie ostatnio próbowała uporać się z tym problemem. Ich Książęce Wysokości bez trudu załagodzą towarzyskie skutki skandalu, ale kochający bracia Maggie, w imię troski o nią, będą węszyć i wtykać nos w nie swoje sprawy i w rezultacie ich najlepsze intencje wywołają o wiele większy skandal niż pospieszne zaręczyny.

Westhaven powoli mieszał cukier w herbacie.

— Moja hrabina troszczy się o mnie bez przerwy. — Surowa twarz Gayle'a pojaśniała na samą wzmiankę o żonie.

— A jak tam mój bratanek?

Uśmiechnął się, pełen wewnętrznej radości. Maggie z trudem mogła to znieść.

— Młody milord rozwija się doskonale. W końcu udało mi się dokonać czegoś, co Jego Wysokość aprobuje bez żadnych zastrzeżeń. — Uśmiech przygasł, a spojrzenie przenikliwych zielonych oczu znowu wwierteło się w twarz Maggie. — A teraz, kiedy już porozmawialiśmy na tematy zastępcze, Mags, powróćmy do sprawy, dla której przyszedłem. Odpowiedz, proszę, na moje pytania.

— Jesteś moim młodszym bratem, Gayle'u Windhamie, i nie muszę na nic odpowiadać. To nie śledztwo.

— Nie musisz, ale odpowiesz, bo spora część twojego majątku jest w moich rękach, a ja nie cofnę się przed groźbą, by wydobyć z ciebie prawdę.

Maggie prychnęła.

— Ty nawet w interesach nie potrafisz nikogo przycisnąć, więc twoje groźby są bez pokrycia. Mogę ostatecznie odpowiedzieć na kilka pytań z czystej siostrzanej życzliwości.

Odstawił lemoniadę na stół i zapatrzył się w szkło. Po szklance spływały kropelki wody, tworząc mokre koło na tacy.

— Kochasz go, Maggie?

Całkiem niezły frontalny atak, ale z tym jeszcze można sobie poradzić.

— Lubię go.

— Lubiśz też swoich starych lokajów, mojego konia i czekoladki. Ale sympatia to za mało, żeby wyjść za mąż, szczególnie po odrzuceniu niezliczonej liczby kandydatów. Jeśli Hazlit w jakikolwiek sposób cię do tego zmusza, Mags, to spotkam się z nim i zakończę sprawę.

Pomna, że właściwa strategia to podstawa, Maggie nie wzniosła oczu do nieba ani nie zaczęła tupać nogami.

— A co pomyśli Anna o twojej galanterii, jeśli zostaniesz ranny lub zginiesz?

— A co pomyśli Anna o mojej galanterii, jeśli okażę się mięczakiem, który pozwolił, by jego bogata siostra związała się z bezwartościowym, kłamliwym...

Maggie uniosła dłoń.

— Wiem o tytule i wiem też, że Benjamin zrezygnuje z pracy detektywa, jeśli weźmiemy ślub.

— Sam ci o tym powiedział, czy też Jego Wysokość przypadkiem zdradził ci ten sekret?

— Sam mi powiedział, na długo przed zaręczynami. Myślałam, że lubisz Benjamin.

— Owszem, ale sympatia a zaufanie to dwie różne rzeczy, kiedy w grę wchodzi szczęście siostry.

Wziął do ręki szklankę i odstawił ją od razu.

— Martwię się o ciebie, Mags, bo jesteś skryta i spokojna. Nie wybrałbym dla ciebie kogoś takiego jak Hazlit, a raczej Hazelton.

— Czemu nie?

— Bo ten człowiek kryje się w cieniu i chyba to lubi. A ty miałaś w życiu za dużo mroków i cieni.

— Może przez to, że nie boi się cieni, potrafi zobaczyć mnie taką, jaka jestem naprawdę. — Słyszając to spontaniczne, bliskie prawdy wyznanie, Gayle spochmurniał i zamilkł na dłuższą chwilę.

— Więc ci na nim zależy. — To nie było pytanie. — W takim razie dlaczego wciąż mi się wydaje, że ten związek nie jest dobrym pomysłem?

Niech go diabli wezmą — jego i wszystkich ciekawskich, pełnych dobrych intencji braciszków.

Żeby zyskać na czasie, upiła łyk lemoniady.

— Jeśli cię to ma uspokoić, to jestem prawie pewna, że te zaręczyny potrwają bardzo krótko.

— Och, Mags... — Uśmiechnął się smutno. — A więc i ty także...

— Co ja także?

— Tak jak my z Anną. Policz sobie. Wszyscy inni na pewno już to dawno zrobili. Jego Wysokość z wielką radością opowiedział mi, jak to Bart urodził się przed terminem, zupełnie jakbyśmy z Anną kontynuowali jakąś szlachetną rodową tradycję Morelandów.

— Jej Wysokość opowiedziała mi to samo. Oni chcą nam w ten sposób pomóc.

— Ja też chcę ci pomóc. — Wstał, ale po chwili pochylił się i ucałował Maggie w czoło, zanim zdążyła się podnieść. Uniosła dłoń i objęła palcami przegub ręki, którą położył jej na ramieniu. Był dobrym bratem — wszyscy jej bracia byli dobrzy — i z trudem powstrzymała się przed zwierzeniami. — Wszystko się jakoś ułoży — powiedział cicho. — A jeśli nie, to zawsze mogę cię wysłać na kontynent, wystarczy godzina. Albo do Irlandii czy Szkocji. Nie zapomnisz o tym?

— Wstydz się.

— Będę się wstydzić, byleś ty nie musiała, Mags. Wszyscy, tylko nie ty. — Z tymi słowami zamknął za sobą ogrodową furtkę.

Maggie jakoś wytrzymała, do chwili gdy na bruku zadzwoniły kopyta jego konia, i dopiero wtedy wybuchnęła płaczem.

— Koniecznie wsadź jej jakiś cholerny pierścionek na palec, najlepiej jutro, zanim słońce zajdzie. — Jego Wysokość ściszył głos, choć siedzieli z Benjaminem przy stole w prywatnej jadalni jego klubu. — Wszystkie pismaki będą go wypatrywać. Na pewno uda ci się znaleźć duży, błyszczący kamień, nie wydając przy tym fortuny. To kwestia jakości kamienia.

— Jutro pójdziemy poszukać czegoś odpowiedniego — obiecał Ben, jakby od dawna to planował. Zapomniał o tym, choć wiedział, że pierścionki są ważne. Pociągnął kolejny łyk doskonałego wina i zadumał się nad tym przeoczeniem.

— Jeśli chcesz mojej rady, nie wydawaj na niego zbyt wiele. Zrobiłem ten błąd w młodości. Chciałem zasypać moją młodą żonkę klejnotami, ale okazało się, że je gubi. Co za cholerny pech.

— Esther Windham nie wygląda na osobę, która gubi wartościowe rzeczy.

Jego Wysokość przestał żuć krwisty befsztyk i posłał Benowi spojrzenie, w którym irytacja mieszała się z serdecznym uczuciem.

— No właśnie. To nie ten rodzaj kobiety, więc sprawa jest tym bardziej tajemnicza. Doszedłem w końcu do wniosku, że specjalnie je „gubi”, bo nie chce, żebym na nią tyle wydawał. Nam się zdaje, że kobiety mają tyle mózgu co kury, a tymczasem one są naprawdę genialne. Zapamiętaj moje słowa, Hazelton. Mam córki, synowe, wnuczkę i moją księżną. Poznałem sekrety płci pięknej, bo pchnął mnie do tego instynkt samozachowawczy, jak każdego rozsądnego mężczyznę.

Jego Wysokość gadał i gadał, arogancki i ujmujący zarazem, odsłaniając takie strony swej osobowości, o których Benjamin do tej pory nie wiedział.

Percy Windham był księciem i nosił ten tytuł jak swoją drugą skórę. Jadł i pił, szarogęsił się i puszył, manipulując Izłą Lordów z entuzjazmem gończego psa, który złapał trop. Ale pod tym wszystkim krył się mężczyzna oddany rodzinie, naturalnie na swój sposób. Jego uczucie do księżnej było już legendarne. Synów zmusił do ożenku, ale do tej pory nie znaleźli się kandydaci godni ręki jego córek, poza przyrodnim bratem Bena, Wilhelmem Charpentierem. Ben znał go na tyle dobrze, że mógłby bez mrugnięcia okiem poręczyć za jego tytuł i spory majątek.

Niepokojąca myśl.

— Napij się jeszcze wina, chłopcze. Jej Wysokość nakłania mnie do umiaru we wszystkim, ale ja nie zawsze kieruję się jej mądrością pod moim własnym dachem. W razie czego sam będę sobie winny.

Ben potulnie wychylił kieliszek i pozwolił, by książę napełnił go ponownie.

— Czy Jego Wysokość ma dla mnie jakieś rady jako dla przyszłego męża lady Maggie? Starszy pan spoważniał i niemal posmutniał.

— To prawdziwe wyzwanie, rada dla przyszłego męża, który bierze sobie twoją córkę. Prawie już się pogodziłem z myślą, że Maggie chce zostać starą panną, choć to fatalny przykład dla reszty dziewcząt. Chyba nie znam jej aż tak dobrze, jak mi się wydawało.

Odstawił kieliszek, zmrużył niebieskie oczy i spojrzał na Bena.

— Jeśli złamiesz jej serce, będziesz miał do czynienia ze mną i z jej trzema braćmi, a jeśli to przeżyjesz, Jej Wysokość zrujnuje cię towarzysko do dziewiętnastego pokolenia. Przypominam, że moi chłopcy to wyborowi strzelcy, a w fechtunku są jeszcze lepsi.

— Nie zamierzam złamać jej serca.

— Och, my nigdy nie mamy takich zamiarów. — Jego Wysokość ściągnął brwi i ponownie zmienił się w jowialnego ojca rodziny. — Maggie jest inna. Mam nadzieję, że to z powodu starszeństwa, ale jej kłopotliwe pochodzenie jest zbyt oczywistym czynnikiem, żeby je pomijać. Zdaje mi się, że ona... nigdy nie potrafiła marzyć. Pozostałe smarkate ciągle o czymś marzyły. Sophie chciała mieć własną rodzinę, Jenny kocha malować, Evie jest zwariowana na punkcie majątków, tak jak jej bracia, ale Maggie nigdy nie miała żadnych marzeń. Nie marzyła nawet o kucyku ani o pierwszym walcu, ani o pierwszym... w niej zakochanym.

Ani o kochanku. Te niewypowiedziane słowa zawisły między nimi w powietrzu, gdy ogień na kominku trząskał i syczał, a potem płonące polano spadło na palenisko, strzelając fajerwerkami iskier.

Ojcowie zwykle nie mówią takich rzeczy o swoich córkach, ale z drugiej strony, kiedy człowiek wchodzi do rodziny, zawsze dowiaduje się różnych ciekawych rzeczy, na przykład, że Esther Windham gubi biżuterię, którą zakłada na co dzień, a Percy uważa, że jego córki mają prawo marzyć.

W pewnym sensie było to podobne do zaglądania ludziom do domów przez próg i wspinania się, by podglądać ich przez okna. Tyle że to okno nazywało się „małżeństwo”, a Maggie próbowała je zamknąć na klucz i zostawić Bena na zewnątrz.

— Nie jestem pewny, czy Maggie chce za mnie wyjść. — Tylko w ten sposób mógł poruszyć temat okoliczności, które doprowadziły do tych zaręczyn. Jego Wysokość rzucił mu długie spojrzenie.

— Jestem jej ojcem, ale kiedyś sam byłem młody. Maggie jest niewiele młodsza od Devlina i tylko trochę starsza od Barta, gdyby żył. Gdy się żeniłem, nie miałem pojęcia, że mam dwójkę starszych dzieci. Ledwie zacząłem napełniać pokój dziecinny szkrabami, a już oba te babska rzuciły się na mnie, nie szczędząc inwektyw i gróźb. Mój dziedzic nawet jeszcze nie chodził. Jeśli moje małżeństwo przetrwało taki koszmar, to ty chyba poradzisz sobie z odrobiną uporu, co?

To był kolejny wgląd w życie Windhamów, którego Ben nigdy by nie uzyskał, gdyby nie jego zaręczyny z Maggie. Zaufanie księcia sprawiło, że zdobył się na rzadką u siebie bezpośredniość:

— Zdaje mi się, że Maggie marzy o tym, by zostawiono ją samą. Jeśli mnie rzuci, to będzie miała kolejną wymówkę, by odsunąć się od życia, ukryć na uboczu i wmawiać sobie, że jest zadowolona.

— Zadowolona. — Księżę wypluł to słowo. — Niech diabli wezmą zadowolenie. Zadowolenie to kaszka z mleczkiem, zamiast bankietu, którym jest prawdziwe życie. Spraw, żeby marzenia Maggie się spełniły, młody Hazeltonie, i pokaż jej, że zadowolenie to tandeta w porównaniu ze szczęściem.

— Łatwo powiedzieć.

— Rozmawiamy o kobietach i o konkretnym podgatunku tej grupy zwanym żonami. Sprawa jest bardzo prosta, zrób wszystko, żeby była szczęśliwa, a ona odpłaci ci się dziesięciokrotnie. Zważ, że nie obiecuję, że to będzie łatwe. Jak tam, otwieramy jeszcze jedną butelkę?

Kolacja z Jego Wysokością była dla Benjaminą objawieniem. Księżę okazał się uroczym, inteligentnym człowiekiem, zaskakująco konkretnym w sprawach bliskich jego sercu. Ben szybko się zorientował, że będąc tak blisko związana z Ich Wysokościami, Maggie miała rzadką okazję zobaczyć prawdziwą miłość wśród wysoko postawionych ludzi, ale wcale nie chciała skorzystać z tego przykładu. W głowie wirowały mu przemyślenia na temat marzeń, szczęścia, zadowolenia, sekretów i oczekiwań rodzinnych, zakropione stosowną ilością znakomitego trunku, aż w końcu zorientował się, że nie idzie do domu, tylko kieruje się ku niewielkiemu, narożnemu budynkowi, w którym zamieszkiwała jego narzeczona.

Która o tej porze powinna smacznie spać.

Albo i nie. Ben bez przekonania próbował wytłumaczyć sobie, że należałoby zostawić ją w spokoju. Rano przysłała mu karteczkę z dwoma zdaniami, tłumacząc, że obudziła się z bólem głowy i że szkoda czasu na przebywanie w jej „kniejskim towarzystwie”.

Ból głowy mógł być rzeczywisty i być może Ben się do niego przyczynił, ale ponieważ minęło już dwanaście godzin, pewnie już dawno minął. Ben otworzył furtkę do ogrodu za domem, wspiął się na potężny dąb i zeskoczył z niego na balkon.

Maggie, w koszuli nocnej i peniuarze, pólleżała na szezlongu. Nie sposób było odczytać wyrazu jej twarzy, tonącej w półcieniach księżycowego blasku.

— Witaj, przyszła żono.

Skrzyżowała ramiona.

— Witaj, milordzie. Chyba powinnam być wdzięczna losowi, że nie odśpiewałeś mi serenady spomiędzy krzewów róż.

— Bardzo ciekawe. — Przysunął sobie wiklinowe krzesło, starając się nie zwracać uwagi na to, jak ślicznie wyglądają jej bosc stopy skąpane w świetle księżyca. — W twoim głosie wcale nie słyhać wdzięczności. W czasie studiów przez trzy lata z rzędu śpiewałem w chórze kameralnym i zawsze wybierali mnie do solówek. Udowodnić?

Nabrał powietrza w płuca, ale Maggie położyła mu na wargach palce pachnące cynamonem i kwiatami.

— Wariat z ciebie, Benjaminie Portmaine.

Położył swoją dłoń na jej dłoni, splótł palce z jej palcami i przeniósł jej rękę na swoje udo.

— Zareczyłem się, co można uznać za rodzaj wariactwa, ale dama mego serca chyba mnie

unika. Ostrzegam cię, moja miła: dziś dałem ci spokój, z szacunku dla twoich starganych nerwów, i wytrzymałem dla ciebie kolację w cztery oczy z księciem. Ale jutro idziemy szukać pierścionka, na rozkaz Jego Wysokości, a raczej na rozkaz Jej Wysokości, przekazany przez jej najbardziej zaufanego emisariusza.

Maggie zamilkła, ale nie zabrała ręki.

— Kiedy papa i Jej Wysokość zaczynają swoje intrygi, nie sposób odgadnąć, kto rzucił pomysł, a kto tylko pomaga w realizacji. Są jak sfera myśliwskich psów, która od lat razem poluje. Nie sposób rozróżnić ich motywów, bo ich wzajemne uczucie samo w sobie staje się motywem ich działania. Westhaven buduje podobny związek z Anną, a jeśli listy mówią prawdę, to Devlin jest tak samo oddany swojej Emmie. Valentine i Ellen też zaczęli wymieniać między sobą charakterystyczne spojrzenia, choć dopiero niedawno wzięli ślub.

— Czy myślisz, że my kiedyś też będziemy wymieniać takie spojrzenia? — Uniósł jej dłoń do ust, żeby ucałować palce i wdychać niepowtarzalny aromat jego Maggie.

— Dlaczego chcesz się ze mną ożenić, Benjaminie? Tak naprawdę?

— Tak naprawdę, to dla honoru.

To nie była prawda. Do prawdziwych powodów nie potrafił się przyznać sam przed sobą, nawet w ciemności. Ale gdyby powiedział, że chce, żeby była bezpieczna i pozbyła się kłopotów, pewnie rano siedziałaby już na pokładzie statku zmierzającego do Francji.

— Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść?

— Nie chcę wychodzić za nikogo.

— Wracamy do tematu chwalebnej niezależności?

Milczała. Obrąła niezłą taktykę, bo poczuł się małostkowy, a nawet trochę agresywny... ale mimo to upierał się przy swoim.

— Czy tak ci trudno uwierzyć, że jakiś mężczyzna szanuje cię tak bardzo, że chciałby dzielić z tobą swój majątek, tytuł i życie?

Wysunęła dłoń z jego dłoni i wstała. Oparła się o balustradę i popatrzyła na ogród, pewnie po to, żeby nie widział wyrazu jej twarzy.

— Wierzę, że jakiś mężczyzna chciałby dzielić ze mną swoje ciało.

Ho, ho. Tylko że to wcale nie było zaproszenie.

— Źle się czujesz, kochanie. Położę cię do łóżka. Jutro pewnie cały dzień nam zejdzie na szukaniu godnego ciebie pierścionka, a to może okazać się bardzo męczące.

— Nie będziemy jutro marnować dnia i wydawać tylu pieniędzy...

Stanął z tyłu i objął ją w talii.

— Wstrzymaj ogień, Maggie. Nawet Napoleon nie powinien wojować przez całą zimę. Zobacz sama, jakie poniósł straty, kiedy mimo wszystko ruszył na Moskwę.

Westchnęła cicho i ramiona jej opadły.

— Nie powinienes tu przychodzić.

— I tu się mylisz. Nie chciałbym znaleźć się nigdzie indziej. Za to ty nie powinnaś być sama, całymi nocami, całymi dniami i całymi latami, kiedy każdy mężczyzna, który ma oczy i mózg na właściwym miejscu, dobrze wie, jakim jesteś skarbem.

— Pochlebstwa do ciebie nie pasują, Benjaminie. Powinienes się zaczerwienić, wygłaszając takie piramidalne bzdury. Zatrudniłam cię, żebyś znalazł moją torebkę, a ty wpakowałeś mnie w skandal.

Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz, objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego piersi. Ben przytulił ją do siebie, czując, że serce mu się ściska. Oparł podbródek na jej głowie.

— Ten cień skandalu naprawdę cię smuci. — Nie powinno go to dziwić, ale jednak czuł się rozczarowany. — To, że książę i Westhaven zaręczyli się w bardziej skandalicznych okolicznościach niż my, nie robi na tobie żadnego wrażenia.

— Ich matki były księżnymi, a ojcowie księżętami.

A książęta nie mają brudów do wyprania.

Przykro mu było słyszeć smutek w jej głosie. Najchętniej załatwiłby każdego, kto śmiałby ją obrazić albo szeptać złośliwości za jej plecami. Gorąco zapragnął ją poślubić i zatańczyć z nią

ślubnego walca, żeby wszyscy zobaczyli, że Maggie Windham złapała na męża hrabiego, który jest w niej po uszy...

— Chodźmy. — Pochylił się i ujął ją pod kolana, a potem wziął na rękę.

— Benjamin! — Objęła go za szyję. — Jeszcze sobie coś zrobisz.

Sporo ważyła, ale była przy tym taka kobieca.

— Nic mi się nie stanie. Chyba po to z takim religijnym poświęceniem odmawiasz sobie słodczy.

— Tylko przy świadkach.

Pozwoliła mu zanieść się do sypialni i położyć na łóżku. Ktoś zasłonił okna. Na krześle obok leżało z pół tuzina poduszek.

Ben zaczął zrzucać resztę na podłogę.

— Co ty wyczyniasz, milordzie?

— Daj spokój z tym milordem, bo zacznę na ciebie mówić milady. Robię miejsce. Dobrze to maskujesz, ale twoje łóżko jest tak duże, że zmieścimy się w nim oboje. Gdzie pies?

— Śpi w moim gabinecie. Ma tam posłanie. Może się z tobą podzieli, bo ja nie zamierzam cię tu wpuścić.

— Kiepski z niego stróż, jeśli nie zorientował się, że wspiałem się na twój balkon.

Zaczął się rozbierać, zastanawiając się, kiedy pragnienie, by znaleźć się w pobliżu jej domu, a potem, by powiedzieć jej dobranoc, zmieniło się w chęć, by znaleźć się w jej łóżku.

— To nie wina psa, że jesteś lepszym włamywaczem niż on stróżem.

Ben położył chusteczkę na nocnym stoliku, a potem usiadł, by ściągnąć buty.

— Już go bronisz? Pewnie byś mi go już nie oddała z powrotem, nawet gdybym błagał. Szybko przywiązałaś się do zwykłego podstarzałego kundla. Chyba muszę się paru rzeczy od niego nauczyć.

— Benjaminie, nie możesz u mnie zostać. I tak już wywołaliśmy skandal, a jeśli nie jestem...

— Cicho. — Wstał, żeby zdjąć spodnie, i został nagi jak go Pan Bóg stworzył. Tego też nie planował. Przynajmniej do chwili, gdy zabroniła mu zostać.

Kiedy na chwilę wszedł za parawan, żeby skorzystać z jej proszku do zębów, usłyszał, jak Maggie porusza się w łóżku. Pewnie buduje zaporę z koszulek.

Kiedy wychynął znowu, jej peniuar leżał w nogach łóżka, a Maggie była tylko w letniej nocnej koszulce. Siedziała okryta kołdrą, otaczając ramionami podciągnięte pod brodę kolana.

— Nie powinieneś tego robić, Benjaminie.

Wskoczył pod kołdrę i usiadł obok niej. Ależ miała przyjemną pościel, z cienkiej egipskiej bawełny. Owionął go jej zapach.

— Czego mam nie robić?

— Pewnie zaraz zaczniesz mnie całować, zawrócisz mi w głowie i, jeśli jeszcze nie poczęłam, to postarasz się, żeby to się stało, zanim nadejdzie ranek, a ja nie potrafię myśleć... — Westchnęła ciężko. — Chyba żadna kobieta nie jest w stanie myśleć, kiedy ty stajesz się taki uwodzicielski.

— Kochanie, ależ ty się wymowna zrobiłaś... choć w takiej sytuacji trudno ci się dziwić. Rozłożył się na plecach między poduszkami.

— Chodź no tutaj.

Przyciągnął ją lekko do siebie i objął ramieniem.

— Nie zamierzam ci zawracać w głowie.

Choć szczerze mówiąc, był wielce zadowolony, że tak na nią działa.

— To po co tu przyszedłeś?

Poruszyła się niespokojnie, jakby pierwszy raz leżała z kimś w łóżku.

Kolejny powód do zadowolenia.

— Ułóż się wygodnie, kochanie. — Przełożył sobie jej nogę przez biodro, uważając, by nie dotknęła na pół wzwiedzonego penisa. — Powiem ci coś, ale pewnie będę się rumienić ze wstydu.

— Dobrze, tylko nie śpiewaj. — Położyła rękę na jego piersi. — Mam zapalić świecę, żeby

obejrzyć sobie ten rumieniec?

— Jak sobie życzysz, choć jestem nagi. Jest szansa, że wtedy będziesz podziwiać coś więcej niż tylko rumieniec.

Zachichotała cicho albo może tylko poruszyła się, żeby ukryć uśmiezek, ta chytra lisica. Ale nie zapaliła świecy.

— To zawracanie w głowie, Maggie, działa w obie strony. — Dotknął podstawy jej szyi i zaczął delikatnie rozluźniać napięte mięśnie. — Nie chcę cię wrobić w to małżeństwo, tak jak ty nie chcesz, żebym ja się czuł wmanewrowany. Przypominasz sobie chyba, że oświadczyłem ci się, zanim lady Dandridge się na nas natknęła.

Znieruchomiała, ale nie odezwała się ani słowem.

— Zapomniałaś o tym drobiazgu, prawda? Wiele się wydarzyło przez te dwa dni. — Przerwał i ucałował jej czoło. — Przepraszam cię. Nie było okazji, żeby ci to powiedzieć... przepraszam cię za tę całą sytuację. Jestem szczęśliwy, że się z tobą żenię, tylko przykro mi, że to wszystko jest dla ciebie takie trudne.

— Od kiedy to zaczęłaś gawędzić z ludźmi, Benjaminie Portmaine?

Podobało mu się, że zaczęła używać jego prawdziwego nazwiska, szczególnie po ciemku. I przyjęła przeprosiny. To też było ważne.

— Teraz kolej na ciebie. Dlaczego postanowiłaś zostać świńskim nababem, Maggie Windham? To było naprawdę genialne posunięcie.

— Świńskim nababem? — Zachichotała. Był prawie pewny, że zachichotała. — Jeśli kiedykolwiek podsuniesz to określenie moim braciom, to koniec z tobą, miły panie.

— Trudno. Koniec ze mną, ale powiedz mi, jak wymyśliłaś, by zainwestować w trzodę chlewną?

— To nie była moja pierwsza udana inwestycja — odpowiedziała cicho i nieśmiało. — Już jako dwunastolatka zaczęłam czytać artykuły finansowe w gazetach, bo Jego Wysokość zawsze je czytał. Szybko się okazało, że tak naprawdę ich nie czyta, tylko trzyma gazetę przed sobą przy śniadaniu, żeby podsłuchiwać, co między sobą mówimy, bez konieczności włączania się do rozmowy.

— Więc podkradłaś mu ten kamuflaż.

— Tak jest. Moi bracia przestali się wtedy ze mnie nabijać, a ja znalazłam coś, co mnie naprawdę zainteresowało.

Opowiadała mu o różnych swoich pomysłach, początkowych stratach i o spółce, jaką zawarła z Gayle'em. Niektóre projekty prowadziła z samym Worthem Ketteringiem, ogólnie uznawanym za finansowego cudotwórcę, nieprzepadającym za kobietami. Gdy po godzinie w końcu się zdrzemnęła, Ben uznał, że udało mu się trochę lepiej poznać swoją narzeczoną i być może zdobyć odrobinę jej zaufania.

Wprawdzie w dalszym ciągu nie miał pojęcia o jej marzeniach, coraz lepiej poznawał własne.

Maggie budziła się powoli, ogarnięta dwoma przemożnymi uczuciami. Pierwszym było pierwotne, zwierzęce poczucie wygody, które przyniosło jej zarówno ciepło ciała Benjamin, w które się wtuliła, i własne odprężenie, które chyba płynęło z poczucia bezpieczeństwa. W obecności Benjamin Hazlita włamywacze nasłani przez Cecily gorzko pożałowałiby wszelkich prób wdarcia się do domu.

Drugie wrażenie — pobudzenie seksualne — było nieco trudniejsze do rozpoznania i właściwie sprzeczne z poprzednim.

Maggie leżała na boku i analizowała swoje wrażenia.

Ciepło ciała Benjamin było przyjemne, a dotyk jego piersi na plecach przynosił zupełnie nowe zmysłowe doznania. Ich nogi były splecione ze sobą, obejmował ją ramionami, a jego ręka...

— Benjaminie, co ty robisz? — Nie odważyła się odetchnąć, bo wtedy znowu dotknąłby palcami jej piersi.

— Chcę ci zostawić coś, o czym będziesz mogła marzyć. — Mówił głosem pociemniałym i

dotknął jej ucha w fizycznej pieśczoście. — Niedługo sobie pójdę, zanim zaczną świtać i ktoś będzie mógł podejrzeć, jak wychodzę z twojego balkonu.

Nie martwiła się o to. Była pewna, że tymczasowy narzeczony naprawdę dba o jej dobre imię.

— Puść mnie, Benjaminie.

Dotknął leciutko sutka, a ją przeniknęła rozkosz.

— Naprawdę tego chcesz? — spytał beztrąsko, choć chyba sobie z niej nie żartował.

Powtórzył pieśczość, a potem poczuła jego wargi na swoim ramieniu.

I jak tu się skupić w takiej sytuacji?

Kiedy powoli, powoli przesunął dłoń na jej nagie biodro, Maggie zrozumiała, że nie o skupienie mu chodzi.

— Benjaminie, ja nie zamierzam...

Nie spieszył się wcale. Poruszał się jak wielki kot, z leniwą gracją, która nie maskowała jego siły. Nagle Maggie, zanim się spostrzegła, znalazła się w pozycji na plecach, u boku swego narzeczonego.

— Zaufaj mi, Maggie Windham.

Mruknął to polecenie w jej ramię a potem potarł nosem obojczyk.

Maggie obiecała sobie, że powstrzyma go, jeśli znowu będzie pragnął zbliżenia. Na pewno go powstrzyma, choć tak bardzo pragnie znowu zaznać tej intymności i zapomnienia, które dzięki niemu zaznała.

Uniół się i pocałował ją, więc już nic więcej sobie nie obiecywała, tylko oddała mu pocałunek w półcieniach i mroku otulającym jej własne łóżko. Ciemność zachęcała do szczerości, zachęcała, by przesunąć dłonią po jego gładkiej, umięśnionej piersi, po twardych żebrach i płaskim brzuchu.

Pozwoliła sobie nawet na dotknięcie go tam, gdzie mężczyzna chlubi się swą męskością i zarazem jest najbardziej wrażliwy. Ben oderwał wargi od jej ust i znieruchomiał, kiedy przesunęła palcami po jego twardym, zwiedzionym członku.

— Pragniesz mnie... — Starła się ukryć zdziwienie w swoim głosie. Dwie minuty wcześniej spała w jego ramionach, a teraz jego ciało pragnęło jej z całą gotowością.

— Zawsze.

Nie próbował przeszkodzić jej w tych badaniach, tylko dalej leżał na boku, kiedy gładziła delikatną skórę wokół główki penisa, a potem przesunęła palcem po niewielkim rowku poniżej.

Wciągnął powietrze w sposób, który powiedział jej, że te ciekawskie, powolne pieśczości sprawiają mu przyjemność.

— Mam przestać, Benjaminie? — Przesunęła lekko paznokciami po całej długości, a potem ujęła w dłoń miękkie jądra. W brzuchu czuła głód, który dopominał się więcej takich skandalicznie intymnych pieśczości.

— Za nic. — Dotknął jej ustami i przesunął językiem po dolnej wardze. W jednej chwili Maggie zapomniała o czułościach, zapomniała o tym, że pragnie się uczyć jego dotyku i kształtu, zapomniała, jak się nazywa. Czuła tylko jego dłoń na gardle. Wyprężyła się ku tej dłoni, która powoli przesuwała się w dół, budząc żarliwe pragnienie.

W końcu palce dotknęły podbrzusza.

— Pocałuj mnie, Maggie. Ja też nie zamierzam przestać.

Chyba jej groził. Mimo to spełniła jego życzenie. Zanurzyła dłonie w jego włosy i rozchyliła wargi. Gdzieś na dnie jej umysłu zdrowy rozsądek wygrażał pięściami, wykrzykiwał coś o błędnych osądach dokonywanych pod wpływem namiętności, ale jego jazgot zmienił się w cichy jęk, kiedy dłoń Benjamin przemieściła się na jej pierś. I nagle on sam gdzieś zniknął.

Maggie z trudem powstrzymała krzyk rozczarowania. Poczuła, że materac się porusza i faluje. To Benjamin przysiadł na piętach. Zwiedziony członek prężył się dumnie na brzuchu.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa, moja Maggie.

Zamrugnęła.

— Ja cię doprowadzam? — Chciała, żeby to zabrzmiało z urazą, ale sama czuła, że w jej

głosie słycać było głównie zdziwienie.

— Jesteś cudowna, gdy tracisz głowę. — Zabrał się do przekładania poduszek, podczas gdy Maggie próbowała odgadnąć, czy to była drwina, czy komplement.

— Wcale nie tracę.

— Oczywiście, kochanie. Leż spokojnie i zaraz coś na to zaradzimy. — Siadł na niej okrakiem jak lew, pilnujący smakowitego kaska.

— Też chcesz stracić głowę, Benjaminie? — W jego oczach lśnił blask, jakiego przedtem nie widziała, trochę dziki i bardzo intrygujący.

— Moja droga pani — pochylił głowę i liznął jej sutek. — Jestem jednym wielkim zawrotem głowy i to wyłącznie z twojej winy.

Maggie miała nadzieję na dalsze pocałunki, ale on zamiast tego wsunął jej poduszkę pod biodra. Poczła się wytracona z równowagi, choć przecież nadal leżała w swoim łóżku.

— Możesz mi zabronić, Maggie, jeśli naprawdę musisz, ale błagam cię, nie rób tego. Nie dojdę w tobie, obiecuję ci to.

Może i by go zatrzymała, gdyby mogła mówić, ale nie pozwoliły jej na to emocje wzbierające głęboko w ciele. Jego obietnica była zarazem szokująca i uspokajająca, ale Maggie i tak trochę się wystraszyła.

Ułożył się na niej powoli, pozwalając, by czuła każdy cal ich stykających się ciał — brzuchy, zebra, piersi, a potem cudowny nacisk podbrzusza. Westchnęła w jego ramię, oddając mu się w pełni. Długą chwilę leżał spokojnie, tuląc do siebie jej głowę. Oddychali w równym rytmie. Zamknęła oczy i zachwycała się tym spokojem i bliskością, zadowolona, że pozwolił jej coś takiego przeżyć.

Ben dalej leżał bez ruchu, aż w końcu uświadomiła sobie, że czeka na jej pieszczoty. Odwróciła głowę i dotknęła wargami jego szyi.

Dalej nic.

Pocałowała go, dotknęła dłonią jego policzka, a potem przechyliła jego głowę, by ucałować go w usta. To było cudowne uczucie — na nowo poznawać jego usta z tej pozycji, spokojnie rozkoszować się jego smakiem i bliskością. Zachwycała się dotykiem jego warg, pieszczotą języka, aż w końcu poczuła inną, równie delikatną pieszczotę.

Dotykał tego sekretne miejsce. Gorąca, tępa główka jego męskości powoli napierała na jej gorące wnętrze. Poduszka pod biodrami ułatwiała mu wejście i już po chwili Maggie znieruchomiała, czując, jak czule, zachwycająco ich ciała stapiają się w jedno.

Czuć coś takiego... właśnie z nim... Westchnęła, czując, jak rozkosz ogarnia ją całą i skłania do ruchu. Leniwym, powolnym falowaniem włączyła się w jego rytm.

Poczuł to natychmiast.

Pchnął głęboko i mocno, a ją przeszył tak potężny paroksyzm rozkoszy, że wbiła paznokcie w jego gładkie, muskularne pośladki i cicho załkała w jego ramię. Kiedy fala odpłynęła, oszołomiona i wyczerpana Maggie opadła na posłanie.

— Benjaminie?

— Co, kochanie? — Poglądził jej czoło i odsunął z niego włosy tak czułym gestem, że musiała zamknąć oczy.

Łzy, które w nich wezbrały, popłynęły po policzkach we włosy. Tulił ją czule, choć jego gorąca męskość wciąż w niej tkwiła. Z trudem szukała słów wdzięczności, ale nie znalazła. Dopiero po dłuższej chwili zapragnęła pogłodzić jego włosy, powoli i delikatnie, a potem obdarzyć tą pieszczotą całe ciało, żeby wiedział, jak jest dla niej ważny. Odwrócił głowę i ucałował jej dłoń, a potem wtulił się w jej ciało. Trwali tak, zamknięci w uścisku, aż w końcu Maggie znowu zaczęła poruszać biodrami.

Może to miał być dla niej prezent, a może doświadczenie, mające powstrzymać ją przed zerwaniem zareczyn. Gdyby skończyło się na cielesnych przyjemnościach, nie miałyby nic przeciwko temu. Ale przyjemność zmieniła się w zbliżenie pełne takiej intymności i szczodrości, że na samą myśl o utracie czegoś takiego Maggie zapłakała gorzko, mimo kolejnej fali rozkoszy, która ogarnęła ją bez reszty.

— Masz dziś okropną migrenę. — Adele zasunęła zasłony, wyganiając z pokoju pierwsze promyki porannego słońca. — Najgorszą, jaką można sobie wyobrazić. Zwróciłaś nawet poranną czekoladę.

Bridget usiadła na łóżku i patrzyła na ciemniejący pokój.

— Znowu migrena? Przecież najgorszą migrenę miałam w święta, czyli całkiem niedawno!

— Ta jest jeszcze gorsza. — Adele nalala filiżankę gorącej, parującej czekolady i podała ją Bridget, która chciwie wypila napój. Czasem czekolada była jedyną rzeczą, dla której warto było się obudzić.

Druga filiżanka napoju powędrowała prosto do nocnika.

— Dlaczego każesz mi znowu zostać w łóżku? — spytała Bridget, podciągając kołdrę pod brodę. — I co może być gorsze od dnia, kiedy mama dowiedziała się o zaręczynach lady Sophie Windham z jakimś bogatym baronem?

— Zawsze może być gorzej. — Adele wzięła ciężką tacę ze śniadaniem i wystawiła ją za drzwi. — Nawet od zapachu tosta z masłem robi ci się niedobrze.

Bridget rzuciła tęskne spojrzenie na drzwi oddzielające ją od dwóch grubych kromek ciepłego chleba, idealnie nasączonych masłem.

— Mój Boże, jest aż tak źle?

Na korytarzu rozległ się przenikliwy krzyk mamy, a zaraz potem trzask porcelany rozbijanej w drobny mak.

— Przecież kazałam tej idiotce, żeby nie pokazywała jej gazety co najmniej przez godzinę — mruknęła Adele. — Masz za dobrze ułożone włosy jak na osobę, która przez całą noc przewracała się z boku na bok.

Bridget posłusznie rozczochrała miedzianorudy warkocz, słuchając trzasku kolejnych filiżanek, które oddawały ducha tego poranka.

— Adele, powiedz mi, co się dzieje. To był nasz nowy serwis.

— Ich Książęce Wysokości Windhamowie mają przyjemność zawiadomić o zaręczynach ich córki lady Magdalene Windham z Benjaminem, hrabią Hazelton. O to właśnie chodzi. Tak stoi w porannej gazecie, czarno na białym.

— Och, to naprawdę jestem bardzo chora. — Bridget bezwładnie opadła na posłanie. Wielkiemu przerażeniu na myśl o furii matki towarzyszyło inne, nowe uczucie. — Ale cieszę się ze względu na Maggie. Miejmy nadzieję, że choć trochę lubi tego swojego hrabiego. Pewnie tak, skoro za niego wychodzi. Tylko że na nas to się odbije o wiele gorzej niż ślub lady Sophie.

Adele na moment spotkała się z jej wzrokiem.

— A wtedy było po prostu strasznie — mruknęła, zrzucając na podłogę poduszki. Potem pociągnęła za prześcieradło, do tej pory starannie ułożone na materacu. — W życiu nie widziałam takiego ataku wściekłości.

— Mama wbiła sobie do głowy, że córki Jej Wysokości są zbyt przeciętnej urody, żeby znaleźć mężów albo mają za mały posag. Moim zdaniem są całkiem ładne, choć nie aż tak, jak Maggie.

— Na litość boską, dziecko, za nic nie zdradzaj się z tymi uczuciami.

Na korytarzu zabrzmiały czyjeś szybkie kroki. Bridget rzuciła się na poduszki, zamknęła oczy i przyłożyła wierzch dłoni do czoła.

— Bridget Mary O'Donnell, wstawaj natychmiast! — Cecily trzasnęła drzwiami tak mocno, że balkonowe okno zadrżało na zawiasach. — Dziś jest dzień gniewu! Cały świat dygoce z odrazy na myśl, że ta kobieta zaręczyła się z hrabią!

— Mamo — jęknęła Bridget. Nawet nie musiała udawać słabości, bo mama w szponach gniewu przeraziłaby każdą normalną, żywą istotę. — Błagam cię, ciszej.

— Co się z tobą dzieje?! Wstawaj natychmiast!

— Proszę, mamo... — Bridget zasłoniła uszy dłońmi.

— Przez całą noc strasznie się czuła, psze pani — włączyła się Adele. — Biedactwo zwróciło całą czekoladę.

Cecily donośnie wciągnęła powietrze.

— To fatalnie. Daj jej makowego odwaru, Martins, a potem przyjdź do mnie do salonu. Mam swoje plany, a choroba tej smarkatej może je pokrzyżować.

— *Oui, madame.*

Cecily wypadła z pokoju, znowu trzaskając drzwiami. Bridget usiadła, czując, że teraz naprawdę ogarnia ją ból głowy.

— Zostało jeszcze trochę tej czekolady?

— Pół kubka. Nie podoba mi się to, panno Bridget. Kiedy madame zaczyna knuć intrygi, zwykle źle to się kończy.

Bridget przesunęła się na brzeg łóżka.

— Powinam napisać do Maggie z gratulacjami.

Tylko że jeśli Maggie naprawdę wychodzi za hrabiego, to dalsze listy pewnie nie odniosą żadnego skutku, tak samo jak ta pusta, bezsensowna paplanina w korespondencji, jaką Bridget wysyłała do niej od tygodni, starając się przemycić przez cenzurę Cecily jakąś sensowną treść i powiadomić Maggie, co się tu naprawdę dzieje.

Adele podała jej kubek z czekoladą.

— Powinnaś ją ostrzec.

Mówiła bardzo cicho, jakby się zwierzała. Bridget coś ścisnęło w brzuchu. Bridget przez piętnaście lat bycia z matką nauczyła się ostrożności i bardzo uważnie wybierała przyjaciół. W zasadzie nie tyle przyjaciół, co stronników.

— Tak, ostrzegę ją — odpowiedziała równie cicho. — Czy mogłabyś jakoś przemycić do niej ten list, żebym nie musiała wysyłać go pocztą?

— Da się zrobić.

— Maggie, stać mnie na to. — Ben mówił półgłosem i uśmiechał się zachęcająco, ale jego narzeczona i tak ściągnęła usta.

— Powinieneś mi kupić czeskie szkło. — Mówiła cicho, bo wszyscy jubilerzy w Ludgate gięli się w uśmiechach, gdy Ben prowadził ją z jednego sklepu do drugiego. Subiekci majaczyli w tle, by nie narazić się na gniew Bena.

— Kupię ci co najmniej szmaragd, w kolorze twoich oczu. A może do tego rubiny, w kolorze włosów, i brylanty, pasujące do twojej nieskazitelnej cery? — Takie szaleństwo rzeczywiście nadwyrężyłoby jego finanse. Zresztą Maggie nigdy by mu na to nie pozwoliła.

— Mam piegi. — Wyraz jej twarzy nie zdradzał wewnętrznego napięcia, ale Ben i tak zauważył proste jak świeca plecy i zmrużone oczy. Człowiek słabszego ducha pewnie by się zląkł.

— Tam, gdzie całowały cię anioły i gdzie ja zamierzam cię też pocałować — powiedział na tyle głośno, by usłyszał to najbliższy subiekt. Maggie nacelowała na niego wszystkie działa.

— Ten jest bardzo ładny — powiedziała, uśmiechając się fałszywie do subiekta, i wskazała małe szmaragd. — Może teraz porozmawiamy o oprawie?

W końcu postawiła na swoim. Wybrała inny szmaragd, jeszcze mniejszy, ale doskonałej jakości, a do tego prostą oprawę, taką samą jak obrączka. Kiedy Ben próbował w nią wmusić szmaragdowe kolczyki do kompletu, zbuntowała się otwarcie.

— Jestem zirytowana i zmęczona — stwierdziła tonem godnym Jej Wysokości. — Może zabrałbyś mnie zamiast tego na lody?

Gdyby Ben nie był z nią w łóżku parę godzin temu i gdyby wspomnienie jej namiętności i rozkoszy nie było takie żywe, może by uwierzył, że w tej kobiecie nie ma nic więcej oprócz poczucia etykiety i wyższości.

Ale zdążył ją już poznać i wiedział, jaka potrafi być namiętna i uparta, więc poddał się od razu. Pomógł jej wsiąść do dwukółki i zasiadł obok niej.

— Naprawdę cię na to stać? — Maggie rozłożyła fałdy sukni, a on zachęcił konia do stępa. Cichy, niemal niespokojny ton jej głosu podsunął mu genialny pomysł.

— Właśnie chciałem cię o to zapytać.

Przestała się zajmować suknią i spojrzała na niego.

— Skąd mam wiedzieć, jakie masz finanse?

— Pytam w sensie ogólnym. Zainwestowałem sporą część majątku w fundusze i może

trochę przesadziłem. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

W życiu nie myślał, że tak trudno mu będzie zarzucić błyszczącą przynętę i zostawić ją w spokoju, by kusząco lśniła w blasku wiosennego słońca.

Między brwiami Maggie pojawiła się drobna, pionowa zmarszczka.

— Co to dla ciebie znaczy: spora część?

W dwie godziny i dwie porcje lodów później Ben był olśniony. Maggie Windham знаła się na pieniądzach lepiej, niż on na wszystkich innych sprawach. Rozumiała je lepiej, niż on rozumiał mechanizmy życia towarzyskiego, a nawet samego siebie.

Nauczył się też jeszcze jednej rzeczy: zaloty do Maggie Windham tylko częściowo polegały na budzeniu do życia jej cudownego ciała. O wiele ważniejsze było zdjęcie z niej potwornej samotności, która przygniatała ją wielkim, dławiącym ciężarem.

Okazało się też, że pieniądze były związane z sekretem, którego tak troskliwie strzegła.

Gdy wreszcie skręcili do parku, a Maggie zaczęła z ożywieniem omawiać handel z Ameryką, Ben przyrzekł sobie, że za wszelką cenę musi uwolnić ją od tego ciężaru.

Obawiam się, że to nie są kobiece tematy — stwierdziła Maggie w przyływie spóźnionego samokrytycyzmu, kiedy dwukółka skierowała się do Hyde Parku. — Nawet Westhaven nie wytrzymuje, kiedy zaczynam mu zawracać głowę moimi ekonomicznymi teoriami.

— To bardzo sensowne teorie — odpowiedział Benjamin. — Dzięki nim mogłem spokojnie podjadać twoje lody i karmić cię moimi.

Odwróciła głowę, żeby nie dostrzegł jej uśmiechu.

— Byłam rozproszona. W przeciwnym wypadku nie pozwoliłabym ci się tak zachowywać. Ale wiem, do czego zmierzasz.

— Ciesz się, że ktoś w końcu wie, do czego zmierzam, bo ja sam straciłem rozeznanie. — Posłał jej otwarty, uroczy uśmiech, który sprawił, że jej wnętrzności zmieniły się w stado trzepocących ptaków, takich jak te, które przeskakiwały po gałęziach nad ich głowami.

— W twoich ustach to brzmi tak, jakbyśmy byli zakochani — powiedziała, pilnie wpatrując się w konie ciągnące dwukółkę, żeby szczerzy uśmiech Benjamin Portmaine do reszty nie zawrócił jej w głowie.

— Bo ja jestem w tobie zakochany. — Ściągnął wodze, żeby konie nie dogoniły wlokącego się przed nimi landa. — Jesteś cudowna, namiętna, inteligentna i niezależna, a do tego jesteś geniuszem finansowym. Poza tym całkiem niedawno ci się oświadczyłem, o ile dobrze pamiętam.

— Musisz mi o tym przypominać?

— Owszem, i to często, dopóki nie zrozumiesz, że mam szczerą wolę uczynienia cię moją żoną.

Wzięła oddech, zamierzając przedstawić mu długą listę powodów, dla których to małżeństwo nie leży w interesie żadnego z nich, ale tenże oddech zamarł jej w piersiach.

— Chcesz powozić? — podsunął jej lejce i zdziwiony spostrzegł, że siedzi wyprostowana jak na musztrze. — Maggie?

Odwróciła wzrok od czegoś, co zauważyła przed nimi, i zmusiła się, by przejąć lejce. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

— Chcesz moje rękawiczki, kochanie? Kim jest ta kobieta i dlaczego patrzy na ciebie takim zabójczym wzrokiem?

— Jaka kobieta?

Przyjrzał się Maggie z poważną miną.

— Ta, która przed chwilą przejechała obok nas, w towarzystwie ślicznego dziecka o okropnie wymalowanej twarzy i wręcz nieprzyzwoitym dekolcie.

— Okropnie... — nie chciała tego powtarzać na głos, ale Bridget naprawdę miała na sobie tyle różu, co dziwka z Haymarket o północy. Za to wzrok Cecyli wcale nie był zabójczy, tylko pełen samozadowolenia.

— Zapomniałaś skrócić, kochanie.

— Nie chcę jeszcze wracać do domu.

Dalej się w nią wpatrywał i na pewno nie dał się oszukać ani na moment.

— Zatem za żadne skarby nie zamierzam skracać spaceru u boku mej narzeczonej w ten cudowny dzień.

Rozparł się na siedzeniu. Jego milczenie było co najmniej tak samo niepokojące jak widok Bridget, która wyglądała jak trzydziestoletnia ladacznica.

— Zdaje się, że ci tego potrzeba. — Archer podał Benjaminowi szklanekę napełnioną na dwa palce whisky. — Gdybym miał więcej czasu, przekazałbym ci to ogródkiem, żebyś się nie denerwował. Ale wolę ci to powiedzieć wprost, będzie lepsza zabawa.

Ben wziął od niego szklanekę, ale nie podniósł jej do ust.

— Dla kogo?

— Dla mnie, to chyba jasne. Wczoraj wieczorem, kiedy ty żłopałeś klaret ze starym Morelandem, u twojej gołąbki znowu było tych dwóch osiłków. Zatrzymali się ponad godzinę i tak hałasowali, że nawet ze stajni było ich słychać.

— Jesteś tego pewien?

Archer tylko uniósł blond brew.

— To byli ci sami ludzie?

— Na pewno ci sami. Napij się, milordzie. Sama lady Maggie wpuściła ich do kuchni, a potem wyściskała ich po kolei.

To była zła wiadomość.

Nie dość, że Maggie ma przed nim sekrety, to jeszcze obściskuje się z dwoma obcymi mężczyznami naraz.

— Kiedy zaczęły się krzyki?

— Jak tylko zamknęli za sobą drzwi. Ale długo nie potrwały.

Ben chodził nerwowo po salonie.

— Słyszałeś głos lady Maggie?

— Nie znam go na tyle, żeby mieć pewność — odparł Archer, wyciągając się wygodnie na sofie. — Zrozumiałem tylko jedno słowo.

Ben posłał swemu kuzynowi gniewne spojrzenie, hamując pokusę, by cisnąć w niego szklanką.

— Dandridge — powiedział Archer. — Chyba że to było Cambridge albo Bainbridge. Chcesz mojej rady?

— Nie.

— Spytaj ją samą, kto to był.

Ben bardzo spokojnie odstawił szklankę na półkę nad kominkiem.

— A co jej odpowiem, jeśli spyta, skąd wiem, że ściskała się z obcymi mężczyznami w kuchni po nocy?

Archer westchnął ciężko i wzniosł ku sufitowi spojrzenie swych niewinnych błękitnych oczu.

— Powiesz jej, że martwisz się o nią, chciałbyś, żeby ci zaufała, ale jesteś zbyt uparty i niepewny jej uczucia i boisz się zapytać wprost. Twoja niespodziewana bezpośredniość przyprawi ją o taki szok, że powie ci wszystko.

Ben rzucił się na sofę obok niego.

— Staram się zdobyć jej zaufanie. Chyba dziś do czegoś doszedłem. A ty nagle mówisz mi takie rzeczy.

— A jak się o to starasz? — Głos Archera był całkiem poważny, bez śladu drwiny, co oznaczało, że jego właściciel ma szansę dożyć kolejnego wschodu słońca.

— Poprosiłem ją o pomoc.

— W związku z czym?

— Z moimi cholernymi finansami. — Ben wyjął mu z dłoni szklankę i pociągnął solidny łyk. — Wyczynia niesamowite rzeczy z liczbami. Przeczytała prace tego Szkota, który bredzi o popycie, podaży i podziale pracy, i genialnie to rozumiała. Dostrzega prawa rządzące finansami tak łatwo, jak ja wyczuwam zapachy albo odgaduję zdradę tylko po tym, że dama zaczęła się nagle zbyt skromnie ubierać.

Archer spojrział chmurnie na resztki whisky.

— Wydawało mi się zawsze, że twoje finanse są w całkiem niezłym stanie. Chyba nie chcesz zostawić mi kupy długów, oprócz tego cholernego tytułu, co?

Po co oni w ogóle rozmawiają na ten temat? Przecież Archer był jego spadkobiercą, jedynym członkiem rodziny płci męskiej, partnerem w interesach i najbliższym przyjacielem.

— Moje finanse cieszą się niezgorszym zdrowiem. Pracowałem jak szatan przez kilka minionych lat, żeby godziwie wyposażyć siostry, i osiągnąłem cel.

— Więc teraz masz problem, prawda? — Archer bez pytania oddał mu szklankę z resztką alkoholu.

— Właśnie. Po co dalej pracować jak szatan, kiedy siostry są szczęśliwe w ramionach swoich mężów? Po co krążyć po Mayfair, skradać się i zaglądać ludziom do okien, skoro tak tego nie lubię?

Archer wstał, spojrział na zegar i podał mu karafkę.

— Ze względu na rozwój sytuacji z twoją lady Maggie proponuję jeszcze nie wieszać szpiegowskich ostróg na kołku, staruszku.

Ben dolał sobie whisky, a Archer sięgnął po szklanekę stojącą na kominku.

— Jeszcze poczekam — stwierdził Ben. — Ale niedługo. Jak mi Bóg miły, niedługo.

— Oddałaś mój list Maggie? — spytała Bridget po francusku, starając się mówić beztróskim tonem.

— Jeszcze nie. — Adele odsunęła się i spojrzała w lustrze na jej włosy. — Madame postanowiła, że się przeprowadzamy, więc nie miałam czasu, żeby się wymknąć. — Ona także mówiła po francusku. Spryskała ręce wodą toaletową i przesunęła palcami po lokach dziewczynki. Nawet Bridget rozumiała, że jej uczesanie jest zbyt wyrafinowane jak na piętnastolatkę. Na szczęście Adele wiedziała, że rude włosy potrafią być kłętą i błogosławieństwem zarazem. Sama przecież była rudowłosa. Takich włosów nie da się ukryć, nawet jeśli zwinie się je w ciasny kok.

— Mama koniecznie chce się przeprowadzić do lepszej dzielnicy — odpowiedziała Bridget, rozglądając się po swoim przytulnym pokoju. — Mówi, że piętnastolatki już mogą brać udział w życiu towarzyskim, i od tygodnia zabiera mnie ze sobą na przejażdżki.

Bridget przesunęła wzrokiem po kosmetykach leżących na toalecie. Dostała je od Cecyli na urodziny, ale z wyprzedzeniem. Tylko że na ich widok robiło jej się niedobrze.

— Kiedy jedziemy przez park, damy omijają mnie wzrokiem, a panowie nie odrywają ode mnie oczu.

— A ty nienawidzisz tych taksujących spojrzeń — dokończyła Adele — bo czujesz się jak koń na aukcji u Tattersalla.

Bridget spojrzała na lustrzane odbicie ślicznej twarzyczki Adele. Przez ostatni tydzień dużo się między nimi zmieniło. Bridget była z tego zadowolona, szkoda tylko, że stało się to z takich powodów.

— Kiedy tak patrzą, czuję się brudna.

— Och, moja malutka.

Adele odstawiła flakon z perfumami, które niedawno przysłała Maggie. Bridget zagryzła wargi, zastanawiając się, czemu zapach od Maggie sprawia, że czuje się doroślejsza, i dobrze jej z tym, a te wszystkie inne rzeczy — wydekoltowane staniki, barwiczki, nowe uczesania — są tak strasznie niepokojące.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki.

— Aha, już idzie.

Bridget obserwowała, jak twarz Adele układa się w maskę uprzejmej głupoty, w tępą, pustogłową twarz cierpliwej, usłużnej pokojówki. Szkoda, że Bridget nie umiała skopiować tej miny i częstować nią wszystkich panów w parku. Może wtedy przestaliby się na nią tak gapić.

Mama wpadła do pokoju i spojrzała prosto w jej twarz.

— Bridget Mary O'Donnell, czy ja na próżno tracę czas, ucząc cię makijażu? Musisz zacząć się w końcu sama malować, moje dziecko. Nie mogę cię bez przerwy obsługiwać.

Adele zniknęła w garderobie — kryła się tam przez większość czasu — a mama wzięła słoiczek z różem.

— Nie ruszaj się i patrz.

Bridget zobaczyła w lustrze twarz Adele, która szepnęła jedno słowo, a potem zostawiła ją na pastwę mamy wraz z jej szatańskimi barwiczkami i cieniami do powiek.

— Dzisiaj.

Od trzynastu lat Maggie Windham prowadziła podwójne życie. Z jednej strony była adoptowaną córką księcia i księżnej. Nosila tytuł lady, miała wpływy, kochającą rodzinę i życie, którego wiele osób mogłoby jej pozazdrościć.

Ale w cieniu tego życia przebywała druga Maggie. Strach nigdy jej nie opuszczał, poranna poczta przyprawiała ją o panikę, zawsze zarabiała za mało, by zaspokoić dręczący ją niepokój, który rozdzierał jej wnętrze, jak sęp dręczący mitycznego Prometeusza.

Każdej wiosny spodziewała się kolejnych żądań i każdej wiosny płaciła coraz więcej pieniędzy. Przez jakiś czas powtarzała sobie, że za rok znajdzie wyjście z pułapki, jaką stało się jej życie.

Zmądrzeje.

Porozmawia z braćmi albo z prawnikiem, a oni znajdą dobre rozwiązanie. W końcu Gayle studiował prawo i był wyjątkowo inteligentnym człowiekiem.

Ale mijały lata i żądania rosły. W końcu Maggie postanowiła sfingować własną śmierć i przekazać majątek w trust tak skomplikowany, by nawet Cecily O'Donnell nie rozgryzła jego beneficjentów.

W ostatnich latach doszła do wniosku, że nie będzie udawać, iż umarła, tylko naprawdę ze sobą skończy. Coraz bardziej kusila ją prostota tego rozwiązania.

— Poczta, panno Maggie. — Millie dygnęła i wyszła. Maggie nie słyszała jej nadejścia ani stukania do drzwi gabinetu.

— Dziękuję. — Maggie spojrzała na tacę pełną listów. — To wszystko.

Przejrzała je pobieżnie. Dalej nic od Cecily. Kusilo ją, by wysłedzić tę kobietę i spytać ją, ile chce w tym roku, ale Cecily sprytnie ukrywała swój adres. Nawet Thomas i Teddy w końcu stracili jej trop. Tym bardziej że lady Dandridge nie zostawiała im zbyt dużo czasu na takie poszukiwania.

W poczcie nie było też listu od Bridget, tylko raporty od zarządców, list od Sophie z Kent i rachunek od modystki.

Maggie zmusiła się do przejrzenia raportów i skończyła je czytać dopiero w połowie popołudnia.

Benjamin zaprosił ją na spacer po Regent's Park i jakoś nie udało jej się wymyślić dobrej, wiarygodnej i eleganckiej wymówki.

Poza tym miała ochotę się przejść.

— Witaj, przyszła żono — Benjamin stanął w drzwiach, jakby wyczarowała go swoimi myślami. W dłoni dzierzył kapelusz.

— Musisz mnie tak nazywać?

Obszedł biurko dookoła, pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Muszę, do czasu, kiedy będę mógł cię po prostu nazywać żoną. Wyglądasz na zmęczoną, moja Maggie. Czyżby jakiś podlec nie dawał ci spać po nocach?

— Nie dziś.

Ależ za nim tęskniła. Po tamtej nocy, kiedy zobaczyła go na balkonie, uszanował jej życzenie i zostawił ją w spokoju prawie przez cały tydzień. Naturalnie, bywali razem we wszystkich modnych miejscach, całowali się i gruchali do siebie. Tylko że noce spędzała samotnie, i to na własne życzenie.

Było to głupie życzenie. W przeciwnym razie nigdy nie miałyby go dość i wkrótce byłiby naprawdę zaręczeni, nie tylko dla pozorów.

— Nie takich słów oczekuje się od gołąbki, stęsknionej za swym ukochanym, moja Maggie Windham. Czyżby któryś z twoich knurów zszedł z tego świata?

— Wręcz przeciwnie, farmy rosną jak na drożdżach. Czemu, do licha, tak się ubrałaś?

Odszedł na bok i przysunął sobie krzesło.

— Dopiero teraz to zauważyłaś?

Był ubrany jak człowiek parający się pracą — w porządne i czyste, ale niewyszukane rzeczy. Podeszwy butów miał starte, mankiety znoszone, a niewybrochmalony fular zawiązał na prosty węzeł. Nie wyglądał na biedaka, ale i nie na hrabiego.

— Mam z tobą iść na spacer w tym przebraniu? Wyglądasz jak jakiś pisarczyk.

— Owszem, chyba że wypijemy herbatę w ogrodzie. To skromne przebranie ma pewien cel.

Maggie wyjrzała przez okno i pożałowała, że przesiadziała w czterech ścianach w taki piękny, słoneczny dzień.

— W takim razie napijmy się herbaty. Sądząc po twoim wyglądzie, przydałoby się tyle

kanapek, żeby nakarmić regiment piechoty.

— A sądząc po twoim, dużo czekoladek, żeby osłodzić ci humor.

Naprawdę ma wycucie, stwierdziła Maggie, widząc, że nawet się przy tym nie uśmiechnął.

— Czasami jestem nieodrodną córką mojego ojca — powiedziała, dając znak lokajowi.

— Chodźmy na dwór, dobrze?

Otworzył przed nią drzwi, ale nie wziął jej pod rękę. Przypisała to jego niesamowitej intuicji. Jakby wiedział, że zamierza dziś z nim zerwać.

— Naprawdę jesteś zmęczona, kochanie — zauważył, gdy oddalili się od domu. —

Denerwujesz się przed ślubem? Bo jeśli tak, zacznę ci śpiewać kołysanki.

Bardzo chciałaby, żeby tak było. To była największa, najgorsza niesprawiedliwość, jaką można sobie wyobrazić.

— Bzdury opowiadasz, Benjaminie. Dlaczego tak się ubrałeś?

— Bo nie chciałem, żeby dziś mnie ktoś okradł. Każdego innego dnia, byle nie dziś.

Powiedział to tak poważnie, że spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Bo niosłem klejnoty dla mej damy.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni niewielkie pudełeczko. Na ten widok serce Maggie zaczęło dreptać jak nerwowy koń.

— Benjaminie, co ty znowu wymyśliłeś?

— Chodź tu. — Ujął ją za rękę i podprowadził do kamiennego murku przy fontannie. —

Muszę to zrobić jak należy.

Maggie przysiadła na murku, pełna przeczuc i dziwnie wzruszona.

Benjamin usiadł obok, równie poważny jak przedtem. Otworzył pudełeczko, wyjął z niego cudowny pierścień ze szmaragdem i włożył pudełko z powrotem do kieszeni.

— Tym pierścieniem ślubuję ci wierność, Maggie Windham. Patrzyła oniemiała, gdy ujął jej dłoń i wsunął klejnot na właściwy palec. Lśnił w nim ten sam kamień, który wybrała, tylko oprawa była zupełnie inna.

— Nie powinienesz robić takich rzeczy. — Wpatrywała się w misterną plecionkę wyobrażającą węzeł miłości tak intensywnie, że na wierzch jej dłoni spadła łza. — Och Benjaminie, przecież to nie ma sensu. Nie jesteśmy naprawdę zaręczeni.

Objął ją i oparł policzek na jej skroni.

— Minęły dwa tygodnie, Maggie, albo prawie tyle. Według mnie to jest prawdziwe narzeczeństwo.

Pokręciła głową i chciała się wysunąć z objęć, ale jej nie puścił.

— Nie jestem w ciąży.

— Zaczął ci się okres?

W dalszym ciągu jej nie puszczał i, co gorsza, zrozumiał, o co chodzi, i spytał wprost.

— Jeszcze nie, ale na pewno się zacznie. To się czuje.

Była o tym przekonana. Przecież nie da się począć dziecka, żyjąc w takim zdenerwowaniu i napięciu.

— W takim razie nadal jesteśmy zaręczeni.

— Czy ty musisz być taki uparty?

Puścił ją i odsunął od siebie, a potem spojrzał na nią w milczeniu, jakby pytał, które z nich jest bardziej uparte.

— Dla siebie też mam pierścionek — oznajmił. — To niemodne, ale moi rodzice zachowali ten zwyczaj. Twój zresztą też.

— Wszystko musisz zauważyć?

Podał jej pierścionek, który był niemal zupełnie gładki, jeśli nie liczyć wygrawerowanego wzoru, także przypominającego węzeł miłości.

— Nie musisz nic mówić, Maggie, ale zrobisz to dla mnie, prawda?

Wyciągnął rękę i serce nieszczęsnej Maggie, które już wcześniej rozpadło się na sto ostrych jak brzytwa kawałków, pękło jeszcze bardziej.

Bez słowa wzięła od niego pierścioneł i wsunęła go na serdeczny palec lewej ręki.

— To nie są prawdziwe zaręczyny, Benjaminie Portmaine. Chciałabym, żeby były, ale to jest niemożliwe.

Pocałował ją słodko i czule.

— Dla mnie są prawdziwe, Maggie Windham. Od tej chwili jestem zaręczony z jedyną kobietą, którą pokochałem, którą chcę za żonę i którą uczynię hrabiną.

Położyła mu palec na wargach, żeby nie mówił już więcej takich strasznych i cudownych rzeczy, ale i tak nie przestał.

— Chcę się z tobą kochać, Maggie Windham. Jeśli nosisz moje dziecko, nic się nie zmieni, poza tym że będzie nam razem dobrze. Jeśli nie jesteś w ciąży i zbliża się twój czas, również nic się między nami nie zmieni.

— Nie chcę, żebyś mi zawracał w głowie pocałunkami i tak dalej — powiedziała, mimo, że jego „i tak dalej” było dla niej niezmiernie pociągające. — I tak zakończ te zaręczyny.

— Większość zaręczyn się kończy — stwierdził i wstał, ujmując jej rękę. — I to zazwyczaj małżeństwem.

Podejrzewała, że będzie próbował ją przekonać namiętnymi pieścotami, dotykiem czulszym i bardziej uwodzicielskim niż słowa. Nie uda mu się to, ale niech próbuje.

Ten jeden, jedyny, ostatni raz.

Ben bacznie przyglądał się wybrance swego serca, gdy pili doskonałą herbatę w ogrodzie, i uznał, że naprawdę planuje z nim zerwać.

Co za absurdalny pomysł. Wybije go z tej ślicznej główki. Wystarczyłoby jeszcze raz pójść z nią do łóżka. Nie, takie coś jest dobre dla rozwydrzonych młodzieniaszków. On kocha Maggie prawdziwą miłością. Wiedział, że Maggie w głębi serca chce za niego wyjść. Wiedział też — z całą pewnością — że pragnie mieć ją za żonę.

— Porobiłem przesunięcia w moich niektórych funduszach — powiedział w długą chwilę później, odstawiając pustą filiżankę. — Kettering dopatrył się, że maczałaś śliczne rączki w tej sprawie.

— Chciałaś powiedzieć, że dopatrył się w gazecie zawiadomienia o naszych zaręczynach — sprostowała tonem, który nie zdradzał zadowolenia.

— Wiesz, że twoje dobro bardzo mu leży na sercu? — To ją zainteresowało, bo podniosła wzrok znad filiżanki, w którą się wpatrywała. — Zagroził, że mnie wyzwie na pojedynek, jeśli złamię ci serce. Zdaje mi się, że to nie były żarty.

— Dobrze ci się zdaje. Worth Kettering ma względy dla dam w opresji, choć czasem można zwątpić w jego intencje. Jeszcze herbaty?

Wcześniej zmusił się i wypił dwie filiżanki, żeby splukać kanapkę, którą zjadł, nie czując jej smaku. Oczekiwanie dodaje pieprzyku miłości, ale nawet i z tym nie należy przesadzać.

— Nie tym razem, dziękuję. Może wejdziemy do środka?

Może zedrę z ciebie ubranie i rzucę się na ciebie jak zwierzę?

Skinęła głową, tak błada, jakby dosłyszała jego myśli, których o mało nie wypowiedział na głos. Poszli powoli na górę, jak przystoi damie, która musi tolerować ociągającego się z wyjściem gościa. Tylko że gdy Ben zamknął drzwi do prywatnego saloniku Maggie, ona pierwsza skierowała się w stronę sypialni.

Zamknął drzwi na klucz, wszedł za nią do buduaru i zamknął również na klucz te drzwi.

— Spieszysz się gdzieś, kochanie?

— Kazałaś mi siedzieć nad tą herbata, jakbyś już nie chciał... — Odwróciła się od niego w stronę balkonowych drzwi.

— Jakbym nie chciał się z tobą kochać? — Zaczął się rozbierać, celowo stając po przeciwnej stronie jej wielkiego, wygodnego, ozdobnego łóża. W piersi wzbierał mu gniew albo może niepokój, bo nie potrafił odgadnąć jej uczuć.

— Tak. Kochać się ze mną.

Skoro to, że zaczął się rozbierać, nie przekonało jej, słowa są zbędne.

— Pomóc ci z suknią?

— Nie, dam sobie radę.

Poruszyła się. Ben usłyszał, jak wstrzymuje oddech, kiedy został w samych spodniach i butach. Usiadł na łóżku, odwracając się do niej tyłem, i zaczął ściągać buty. Maggie obeszła łóżko i usiadła obok niego.

— Nie podoba mi się to.

Choć miał ochotę rzucić butami w ścianę, odstawił je spokojnie na podłogę.

— Co ci się nie podoba?

— Jest jasny dzień, a my nie jesteśmy małżeństwem i nawet nie zamierzamy brać ślubu.

— Za bardzo przejmujesz się tematem małżeństwa — odpowiedział. — To nie jest nasz pierwszy raz, Maggie. Sama sprawiłaś, że kochaliśmy się w jeszcze jaśniejszy dzień. Zdaje mi się, że ci się to podobało. Nie ukrywam, że mnie było wspaniale. Czy musimy to bardziej komplikować?

Zwróciła na niego zielone oczy, w których lśniło uczucie, jakiego nie potrafił nazwać.

— Chyba nie.

Jej błyskotliwy umysł bardzo chciał wszystko komplikować — Ben poznał to po jej minie. Ale jego niezbyt błyskotliwy, zamglony pożądaniem umysł pragnął tylko prostoty. Wziął ją za rękę i położył na wypukłości spodni.

— To jest bardzo prosta sprawa. Pragniesz mnie, a ja z radością cię zaspokoję. Zdejmuj suknię, Maggie, bo ją z siebie ściągnę.

Dopiero ta groźba tekstylnej przemocy wywołała ukradkowy, szatański uśmieszek na jej twarzy.

— Nie ściągniesz, tylko pognieciesz i podrzesz. — Przerzuciła suknię przez głowę i została w samej koszulce, gorsecie, pończochach i bucikach.

Ben stracił oddech. Negliż jego narzeczonej podniecił go jak nigdy w życiu. Włosy upięte w skromny kok tworzyły przesycony erotyką kontrast z koronkową bielizną, jedwabnymi pończochami, pięknie haftowaną koszulką i okrytymi nimi cudownymi, kobiecymi kształtami.

Ukląkł u jej stóp i zaczął rozsznurowywać buciki.

— Hołdujesz sekretnemu upodobaniu do ślicznej bielizny. Po ślubie zamierzam popierać to skandaliczne hobby.

— Benjaminie. — Przesunęła dłonią po jego włosach, sprawiając, że podniósł wzrok znad eleganckich, wąskich stópek, które tulił w dłoniach. — Proszę cię, nie rozmawiajmy już o małżeństwie. Nie teraz.

— Dobrze. — Za chwilę i tak nie będzie w stanie powiedzieć nic sensownego.

— Porozmawiamy później. Teraz mnie całuj.

Wyprostował się i pochylił nad nią, tak że upadła na łóżko, i zaczął ją całować. Tęsknił za takimi pocałunkami całymi dniami... całymi latami. Smakowała słodką herbatą i czekoladkami, i wszystkimi wymyślnymi fantazjami, które snuł w łóżku każdej nocy od dwóch tygodni.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem. — Czuł na nagim torsie dotyk koszulki, ale przynajmniej tym razem udało mu się nie ściągnąć od razu spodni. Oparł się na łokciach i kolanach, mając ją pod sobą.

— Ja też za tobą tęskniłam, Benjaminie Portmaine. — Objęła jego głowę i przyciągnęła do swoich ust.

On chciał ją pożreć, ona zaledwie skubała jego wargi.

On chciał zalać jej zmysły emocjami, ona przeczeswała jego włosy dłonią.

— Na litość boską! — Podparł się na rękach i spojrzał na nią z góry. — Przestań w końcu myśleć, Maggie Windham, albo wybiję ci to z głowy.

Ściągnęła brwi.

— Nie potrafię tak po prostu... Benjaminie? Dokąd idziesz?

Wstał z łóżka, podciągnął rąbek koszulki i ukląkł między jej rozwartymi nogami. Oparła się na łokciach i spojrzała na niego.

— Benjamin?

— Cicho, jestem zajęty.

Przesunął wierzchem palców po jedwabistej skórze wnętrza ud. Kiedy opadła na łóżko, pochylił się i zanurzył twarz w kędziorach nieco ciemniejszych od jej wspaniałej burzy włosów.

— Już przestałaś myśleć, prawda?

— Jesteś okropny. — W jej głosie brzmiała rezygnacja, ciepło, a może nawet coś więcej.

W chwili gdy dotknął wargami jej kobiecości, poczuł, jak niestrudzony umysł Maggie zatrzymuje się gwałtownie. Jej ciało również znieruchomiało, dłoń gładząca jego włosy opadła bezwładnie, a z piersi wydobyło się westchnienie.

Nawet jej smak był słodki i kwiatowy, a do tego odrobinę lisi, jakby wyposzczony i podniecony zarazem. Skupił się na różowym pączku u szczytu, słuchając, jak westchnienie zmienia się w jęk.

— Ruszaj się — mruknął prosto w wilgotne ciało, kierując żądanie nie do umysłu, a wprost do ciała. Drgnęła pod jego wargami, a potem znowu znieruchomiała, więc położył dłoń na jej podbrzuszu i lekko przycisnął.

Wtedy zaczęła się poruszać, miękkim falowaniem bioder, które podsuwało jej ciepło wprost pod jego wargi.

Znielubił jej śliczną bieliznę, chciał pozbyć się koszulki, chciał dotykać jej nagich piersi.

— Benjaminie. — Poczuł, jak chwyta go za włosy. — Ja nie mogę...

Myliła się. Nie dyskutując, zaczął ją drażnić wargami, zębami i językiem, czując, jak wiję się i omdlewa w pieszczotach. Kiedy wzdychała i jęczała, wsunął dwa palce w gorąco jej ciała. Otworzyła się dla niego.

Jej ciało wygięło się w łuk, w gardle wezbrały namiętne pomruki, a palce rozpaczliwie zacisnęły się na jego włosach. Po długiej chwili poczuł, jak jej wnętrze pręży się i napina, a Maggie poddaje się fali namiętności, którą w niej wywołał.

A potem... znowu cisza, kiedy kojącymi ruchami języka dotykał jej fałdek i w końcu przytulił policzek do rudych loczków.

Gdy jej oddech wrócił do normy, podniósł się na kolanach i popatrzył na nią. Ciało nad koszulką poróżowiło, a oczy skryły się pod powiekami.

Pocałował ją namiętnie.

— Właśnie tak smakujesz.

Otworzyła oczy i dotknęła warg palcami.

— Chciałaś to wiedzieć, tylko nie chciałaś zapytać.

W odpowiedzi otrzymał kolejny szatański uśmiezek.

— Nie chciałam... to znaczy nie chciałam zapytać.

— Uwielbiam twój smak — powiedział, rozplątując tasiemki gorsetu. Położyła się na boku, by ułatwić mu zadanie. — Mógłbym się upić tym zapachem, twoimi pomrukami i twoim milczeniem, kiedy szczytujesz.

— Kiedy co robię? — Oparła się na łokciu, obserwując, jak ją rozbiera.

— Kok ci się rozluźnił. Możesz się tego wszystkiego sama pozbyć? — Na wszystkie świętości, po co kobiety nakładają na siebie tyle rzeczy? — Szczytujesz, osiągasz szczyt rozkoszy. Francuzi nazywają to *le petit mort*.

Bezsilnie opadła na materac.

— Bardzo dobrze ich rozumiem. Czy mężczyźni czują to samo?

— Trudno powiedzieć. — Ściągnął z niej gorset. — Bardzo możliwe, choć jesteśmy mniej wytrzymali od was. — Odczepił podwiązki i zsunął pończochy. Maggie leżała w pościeli bez gorsetu, w pogniecionej, podciągniętej na brzuch koszulce. — Tylko się nie ruszaj.

Widok wyczerpanej rozkoszą, nagiej ukochanej wyczyniał dziwne rzeczy z jego umysłem. Na przykład błyskawicznie zorientował się, że wysokość tego łóżka idealnie nadaje się dla mężczyzny, który pragnie zadowolić swoją damę i siebie zarazem.

Rozpiął spodnie, wydobył swoją naprężoną męskość i pochylił się nad rozmarzoną Maggie.

— Jesteś moja, Maggie Windham. A ja jestem twój. Na zawsze.

Otworzyła oczy i zaraz je zamknęła, gdy poczuła potężne, słodkie pchnięcie. Ledwie zaczął się wycofywać, wygięła się ku niemu, z wnętrzem pulsującym z rozkoszy. Objął ją mocno i

wzlatywał razem z nią, na granicy podniecenia i spełnienia, czując pięty wbijające się w dół pleców.

Lecz gdy leżała pod nim omdlała, ze wszystkich sił starał się zostać nieruchomy w gorącu, otulającym jego członek.

— Jeszcze chwilę — powiedziała, nie otwierając oczu. — Pocałuj mnie.

Zachwyciło go, że Maggie przejęła inicjatywę we wzajemnych pieszczotach. To był dobry pomysł — uspić jego szaleńcze podniecenie pocałunkami i czułością. Westchnęła prosto w jego usta. Kiedy koił ich wzajemną żądzę słodkimi, lekkimi całusami, przesunęła dłońmi po jego piersi.

Jeśli zamierzała go w ten sposób uspokoić, to poniosła sromotną klęskę. Jego ciało wręcz błagało o każdy dotyk. Jęknął, kiedy zabawiała się jego sutkami.

— Podobało ci się — powiedziała zalotnie.

Objął dłonią pełną pierś i ujął w palce jej sutek.

— Tobie też.

— Mhm. — Przyłgnęła do jego dłoni. Potraktował to jako zachętę i poruszył się w niej. Najpierw powoli, posunięciami, które były niemal niezauważalne wśród pocałunków i pieszczot. Wtedy ona, nareszcie, nareszcie, zaczęła poruszać się razem z nim.

Ze wszystkich sił opierał się rozkoszy, która kusila, a potem zmuszała go do kapitulacji. Poruszał biodrami powoli, dręczył dłonią sutki Maggie, całował ją, pragnąc, by doszła do szczytu rozkoszy prędzej niż on.

— Benjaminie Portmaine — mruknęła przez zaciśnięte zęby. Uświadomił sobie, że ona również się powstrzymuje, bo pragnie dzielić z nim tę najintymniejszą rozkosz.

Wsunął dłoń pod jej pośladki i przycisnął ją do siebie.

— Teraz, Maggie. Już...

— Ty też... teraz...

Usłuchał. Usłuchał jej, swojego ciała, swojego serca i jego tęsknotę wreszcie zastąpiło spełnienie. Poczul, jak Maggie też osiąga pełnię. Zapomniał o wszystkim, przeżywając niesłychaną rozkosz, a jego duszę wypełniło światło.

Wielki, litościwy Boże, ależ ze mnie idiotka. Maggie leżała bez ruchu, wtulona w mocne ciało Bena, i próbowała powstrzymać łzy. Te cholerne łzy.

Na pewno je zauważy. Wyczuwał przecież najdrobniejsze zmiany jej oddechu, najdrobniejsze napięcie ciała.

Uwielbiała go za to, że tak ją dobrze rozumie, choć zdawała sobie sprawę, że dzięki temu mógł się do niej aż tak bardzo zbliżyć i odebrać jej spokój umysłu.

— Powinnaś wziąć gorącą kąpiel. — W jego głosie brzmiało zadowolenie. Lekko ścisnął jej pośladek, co było chyba u mężczyzn gestem przeprosin. Albo przywłaszczenia.

— Po co mi kąpiel?

— Byłem zbyt natrętny w pieszczotach językiem i palcami, i za pierwszym razem.

Był doskonałym kochankiem — namiętym, kiedy gorąco pragnęła namiętności. A potem, za drugim razem, był czuły i delikatny. Pokazał jej, że najgłębsza intymność wcale nie musi być nawałnicą emocji.

Chciała posmakować go po raz ostatni, by go zachować w pamięci. Tylko że rozstanie nadal wydawało jej się niemożliwe. Musi znaleźć jakiś sposób, by uporać się z Cecily, ochronić Bridget i całą książęcą rodzinę, nie pakując przy tym tego kochanego, namiętnego, empatycznego mężczyzny w kłopoty.

Żaden porządny człowiek nie zasługuje, by w jego życiu wybuchł skandal, jaki Cecily mogła bez trudu wywołać. A tym bardziej człowiek, który przetrwał już jeden taki skandal ze swoimi siostrami.

— Znowu zamilkłaś, kochanie.

Zamknęła na moment oczy, czując na plecach ciepło jego silnego ciała. Odetchnęła jego zapachem, rozkoszując się dotykiem muskularnych męskich nóg splątanych z jej nogami.

— Źle sypiam. — Tylko taką wymówkę potrafiła wymyślić. Odsunęła się od niego, chcąc

wstać z łóżka.

— Nie tak szybko. — Złapał ją za nadgarstek łagodnym, ale nieustępliwym ruchem. —

Podoba ci się ten pierścionek? — Przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu.

— Jest bardzo ładny, ale niepotrzebnie robiłeś sobie taki kłopot.

— To małeńki kamień, Maggie. Niech ma przynajmniej porządną oprawę. Myślę, że do ciebie pasuje.

Sam też zamierzał nosić pierścionek, choć arystokraci nie mieli tego zwyczaju. Niby po co mieliby to robić?

Małżeństwo nie oddawało męża w posiadanie żony. W świetle prawa — los żony i dzieci był w rękach męża.

Maggie bardzo chętnie znalazłaby się w rękach Benjamina Portmaine w każdym sensie — prawnym, fizycznym i emocjonalnym.

— Chciałbym cię o coś spytać, Maggie. — Przytulił jej głowę do swego ramienia.

Maggie zamknęła oczy i rozkoszowała się czystą, zwierzęcą przyjemnością wylegiwania się razem z nim w łóżku.

— Nie jestem w nastroju do udzielania porad finansowych, Benjaminie. Jeśli chcesz rozmawiać o funduszach, pozwól mi przynajmniej włożyć peniuar.

— Mam nadzieję, że tu nie chodzi o pieniądze. Pragnę, żebyś obdarzyła mnie jeszcze większym zaufaniem.

— Tak? — Chciała na niego spojrzeć, by się przekonać, dlaczego w jego głosie pojawiła się nutka zwątpienia, ale dotknął jej policzka i nie wypuścił z objąć.

— Podejmuję ryzyko, Maggie. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz odpowiadać na moje pytanie.

— Strasznie długo się do tego przygotowujesz.

Zastanawiała się, czy nie ugryźć go w sutek, żeby przestał mówić z taką powagą.

— Maggie, kim są dwaj mężczyźni, którzy przyszli do ciebie wieczorem do kuchni, i dlaczego na ciebie krzyczeli tej nocy, kiedy ostatnio zaszczyciłem twoje łóżko moją osobą?

— Co?! — Poderwała głowę i strząsnęła rękę, która ją czule pieściła.

Nie odwrócił wzroku — wbił w nią oczy, które tak pociemniały, że nie potrafiła odróżnić źrenic od tęczówek.

— Maggie, kim są dwaj mężczyźni, którzy przychodzą tylnymi drzwiami po zmroku, a ty się z nimi obściskujesz, chociaż podnoszą na ciebie głos?

— Szpiegowałeś mnie.

Zerwała się z łóżka w jednej chwili; gniew i zawód buchnęły płomieniem, wywołując tak głębokie poczucie zdrady, że zrozumiała, dlaczego ludzie uciekają się czasem do rękoczynów.

— Czałeś się w ogrodzie, szpiegowałeś mnie i moich bliskich, a potem wszedłeś do mojego łóżka, całowałeś mnie czule i powiedziałeś słodkie słówka. Precz z mojego domu.

Usiadł i rzucił jej peniuar, ale w gniewie nie dbała o to, że jest naga.

— Maggie, nie zamierzam cię strofować i wiem, że cenisz sobie prywatność.

Od jego spokojnego tonu zrobiło jej się niedobrze.

— Wynoś się. Z tego łóżka. Natychmiast.

Spojrzał na nią czujnie, kiedy rzuciła mu spodnie.

— Twoje wzburzenie mówi mi, że masz kłopoty. Poza tym nie powiedziałaś mi, co było w tej torebce.

— Listy, Benjaminie. — Skrzyżowała ramiona na piersi. Nienawidziła jego inteligencji i empatii. — Listy od dziecka, które nie ma ani jednego przyjaciela w tym całym wstrętym, głupim świecie.

Rzuciła w niego zwiniętą koszulą, stojąc przy łóżku.

— Musisz wiedzieć, co to za mężczyźni? Moi przyrodni bracia. Proszę bardzo. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony ze swojego węszenia, bo dzięki niemu dowiedziałeś się prawdy i zerwałeś te debilne zaręczyny.

— Maggie, nie możesz zerwać zaręczyn.

Rzuciła w niego pierścionkiem, który zgrabnie złapał.

— Właśnie to zrobiłam.

Głos się jej załamał, co tylko zwiększyło jej wściekłość. Zrobił krok w jej stronę, ale gestem ręki odepchnęła go od siebie.

— Idź sobie. Mówię serio. Nie powiem nikomu ani słowa, ty wyjedziesz do Cumbrii i wszyscy zapomną o naszych zaręczynach, kiedy trafi się kolejna sensacja.

— Dobrze, zerwij ze mną, ale pozwól sobie pomóc.

Niech go szlag. Pomimo szpiegowania właśnie awansował z porządnego człowieka na szlachetnego dżentelmena.

— To nie twoja sprawa, sama sobie poradzę.

Patrząc, jak zmrużył oczy, zorientowała się, że właśnie się zdradziła, potwierdzając jego podejrzenia. Zaczął się ubierać, głównie po to, żeby odpowiednio poprzestawiać figury na szachownicy swego umysłu.

— Nie szpiegowałem cię, Maggie. Byłem na kolacji z twoim ojcem, ale zostawiłem tu kogoś, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Szpiegowanie i pilnowanie to dwie różne rzeczy.

— Może i tak, ale nasze zaręczyny i tak miały tylko jeden cel: zdławić skandal w zarodku. Musisz zrozumieć, że chcę skończyć z tą farsą i nigdy nie zostanę twoją żoną. Nigdy w życiu.

Usiadł na łóżku, żeby wciągnąć buty. Rzucił jej uważne spojrzenie.

— Kocham cię, Maggie Windham. Nie chodzi mi o ślub ani o to, żeby się z tobą kochać do utraty rozumu, najlepiej trzy razy na godzinę. Chcę, żebyś była bezpieczna.

— Nic mi nie grozi.

Poza tym że jej sercu groziło pęknięcie, gdy bezlitośnie wypowiedział te dwa małe słówka. Zaciśnęła dłonie w pięści, żeby nie odpowiedzieć mu tymi samymi słowami, nie wtulić się w niego i nie błagać, żeby pomógł jej uporać się z tymi wszystkimi problemami.

Kiedy wstał, wydał jej się wyższy niż zwykle.

— Może i nic ci nie grozi, ale masz kłopoty. A rozwiązywanie kłopotów to moja specjalność. — Zarzucił na ramiona znoszony surdut i zawiązał fular na krzywy węzeł. — Proszę cię, pamiętaj o tym.

— Proszę cię, idź już — odpowiedziała Maggie, ale energia już ją opuściła, więc opadła na łóżko, nie bacząc, że Ben dalej tkwi w miejscu. Kochał ją, a ona go odrzucała. To było niesprawiedliwe, wobec niej i wobec niego, a ogrom niesprawiedliwości przerastał wszystkie inne uczucia, nawet to, że dzięki odrzuceniu Ben będzie bezpieczny. — Daj mi już spokój.

— A jeśli jesteś w ciąży?

Pokręciła głową. Nawet nieczuły, perwersyjny bóg, który rządził jej życiem, nie mógłby być aż tak okrutny.

— Proszę. — Przed jej oczyma zamajaczyła niewielka, biała koperta. Cofnął ją, przesunął przed twarzą Maggie i znowu wyciągnął do niej.

— Co to takiego?

Nie rozgniewał się, tylko nozdrza mu drgały do wtóru jakiejś męskiej emocji.

— Nie mam pojęcia. Jakaś kobieta kazała oddać ci to do rąk własnych, kiedy szedłem tu ze stajni. Nie znam jej, ale powiedziałem, że ci oddam ten list. Gdybym miał zamiar cię szpiegować, to bym go przeczytał.

Pomyśleć tylko, że z taką czułością zakładałem ci pierścionek na palec, zamiast czytać twoją korespondencję.

Wyjął z kieszeni pudełeczko i włożył do niego pierścionek. Patrząc na to, Maggie miała wrażenie, że wraz z tym drobiazgiem na zawsze znikają wszystkie jej życiowe nadzieje, marzenia i przyjemności.

— Nie wyjadę jeszcze na północ do Cumbrii. Zostanę tu kilka tygodni. Jeśli będę ci potrzebny, Maggie, prześlij mi wiadomość. To wystarczy.

— Ale nie będziesz już na mnie nasyłał obcych ludzi, żeby mnie pilnowali?

Widać było, że nie chce tego przyrzec, ale w końcu uległ, gdy zobaczył łzy kręcące się jej w oczach.

— Nie będę. Chciałbym, żebyś przeczytała przy mnie ten list.

Pokręciła głową. Chciała, żeby odszedł, i rozpaczliwie pragnęła, by został.

— Czy ci dwaj bracia dobrze cię traktują? — Spytał cicho, z jedną ręką na kłamce, jakby nie chciał oglądać jej twarzy na wypadek, gdyby kłamała.

— Bardzo ich kocham. Służą u lady Dandridge, która dobrze ich traktuje. Mają mnie na oku, ale tak, żeby nie krępować rodziny mojego ojca.

Chyba go to zadowoliło, ale znowu zaczął się jej przyglądać.

— Benjaminie, idź już wreszcie.

Podszedł do niej, pocałował w policzek, a potem wykonał polecenie, zostawiając smugę zapachu i wspomnienie ciepła.

— Będziesz dziś potrzebował powozu?

Ben podniósł wzrok znad finansowych stron gazety. Miał nadzieję, że Maggie Windham też je teraz przegląda w swoim zadbanym narożnym domku. Archer kocim ruchem wśliznął się do pokoju śniadaniowego.

— Dzień dobry, kuzynie. Nie potrzebuję powozu. Wybieram się do lady Dandridge, ale pójdę piechotą.

— W sprawach służbowych, czy chcesz ugłaskać tę starą kocicę, żeby skandal się nie rozniósł?

Archer usiadł obok Bena, dolał mu herbaty, a potem napelnił swoją filiżankę.

— Nic z tych rzeczy. Okazało się, że ci jej bliźniaczy lokaje, z których jest taka dumna, to przyrodni bracia Maggie.

Archer zamieszał herbatę i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się we wzór, jaki ułożył się ze śmietanki.

— Jak myślisz, czy lady Dandridge o tym wie?

— Nie sądzę i nie zamierzam jej o tym mówić. Maggie chce zerwać zaręczyny, a ja mam nadzieję, że ci jej bracia pomogą mi zrozumieć dlaczego, do ciężkiej cholery, tak się broni przed tym ślubem.

Archer przyglądał mu się przez chwilę, a potem znowu zagapił się w swoją herbatę.

— Domyślam się, że nie powiedziałaś swojej damie, że jesteś w niej zakochany po samego wacka, po uszy i po aureole?

— Powiedziałem. — Ben podniósł gazetę i złożył ją starannie. — Ale źle do tego podszedłem.

— Jak można źle podejść do miłosego wyznania?

— Na przykład, kiedy się je wykrzykuje podczas kłótni, kiedy kobieta jest wściekła, boi się i szuka wymówki, żeby rzucić w ciebie pierścieniem zaręczynowym.

Zapadła chwila ciszy — bo co można odpowiedzieć na takie słowa?

— Chyba oświadczę się Adele. Mówię ci o tym, bo teoretycznie ona może zostać matką kolejnego hrabiego Hazelton, ale nie próbuj mnie do tego zniechęcać tylko dlatego, że ona pochodzi z biednej rodziny.

W tej sytuacji Archer wybrał całkiem nie najgorszą odpowiedź, która zresztą wiele wyjaśniała: jego lekceważące podejście do pracy i długie godziny spędzane po nocach pod oknem pewnej zupełnie zwyczajnej pokojówki.

— Przyjmie cię? — Ben spytał bardzo ostrożnie, bo Archer zazwyczaj zakochiwał się w kobietach, które za nic miały jego uczucia. Romanse były dla niego miłą, sentymentalną rozgrywką. Ben kompletnie nie rozumiał takiego podejścia.

— Chyba tak. Jej obecna pracodawczyni to paskudna, podstarzała wiedźma, która kiedyś była kurtyzana. Adele ma wolne tylko wtedy, kiedy to babsko wyjeżdża na spacer do parku w porze, gdy cała socjeta tam się spotyka.

— Czyli zaledwie parę godzin w tygodniu, zważywszy na ostatnie deszcze. Czy będziecie razem prowadzić naszą firmę, czy zabierzesz swoją wicehrabinę do Szkocji, kiedy ją już zaobrączkujesz?

— Bardzo spokojnie do tego podchodzisz.

Gra na zwłokę. Archer jeszcze nie rozmawiał o tym ze swoją wybranką.

— Oprócz przyrodniego brata ze strony matki, który kocha się jak sztubak w swojej baronowej, jesteś moim jedynym dorosłym krewnym płci męskiej, panie Holloway. — Ben mówił spokojnie, bo nagle uświadomił sobie, że będzie mu brakowało Archera, kiedy ich drogi się rozejdą. Był z nim bardziej związany niż z własnym bratem. — Żeń się, z kim chcesz, tylko upewnij się, że ona cię kocha.

— No, właściwie...

Ben poprawił się na krześle.

— Tylko mi nie mów, że znowu zakochałeś się w kobiecie, której na tobie nie zależy, Archer.

— Jest bardzo zajęta. Chciałem się jej oświadczyć wczoraj, ale musiała zanieść komuś jakiś cholerny list i nie miała kogo z nim posłać. Potem przyjechała ta stara purchawa, cała wściekła, bo zaczęło kropić, zanim jeszcze dotarła do parku, i musiałem przeskakiwać przez mur, jak jakiś kłusownik.

— Prawdziwa miłość wymaga poświęcenia.

Ben nalał im obu herbaty, zastanawiając się, która z tych informacji wprowadziła w ruch tryby jego umysłu, które ruszyły tak intensywnie, że czuł, jak jeżą mu się włosy u podstawy czaszki.

To miało coś wspólnego z listami i murami. Albo z kobietą, która nie dbała o zakochanego w niej mężczyznę.

— Wrócę bardzo późno — powiedział, podsuwając Archerowi tacę z bułeczkami.

— Pracujesz nad jakąś sprawą?

— Nie, ale obiecałem Maggie, że nie będę na nią nasyłał obcych, żeby pilnowali jej bezpieczeństwa.

Archer znieruchomiał, z bułeczką w jednej ręce i umaślonym nożem w drugiej.

— Ale nie obiecywałeś jej, że sam zrezygnujesz ze szpiegowania, prawda? Myślisz, że to cię uratuje, kiedy twoja dama nakryje cię w stajniach?

— Nie nakryje mnie, a poza tym nie będę jej szpiegował, tylko bronił.

Archer uśmiechnął się, wzruszył ramionami i zajął się bułeczką.

List Bridget zawierał całą litanię koszmarów. Przez noc przeczytała go chyba ze sto razy, ale za każdym razem mówił to samo. Cecily nie tylko zmuszała małą, żeby się malowała, ale Adele musiała przerobić wszystkie suknie Bridget, żeby pokazywały więcej dekoltu. Bridget musiała czytać nieprzyzwoite książki podsuwane przez matkę, nieodpowiednie dla młodych dziewcząt, a już na pewno nie dla takich niewinnych jak ona. Nie wolno jej było wkładać majtek, nawet jeśli było zimno, a kiedy Cecily obwoziła ją po parku, musiała flirtować z panami, którzy gapili się na jej piersi w głębokim dekolcie.

Do tego Cecily mruczała ponure groźby o zemście, skandalu i ludziach, którzy zapomnieli o swoich prostackich korzeniach.

Co gorsza, Bridget ostrzegła, że znowu mają się przeprowadzać, ale Cecily nie podała jej adresu, a list napisano parę dni temu. Dotychczasowy adres widniał czarno na białym pod ostatnim zdaniem listu, które brzmiało: „Błagam cię, Maggie, musisz mi pomóc, bo ona planuje coś strasznego”.

To nie była histeria nastolatki. Cecily często opowiadała Maggie, jak to znalazła sobie pierwszego opiekuna w wieku piętnastu lat. Bogaty mieszczanin obsypywał ją pieszczotami i klejnotami. Jego Wysokość był przelotną zdobyczą między dłuższymi związkami. Był wtedy oficerem na urlopie z pułku, młodszym synem księcia, a jego uroda bez trudu zawróciła w głowie siedemnastoletniej metresie.

Cecily uważała, że Harriette Wilson pozwoliła się uwieść lordowi Craven, kiedy miała piętnaście lat, więc w tym wieku można już zostać kurtyzaną. Młodsza siostra Harriette, która została w końcu lady Berwick, zajęła się tą profesją jako trzynastolatka i wyszła za nieszczęsnego Berwicka jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności.

Trzeba było działać zdecydowanie, bo w przeciwnym razie Bridget czeka takie samo życie

jak Cecily i wszystkie poświęcenia i oszczędności Maggie pójdą na marne.

Maggie wyjrzała za okno. Okropna, deszczowa pogoda oznaczała, że ulice będą prawie puste. I że lady Dandridge prawdopodobnie nie wyjedzie na miasto, więc Teddy i Thomas też będą w domu. Może będą znali nowy adres Cecily albo przynajmniej wymyślą, co robić w tej koszarnej sytuacji.

Maggie wstała, włożyła płaszcz, kapelusz i rękawiczki, wsunęła do kieszeni list Bridget, a potem wyszła na deszcz.

Ben stał na progu domu lady Dandridge, czując, jak wzbiera w nim frustracja. Było wczesne popołudnie — odpowiednia pora na poranną wizytę, ale jego wysiłki spełzyły na niczym. Lady Dandridge wyjechała razem z lokajami, a głuchy jak pień dziadyga, który pełnił funkcję majordomusa, nie miał pojęcia, kiedy milady wróci do domu. Zamiast ruszyć prosto do klubu, Ben skręcił w alejkę prowadzącą do stajni.

Sądząc z wyglądu, były to prywatne stajnie, tylko dla kilku pobliskich posiadłości.

— Dziś nie mamy dla nikogo roboty — rzucił jeden ze stajennych, kiedy Ben wszedł do budynku. — Zresztą nigdy nie najmujemy ludzi z zewnątrz. Milady twierdzi, że to ściąga do domu hołotę.

Mężczyzna miał zaledwie metr pięćdziesiąt i chyba był kiedyś dżokejem, co oznaczało, że zna się na przepływie gotówki w zamian za pewne usługi.

— Jestem Hazelton — odpowiedział Ben. — Hrabia Hazelton, ale zapomnij o tym.

Gnom uśmiechnął się, szczerząc zdrowe zęby.

— Moja pamięć już nie jest taka jak dawniej.

Ben rzucił mu suwerena.

— Może mimo to zapamiętałeś, dokąd pojechała lady Dandridge?

Krzaczaste blond brwi zjechały niżej.

— Lubię naszą milady. Płaci jak się należy i dba o inwentarz. Po co pytasz, panie?

— Lady mnie w ogóle nie interesuje. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby Wszchemogący trzymał ją z dala ode mnie. Ale muszę pomówić z jej lokajami.

Dżokej się rozpogodził.

— Milady też ich dobrze traktuje, ale takie osiłki potrafią się same o siebie zatroszczyć. Też wyjechali.

— Przepraszam?

Drugi suweren został sprawnie pochwycony w locie.

— Milady wzięła podróżny powóz, co oznacza, że wyjechała do Bath, jak co roku. Nigdzie by się nie ruszyła bez bliźniaków, więc i oni się z nią zabrali.

— A kiedy wrócą?

— Nie wiadomo. Milady lubi pobyt u wód.

— Kto ma jej adres w Bath?

Ben tak rozpaczliwie chciał do niej dotrzeć, że popełnił błąd, zadając bezpośrednie pytanie, ale stajenny miał swój honor.

— Zachowaj swoją forszę, szefie. Zawsze staję w tym samym hotelu. — Po chwili Ben miał już adres, włącznie z trasą, którą lady zwykle jeździła do uzdrowiska, jej ulubionymi zajazdami i opisem powozu. Kiedy zaczął się zbierać do wyjścia, deszcz rozpadał się na dobre. Wprawdzie nie była to ulewa, ale regularna, uparta i zimna mżawka, która mogła utrzymać się przez wiele godzin.

Archer zabije go, jeśli pojedzie powozem, ale alternatywą była jazda wierzchem w tym okropnym deszczu. Zresztą, gdyby nie miał innego wyjścia, pojechałby konno taki kawał drogi, byle tylko odnaleźć braci Maggie i dowiedzieć się, co ją tak, do ciężkiej cholery, dręczy.

Brnąc w stronę miejskiej posiadłości lady Dandridge, Maggie próbowała wymyślić wiarygodny powód wizyty w tak okropną pogodę, i to wizyty u kogoś, kogo nawet Jej Wysokość traktowałaby chłodno jako znajomą.

Poniewczasie zorientowała się, że nie ma ze sobą pokojówki ani nawet lokaja, i nikt jej nie

uwierzy, że wybrała się do milady z jakiegoś w miarę sensownego towarzyskiego powodu. Poczwała na płaszczu bryzg zimnej wody.

— Uważaj, panienko. — Jakiś przechodzień złapał ją za łokieć i ściągnął z jezdni na chodnik. — Patrz, gdzie idziesz.

Kiedy obok przejechał z hukiem furgon z browaru, Maggie poczuła, jak zimno z przemoczonych butów wnika w jej kości. Mężczyzna, który uratował ją od wpadnięcia pod kopyta potężnych perszeronów, uchylił kapelusza i pospieszył w swoją stronę.

Boże Wszchemogący. Rozejrzała się dookoła, starając się uspokoić rozdygotane serce.

— Opanuj się — mruknęła. — Bridget liczy na ciebie.

Pomimo to dwa razy zgubiła się w znajomej okolicy i po pewnym czasie była przemoczona do nitki. Gdy dotarła do domu lady Dandridge, trzęsła się z zimna i chyba wyglądała jak zdechły szczur w kanale, jej płaszcz też pewnie cuchnął ściekami.

Po raz trzeci uderzyła w drzwi kołatką, gotowa walić w nie pięściami, jeśli nie będzie odpowiedzi. Nagle wyczuła za sobą czyjąś obecność.

— Nie ma jej w domu i twoich braci też. — Usłyszała głos Bena, tak cichy, że ledwie go było słyhać przez szum deszczu i uliczny ruch.

Odwrociła się do niego. Stał tuż za nią, z gołą głową i bez rękawiczek.

— Wyjechali?

Skinął głową.

— Do Bath, nie wiadomo na jak długo.

Opuściły ją resztki ciepła, zostawiając w jej sercu tylko rozpacz i samotność. Ogarnął ją duszny, nieopisanie gęsty mrok.

— Maggie?

Głos Bena dochodził z daleka, mimo że całkiem wyraźnie widziała go przed sobą. Choć był przemoczony, emanował ciepłem i zaufaniem, jakby wiatr, deszcz ani pogoda nie mogły mu nic zrobić.

— Maggie, pozwól, żebym ci pomógł. Proszę cię.

Pomyślała, że pewnie zaraz okryje ją płaszczem, a potem nie myślała już nic.

Nasza śpiąca królowna się budzi.

Maggie zamrugła i zobaczyła nad sobą dwóch mężczyzn.

— Benjamin?

— Tu jestem.

Ten drugi, przystojny blondyn, który nazwał ją śpiącą królowną, odsunął się i Ben usiadł na krawędzi łóżka.

— A gdzie jest to „tu”?

— To mój dom, odległy o dwie przecznice od siedziby lady Dandridge. Archer, przynieś herbatę.

— Chcę usiąść.

Myślała, że jej zabroni, ale pomógł jej się wygodnie usadowić i poprawił okrywające ją afgańskie pledy. Gdy była przyzwoicie osłonięta, w drzwiach pojawił się Archer, niosąc ogromną tacę.

— To twój kuzyn? — Obserwowała, jak mężczyzna rozstawia naczynia.

— Lady Maggie Windham, czy mogę cię przedstawić mojemu kuznowi Archerowi Holloway, wicehrabiemu Blessings. Archer, to jest lady Maggie.

— To ty mnie zatrzymałeś, żebym nie wpadła pod furgon. — Rozpoznała przejrzyste niebieskie oczy i szczupłe, niemal ascetyczne rysy. — Szedłeś za mną?

— Ja, ten... — Archer pochylał się, by nie spoglądać wprost na Benjaminą, który rzucił mu surowe spojrzenie. — Byłem na spacerze.

— Śledził cię, choć bez mojego pozwolenia. Napijesz się herbaty czy czekolady?

— Poproszę czekoladę. Dlaczego mnie śledziłeś?

Archer usiadł naprzeciw łóżka w solidnym wolterowskim fotelu. Ben pozostał przy jej boku.

— Ben dał ci słowo, że nie naśle na ciebie obcych, więc uznałem, że stracił resztki zdrowego rozsądku. Ponieważ mi na nim zależy, a jemu zależy na tobie, należało podjąć decyzję na własną rękę. Poproszę herbatę, kuzynie.

Maggie patrzyła, jak Ben nalewa herbatę i dodaje do niej śmietankę, a potem cukier. Odniosła wrażenie, że ci dwaj są ze sobą bardzo życzliwi, ale z drugiej strony upewniło ją, że obu rzeczywiście zależy na sobie nawzajem i że szanują swoje sekrety.

Ostrożnie upiła czekoladę. Wyraźnie dawali jej czas, żeby doszła do siebie po usłyszeniu tej nowiny.

— Pewnie powinnam być ci za to wdzięczna, bo w przeciwnym razie nie skończyłoby się na zmarznięciu i zawrotach głowy.

Wymienili między sobą spojrzenie podobne to tych, jakie rzucali sobie jej bracia, kiedy nie chcieli poruszać jakiegoś tematu w obecności kobiet. Albo delikatnego tematu.

— Teraz jesteś już bezpieczna — oznajmił Archer nieco zbyt pogodnym głosem. — To chyba najważniejsze, prawda, Ben?

— Nie, Archer. To nie jest najważniejsze.

— Nie zaczynaj przesłuchania od razu, daj damie wypić czekoladę w spokoju.

— Lubię twój kuzyna — powiedziała Maggie. — Ale nie będziesz musiał mnie przesłuchiwać.

— Nie będę? — Wojownicza mina, z jaką Ben spoglądał na Archera, złagodniała i stała się pełna troski, kiedy przeniósł wzrok na Maggie. — Oczywiście, że nie będę. Mogę zadawać delikatne pytania, ale ja nikogo... Archer, zamknij się.

— Ja tylko piję herbatkę. — Archer zsalutował filiżanką.

— Nie będziesz musiał mnie przesłuchiwać. Nie mam wyjścia, a sytuacja jest rozpaczliwa, jak to ktoś niedawno określił.

Ben wyjął jej kubek z dłoni, a Maggie poczuła ucisk w gardle. Musiała to zrobić — ujawnić tajemnicę, którą ukrywała przez większość życia, i musiała zaufać Benjaminowi Portmaine, że

zabierze tę tajemnicę ze sobą do grobu. Ukryła twarz na jego ramieniu i, żeby się nie rozmyślić, wyrzuciła z siebie słowa, które dławili ją przez całe jej dorosłe życie.

— Ja mam siostrę. Prawdziwą siostrę.

Dłoń Maggie, którą obejmował palcami, była zimna jak lód, a jej twarz tak zbieleła, że widać było wszystkie piegi na jej nosie.

Ben obserwował i gromadził te wszystkie objawy, kiedy w końcu dotarły do niego jej słowa.

— Prawdziwą siostrę?

Siedzący naprzeciwko Archer znieruchomiał nad swoją herbatą.

— Ma na imię Bridget i za kilka dni skończy piętnaście lat. — Maggie zamknęła oczy, jakby ogarnął ją wewnętrzny ból.

— Czy Jego Wysokość o niej wie? — Archer skrzywił się na to pytanie, ale Maggie otworzyła oczy, pełne bezbrzeżnego smutku.

— Nie jestem pewna. Cecily twierdzi, że nie wie. — To znaczy jeszcze nie wie.

— Cecily to twoja matka?

Skinęła głową, a potem mocniej wtuliła twarz w jego ramię. Archer podał mu chusteczkę i ulotnił się po cichu.

— To moja m-matka — szepnęła Maggie. — I wcielona diablica.

Musiał się do niej przysunąć, żeby usłyszeć ostatnie słowa. Nagle objęła go mocno, targana falami rozpacz. Mógł tylko ją przytulić i długo trzymać w objęciach. Głaszcząc ją po włosach i mrucząc do ucha bezużyteczne słowa pociechy, miał wrażenie, że Maggie Windham powinna sobie popłakać za wszystkie czasy — za długie lata, a może nawet całe życie.

Trzeba było się nią zająć.

— Czekolada ci wystygnie, kochanie.

— D-do diabła z czekoladą.

Objął ją mocniej i przytulił policzek do jej głowy.

— Rozumiem, że martwisz się o tę siostrę?

— Martwię się. Wariuję z rozpacz. — Maggie westchnęła ciężko i odprężyła się nieco. — Jestem wściekła i mam tego wszystkiego serdecznie dość. Cecily sugeruje półsłówkami, że zamierza zrobić z Bridget kurtyzanę i zemścić się w ten sposób na mnie, na Ich Wysokościach, na mojej rodzinie i pewnie też na Panu Wszechmogącym.

— Od jak dawna ta kobieta cię dręczy? — Poczuli, jak Maggie znieruchomiała. Potem znowu ciężko westchnęła, co oznaczało, że jego domysły były słuszne. — Powiedz mi prawdę, Maggie Windham.

— Odkąd weszłam na salony. Uznała, że wtedy zaczną mi dawać kieszonkowe. I miała rację.

— Wyciągała od ciebie pieniądze?

Maggie skinęła głową, ocierając się o jego pierś.

— Straszne pieniądze. Co roku, bez wyjątku. Cały czas udawała, że to na odpowiednią edukację moich braci, na porządną guwernantkę dla siostry. I że kupuję za to spokój dla Ich Wysokości i dla mojej drugiej rodziny. I nagle wynikła ta historia.

Wtedy zaczął prawdziwe przesłuchanie. Wypytał ją dokładnie o Cecily, o ich relacje w ciągu minionych lat, o listy od Bridget i o wspomnienia sprzed lat związane z matką.

Przez cały czas trzymał ją w ramionach i masował plecy, słuchając opowieści o desperacji i wyzysku. Palce same wyciągały mu się po pistolet.

— Jesteś pewna, że Ich Wysokości nic o tym nie wiedzą? — zapytał, kiedy w końcu udało mu się namówić ją, żeby coś zjadła i wypila do końca czekoladę.

— Nie jestem pewna. Nie wiedziałam, jak mam porozmawiać o tym z ojcem. Nie mogłam przecież zapytać: „Słuchaj tato, a tak przy okazji, ile masz jeszcze nieślubnych dzieciaków, oprócz mnie i Devlina? Chowasz tam jeszcze kogoś po krzakach?” A może miałam spytać o to Jej Wysokość? Jest bardzo duża różnica między zaakceptowaniem przedmałżeńskich wyskoków

młodego oficera kawalerii a świadomością, że w piętnaście lat później dalej zabawia się z innymi kobietami.

Zamilkła, a Ben gładził ją po włosach i w myślach przebiegał wszystko, co wiedział o Percivalu Windhamie. Książę potrafił być niezdolnym arogantem, kiedy miał zły dzień, ale przeważnie wykazywał przenikliwy zmysł polityczny, zdolność zawierania kompromisów, a do tego we wszystkie dni — te najlepsze i te najgorsze — zawsze był kochającym mężem i troskliwym ojcem.

A Maggie Windham była w każdym calu jego córką.

— Maggie, nie możesz u mnie nocować.

— Ostatnio źle sypiam.

— Wspominałaś o tym. — I to wielokrotnie. — Wezwę powóz i zabiorę cię do twojego domu. Pójdiesz prosto do łóżka i zostaniesz tam, aż wypoczniesz. Zjesz porządne śniadanie, słyszysz? — i nie będziesz nigdzie biegać po deszczu beze mnie.

Spojrzała na niego z ukosa i nagle kącik jej ust podjechał do góry w tym uroczym, nieoczekiwanym uśmiešku.

— Mówisz dokładnie jak Jego Wysokość.

— Książę ma pięć córek. Z każdym dniem bardziej mu współczuję.

Uśmiech zginął śmiercią nagłą i tragiczną.

— Sześć córek. Za nic nie chcę, żeby Cecily go dręczyła. To nie może też dotrzeć do Jej Wysokości. Dzieci przysporzyły im już wystarczająco dużo skandali i cierpienia.

— Jeśli Jego Wysokość jest ojcem Bridget, to przyjmie odpowiedzialność za swoje uczynki.

— Biorę ją na siebie — odpowiedziała Maggie, unosząc podbródek. — To moja siostra, a Ich Wysokości tyle dla mnie zrobili, że moim obowiązkiem jest zapewnić...

Przerwał tę szlachetną tyradę w bardzo prosty sposób — pocałunkiem.

— Jest twoją siostrą, ale jest też, prawdopodobnie, jego córką. Gdybyś знаła go lepiej, rozumiałabyś, że to on odpowiada za Bridget.

— Rozumiem go bardzo dobrze i wiem, że sensem jego życia jest miłość do księżnej. Dzieci z nieprawego łoża, uszczuplające majątek pełnoprawnego potomstwa, byłyby dużym obciążeniem dla majątku księżnej, a co ważniejsze, myśl o niewierności jej Percy'ego złamałaby jej serce. Nie mogę tym obciążyć swego sumienia, Benjaminie. Papa nie zasługuje na opiekowanie się córką, jeśli był tak samolubny i głupi, że zadał się z kobietą taką jak Cecily.

— Nie zasługuje?

Ben bynajmniej nie uważał siebie za geniusza, ale powoli zaczynał rozumieć, że próby zrozumienia kobiecej logiki, jaką właśnie zaprezentowała Maggie, pozbawią go resztek zdrowego rozsądku. Nic nie zwalnia mężczyzny z prawa i obowiązku łożenia na swoje potomstwo, zwłaszcza jeśli ma tytuł i wystarczające środki. To, że Maggie wychowała się w książęcej rodzinie, dowodziło, że Jego Wysokość doskonale rozumiał podstawowe wymogi honoru, a Maggie nie za bardzo się na nich znała.

— Zjedz jeszcze jedno ciastko, kochanie. Pójdę sprowadzić powóz.

Chyba chciała spierać się dalej, ale Ben, jako dobry taktyk, wiedział, kiedy powinien wstać, wyjść z pokoju, przestraszyć podsłuchującego lokaja i zostawić ją samą na tak długo, żeby zdążyła się zdrzemnąć przed jego powrotem.

— Mam zaoszczędzonych tylko kilka funtów — powiedziała Adele, przeciągając szczotką po włosach Bridget — ale są do twojej dyspozycji.

Rozmawiały po francusku. Ostatnio zawsze tak robiły, nawet kiedy były same.

— A gdzie miałabym się schronić?

Zdesperowane spojrzenie Adele wystarczyło zamiast słów. Za dwa dni Bridget skończy piętnaście lat, a jej jedynym życiowym osiągnięciem, oprócz znajomości francuskiego, jest uroda. Uroda, która zaczęła ją przerażać.

Kiedy jej ciało zaczęło się zaokrąglać i rosnąć w pewnych miejscach, Bridget pocieszała się, że dzięki temu będzie wyglądać jak Maggie, która była pięknocią.

Tylko że była od niej trochę niższa, nie miała takich cudownych zielonych oczu ani takiej królewskiej postawy. Wciąż wydawała się sobie niezgrabna i chuda.

Teraz ta jej nastoletnia, kłopotliwa uroda zaczęła oznaczać, że mama zacznie pozwalać obcym mężczyznom, żeby robili Bridget różne okropne, łożkowe rzeczy, i będzie zarabiać na tym pieniądze. Z tego, co sama zrozumiała z pomruków mamy nad resztkami wieczornego wina i z obleśnych spojrzeń w parku, Bridget odgadła swój los.

Odgadła też, że jej własna matka chętnie zgodziła się na podobne życie, kiedy skończyła piętnaście lat, tak jak ona teraz.

— Możesz pójść do Maggie.

— Prosiłam ją o pomoc, ale nie odpowiedziała. — Mówiąc to na głos, poczuła, że strach jeszcze bardziej ściska jej wnętrzności.

— Pomoże ci. List dotarł bezpośrednio do jej rąk. W przeszłości zawsze pomagała.

— Maggie jest dobra. Nie wygra z mamą.

Maggie była też szczodra. Przy każdej wizycie dawała Bridget pieniądze na drobne wydatki i przysyłała jej drobne prezenty — flakonik perfum, inkrustowane grzebień, śliczne wstążki do włosów. Bridget lubiła te perfumy, bo miały w sobie nutę zapachu Maggie, ciepłego i pocieszającego. Ale kilka miesięcy temu, podczas pospiesznej, szeptanej rozmowy, Maggie wyjaśniła jej, że Cecily, jako niezamężna kobieta, sama sprawuje rodzicielską władzę nad swoim nieletnim dzieckiem. Gdyby była mężatką, sprawowałby władzę mąż. A gdyby Maggie wzięła Bridget do siebie, Cecily wezwałaby sądowego pedła, żeby zabrał ją z powrotem do matki. Na pewno by to zrobiła, gdyby tylko miała taki kaprys.

— Maggie cię kocha. Nie będzie patrzyła z boku, jak matka rujnuje ci życie. — Adele odważyła się na otwartość, ale Bridget tylko zagryzła wargi i popatrzyła na wymalowaną, upudrowaną, ledwo odzianą istotę odbijającą się w lustrze.

— Jeśli zamierza coś zrobić, niech się lepiej pośpieszy.

Maggie uznała, że znużenie, jakie odczuwała, od chwili gdy padła w ramiona Benjamin na progu rezydencji lady Dandridge, to ulga, że wreszcie zwierzyła się komuś, kto uszanuje jej tajemnicę, albo też efekt wyczerpania emocjonalnego.

— Powinnam coś zrobić — mruknęła, patrząc, jak Benjamin przesuwając szkanclę po jej pościeli. — Powinnam wyrwać Bridget z łap Cecily i wysłać ją za granicę na jakimś statku. A przynajmniej powinnam się dowiedzieć, gdzie Cecily mieszka. Powinnam powiadomić Toma i Teda, bo może oni coś wiedzą.

Benjamin położył palec na jej ustach.

— Zajmiemy się tym. Wskakuj do łóżka.

Maggie, stojąc tuż obok łóżka, skrzyżowała ramiona na piersi.

— Nie rozumiem, jak to może w czymkolwiek pomóc?

— Dzięki temu zajmę się spokojnie zbieraniem informacji, nie martwiąc się, że chodzisz półprzytomna po deszczu i niszczysz sobie kapelusze, zdrowie i moje nerwy. Wskakuj do łóżka!

Ten cały hrabia Hazelton uwielbiał wydawać rozkazy. Co gorsza, Maggie musiała w końcu przyznać sama przed sobą, że niemal jest z tego zadowolona.

— Ale nie wchodź do obcych przez okna, Benjaminie. Do mnie możesz — powiedziała równie surowo jak on. Niech sobie nie wyobraża, że tylko on może jej rozkazywać.

— Wybieram się do klubu, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Zamierzam wsadzić nos w gazetę i podsłuchiwać najnowsze plotki, stwarzając pozory kamiennej obojętności. Zamierzam wysłać kilka poleceń do Bath i w parę innych miejsc, ale nie zamierzam zarezerwować miejsc na statku odpowiednich dla kogoś, kto chciałby się przekraść za granicę.

Nagle jego uwagę przykuł pewien drobiazg, o którym Maggie wołałaby z nim na razie nie rozmawiać.

— Zajmiemy się tym, kiedy uchronimy Bridget przed knowaniami Cecily.

Pochylił się nad nią z neodgadnioną miną.

— Masz na palcu mój pierścionek, Maggie Windham.

— Bo jesteś roztrzepany i zostawiłeś go na mojej nocnej szafce. Nie chciałam, żebyś go zgubił. Ktoś, kto zostawia kosztowną biżuterię na wierzchu, gdzie pokojówka może ją zrzucić...

Odpowiedział jej zniewalającym uśmiechem.

— Uważasz mnie za roztrzepanego, Maggie? Całuję cię przy pożegnaniu w policzek, żeby niepostrzeżenie zostawić ci pierścionek na nocnej szafce, a ty uważasz, że jestem roztrzepany?

— To jedno z ulubionych słów Jej Wysokości. Gdy używa tego określenia wobec chłopców, aż rzuca nimi ze złości i urażonej godności.

— A ty rzuć się w końcu na materac, Maggie. Zajrzę do ciebie wczesnym rankiem.

To, że się zapowiedział z wizytą, było sporym ustępstwem z jego strony. Maggie powitała z ulgą wieść, że nie będzie się wspinał na jej balkon po nocy, i zyskała pewność, że nikogo nie wyzwie na pojedynek albo, co gorsza, nie wciągnie Jego Wysokości w brudne sprawy, od których Maggie chciała uchronić swoją rodzinę, marnując na to pół życia.

Opadła na łóżko, ogarnięta falą zmęczenia, która osłabiła jej ciało, umysł i ducha.

— Boję się, Benjaminie — wymknęło się jej. Chciała mu tylko powiedzieć dobranoc. Usiadł obok, a jego bliskość i cierpliwość były dla niej prawdziwą pociechą. Objął ją w talii.

— I to chyba nie od dzisiaj, prawda?

Miał rację. Nie broniła się przed tą smutną, nieprzyjemną prawdą.

— Co ze mnie za człowiek, jeśli nienawidzę własnej matki?

— Matka godna tego określenia nigdy nie wzbudziłaby w tobie nienawiści, a już na pewno nie wykorzystywałyby swoich dzieci do czysto egoistycznych celów.

Został z nią krótką chwilę. Maggie próbowała coś odpowiedzieć, ale jej umysł nie potrafił złożyć słów w zdania. Benjamin postanowił dzielić jej brzemię, co z jednej strony potwierdzało zaufanie, jakie do niego miała, ale z drugiej — obracało wniwecz wszelkie nadzieje na ich związek.

— Sam fakt, że siedzisz tu w kącie i niewinnie przeglądasz gazety, przyprawia o nerwową wysypkę całą salę skądinąd odważnych facetów. — Deene przyciągnął sobie wolterowski fotel i usadowił w nim swoją tyczkowatą postać. — Można tylko pozazdrościć.

Ben odłożył gazetę, wdzięczny, że ktoś chwycił przynętę po zaledwie dwudziestu minutach przeglądania rubryki towarzyskiej.

— Chowasz się przed debutantkami, Deene, czy obserwujesz moją technikę?

— Jedno i drugie. — Deene nalał sobie kieliszek wina i sączył je powoli. — Nie widziałem cię z lady Maggie od chwili waszych godnych pozazdroszczenia zaręczyn.

— Bo większość czasu spędzaliśmy, zaglądając sobie w oczy, gruchając i dając sobie dzióbka.

— Ach, rozumiem. — Deene pociągnął kolejny łyk wina, sprawiając wrażenie, że przyszedł w jakiejś konkretnej sprawie. — Od kiedy zacząłeś czytywać rubrykę towarzyską?

— Odkąd zamierzam wżenić się w książęcą rodzinę i muszę wiedzieć, co się dzieje.

— Jednym słowem, musisz mieć na oku arystokrację, tak? — Zaczepny ton w głosie Deene'a znikł po tej uwadze. — I właśnie dlatego, że musisz mieć parę osób na oku i że podobno żenisz się z Windhamówną, jest pewna rzecz, o której powinieneś wiedzieć.

Oho, przechodzimy do interesów. Bogu dzięki, że od razu, a nie po paru kieliszkach.

— Słucham cię, Deene.

Słuchając pilnie, przekonywająco odgrywał znudzonego: pykał spinkami do mankietów, wyglądał kant spodni, a nawet wyjął z kieszeni zegarek i otworzył wieczko.

— Dotarły do mnie pewne plotki — zaczął Deene bardzo cichym głosem. — Wszyscy wiedzą, że biorę sobie rude kochanki, więc gdy ktoś przy mnie wspomniał o nowej dziewczynie, która wkrótce będzie dostępna, zainteresowałem się. Młoda, niewinna, rudowłosa Wenus.

Ben znieruchomiał wewnętrznie, a Deene odstawił kieliszek.

— Kiedy ma być dostępna?

— Za dwie noce od dziś, na wieczornym przyjęciu. Właścicielka dziewczyny chce ją wprowadzić i posunęła się nawet do zaproszenia kilkunastu utytułowanych kawalerów, którzy mają dość tupetu, by przyjść i wprost popatrzeć na towar.

— Dlaczego mi o tym mówisz, wiedząc, że wkrótce biorę ślub?

Jeszcze miał nadzieję.

— Bo podobno dziewczyna jest uderzająco podobna do Maggie Windham. Interpretuj to jak sobie chcesz, ale mówi się, że lady Maggie, podobnie jak jej tatko wiele lat temu, zaczęła wcześniej powiększać rodzinę o nieślubne potomstwo.

— To nieprawda. — Ben zacisnął szczęki i uświadomił sobie, że zwinął gazetę w kulkę.

— Tak myślałem. — Deene nalał mu pół kieliszka wina i nawet nie spojrzął na zmiętoszoną gazetę. — Nie mógłbym iść z tym wprost do starego Morelanda, ale pomyślałem sobie, że ktoś musi mu o tym powiedzieć.

— Dlaczego?

— Dlatego że Moreland, niech Bóg ma w opiece jego cienką arystokratyczną skórę, bardzo poważnie traktuje dobro swoich kobiet, więc jeśli ktoś zbezczeszczył lady Maggie, kiedy nawet jeszcze nie skończyła szkoły, to pewnie ten ktoś będzie miał tylko jeden wybór: pistolety lub szpady. Prawda?

Spojrzenie niebieskich oczu Deene'a musnęło przelotnie twarz Bena, którego zaskoczyła intensywność emocji swojego rozmówcy.

— Wzdychasz do mojej narzeczonej, Deene?

— Skądże znowu. Byłem w wojsku z jej braćmi, jestem lojalny wobec jej sióstr. Stary Moreland pomógł mi uporządkować pogmatwane sprawy mojego zmarłego ojca. Uważam się za przyjaciela rodziny, a zatem i za przyjaciela Maggie Windham. Może nawet i za twojego, jeśli ci to coś da.

Ben się nie spodziewał takiego oświadczenia.

— Dobrze wiedzieć.

Deene skrzyżował ramiona na piersi i rozparł się w fotelu.

— Teraz mogę się już zdrzemnąć w spokoju. Bądź tak miły i po drodze powiedz kelnerowi, żeby przyniósł mi jeszcze jedną butelkę.

Ben jeszcze przez kilka chwil udawał, że czyta, a potem wstał i zamówił dla Deene'a najlepsze wino, jakie mieli w klubie.

Benjamin Portmaine był porządnym człowiekiem, mimo całej swojej bufonady, namiętych pocałunków i subtelnej manipulacji. Dzięki tym przymiotom znał brudne sprawki całej śmietanki towarzyskiej i nie zdradzał się ze swoją wiedzą nawet mrugnięciem oka.

Dlatego Maggie darzyła go takim zaufaniem i dlatego też udało jej się w miarę dobrze przespać noc, zanim zasiadła z nim do wczesnego śniadania, podczas którego stoczyli piękną walkę na argumenty.

— Co w takim razie proponujesz? — Poprawił się na krześle i rzucił jej gniewne spojrzenie ponad grzankami z masłem i hiszpańskimi pomarańczami. — Żebyśmy po prostu wysłali twoją siostrę do Halifaxu, nie mówiąc ani słowa Jego Wysokości i utrzymując całą sprawę w tajemnicy?

— Proponuję, że wyjadę z nią do Rzymu, gdzie Valentine ma znajomości. Zawiadomiłam już Ketteringa, żeby wypłacił mi gotówkę. Dzięki temu podróż będzie szybka i w miarę wygodna.

Spojrzął w sufit, a potem w okno. Spojrzął na stosik grzanek, stygnących obok jej talerza. A potem odezwał się z zabójczym spokojem.

— Co w takim razie powstrzyma Cecyli od znalezienia kolejnej rudowłosej ślicznotki i ogłoszenia, że to następna córka Jego Wysokości?

— Wielki Boże.

Wstała, bo połowa grzanki, którą przed chwilą przełknęła, podeszła jej z powrotem do gardła na tę myśl.

— Na pewno tak zrobi. Bez zmruczenia oka. W jednej chwili. Przez jakiś czas będzie szantażować Westhavena, poczeka, aż dziewczynka podrośnie i będzie się nadawać do nierządu, a potem z dziką radością zrujnuje Ich Wysokości.

W ogrodzie, przed oknami pokoju śniadaniowego, Millie rzucała patyki psu. Tak właśnie powinno wyglądać życie — idyllicznie i szczęśliwie.

— Maggie, musimy powiedzieć twoim rodzicom, co się tu dzieje. Po pierwsze, twój ojciec

powinien wiedzieć, że ma jeszcze jedną córkę, a po drugiej, potrzebujesz ich pomocy.

Był już obok niej, choć nie słyszała, że wstał od stołu. Pokręciła głową. Nie potrzebowała pomocy rodziny. Do tej pory dawała sobie radę bez nich i tak ma być dalej. Nie wiedziała tylko, jak to osiągnąć.

— Nie spodziewałam się, że zamiast pomagać, chcesz, żebym pobiegła z płaczem do Ich Wysokości.

Westchnął ciężko.

— Powinnaś pobiec do nich z płaczem od razu, gdy Cecily zaczęła ci grozić. Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zrobiłaś.

W jego głosie brzmiało szczere zdziwienie i odrobina zmęczenia.

— Podśluchiwałeś pod dziurkami od klucza przez całą noc, Benjaminie?

— Siedziałem do późna i myślałem. Przejdziesz się ze mną po ogrodzie?

Ta sama cierpliwość, która poprzedniego popołudnia tak ją uspokoiła, teraz była powodem do alarmu, tym bardziej że jego pocałunki i władcze zachowanie miały ją zbić z tropu. Oznaczało to, że będzie obstawał przy swoim rozwiązaniu równie twardo, jak ona przy swoim.

Gdy znaleźli się w ogrodzie, Millie dygnęła i chciała odejść, ale dzień był tak ładny, że Maggie kazała jej zostawić psa na dworze.

Ben wziął ją pod ramię i poprowadził ku fontannie. Pies popędził w przeciwną stronę, ścigając motyla.

— Czy to znaczy, że go polubiłaś?

— To dobry pies — odpowiedziała, zastanawiając się, co to ma wspólnego z tematem. — Jest rozsądny, nie podnieca się byle czym jak szczeniak.

— To dobrze.

Szli w milczeniu, aż w końcu Ben zaprosił ją gestem, by usiadła na ocienionej ławce. Usadowił się obok. Zrezygnowana Maggie czekała bez słowa.

— Napisałem w nocy do obu sióstr — powiedział cicho. Maggie z trudem powstrzymała się, by nie zajrzeć mu w twarz. — Zrozumiałem, że powinienem je przeprosić.

— Co cię do tego skłoniło?

— Ty. Podjęłaś decyzję, będąc jeszcze dzieckiem, i twardo przy niej obstawałaś. Zdobyłaś się na wielkie poświęcenie, chcąc zadowolić Cecily i nikomu nie sprawiać kłopotu, ale teraz powinnaś na nowo ocenić swoje możliwości, Maggie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiele lat temu, mniej więcej w okresie twojego debiutu na salonach, moje siostry zostały skrzywdzone przez pozbawionych honoru mężczyzn. Byłem za młody i za głupi, i nie wiedziałem, jak mam postąpić. Kazały mi przyrzec, że nie wyzwę tego drania na pojedynek, bo im to pomoże ukryć skandal. Zresztą łajdak zwiął na kontynent.

To wyznanie musiało go bardzo dużo kosztować; najlepiej świadczył o tym jego cichy głos.

— Benjaminie, tak mi żal. I ciebie, i twoich sióstr.

Splotła jego palce ze swoimi, ścisnęła jego dłoń i już jej nie cofnęła.

Dobrze się czuła z tym, że teraz ona dla odmiany go pociesza, choć mogła mu ofiarować tylko ten drobny gest.

— Mnie też było ich żal. — Ben uniósł ich złączone dłonie do ust i ucałował kostki jej palców. — Właśnie dlatego zostawiłem je w Blessings, kiedy powiedziały, że potrzebują spokoju i samotności, a sam pojechałem do Londynu szlifować miejskie bruki. A gdy Alex postanowiła zostać guwernantką, tak mi było jej żal, że nie spierałem się z nią wcale, choć jest córką hrabiego, utytułowaną lady i należy jej się coś więcej niż szkolna klasa, przeciagi na korytarzu i uczenie cudzych dzieci.

Maggie prawie dała się zauroczyć przyjemności obserwowania, jak jego wargi formują słowa, ale nagle zorientowała się, że wnioski z tej przemowy raczej jej się nie spodobają.

— Przez długie lata postępowałem tak, jak sobie życzyły. Zostawiłem je w spokoju. Ale ta samotność, Maggie, niczego nie rozwiązała. Owszem, podjąłem decyzję w trosce o ich dobro, ale tak naprawdę nie wiedziałem, co powinienem wtedy zrobić. Cały czas chciałem uniknąć poczucia

winy, że nie udało mi się zapewnić im bezpieczeństwa. Dopiero niedawno zdałem sobie z tego sprawę.

Umilkł, a serce Maggie zabiło mocniej. Poczucie winy, że nie udało mi się zapewnić im bezpieczeństwa...

— Przesadzasz, Benjaminie.

— Mówię prawdę. Zaslugujesz na nią, mimo że sama boisz się jak diabli i nie chcesz powiedzieć prawdy swoim rodzicom. Nie będą cię winić za spiski Cecily, Maggie. Nie stracisz przez to rodziny.

Z krzaków wybiegł pies i usiadł u stóp Maggie, opierając głowę na jej udzie. Pogładziła dłonią jego jedwabisty łeb, starając się oddychać spokojnie.

— Znienawidzą mnie. Gdyby nie ja, Cecily nie miałyby nad nimi władzy.

— Kochają cię. Gdyby nie oni, Cecily nie miałyby władzy nad tobą.

Ben dotknął sedna sprawy: całkiem możliwe, że Maggie nie tyle chciała chronić rodziców, ile samą siebie, i dlatego nie zwróciła się do nich o pomoc. Pragnęła w ten sposób ocalić dumę, swoje książęce koneksje i swoje serce — serce małej dziewczynki w ciele dorosłej kobiety.

— Muszę ci coś powiedzieć, Maggie.

Skinęła głową, nie patrząc mu w oczy. Współczucie w jego głosie powiedziało jej wszystko.

— Jutro wieczorem twoja matka zamierza oddać Bridget pod opiekę mężczyźnie, który najwięcej za nią zapłaci.

Nawet sztylet wbity prosto w serce nie zraniłby jej głębiej niż te słowa.

— Cecily zebrała tuzin najbogatszych i najbardziej rozpustnych kawalerów z towarzystwa i zaprosiła ich na wieczorek, nie kryjąc, że pod koniec imprezy odda Bridget temu, który zaoferuje najwyższą kwotę.

Oczywiście. A kiedy już Bridget będzie nieodwracalnie zrujnowana, Cecily opowie Jego Wysokości, jaki los spotkał jego najmłodszą, niewinną i bezradną córkę.

— Zawieź mnie do Jego Wysokości, Benjaminie.

Uklękła i objęła psa za szyję.

— Póki mam odwagę. Wezwij powóz i jedźmy do nich jak najszybciej.

Kobieta, która ukrywa swoje zmartwienia, jest irytująca dla większości mężczyzn. Ben nie należał do większości — on jeden nie uwierzył, że niezależna i pragmatyczna Maggie Windham niczego nie ukrywa przed światem.

Benjamin Portmaine chciał nie tylko poznać jej marzenia, ale także je spełnić.

— Wszystko będzie dobrze. — Pocięczał ją tak samo podczas innej podróży, zaledwie kilka tygodni wcześniej. Tak samo jak wtedy Maggie znalazła w nim oparcie, przynajmniej w dosłownym sensie.

— Tego nikt nie wie.

— Ja wiem. Szkoda, że ty nie jesteś pewna.

Opierał swoją ocenę na tym, czego dowiedział się o Percym Windhamie, czego domyślał się na temat Esther Windham, i na nadziejach, jakie wiązał z Maggie Windham.

Wciąż miała na palcu jego pierścione. Nie wierzył, że chciała go w ten sposób uchronić przed zgubieniem.

Choć Maggie bez przerwy plotła o wyjeździe za granicę i o statkach, nie zamierzał puścić jej samej w podróż z siostrą. Uważał, że nie o takim zakończeniu marzyła.

Nie wierzył też, że Cecily wycofa się dobrowolnie, chyba że książę wytoczy swoje wszystkie działa i przeszkodzi jej w realizacji planów. Nie można było sfingować nieszczęśliwego wypadku, który by ją wyeliminował — w końcu była matką Maggie, a Maggie miała tendencję do obarczania się winą za wszystko.

Właśnie zmarszczyła brwi i wyjrzała z okna powozu.

— Chyba jest u nich Westhaven. Nie rozpoznaję tego drugiego powozu.

— To Deene.

— Umówiłeś się tu z nimi?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby ukryć swoją rolę, ale doszedł do wniosku, że nie warto.

— Tak jest. Gdyby St. Just i lord Valentine byli w mieście, też bym ich zaprosił. A także Sindalę, bo jest z mojej rodziny i należy też do twojej.

Zamknęła oczy i westchnęła z irytacją.

— To jest prywatna sprawa, Benjaminie. Jakim prawem chciałeś ściągnąć tu cały regiment? Nikt ci za to nie podziękuje, ani księżęca para, ani ja.

— Owszem, podziękujesz, ale zanim wejdziemy, muszę ci przekazać jeszcze jedną plotkę. Otworzyła oczy. Ben jeszcze u nikogo nie widział takiego połączenia desperacji i urody.

— O co chodzi?

— Niektórzy utrzymują, że Bridget jest twoją córką. Deene twierdzi, że jeśli to prawda, twój ojciec powinien kogoś wyzwąć na pojedynek.

Przechyliła głowę.

— Lucas naprawdę tak powiedział?

— Owszem, do mnie. Poza tym potrzebujemy prawniczej wiedzy Westhavena, choć masz więcej zaufania do Ketteringa. W takie sprawy lepiej nie mieszać prawników, chyba że nie ma innego wyjścia.

Zadygotała.

— Żadnych prawników.

— Przynajmniej w tym się zgadzamy.

Zanim wysiadł z powozu, pocałował swoją narzeczoną.

— To na odwagę, Maggie Windham, choć ci jej nigdy nie brakuje.

Spojrzała na niego oczyma błyszczącymi ze strachu.

— Masz jakiś plan.

— I to niejedyn. Wszystko zależy od tego, co powiedzą twoi rodzice. Zaufaj mi, że wybiorę najlepszy z możliwych. Tylko tyle od ciebie chcę.

Żeby znów nie doszło do sprzeczki, wyskoczył z powozu i pomógł jej wysiąść. Zrobiła to z wdziękiem i godnością damy wychowanej pod księżęcym dachem. Podał jej ramię, mając nadzieję, że spełni te wszystkie obietnice, choć jeszcze nie miał pojęcia jak.

— Mówisz, że Hazelton was tu wezwał? — Percival, książę Moreland, spojrzał uważnie na swego syna, a potem na markiza. Deene. — Obydwu?

— Tak jest, Wasza Wysokość — odpowiedział Deene. Westhaven tylko skinął głową. Bystry wzrok ojca dostrzegł lekki niepokój w jego oczach.

— Jak na kogoś, kto dopiero niedawno zyskał zgodę Maggie na ślub, śmiało sobie poczyina. Najdroższa, czy wiesz, o co mu chodzi?

Księżna nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, kiedy w drzwiach salonu pojawił się lokaj.

— Wasze Książęce Wysokości, milordowie, przybyła lady Maggie z lordem Hazelton.

Podczas powitania i zamawiania tacy z herbatą, Jego Wysokość uważnie przyglądał się swojej najstarszej córce i obserwował, jak Ben Portmaine troszczy się o nią i dba o jej wygodę niczym stara kwoka albo raczej zakochany po uszy kogucik. Jego Wysokość poczęstował wszystkich herbatą — książę nie znosił, jeśli na tacy nie było też ciastek z kremem — i wszyscy umilkli, czekając, aż Hazelton powie im, po co ich tu zgromadził.

Ale ile można czekać.

— Hazelton, jeśli przyszlście tu, żeby nas poinformować, że za parę miesięcy zostaniemy dziadkami, to nie rozumiem, czemu zawdzięczamy obecność Deene'a.

Zasłużył tym sobie na zmarszczenie brwi księżnej, ale przetrwał już wiele zmarszczeń jej brwi i chmurnych spojrzeń.

— Wasza Wysokość, Deene posiada informacje, które przydadzą się podczas tej rozmowy — odparł Hazelton, mało dbając o konwenanse. — Mam nadzieję, że lady Maggie może liczyć na dyskrecję lorda Deene.

— Oczywiście — zapewnił ów przystojniak, stojący przy kominku w swobodnej pozie. —

Rodzina Windhamów zawsze może liczyć na moją dyskrecję. To nie ulega wątpliwości.

Święta prawda. To właśnie Deene opowiedział rodzinie o smutnych okolicznościach śmierci Bartholomew w portugalskiej tawernie i dzięki jego dyskrecji nigdy nie stały się one tematem plotek.

— Daj spokój, Deene. Jestem już taki stary, że nawet na sekundanta się nie nadaję.

Kolejne zmarszczenie brwi Jej Wysokości, tym razem bardziej znaczące.

— Wasze Książęce Mości — odezwała się Maggie bardzo cichym głosem. — Muszę wam o czymś powiedzieć, tylko nie wiem, od czego zacząć.

— Najlepiej powiedz wprost, kochana. Żadne z nas nie należy do mięczaków i na pewno poradzimy sobie ze wszystkim. — Pomimo tego buńczuczności książe poczuł jednak ukłucie w piersi. Nigdy nie mieli z Maggie najmniejszych problemów, a mimo to twarz księżnej zmieniła się w maskę zwodniczej uprzejmości.

Maggie wymieniła spojrzenia z Hazeltonem, jakby porozumiewali się bez słów.

— Nie mam pojęcia, jak to inaczej powiedzieć. Moja matka, Cecily, twierdzi, że mam siostrę.

Skupiła spojrzenie na księciu.

— I że nie jest to przyrodnia siostra.

— Och, na litość boską. — Jej Wysokość wstała zza zastawionego stolika i zaczęła chodzić po salonie. — Kiedy ci powiedziała o tej domniemanej siostrze?

Maggie obserwowała, jak księżna podchodzi do okna.

— Wkrótce po jej urodzeniu. Bridget jutro kończy piętnaście lat.

Książę, który jednocześnie próbował dokonać obliczeń, obserwować córkę i patrzeć, jak gniew ukazuje się na obliczu jego żony, zwykle tak spokojnym, nie wiedział, co powiedzieć, a to zdarzało mu się niezmiernie rzadko.

— Moja kochana, może chciałabyś na chwilę...

Hazelton przerwał.

— Proszę, by Ich Książęce Mości pozwoliły lady Maggie powiedzieć wszystko do końca.

Maggie była mu chyba wdzięczna za tę interwencję, więc książe ugryzł się w język i spojrzeniem poprosił żonę o cierpliwość. Jej Wysokość zachowała się jeszcze lepiej. Przeszła przez pokój i wsunęła dłoń w jego rękę.

— Bridget jest śliczna — powiedziała Maggie. — Więc jej matka chce dla niej... niegodnego życia, a ja nie wiem, jak ją powstrzymać. Tak mi przykro... Bardzo was przepraszam. Nie chciałam, żebyście o tym wiedzieli, ale Cecily jest sprytna i zna się na prawie, a ja...

Hazelton objął ją ramieniem. W salonie zapadła cisza. Westhaven unikał spojrzenia swoich rodziców, Deene spochmurniał, a książe czuł, jak siedząca obok księżna aż kipi z hamowanej urazy.

— Esther — powiedział bardzo spokojnie, dumny, że udało mu się powstrzymać astmatyczną nutę w oddechu. — Nie jest tak, jak myślisz.

— Co więcej — wysyczała księżna przez zaciśnięte zęby — nie jest tak, jak Maggie myśli.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, ale księżna wbiła gniewne spojrzenie zielonych oczu w jego ukochaną Maggie.

— Maggie Windham, jesteś wyjątkowo inteligentna i prawdopodobnie masz więcej rozumu niż wszyscy twoi bracia razem wzięci. Kiedy zawarto pokój w Amiens?

Maggie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Najważniejsze postanowienia negocjowano latem i jesienią 1802.

— A kiedy urodziła się ta cała Bridget?

— Wiosną 1803 roku. — Brwi Maggie zbiegły się ku sobie. — A wy byliście wtedy razem w Paryżu, razem z resztą londyńskiej socjety. Wyjechaliście na długie miesiące.

— Ta dziewczynka, ta Bridget, rzeczywiście może być twoją siostrą — podsumowała księżna surowym, ostrym głosem. — Ale to nie książe jest jej ojcem.

Książę odetchnął. Wstrzymywał oddech od dłuższej chwili.

— Sam bym tego lepiej nie ujął. Tylko, o ile dobrze rozumiem, Maggie i tak zależy na tej małej.

— I słusznie, skoro dziecko pozostaje w rękach tej zmił. — Księżna wypluła te słowa. — Nie mogę uwierzyć, że ta baba zdobyła się aż na taką bezczelność, żeby cię w to wplątać.

Hazelton wstał, zanim Jego Wysokość zmienił temat na mniej bulwersujący.

— Choć ryzykuję spór z moją przyszłą teściową, śmiem twierdzić, że księżna doskonale wie, do jakich granic Cecily potrafi się posunąć.

Przed oczyma księcia jego cudowna małżonka przemieniła się z oburzonej, owładniętej niepokojem kobiety w zielonooką damę.

— Lordzie Hazelton. — Księżna wyprostowała się na całą wysokość. — Życzę sobie, żebyś staranniej dobierał słowa w tym domu.

Hazelton spojrzał na Maggie, której dłoń trzymał w swoich dłoniach, mimo obecności jej rodziców. Potem podniósł na księżną współczujący wzrok:

— Przepraszam, że o to pytam, ale od jak dawna Cecily szantażuje Jej Księżęcą Mość?

Och, ta uraza w błękitnych oczach Percy'ego, to jego zakłopotanie. Jak przykro było Esther na to patrzeć.

— To właściwie nie jest szantaż. — Mówiąc te słowa, Esther patrzyła na Westhavena, z kamienną miną obserwującego ją ze swego miejsca po przekątnej salonu. Zresztą, może przyglądał się im obojgu.

A Maggie... kochana, najdroższa Maggie, rozdarta pomiędzy ulgą a konsternacją. Deene był wyraźnie znudzony, a Hazelton chyba niepokoił się o swoją narzeczoną.

— Księżno — powiedział jej mąż. — Nie musisz się tłumaczyć. Z niczego.

Kochany Percy Windham. W jego spojrzeniu był spokój i zrozumienie, z odrobiną troski o jej spokój, ale żadnej urazy ani nawet śladu krytyki.

— Chyba za długo milczałam na ten temat — powiedziała w końcu. — Może i nie muszę się tłumaczyć, ale powinnam przeprosić.

— Mnie nie... — zaczął dzielnie księżę, ale uciszyła go spojrzeniem.

— Owszem, ciebie, a przynajmniej Maggie. Cecily zwróciła się do mnie wkrótce po tym, jak Maggie u nas zamieszkała.

— Ale przecież zapłaciliśmy tej przeklętej babie! Zaadoptowaliśmy Maggie i to powinno zakończyć sprawę.

— Tak, powinno — powiedziała Esther. — Usiądziemy?

— Naturalnie, kochanie. — Pomógł jej usiąść, a potem rzucił synowi gniewne spojrzenie. — Westhaven, przestań snuć się pod oknem jak jakaś przyzwoitka. Deene, daj mu się czegoś napić, a ty, Hazelton, nalej Maggie herbaty, zanim padnie zemdlna w twoje chętne ramiona.

Gdy młodzi mężczyźni wypełniali jego polecenia, które wydał, aby dać Esther czas na ochłonięcie — Esther była tego pewna — księżna wygładziła fałdy sukni i dobrała odpowiednie słowa, by wyjaśnić, jak błędna decyzja zmieniła się w katastrofalną.

— Cecily spotkała się ze mną w kilka tygodni po adopcji i sprawiała wrażenie, że naprawdę zależy jej na Maggie. W trakcie rozmowy przyznała się, że chciałaby widywać Maggie i spędzać z nią czas.

Esther zmusiła się, by spojrzeć Maggie w oczy, mając nadzieję, że znajdzie w nich tolerancję. Może kiedyś przyjdzie czas na przebaczenie — Maggie naprawdę miała dobre serce, ale teraz musiała powiedzieć jej prawdę.

— Nie uwierzyłam w jej dobre zamiary i wkrótce okazało się, że jeśli chcę utrzymać ją z dala ode mnie i od mojej rodziny, to muszę jej to stosownie wynagrodzić.

— Mój Boże... — Księżę, który przysiadł na oparciu jej fotela, skrzywił się okropnie. — To dlatego ciągle gubiłaś biżuterię, prawda?

Westhaven zwrócił się w stronę serwisu do herbaty:

— I dlatego też moja matka, jedna z najbardziej inteligentnych kobiet w tym kraju, nigdy nie mogła doliczyć się pieniędzy na drobne wydatki.

— Obaj macie rację i bardzo was za to przepraszam, ale uważałam, że porachunki z Cecily to moja powinność. Gdy adoptowaliśmy Maggie, zostałam jej matką i od tej pory miałam prawo i

obowiązek ją chronić.

— Och, moja najdroższa... — Księżę uniósł jej dłoń do ust i ucałował kostki palców. — Moja ukochana, szkoda, że mi tego nie powiedziałaś. Udusiłbym tę babę, albo i samego siebie, za to, że się z nią skuteczniej nie rozprawiłem.

— A co mógłbyś z tym zrobić, tato? — odezwała się Maggie. Esther z przyjemnością i pewnym zaskoczeniem przyjęła tę obronę z jej strony. — Przecież nawet teraz Cecily utrzymuje, że Bridget jest twoim dzieckiem. Gdybyś się z nią zaczął kontaktować, dostarczyłbyś jej po prostu kolejnych argumentów przeciwko sobie. Jeśli uznała, że Jej Wysokość może jej zapłacić tak ogromne pieniądze, to pomyśl tylko, ile zdołałaby wyciągnąć bezpośrednio z księżęcej kieszeni.

— Też racja. — Księżę poklepał dłoń Esther ze zmartwioną miną. — Uważam jednak, że powinniśmy teraz zająć się twoimi sprawami, córko. Opowiedz nam o swoich kontaktach z tą zdradziecką Jezebel, wybaczenie mi to oczywiście skojarzenie, i o powodach tych kontaktów.

— Nie musisz odpowiadać — odezwała się Esther, doskonale świadoma, że prawie otwarcie sprzeciwia się swemu ukochanemu małżonkowi przy ludziach. — Dawne historie są mało ważne, powinniśmy raczej zająć się sytuacją Bridget.

Dłoń Maggie pozostała w dłoni Hazeltona. Esther zauważyła, że hrabia ścisnął palce swej wybranki, ale nie odezwał się ani słowem.

— Trzeba to wyjaśnić — powiedziała Maggie. — Sytuacja Bridget jest powiązana z moją własną. Cecily żądała ode mnie pieniędzy od czasów mojego debiutu w towarzystwie, a ja zawsze jej płaciłam.

Wymieniła kwotę, która sprawiła, że księżę cicho zaklął pod nosem, a Westhaven zacisnął szczęki. Deene — mądry człowiek — napełnił kieliszek Jego Księżęcej Mości i podał karafkę Westhavenowi. Maggie zbieła kostki palców, tak mocno ścisnęła dłoń Hazeltona.

— Mów dalej — zachęciła ją księżna. — Jakie było przeznaczenie tych pieniędzy?

— Na naukę moich braci, mam młodszego braci bliźniaków, i na dostatnie utrzymanie Bridget. Cecily stale się przeprowadza. Pewnie chowa się przed dłużnikami, ale wszystkie jej mieszkania są zawsze pięknie urządzone, a suknie szyte według najnowszej mody. Od czasu do czasu pozwala mi spędzić trochę czasu z Bridget i możemy do siebie pisywać. Zawsze chciałam, żeby Bridget w końcu zamieszkała ze mną, tylko nie wiem, jak do tego doprowadzić.

Jego Księżęca Mość wpatrywał się w swój kieliszek.

— Niezły ambaras. Hazelton, ty zwołałeś to spotkanie, więc zakładam, że masz jakiś pomysł na pokrzyżowanie planów Cecily. Udusić takiego potwora to za mało.

Esther było go żal. Nie mógł publicznie okazać rozczarowania jej zachowaniem ani ojcowskiego smutku z powodu cierpień córki, którą za wszelką cenę starali się chronić.

— Benjamin rzeczywiście ma plan — powiedziała Maggie, wstając. — Ale ja muszę się trochę przewietrzyć. Przejdziesz się ze mną, księżno?

Esther w jednej chwili skoczyła na równe nogi.

— Naturalnie. Percy, najdroższy, tylko bez krzyków. Teraz potrzebna jest chłodna kalkulacja.

Pocałowała go w policzek, wyszeptwała kilka serdecznych słów na przeprosiny i wyszła z salonu, zarazem godna i skruszona, jak każda matka, która spodziewa się usłyszeć gorzkie wyrzuty od dorosłej córki.

— Jak ci się to udawało? — Maggie wzięła księżną pod rękę i razem ruszyły ścieżką obsadzoną karminowymi tulipanami. Pomimo spokojnego tonu głosu Maggie najchętniej popędziłaby przed siebie i biegła tak bez końca i bez odpoczynku.

— Płacić Cecily?

— Nie, oszukiwać tatę. Jak mogłaś to znieść?

Księżna zmarszczyła brwi.

— Przyprowadziłaś mnie tutaj tylko po to, żeby usłyszeć odpowiedź na to pytanie, Maggie? Spodziewałam się, że zamierzasz natrzeć mi uszu, mówiąc łagodnie.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

Szły ramię w ramię, tworząc idealny wizerunek dam podczas sielskiej przechadzki, ale

serce Maggie nie przestawało dziko tłuc się w piersi.

— Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby chronić nas obie — odpowiedziała księżna. — Wiem, że myślisz sobie teraz, iż izolowałam cię od własnej matki, od kobiety, która nosiła cię pod sercem i opiekowała się tobą w niemowlęctwie. Tylko że w głębi ducha, i serca, zawsze wiedziałam, że jeśli się spotkacie, nawet na jedno popołudnie, to może nigdy cię już więcej nie zobaczę. Nawet jeśli ona nie zabierze mi ciebie w sensie fizycznym, to cię... zbruka. Zwątpieniem we własne siły, zamętem w myślach albo czymś jeszcze gorszym. Nie oczekuję, że się z tym pogodzisz, ale proszę, uwierz mi, że mówię uczciwie.

Kobieta idąca obok Maggie wyglądała jak księżna Moreland. Miała takie same zielone oczy, tę samą patrycjuszowską urodę i nieskazitelne maniery, ale była o wiele bardziej ludzka niż wcześniej, a przy tym emanowała pełnym godności smutkiem, w który nie sposób było nie uwierzyć.

— Zgadzam się z tobą — odpowiedziała Maggie powoli. — Cecily nie ma honoru.

Księżna rzuciła jej nieodgadnione spojrzenie.

— Twój ukochany papcio, którego kocham nad życie, powiedziałałby, że nikt nie oczekuje od kobiety, że będzie kierować się honorem. Ale między nami mówiąc, Maggie, wcale się z nim nie zgadzam. Miałas rację, mówiąc, że nie mogłam mu przekazać tej sprawy.

— Bałaś się, że Cecily znowu się z nim zwiąże?

Niespełna godzinę temu to pytanie byłoby nie do pomyślenia.

— Nie w tym sensie. — Księżna pochyliła się, by powąchać późno rozkwitłego żonkila. — Dobrze to ujęłaś. Wykorzystałaby wszelkie kontakty do swoich celów. Twojemu ojcu czasami brak subtelności.

Nigdy nie był subtelny.

— Chcesz powiedzieć, że próbowaliby to załatwić wprost?

— Najprawdopodobniej tak, a ona postarałaby się, żeby go nakryto z bronią albo w jej towarzystwie w całkiem nieodpowiedniej pozycji, najlepiej w przeddzień twojego debiutu.

Maggie szła obok księżnej, mając wrażenie, że jej świat zupełnie oszalał.

— Próbowalaś mnie przed nią chronić, a ja cały czas myślałam, że chronię ciebie i księcia.

Mimo tych słów serce Maggie dalej tłukło się w piersi, a jakieś niezrozumiałe napięcie nakręcało się coraz mocniej, jak sprężyna zegara.

— Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, ale jedno jest pewne. Nie można pozwolić, by Cecily skazała moją siostrę na życie w rozpuście. Z drugiej strony, nie może dalej wykorzystywać tej rodziny.

— Maggie. — Jej Wysokość mrugnęła w stronę samotnego żonkila. — Może wystarczy, żeby Cecily nie mogła wykorzystywać ciebie?

— Mam mnóstwo pieniędzy — odpowiedziała Maggie. Pierwszy raz przyznała się do tego swoim książęcym rodzicom. — Naprawdę mnóstwo. Wykorzystywała mnie, ale nie chodziło o pieniądze.

— Moja najdroższa. — Księżna spojrzała jej w oczy, a Maggie z przerażeniem ujrzała, że ona płacze. — Teraz już wszystko rozumiem. Odrzucałaś wszystkich zalotników, bo Cecily szantażowałaby cię także i po ślubie. Nie utrzymujesz kontaktów towarzyskich, jak przystało na osobę z twojej sfery, żeby ta kobieta nie mogła wykorzystać twoich znajomości przeciwko tobie. Ten strach przenika każdą sferę twojego życia. Wyprowadziłaś się z rodzinnego domu, żeby lepiej radzić sobie z jej knowaniami. Widzę to teraz, Maggie, i rozumiem, dlaczego nie mogłaś zaufać ani mnie, ani twojemu ojcu, i nie poprosiłaś nas o pomoc. Kochanie, jest mi naprawdę ogromnie przykro.

Ból rozsadzający pierś Maggie o mało jej nie zadusił, ale księżna jeszcze nie skończyła.

— Pozwól, żeby twój hrabia zajął się Cecily, Maggie. To jego powinność. Słusznie powiadomił księcia o wszystkim. Tacy mężczyźni, jak nasi, muszą chronić swoje kobiety, a my musimy im na to pozwolić.

— Ale Cecily nie można zaufać — odpowiedziała Maggie, z trudem przełykając ślinę, żeby pozbyć się bólu w gardle. — Oni nie znają jej tak dobrze, jak my, i nie będą wystarczająco czujni,

żeby przewidzieć jej podstępny.

— Twoja matka trafiła w końcu na lepszego od siebie. Hazelton ją przechytry, sama zobaczysz. — W głosie księżnej brzmiała niezachwiana pewność.

Maggie zamknęła oczy i z trudem szepnęła:

— Ona nie jest moją matką. Ta okropna, fałszywa, samolubna, nienormalna kobieta nie jest moją matką.

Stała wśród purpurowych tulipanów z twarzą zalaną łzami. Po chwili poczuła, jak obejmują ją szczupłe ramiona i delikatna dłoń gładzi ją po włosach.

— Oczywiście, że nie, moja kochana — odpowiedziała księżna z dumą w głosie. — Ja jestem twoją matką. Jego Książęca Mość jest twoim ojcem, a ty jesteś naszą córką.

Ben stał w oknie salonu i nie rozglądał się na boki, żeby nie widzieć obok siebie trzech dorosłych mężczyzn, na których twarzach malował się taki sam niepokój, jaki go teraz dławił. W końcu Westhaven odważył się pierwszy:

— Albo wszyscy nabraliśmy upodobania do czerwonych tulipanów, albo ktoś powinien pójść po damy i je tu sprowadzić. Chyba żadna z nich nie wzięła ze sobą chusteczki.

Deene zacisnął wargi.

— Wyznanie miłości, takie jest znaczenie czerwonych tulipanów.

Księżę uśmiechnął się półgębkiem.

— Oj, młodzi, młodzi. Mało z butów nie wyskoczą na widok sentymentalnych kobiet. Pójdę tam, bo i mnie zbiera się na wyznania.

Odstawił kieliszek i wyszedł.

— Małżeństwo — oświadczył Westhaven — wymaga szczególnego rodzaju odwagi. Zaczynam dochodzić do wniosku, że kawalerskie doświadczenie księcia całkiem nieźle mu się przydaje.

— Chodźcie. — Ben wziął ich pod ramię, ale żaden nawet nie drgnął. — Do tej szarzy nie potrzeba mu publiki. Chciałbym wam przedstawić kilka pomysłów. Jeśli wam się spodobają, to razem będzie nam go łatwiej przekonać.

Westhaven uśmiechnął się, kubek w kubek jak ojciec.

— Nie licz na to. Windhamowie potrafią stawać okoniem ot, tak sobie, dla sportu.

Ben nie był pewny, czy to ma być żart, czy ostrzeżenie.

— Motto rodziny Portmaine brzmi: „Wyzwania to dla nas sens życia”.

Deene uniósł blond brew.

— Wymyśliłeś to na potrzeby chwili. Jesteś z północy, więc założę się, że wasze motto brzmi: „Bogu dzięki za życzliwe owieczki”, albo coś w tym stylu.

Ben o mało się nie roześmiał, pomimo powagi sytuacji.

— Westhaven, czy uda ci się zdobyć coś bardziej odżywczego niż ciasteczka? Maggie musi odzyskać siły. Deene, jeśli po usłyszeniu mojej propozycji będziesz miał ochotę wyzwać mnie na pojedynek, proszę cię, pamiętaj, że próbujemy ocalić honor damy, a raczej kilku dam.

Wargi Deene’a zadrgały.

— To się staje coraz ciekawsze. Usiądziemy?

Westhaven rzucił ostatnie spojrzenie na ogród. Księżę szedł, trzymając żonę za rękę, a drugim ramieniem obejmował córkę. Maggie wyglądała słodko i nieśmiało, jak jedenastoletka.

— Chodźmy stąd. — Deene wziął Bena za ramię. — Będziesz się mógł na nią gapić do woli przez resztę życia, pod warunkiem że zrobisz na niej stosowne wrażenie, uwalniając pewną damę z opresji.

Westhaven poprowadził Bena z drugiej strony. Posadzili go na sofie, a sami rozsiedli się na fotelach.

— Teraz — zaczął Westhaven — możesz nas wprowadzić w szczegóły.

W oczach Maggie dzień stał się nagle świetlisty i piękny. Księżęce ogrody, z którymi wiązały się jej najszcześniejsze wspomnienia, stanowiły odpowiednie tło dla uczucia niesłychanej ulgi, które przeniknęło ją całą.

— Zawsze byłaś ciekawskim dzieckiem — mówił księżę. — Doprowadzałaś tym braci do szału i dopingowałaś ich do nauki. Twoja matka zwróciła mi na to uwagę.

Jej matka. Księżna, którą trzymał za rękę, promieniowała wdziękiem, choć chwilę temu osuszyła łzy, swoje i Maggie.

— To oni mnie dopingowali — odpowiedziała Maggie. — Przecież nie mogłam pozwolić, żeby gromadka smarkaczy dokuczała mi, że robię błędy w łacińskich recytacjach.

— Pewnie, że nie. — Księżę ucałował jej skroń gestem, który pamiętała z dzieciństwa. — Przecież jesteś Windhamówną. Jeśli Westhaven choć w połowie spełni wygórowane oczekiwania

swojej mamusi, to tylko dlatego, że siostry go dobrze przeszkoliły.

Odwrócił się do żony, nie puszczając Maggie.

— Ukochana, twoje ogrody są z roku na rok piękniejsze, ale chyba nie pozwolimy tym gołowąsom knuć planów bez nadzoru z naszej strony?

Księżna spojrzała z ukosa na Maggie.

— Twój ojciec niepokoi się, że zjedzą mu wszystkie ciastka z kremem, i tyle. Ale rzeczywiście chodźmy do środka. Twój hrabia pewnie już się niepokoi, że się przemęczysz.

Rodzice zaprowadzili ją do domu. Idąc spokojnym krokiem u ich boku, Maggie doszła do wniosku, że to nie tylko ulga zmieniła świat w cudowne, bezpieczne miejsce, jakiego nie знаła od lat. Tak, czuła cały ocean ulgi, obok żalu, niepokoju o siostrę i smutku z powodu długich lat spędzonych w samotności. Ale przede wszystkim jej serce, pełne radości, wdzięczności i ulgi, śpiewało pieśń miłości tak potężnej i wielkodusznej, że promieniowała z całej jej postaci i rozjaśniała całe jej życie.

— Deene jest idealną osobą do tej roli. — Ben usiadł wygodnie i spojrzał na Maggie. Siedziała obok niego, trzymając go za rękę. Wyczuwał nie tylko jej napięcie, ale i zaufanie, jakim go obdarzała.

— Też mi się tak wydaje. — W głosie Deene'a brzmiała arystokratyczna obojętność, ale Ben dostrzegł ogniki w jego błękitnych oczach. — Wszyscy wiedzą, jak bardzo podobają mi się rudowłose kobiety. Mam nadzieję, że obecna tu dama wybaczy mi przyznanie się do tej słabostki. Jestem kawalerem, niedawno odziedziczyłem tytuł i lubię sobie dogadzać w pewnych sprawach.

— W większości spraw — poprawił go Westhaven. — Bardzo nam się to przyda. Kiedy wyznaczono to spotkanie?

— Jutro wieczorem — odparł Ben. — Niestety nie znamy adresu, bo Deene nie dostał zaproszenia.

Księżę rzucił księżnej znaczące spojrzenie.

— Mam pewien pomysł. Wprawdzie nie znam adresu, pod którym ma się odbyć to niesmaczne wydarzenie, ale mamy przynętę, która może pomóc w jego pomyślnym zakończeniu.

— Przynętę? — Benowi od razu się to spodobało; Moreland był znany z przewrotnych pomysłów, choć w przypadku księcia należałoby raczej eufemistycznie mówić o przemyślności lub sprycie.

— Percivalu, czy jesteś tego pewny? — Jej Wysokość wyraźnie posiadała zdolność czytania w myślach męża, co wiele mówiło o przemyślności pewnej ogólnie szanowanej księżnej.

— Całkowicie pewny, kochanie. Zaraz wracam. — Wyszedł z pokoju i powrócił po krótkiej chwili, niosąc kilka pięknie rzeźbionych szkatulek, niewysokich, ale za to dość długich. — Klejnoty Morelandów. — Otworzył pierwszą z nich, pokazując wszystkim komplet ze złota i szmaragdów: tiarę, naszyjnik, klipsy, bransolety i pierścionki. Klejnoty lśniły kusząco na tle ciemnobrązowego aksamitu. — Oto, jak wyglądają.

Maggie zajrzała do szkatułki.

— Są prawdziwe?

Ben rzucił okiem na klejnoty, a jego szacunek dla księcia wzrósł jeszcze bardziej.

— Moim zdaniem, nie. Gdy księżna zaczęła coraz częściej gubić swoją biżuterię, Jego Wysokość kazał jakiemuś bardzo dyskretnemu jubilerowi wykonać dla niej ten komplet, żeby pokazywała się w nim publicznie. To w większości czeskie szkło.

Westhaven wyjął szkatułkę z rąk ojca.

— Doskonała imitacja.

— A do tego — Jego Wysokość poruszył siwymi brwiami — mamy ich mnóstwo.

Wystarczy, żeby oszołomić chciwą babę i wykupić niewinną dziewczynkę z jej łap.

— Mam pewne zastrzeżenia co do tego dokumentu — wtrącił Deene. — Westhaven, czy jesteś pewny, że to będzie wiążące?

— Absolutnie pewny. Nieślubne dzieci kobiety pozostają pod jej wyłączną opieką, a ich ojciec nie ma żadnych prawnych zobowiązań do ich utrzymywania ani też żadnych praw do nich. Podpis Cecily będzie wiążący, ale najlepiej byłoby zapewnić obecność świadków, czyli kilku

mężczyzn, którzy będą trzeźwi, przytomni i w razie potrzeby poświadczą, że podpisała ten dokument w ich obecności, z własnej nieprzymuszonej woli. A jeśli mam to przygotować na jutro w kilku egzemplarzach, to muszę się zbierać.

— Ja też już pójdę. — Deene wstał i skłonił się damom. — Muszę się dziś dopytać o adres tego spotkania, na które mam się wędrczyć, wiedziony namiętnym zainteresowaniem wdziękami tej młodej damy.

Dla kogoś o takiej reputacji nie będzie to dużym problemem.

Ben nie wypowiedział tej uwagi na głos, ale cień uśmiechu w oczach Maggie zdradził mu, że podsłuchiwała jego myśli.

— W takim razie zabieram lady Maggie do domu — powiedział. — Ja też muszę się dowiedzieć paru rzeczy.

Gdy już usadowił swoją narzeczoną w powozie, objął ją ramieniem, a ona ulegle przytuliła się do niego.

— Jesteś podejrzanie milcząca, Maggie Windham.

Nie odezwała się, dopóki konie nie przeszły w kłus.

— Próbuję znaleźć jakąś wadę twojego planu.

— Zdradzę ci ją. — Splótł swoje palce z jej palcami i zdecydował się na całkowitą szczerłość. Do diabła z ostrożnością. — Wadą tego planu jest to, że musimy oddać jego wykonanie w cudze ręce. Gdyby twoja biologiczna matka nie widziała nas w parku, mógłbym udawać jednego z tych napalonych nieszczęśników, którzy przyszli potargować się o wdzięki twojej siostry, ale w obecnej sytuacji uznalaby ten zbieg okoliczności za zbyt podejrzany. Nigdy nie uwierzy, że twój oddany narzeczonej ma apetyt także i na twoją siostrę.

— Prawda. — Maggie pocałowała go w policzek. Cóż za niespodziewanie miły gest, zdziwił się Benjamin. — Oboje musimy teraz polegać na innych. To chyba niepokoi ciebie równie mocno jak mnie.

— Ale może właśnie tego oboje potrzebujemy. Zdaje się, że Ich Wysokości i Westhaven mają pełne zaufanie do Deene'a.

— Bo jemu naprawdę można zaufać. Myślę, że jego udział nie będzie wadą tego planu.

Ucałował jej skroń i to też było bardzo miłe.

— Jeśli doszukasz się jakiegoś błędu w moich planach, powiedz mi o tym, dobrze?

— Może niepotrzebnie się martwię.

— Twoja rodzona matka to nie byle jaki przeciwnik. Czy wiesz, że ksiązę podejrzewał księżną o jakieś machinacje z tymi klejnotami?

— Na przykład przekazywanie jej Sophie na cele dobroczynne?

— Być może. Cecily najpierw chciała szantażować księcia, ale postraszył ją więzieniem. Zniknęła, a jemu nie przyszło do głowy, że ona będzie nachodzić jego kobiety.

Maggie westchnęła i przytuliła się mocniej.

— Papa będzie się tym dręczyć.

— Pewnie dręczył się tym od dnia, kiedy uległ wdziękowi twojej matki.

— Twierdzi, że nie — odpowiedziała sennie. Nic dziwnego, miała dziś tyle przeżyć. — Mówi, że szczęście, jakie go spotkało w rezultacie tego nierozważnego postępowania, było o wiele większe niż wszelkie przemijające kłopoty. Jego zdaniem księżna uważa tak samo.

Ludzkie twarze, jakie wychyliły się zza arystokratycznych tytułów, dały mu lekcję pokory. W porównaniu z książeńcami kłopotami jego niewielkie hrabstwo na północy wydało mu się spokojnym zaciszem. Pod warunkiem że wybierze właściwą żonę.

— Maggie, czy jesteś zadowolona, że chcemy wystrychnąć twoją rodzoną matkę na dudka i uratujemy siostrę?

Poruszyła się lekko, a jej ciężar i ciepło były tak zachęcające, że Ben o mało nie nakazał stangretowi, by zwolnił.

— Jeszcze nie jestem zadowolona, ale za to pełna nadziei, Benjaminie. Po raz pierwszy od lat mam nadzieję. Ale ona nie jest już moją matką. Cecily nie jest moją matką i zastanawiam się, czy kiedykolwiek zasługiwała na to miano, niezależnie od tego, co nas niegdyś łączyło.

Uśmiechnął się w jej włosy, ucałował skroń i przytulił do siebie. A więc stąd wziął się ten spokój, który ogarnął Maggie, jej zaufanie i nadzieja, na które w końcu sobie pozwoliła. Jeśli Bóg pozwoli, dzięki temu wszystkiemu Maggie znajdzie w sobie dość siły, by zostać jego żoną i matką jego dzieci.

Ruch powietrza sprawił, że Ben podniósł wzrok. W drzwiach salonu stał Archer.

— Rozumiem, że dama twego serca cię odrzuciła?

— Skąd wiesz? — Archer wszedł do pokoju i rzucił się na sofę.

— Poznałem po twojej sylwetce, po braku radosnego błysku w twoich oczach oraz po tym, że twój fular jest dokładnie tak samo udrapowany jak o zachodzie słońca, kiedy wychodziłeś. Czy przynajmniej zrobiła to w miły sposób?

Właściwie Ben nie miał czasu na sercowe rozterki Archera. Do tej pory nie zdołał się dowiedzieć, gdzie Cecily zamierza zorganizować swój wieczorek, a przecież niedługo miał zaświtać dzień.

— Nawet nie miałem okazji z nią o tym porozmawiać. Dom jest pusty, podobnie jak stajnia, tylko echo słychać na pokojach. Zostawiła mi list, ale jeszcze go nie przeczytałem. Nie chciałem się rozplakać na oczach wszystkich.

— Nie przeszkadzaj sobie, płacz, ile wlezie. Przyda mi się trochę rozrywki. Nie widziałeś się dziś z Deene'em, prawda?

— Widziałem go w jednym z londyńskich piekiełek. To niesamowite, że człowiek, który trzyma na każdym kolanie jedną dzierlatkę i ma koszulę umazaną szminką, mimo wszystko potrafi wyglądać jak uosobienie szlachetności.

Ben rzucił pióro i spojrzał na kuzyna.

— Zniknięcie twojej damy tak cię zasmuciło, że poszedłeś nurzać się w hazardzie, pewnie obstawiłeś parę kogutków, a na deser popróbowaleś opium, co?

— Trzeba jakoś ukoić złamane serce.

Był zrozpaczony jak sztubak, który odkrył, że jego ulubiona barmanka nie ogranicza swoich względów wyłącznie do niego i do jego magicznej różdżki, którą trzyma w spodniach.

— Archer, może byś w końcu przeczytał ten cholerny list. Może po prostu wyjechały do Bath. To piekielnie miasto jakoś przyciąga ludzi, z którymi powinienem porozmawiać.

Jego słowa przebiły się przez desperację, w której Archer nurzał się z niejakim upodobaniem.

— Lokaje lady Maggie jeszcze się nie odezwali?

— Za wcześnie na to, a w pewnym sensie już za późno. W dalszym ciągu nie wiemy, gdzie Cecily chce urządzić ten swój wieczorek. Osoba, która szepnęła Deene'owi wiadomość, pojechała na wyścigi dwukółek do Brighton, a nikt inny nie chce się przyznać, że dostał zaproszenie.

— Przecież bez trudu powinieneś zestawić listę ewentualnych gości. — Archer usiadł i spojrzał na sznur od dzwonka.

— Zestawiłem, a Deene robi, co może, żeby ich wytropić. Możesz na to spojrzeć? — Ben wstał i podał mu kartkę. — Ostatnio lepiej ode mnie wiesz, co w trawie piszczy.

Archer przebiegł wzrokiem listę.

— Możesz zadzwonić po herbatę?

— Zwariowałeś? Jest piąta rano, Archer.

Archer spojrzał na niego bez cienia zakłopotania.

— Kucharka już dawno wstała, żeby upiec chleb i zrobić masło. Służba lubi być przydatna, więc zadzwoń, do ciężkiej cholery. Pominąłeś kilka oczywistych nazwisk. Widziałem co najmniej dwóch takich zbereźników w ciągu ostatnich paru godzin.

Podszedł do biurka, przysunął sobie krzesło i przygotował pióro, kałamarz i czystą kartę.

Ben pociągnął za taśmę dzwonka.

— Nie dam rady tego wypić. — Bridget łagodnie odsunęła tacę, bo nawet zapach porannej czekolady przyprawiał ją o mdłości. — Przepraszam cię, Adele, ale nerwy mam napięte do ostatnich granic. Mama powiedziała, że dziś wieczór dostanę prezent na urodziny.

W oczach Adele odbijały się hamowane emocje.

— Wiesz, jakie ma zamiary, prawda?

Bridget skinęła głową i mocniej otuliła się szlafrokiem.

— Wynajęci kucharze już krzątają się w kuchni. Mama była u mnie wczoraj wieczorem, żeby zobaczyć, czy moje pokoje dobrze wyglądają, i powiedziała...

Bridget zamilkła, zastanawiając się, jak może być taką idiotką, żeby choć przez chwilę uwierzyć w matczyną miłość.

— Powiedziała, żebyś pozwoliła temu człowiekowi, kimkolwiek by on był, zrobić z tobą, co mu się będzie podobało, i że to nie będzie tak bardzo bolało. Kazała ci udawać, że to ci się podoba, i obiecała, że wtedy on obsypie cię klejnotami. Powiedziała, że masz zmarnować sobie życie, żeby zapewnić jej dostatek na starość, bo była zbyt lekkomyślna, żeby sama się o to wcześniej zatroszczyć.

Adele nie mówiła po francusku, ale to już nie miało znaczenia. Pewne prawdy zawsze brzmią strasznie i obrzydliwie, niezależnie od języka.

— Czy to naprawdę jest takie okropne, Adele?

Pokojówka odstawiła tacę na bok i popatrzyła z uwagą na dziewczynkę.

— Może być cudowne, a cała ta gadanina o bolesnym pierwszym razie jest rodem z romantycznych powieści. Pierwszy raz zazwyczaj po prostu rozczarowuje i tyle. Bardzo rozczarowuje i jest bardzo nieudany. Ja się przy tym śmiałam, ale radzę ci się od tego powstrzymać, jeśli dasz radę. Może ten ktoś będzie uważał, wiedząc, że to twój pierwszy raz.

Ta krótka przemowa wcale nie uspokoiła dziewczynki. Może ten człowiek wcale nie będzie uważał, bo młodzi rozpustnicy rzadko kiedy bywają troskliwi. Może zrobi jej krzywdę, poniży ją i każe jej robić różne nienaturalne i obrzydliwe rzeczy, o których pisano w tych wszystkich okropnych książkach podsuwanych jej przez matkę.

— Może Maggie się mnie wstydzi. — Bridget aż się skrzywiła, słysząc niepewność w swoim głosie. — Może zna plany Cecyli i myśli, że ja też tego chcę.

— Osoba, której poleciłam doręczyć twój list, jest bardzo odpowiedzialna. Zapewniła mnie, że oddała go Maggie do rąk własnych. Nie trać nadziei.

Wzrok Bridget powędrował ku sukni, wiszącej na drzwiach garderoby. Była z białego aksamitu ozdobionego różową koronką — okropna kombinacja dla kogoś o tak jasnej karnacji. Kolory były jedynym niewinnym akcentem tej kreacji.

— Może po prostu ucieknę. Mówiłaś, że możesz mi dać kilka funtów.

Adele westchnęła ciężko i zaczęła rozkładać na łóżku codzienną odzież — zwykłe sukienki, którym ostatnio pogłębiono dekolty tak, że stały się całkiem skandaliczne.

— Nie możesz uciec. Mama szybko cię znajdzie, a poza tym los, jaki czeka naiwną dziewczynę na ulicach Londynu, jest stokroć gorszy od względów bogatego protektora. Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

Bridget chciało się płakać, ale się pohamowała. Wstała z łóżka, naląła kubek czekolady, a potem chlusnęła nią wprost na stanik nieprzyzwoitej, białej sukienki.

— Co zrobimy, jeśli Cecyli zechce przeczytać cały dokument? — Archer miał na sobie tylko koszulę i kamizelkę. Rękawy zawinał do łokci, a włosy miał lekko rozczochrane. Ben podejrzewał, że sam wygląda o wiele gorzej od niego.

— Deene będzie musiał jakoś temu zapobiec, bo inaczej ta stara wiedźma zorientuje się, że oddaje mi prawną opiekę nad małą.

Archer zmarszczył brwi i skrzyżował ramiona. Spojrzał na niego ze swego miejsca przy biurku.

— Chcesz tego?

— Maggie tego chce, choć nie mówi o tym otwarcie.

— Może powinieneś odwiedzić swoją narzeczoną? — Archer ziewnął, zasłaniając usta dłonią.

Ben spojrzał na zegarek i skrzywił się.

— Nie chcę do niej iść z pustymi rękoma. Wciąż nie mamy tego adresu, choć wkrótce

będzie południe.

Co gorsza, Deene'owi też się nie powiodło, podobnie jak różnym szpiegom i informatorom, których Ben rozesłał nocą po mieście.

Archer wstał i przerzucił przez ramię złożony surdut.

— Idę spać, a tobie radzę wysłać do lady Maggie liścik, że musisz się przespać, ogolić, wykapać i dopiero potem do niej wpadniesz.

Strzepnął pogniecioną tkaninę i zmarszczył brwi.

— List pożegnalny od twojej ukochanej — mruknął Ben, słysząc szelest papieru w jego kieszeni. — Zapomniałeś go przeczytać.

— Masz. — Archer wyciągnął z kieszeni złożoną epistołę. — Sam przeczytaj.

Dalej dramatyzował jak sztubak, ale Ben był zbyt zmęczony i sfrustrowany, żeby się z nim drażnić. Wziął od niego list, przeciągnął go pod nosem i rozpieczętował.

Zmęczenie sprawiło, że mózg mu zaczął szwankować. Bo przysiągłby, że dobrze zna zapach, którym był przesycony papier.

— To po francusku.

— Przecież to list miłosny, więc musi być po francusku. — Archer odwrócił się do okna. — Niestety, to tylko jedna strona. Jeśli kobieta wyznaje miłość, zwykle musi się bardziej rozpisać. Do odmowy wystarczy jeden akapit.

Ben wniósł oczy do sufitu, a potem zaczął czytać, od razu tłumacząc na angielski:

— Mój drogi przyjacielu, jestem w rozpacz, że muszę cię rozczarować, ale jeśli to czytasz, znaczy to, że znowu się przenieśliśmy na nowe miejsce, odległe stąd o zaledwie dwie przecznice. Zostawię na noc otwarte okno i mam nadzieję, że twoje uczucia są na tyle żarliwe, że zechcesz mnie tam odnaleźć. Twoja... i tak dalej. W postscriptum dodaje, że tęskni za mocnymi pchnięciami twojego...

— Zamknij się, Benjamin. Podała adres?

Ben udał, że wacha list po raz drugi, dla samej przyjemności poirytowania zakochanego kuzynka, ale Archer wyrwał mu papier z ręki.

— Wiem, gdzie to jest — powiedział. — Możesz się śmiać do woli, ale jednak mnie nie odrzuciła. Możesz się puszyć i srożyć, zazdrościć mi wymiarów mojego dzielnego oręża, możesz rechotać z radości, ale nigdy nie...

Nagle zamilkł i spojrzał na Bena.

— Patrzysz tak jak zawsze, gdy uda ci się rozwiązać zagadkę, bez żadnych poszlak, niezbędnych dla zwykłych śmiertelników.

— Daj mi ten list.

Archer oddał mu kartkę, a Ben przesunął nią znowu pod nosem.

— Powiedz mi jeszcze raz, dla kogo teraz pracuje Adele?

— Chyba jeszcze o tym nie wspominałem, ale mniejsza o to. To okropna stara wiedźma, Cecily O'Donnell. Pewnie w ciągu dnia... o co chodzi, Benjaminie?

Benjamin pocałował go w czoło z czystej wdzięczności i oddał mu list.

— Ta kartka pachnie dokładnie tak jak list, który Bridget przesłała Maggie, a do tego Maggie powiedziała mi, że pokojówka dziewczynki, niejaka Adele, doskonale mówi po francusku. Poślij wiadomość do Deene'a i Ich Książęcych Wysokości. Znamy adres, a ty, gdy uda ci się wreszcie przeszyć piękną Adele twoim pocziwym narzędziem, powiedz jej, że może zostać matką kolejnego hrabiego Hazelton. Nie będę stawiał przeszkód. Może za ciebie wychodzić pomimo twoich żałosnych rozmiarów.

— Ale... — Archer wpatrywał się w list. — Tak, to na pewno ten adres. Odgadłeś zagadkę. Ta wiedźma jest matką lady Maggie.

— Może kiedyś nią była. — Ben szarpnął taśmę dzwonka. — Ale już nie jest. Odpocznij trochę, Archer, dziś w nocy będziesz towarzyszył Deene'owi. Ja pójdę się spotkać z moją narzeczoną.

— Przynieść herbatę, panienko Maggie? — Pani Danforth zrobiła dwa kroki w głąb gabinetu Maggie, zatrzymała się i groźnie spojrzała na starannie ułożone stosiki korespondencji,

piętrzące się na biurku.

— Nie, dziękuję.

Wyglądało na to, że gospodyni zaraz wygłosi kolejny wykład, więc Maggie z powrotem zagłębiła się w cyfrach. Miała tak ściśnięty żołądek, że o mało nie zwróciła herbaty i bułeczek, które podano jej na śniadanie, co przypisała swojemu zdenerwowaniu i niepokoju o Bridget.

Kolumny cyfr dalej nie chciały się sensownie ułożyć, kiedy usłyszała na korytarzu głosy. To pani Danforth witała Benjamina.

Po chwili był już w jej niewielkim gabinecie, przemierzył go dwoma krokami i objął Maggie, która stała na drżących nogach.

— Dostałaś mój liścik?

Skinęła głową, radując się bliskością jego silnego, ciepłego ciała.

— Przepraszam, że dopiero teraz jestem, ale musiałem się przebrać, potem Archer musiał postraszyć Deene'a, i trzeba było jeszcze rozesłać parę listów...

Pocałowała go, obawiając się, że Ben zaraz zraportuje, jak długo musiał czekać na ciepłą wodę do golenia. Pachniał wspaniale, mydłem i goździkami, a do tego emanował elektryzującą energią, która zmieniła jej strach w determinację.

— Wiem, jaką słabość ma twój plan.

Słyszając to, cofnął się z nieprzeniknioną miną.

— Mamy adres, najdroższa. Deene pojedzie tam w towarzystwie Archera, który będzie świadkiem przy podpisywaniu dokumentu. Biżuteria już jest w powozie Deene'a. Mamy też współniczkę w obozie przeciwnika, bo okazało się, że dziewczyna, do której Archer się zaleca, to osobista pokojówka twojej Bridget.

— W takim razie powiedz Deene'owi, żeby rozmawiał z Bridget po francusku, bo Cecily prawie nie zna tego języka, za to pokojówka świetnie się nim posługuje. Tylko że to nie rozwiązuje problemu.

Opuścił ramiona, podszedł do drzwi, huknął, żeby prędzej przynieśli tę przeklętą tacę, a potem wziął Maggie za rękę i podprowadził do małej sofki pod oknem.

— Co to za problem? O ile się orientuję, jeśli Cecily nie zacznie czytać dokumentu w szczegółach, a Deene potrafi być wystarczająco arogancki, by temu zapobiec, to Bridget wkrótce będzie bezpieczna.

— Mój Boże. — Zajrzała mu w oczy, bo nie przyszło jej do głowy, że Cecily może zorientować się, komu przekazuje opiekę nad swoją młodszą córką.

— Nie wolno ci się zamartwiać — polecił twardo, mimo że uścisk jego dłoni pozostał łagodny. — Zdaj się z tym na mnie i zjedz coś w końcu. Pani Danforth doniosła, że zapominasz o posiłkach, a to wcale nie jest dobry moment na panińskie fochy.

— Lepiej niech pani Danforth sobie przypomni, kto płaci jej pensję.

Pies wstał z posłania i położył pysk na jej kolanie.

— Nie denerwuj porządnego zwierzaka — skarcił ją Benjamin. — Nie zasługuje na takie złe traktowanie. Co to jest za wada w tym skądinąd bardzo sensownym planie?

— Benjaminie, przecież oni ją zobaczą.

— Kto niby... — Kciuk gładzący kostki jej palców zatrzymał się nagle. — Do ciężkiej, niespodziewanej śmierci. Masz rację. Cecily zebrała grupę mężczyzn na ten pokaz. Nie zadowolą się herbatką i ciasteczkami, będą chcieli gapić się na dziewczynkę.

— A jeśli ją zobaczą, będzie zrujnowana.

Wstał, podszedł do drzwi, wziął tacę od pani Danforth, a potem zamknął drzwi pchnięciem biodra.

— Może nie będzie. Może Ich Książęcym Gościom uda się zdławić plotki w zarodku.

— Dwunastu zepsutych, bogatych młodych kawalerów, z tytułami i fortuną. Benjaminie? Może księciu udałoby się uciszyć jednego albo nawet dwóch, ale dwunastu? — Maggie ciężko westchnęła. — Szkoda, że nie mogę się tam znaleźć zamiast niej. Połowa śmietanki towarzyskiej od lat wstrzymuje oddech, czekając, aż zaczną się zachowywać na wzór mojej matki.

— Niepotrzebnie się denerwujesz. — Postawił tacę na niskim stoliku i usiadł obok Maggie,

stanowczy i pewny siebie.

Podał jej filiżankę, więc upiła kilka łyków. Na jego twarzy pojawiło się dziwne w tej sytuacji zakłopotanie. Zamyślił się. Czekala cierpliwie, aż w końcu zamrugał i spochmurniał.

— Zjedz coś, Maggie Windham. Jedz, bo zacznę cię karmić z ręki.

Pomysł jedzenia mu z ręki bardzo jej się spodobał. W jego obecności nawet niestrawność ją opuszczała.

Podał jej kanapkę z masłem, musztardą, cienko pokrojoną szynką i aromatycznym, żółtym cheddarem.

— Ta szynka nie przejdzie mi przez gardło. Za bardzo pachnie dymem.

Zdjął szynkę i wsunął jej w usta resztę kanapki.

— Wyspałaś się przez noc?

— Zdrzemnęłam się trochę.

— Maggie... — Odstawił na bok pustą filiżankę i przyjrzał się uważnie swojej narzeczonej.

— Chodź no tutaj.

Przesunęła się odrobinę i wtuliła w jego ramiona, czując, że wszystkie smutki i niepokoje cichną i odchodzą. Będzie tęsknić za tymi objęciami. Rozpaczliwie tęsknić, przez wszystkie dni i noce swojego samotnego życia.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Mam pewien plan. Chcesz posłuchać, jaki?

— Dobrze.

Kiedy jej go opowiedział, nie potrafiła w nim znaleźć ani jednej wady, a mimo to dalej się martwiła, aż do zmroku, kiedy Deene zajechał po nich swoim powozem.

— Pospiesz się, na litość boską. — Adele była podniecona, tyle tylko dotarło do Bridget przez chmurę strachu, która spowijała jej umysł. — Jakiś bogaty markiz przyszedł na umówione spotkanie o godzinę wcześniej. Ci arystokraci zawsze są tacy niepunktualni. Ma ze sobą jakiegoś wicehrabiego i nie możemy kazać im czekać.

— Markiz? — Widziała kilku markizów w parku i na Strandzie. Wszyscy byli starzy i otyli. — Nie wiedziałam, że Cecily mierzy tak wysoko.

Adele wzięła ją za łokieć i pociągnęła w stronę toaletki.

— Dzięki Bogu, nie starczy nam czasu, żeby zrobić ten koszmarny makijaż, i będę musiała cię normalnie uczesać.

Bridget usiadła, mając wrażenie, że patrzy w lustrze na histeryczną nastolatkę, która w zupełnie nieodpowiednim momencie zaczyna bawić się w przebieranki.

— Adele, nie chcę tego robić.

— Właśnie, że chcesz. Obaj są przystojni jak młodzi bogowie, moja droga. Jeśli uda ci się złapać jednego z nich, nie będziesz musiała szczerzyć zębów i przymilać się przez cały wieczór do tych pijaków, złopiących szampana twojej matki. Wybierz markiza. Twoja matka spodziewa się tego po tobie.

— Przystojny to nie znaczy miły.

— Siedź spokojnie. Posłuchaj mnie, Bridget. — Przeszła na francuski, rzucając wymowne spojrzenie w stronę pokojówki, która kończyła prasować zapasową suknię Bridget. — Nie ociągaj się, tylko idź się spotkać z tymi dwoma lordami, i zachowuj się najlepiej, jak potrafisz. Maggie chce, żebyś im zaufała.

Bridget zamrugnęła i spojrzała w lustrzane odbicie twarzy Adele, ale nie potrafiła nic wyczytać z jej oczu.

Po krótkiej — zbyt krótkiej — chwili Bridget stała przed dużym lustrem, z lokami opadającymi artystycznie spod warkocza upiętego w koronę, z przypudrowanym i pachnącym, zbyt mocno odsłoniętym dekoltem, i z nerwami napiętymi jak struny skrzypiec.

— Adele, ja nie dam rady. Trudno, niech mnie Cecily zbije. Może jeden z nich zabierze mnie dziś ze sobą do domu i na samą myśl... robi mi się niedobrze.

— Musisz być silna. — Adele chwyciła ją za ramiona i lekko potrząsnęła. — Matka przyjmuje ich w małym saloniku, bo w dużym salonie kucharki kończą przygotowywać przyjęcie, ale jeśli nie zejdiesz sama, to Cecily przyjdzie tu po ciebie. A zależy mi, żeby nie wchodziła na

górze.

Adele próbowała przekazać jej coś, czego Bridget nie rozumiała. Była na granicy płaczu, choć wiedziała, że to rozwścieczy matkę.

— Maggie chce, żebym zaufała tym ludziom?

Adele powoli skinęła głową.

— W takim razie muszę im zaufać.

Bridget odwróciła się i wyszła z pokoju. Nie widziała innej możliwości, żadnego innego rozwiązania. Nie pamiętała, jak zeszła po schodach i stanęła pod drzwiami małego saloniku, kładąc rozdygotaną dłoń na klamce. Zastukała trzy razy — cichy tren na pożegnanie cnoty — przykleiła uśmiech do twarzy i wsunęła się do pokoju zalotnym ruchem, tak jak nauczyła ją matka. Zatrzymała się jak wryta zaledwie po dwóch krokach. Adele nie kłamała. Pod oknem stało dwóch niezmiernie przystojnych mężczyzn. Przy ich męskiej blond urodzie Cecily wyglądała jak starzejąca się, zużyta ladacznica, która handluje brudnymi namiętnościami wyrafinowanych klientów.

— Panno O'Donnell. — Wyższy z mężczyzn odstawił kieliszek z alkoholem i podszedł do niej. — Jestem Deene, jak najbardziej do usług. — Pochylił się nad jej dłońią z powagą. Gdy się wyprostował, na moment znieruchomiał i prześliznął się po jej twarzy magnetycznym, intensywnym spojrzeniem. — Siostra zapewni ci bezpieczeństwo. — Jego francuski był taką pieśczęcią dla ucha, że do Bridget ledwie dotarło znaczenie słów. Widocznie spostrzegł jej oszołomienie, bo zanim puścił jej dłoń, bezczelnie puścił do niej oko, cały czas zachowując wielką powagę.

Siostra...

Bridget dygnęła i odpowiedziała po francusku:

— Jestem o tym przekonana, milordzie.

— Bridget! — Cecily aż piszczała z emocji. — Poznaj wicehrabiego Blessings. Jemu także podobają się damy o twojej karnacji.

Pomimo swej niewinności, Bridget o mało się nie skrzywiła. Matka zachowuje się, jakby miała za chwilę zaproponować, żeby ci arystokraci zajrzeli Bridget w zęby jak koniowi.

— Madame — odezwał się lord Deene lodowatym tonem. — Może nie wyraziłem się wystarczająco jasno, a może długie lata pracowane w zawodzie osłabiły twoją zdolność rozumowania, więc powtórzę to wyraźniej. Przybyłem tu, żeby zawrzeć z tobą umowę, zakładając, że młoda dama nie zgłasza sprzeciwu. — Spojrzał pytająco na Bridget.

Dziewczynka pokręciła głową, choć serce biło jej jak młotem.

Deene mówił dalej, z nieznośną wyższością.

— Nie zamierzam się targować ani wyklócać, ani pozwalać, byś zachowywała się przy tej delikatnej lilii jak jakaś burdelmama. Blessings, pokaż madame klejnoty.

— Zawsze powtarzałam Bridget, że ma szczęście, bo matka jej nie sprzedała. — Maggie obserwowała przez okno eleganckiego powozu drzwi, za którymi zniknęli Archer i Deene zaledwie dwadzieścia minut temu, choć jej się wydawało, że minęła już cała wieczność. — Ależ byłam idiotką.

Benjamin poprawił się na siedzeniu, nie puszczając jej ręki.

— Uległaś szantażowi Cecily, gdy byłaś niewiele starsza od Bridget, Maggie. Pamiętaj o tym, samobiczując się za to, że nic więcej nie mogłaś uczynić dla dobra siostry.

— Ale jak mogłam myśleć, że lepiej sobie poradzę z Cecily niż jeden z najpotężniejszych książąt w tym królestwie... — Pokręciła głową, czując, jak żal i obawa zaczynają odbierać jej spokój, który płynął ku niej od Benjamina.

— Księżna popełniła ten sam błąd, jeśli to w ogóle był błąd. Ona również nie poradziła sobie z manipulacjami Cecily.

Poczuła, jak otacza ją jego ramię, i oparła się o niego.

— Straszne jest takie czekanie, ale powtarzam sobie, że w przyszłym tygodniu o tej porze będziemy już z Bridget w drodze do Włoch albo Portugalii.

Nie powinna tego mówić, ale zmęczenie, nerwy, a także emanujące z mocnej męskiej

postaci Benjamina ciepło i bezpieczeństwo rozwiązały jej język.

— Cicho bądź. — Poczula na skroni jego wargi i pomyślała, że Ben jest tak skupiony na czekającym go zadaniu, że jej słowa do niego nie dotarły.

— Sądzisz pewnie, że Cecily będzie się na tobie mścić za to, że pozbawiłaś ją szansy na dostatnią starość, ale ja na to nie pozwolę. Nie pozwolą również Ich Książęce Mości.

— Jesteś taki dobry, Benjaminie. — Potarła nosem jego wełniany płaszcz, a potem odwróciła głowę, by znowu popatrzeć na jasno oświetlony podest domu, który Cecily wybrała dla swego nowego przedsięwzięcia. Kusilo ją, żeby zamknąć oczy, ale nie pozwoliła jej na to irracjonalna, przesadna nadzieja, że jeśli będzie się mocno wpatrywać w te drzwi, to za chwilę się otworzą i wyjdzie z nich Deene, eskortujący Bridget po zabranii jej z tego straszego domu i prowadzący ją prosto w stęsknione ramiona zdenerwowanej siostry.

Czuł, jak ciało Maggie staje się coraz cięższe. Odbiły się na niej nieprzespane noce, nieustanne napięcie i ogromny strach, którego brzemienia nie powinna dźwigać samotnie żadna dama. Tym bardziej taka, której przyjść mogła z pomocą kochająca rodzina i zakochany w niej mężczyzna.

To nie był odpowiedni moment, żeby wybić jej z głowy plan wyjazdu z Bridget na kontynent, ale Ben oczywiście nie miał zamiaru pozwolić jej na taki absurd. Obok nich powoli przejechał powóz, na tyle blisko, że Benowi udało się dostrzec lakierowany herb. Maggie wyprostowała się niechętnie.

— Sępy już się zlatują?

Pomógł jej usiąść wygodniej, nie puszczając jej ręki.

— Jeszcze nie. Nikt, kto ma choć cień wyczucia manier, nie zechce zjawić się tam pierwszy, więc młody lord Venable najpierw objedzie dzielnicę, a dopiero potem wysiadzie. Jeśli rzeczywiście zaczną się zbierać goście, znajdziemy na to sposób.

— Masz plan? — Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na niego w świetle najbliższej latarni. — Nawet na taką ewentualność?

— Miałas rację: nikt nie może zobaczyć tu Bridget. Zasługuje na związek z przyzwoitym człowiekiem jak każda inna dziewczyna. Dlatego Archer przysłał tu wieczorową suknię pasującą na Adele Martins. Adele też jest ruda, a do tego wie, jak postępować z natrętnymi mężczyznami.

— Adele... — Maggie posłała mu szeroki uśmiech, od którego rozlewa się w męskim ciele gorąco, a potem dokończyła: — Kocham cię, Benjaminie.

Przytuliła się do niego, chyba nie mając pojęcia, że od tych słów męskie serce zaczyna bić jak oszalałe.

Westchnęła głęboko i zanim zdążył uświadomić jej konsekwencje wyznania, które właśnie uczyniła, drzwi domu stanęły otworem i po schodach zszedł Deene, prowadząc pod ramię Bridget.

Za nimi nonszalancko kroczył Archer.

— Kochanie?

— Taak?

— Mamy ją. — Pocałował ją soczyście w same usta, wysiadł i patrzył, jak Deene — z niespieszną swobodą, za którą kiedyś gorzko Benowi zapłaci — podprowadza Bridget do powozu i otwiera drzwiczki. W chwilę później rozległy się stłumione piski i okrzyki radości, a przed domem pojawił się lokaj i zgasił po kolei wszystkie lampy na podeście.

— Masz papiery?

Deene podał mu przewiązane wstążką dokumenty.

— Trochę trudno było znaleźć w tym domu drugiego dorosłego mężczyznę, który byłby zdrowy na umyśle, ale w końcu obok Blessingsa podpisał się ten lokaj, którego podesałeś przez agencję pracy. Baba pewnie dalej gapi się na te szkiełka.

— Co z rzeczami Bridget?

— Gdy już odjedziecie, moi lokaje podejną do tylnego wejścia i odbiorą kufer, który spakowała Adele.

— Niech idą od razu. — Ben ruszył w stronę domu Cecily. — Jak tylko umocujecie kufer,

zabierz je do Morelandów.

— A ty? Dokąd się niby wybierasz?

— Dokończyć sprawę.

Otworzył drzwi domu Cecily i wszedł bez pukania. Wdarł się do środka, znalazł kobietę, która zmieniła życie Maggie w piekło, i pozwolił sobie — ostatni raz w życiu — rozegrać mroczną, ponurą partię.

— Nic nie rozumiem. — Bridget wpatrywała się w swoją starszą siostrę. Może nie najlepiej ją знаła, ale za to bardzo kochała. — Jesteś zaręczona z mężczyzną, który wydobyl mnie z rąk Cecily, i mimo to chcesz wyjechać do Włoch?

— Właściwie nie do końca chcę, ale sądzę, że zmiana scenerii obu nam dobrze zrobi. — Maggie udała, że spostrzegła coś za oknem, żeby nie patrzeć siostrze w oczy, gdy wygłaszała te piramidalne bzdury.

— Zmiana scenerii. — Bridget rozejrzała się po eleganckim wnętrzu pierwszej księżęcej rezydencji, jaką miała okazję oglądać od wewnątrz. Znajdowały się w niedużym, rodzinnym saloniku, za którym rozciągał się tylny ogród, tonący w powodzi kwiatów. — Moim zdaniem ta sceneria jest wystarczająco ładna.

— Nie możemy tu zostać. — Maggie wstała z bujanego fotela. — Minał już tydzień i nic się nie stało, ale Cecily mogła już nas wytropić, przecież w końcu nas znajdzie i będzie się mścić. Chcę, żebyś wtedy była daleko.

— Ale powiedziałaś, że teraz opiekę nade mną sprawują Ich Księżęce Mości. Cecily podpisała dokument przy świadkach. Widziałam to na własne oczy.

— Dokumenty można ukraść albo zgubić. Cecily może oskarżyć nas o fałszerstwo albo przekupić jednego ze świadków.

— Maggie, od kiedy stałaś się taką pesymistką?

To pytanie chyba w końcu trafiło do Maggie, bo odwróciła się od okna i spojrzała na Bridget.

— Nie jestem pesymistką, kochanie, tylko wiem, do czego ona jest zdolna.

— I dlatego nie chcesz wyjść za swojego hrabiego? Bo myślisz, że ona go wtedy dopadnie?

Maggie, ta śliczna, dzielna i mądra Maggie, pochyliła głowę.

— Tak będzie. Nie spocznie, póki się nie dowie, co tu się stało. Doskonale o tym wiem i próbowałam to powiedzieć Benjaminowi, ale on jest za dumny i za dobry, żeby zrozumieć, na co ją stać. Nie chce mnie słuchać.

— Siostrzyczko? — Maggie podniosła głowę, a wtedy Bridget wskazała jej wysoką postać, która z kamienną twarzą obserwowała je z progu. — Zdaje mi się, że teraz jednak cię słucha.

Naręczona Bena ślicznie wyglądała, siedząc przy oknie w słońcu, od którego jej włosy jarzyły się czerwonymi rozbłyskami, a na policzkach występowały lekkie piegi.

— Panno Bridget, myli się pani tylko w jednym. — Wszedł do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. — Opieka nad panią nie jest w rękach Ich Księżęcych Mości, tylko moich. Jako pani prawny opiekun nakazuję pani stąd zmiatać.

Dziewczynka zamrugła oczyma, które, poza tym, że były brązowe, a nie zielone, wyglądały tak samo jak oczy siostry.

— Zmiatać, milordzie?

— Zmiatać, zjeżdżać, zmykać, inaczej mówiąc, zabierać się stąd. Muszę porozmawiać z twoją siostrą na osobności.

Wargi Bridget wygięły się w uśmiechu, który zapowiadał zapierającą dech w piersiach urodę. Zanim wyszła, puściła do niego oczko. Nie sposób było nie uśmiechnąć się w odpowiedzi.

— Nie wiedziałam, że zostałeś jej opiekunem — powiedziała Maggie z namysłem. Lepsze to niż oskarżenia. Ben przysiadł tuż obok niej na sofie i odpowiedział, uważnie dobierając słowa.

— Wydawało mi się, że taki układ będzie ci bardziej odpowiadał.

Odwróciła wzrok od tego cholernego okna.

— Dzięki temu Ich Wysokości nie będą prawnie związane z kolejną osobą nieprawego

pochodzenia, i to taką, która nie ma żadnych powiązań z księciem.

— Jak się czujesz, Maggie?

Uśmiechnęła się lekko.

— Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona. Ostatnio dużo się działo.

I nie pojawiło się krwawienie miesięczne. Ben dowiedział się tego od pani Danforth.

Rozmawiał też z księżną. Nadszedł czas, by porozmawiać z nią o dziecku, jak przyszły ojciec z przyszłą matką — z tą senną, nierozsądną i odrobinę histeryczną matką jego dziecka. Podejrzał, że do Maggie jeszcze nie dotarło, że jest w odmiennym stanie.

— Przejdiesz się ze mną, kochanie?

— Myślałam, że chcesz porozmawiać na osobności.

— Owszem, ale kiedy jestem z tobą, chcę także przebywać na słońcu.

Przecież to dzięki niej wyszedł z tych przeklętych mroków na słoneczny świat.

Pomógł jej wstać, udając, że nie widzi, jak zatrzymała się na chwilę, by złapać równowagę.

Milczała, kiedy szli przez dom, mijając obojętnych lokajów i olbrzymie bukiety kwiatów, przez ciche korytarze pachnące pszczelim woskiem i cytrynowym olejkiem.

Ta cisza była pełna spokoju, ale Ben podejrzewał, że Maggie nie za tym tęskni. Mimo to poczekał, aż wyjdą na zewnątrz, gdzie powietrze pachniało ogrodem i rozbrzmiewało odgłosami pięknego dnia — odległym stukotem kopyt końskich na bruku, śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów.

— Chciałabyś wyjechać z Bridget do Włoch?

Skinęła głową, ale nie miała radosnej miny.

— Słyszałeś, o czym rozmawiałyśmy. Nie wierzę, że Cecily zostawi cię w spokoju.

— Aha. A gdyby Cecily przestała się liczyć w grze?

— Czy mogę przynajmniej usiąść, zanim zaczniesz mnie znowu przepytować? — W jej słowach pojawiła się iskierka dawnej zadziorności.

— Oczywiście. — Podprowadził Maggie do ławki przy zacisznym żywopłocie i z trudem powstrzymał ochotę, by obsypać ukochaną pocałunkami i pieszczotami. Powiedział jej prawdę, bo ich związek mógł opierać się tylko na prawdzie. Pocałunki, choć szczerze, to za mało, by stali się takim małżeństwem, jak małżeństwo jej rodziców.

A on nie chciał innego, ani dla niej, ani dla siebie.

Gdy usiedli obok siebie na ławeczce w zacisznym zakątku ogrodu, pozwolił sobie wziąć Maggie za rękę.

— Włochy, Maggie?

Westchnęła, ale nie cofnęła dłoni. Nadal nosiła jego pierścionek.

— Włochy, może nawet Francja, Bridget przecież dobrze zna język. Potrzebuję spokoju, Benjaminie, dla siebie, dla niej, a także dla ciebie i Ich Wysokości. Dość już mieliśmy dramatów, a ja dobrze znam Cecily. To po niej odziedziczyłam determinację, zamiłowanie do pieniędzy i nieufność.

— A gdybym ci powiedział, że Cecily jest teraz na statku zmierzającym do Baltimore, czy przejęłabyś po niej także nagłe zamiłowanie do podróży?

— Do Baltimore? — Zmarszczyła brwi, jakby wyobrażała sobie mapę.

— Mam dla ciebie pewną propozycję, Maggie Windham. Nie chodzi o małżeństwo, choć ta sprawa jest wciąż otwarta, ale o twoją przyszłość.

— W takim razie chyba muszę jej wysłuchać.

Wyglądziła dłonią fałdy sukni — uosobienie damy spędzającej czas na wypoczynku — ale jej druga ręka, ta z pierścionkiem, zaciskała się kurczowo, choć Maggie pewnie tego nie zauważyła.

— Możesz być taka jak Cecily: niezależna, ale bez oparcia przez całe swoje życie, zawsze niepewna, dzieląca ludzi na tych, którzy wykorzystują ciebie, i na tych, których ty możesz wykorzystać. Urodziła cię przecież, więc można zakładać, że przekazała ci niektóre swoje cechy.

Te słowa się Maggie wyraźnie nie spodobał. Jej wargi się zwęziły, a w pięknych oczach pojawił się niesmak.

— Mów dalej.

— Albo też możesz uznać, że odziedziczyłaś w większości cechy księcia i jego rodziny. Jesteś spowinowacana z Morelandem w takim samym stopniu jak z Cecily. Co więcej, on cię wychowywał, razem z księżną. Przez ćwierć wieku byłaś Windhamówną, Maggie, i moim zdaniem ta spuścizna w tobie przeważa.

Zamrugła i wbiła wzrok w grządkę konwalii, które właśnie zaczęły rozkwitać.

— Ukrywałam wiele sekretów przed rodziną, a raczej przed obydwoma rodzinami. Czasem mi się wydawało, że nikt mnie tak naprawdę nie zna, jakbym była żywym cieniem. Ale zawsze bardzo się starałam.

Napięcie w ciele Bena nieco zmalowało. Tak, starała się jak mogła, samotna, mając do obrony tak niewiele środków i praktycznie żadnych sojuszników.

Wyjął z kieszeni plik papierów.

— To należy do ciebie.

Zmarszczyła brwi i wzięła papiery do ręki.

— Co to takiego?

— Listy Bridget do ciebie. Nie czytałem ich, ale domyślam się, że to właśnie wykradła Cecily z twojej torebki. Jestem równie pewny, że to ona kazała małej podpisywać się jako „twoja kochająca siostrzyczka” albo podobnym, równie sztucznym frazesem.

Maggie pochyliła się nad listami. Przygarbiła się i opuściła podbródek, jak po silnym ciosie.

— Dziękuję, ale w jaki sposób udało ci się je odzyskać?

— Negocjowałem z Cecily i doszliśmy do porozumienia.

— Och, Benjaminie. Tej kobiecie nie wolno ufać. Przycichnie na moment, a potem uderzy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał. Jest przewrotna, jest podła, jest...

Położył dwa palce na jej wargach.

— Jej już tu nie ma. Dobrze znam takich ludzi, Maggie. Mało brakowało, a na zawsze utknąłbym w czyścicu, gdzie jest ich pełno, ale ty dałaś mi wybór.

— Cecily odbierze ci ten wybór.

Ścisnęła jego dłoń tak mocno, że aż zabolęło, a w jej głosie wezbrały łzy.

— Cecily nigdy więcej nie postawi nogi na brytyjskiej ziemi, kochanie. A jeśli postawi, to drogo zapłaci za utratę rozumu, spowodowaną niegodziwościami, jakie zbyt długo były treścią jej życia.

Nie chciał wymawiać na głos słowa „syfilis”, ale Maggie bez trudu mogła odgadnąć, o co chodzi, jak większość mieszkańców kraju, którym władał szalony król, podejrzewany, że jego szaleństwo jest skutkiem choroby wenerycznej.

Chmurnie spojrzała na ich splecione dłonie.

— Też mi się wydawało, że oszalała. Bridget mówi to samo. Jej obsesja stale się powiększała. Te wszystkie przeprowadzki, te suknie skrojone jak dla kokoty.

Zamilkła.

— Nie warto jej żałować. Wyjechała z czekiem, który wystarczy jej na wiele lat przyzwoitego życia. Co więcej, kilka z klejnotów, które dostała, było prawdziwych. Jeśli jest mądra, zwiąże się z jakimś podstarzałym miejscowym bogaczem i spędzi resztę życia w dostatku.

— Po co dalszcie jej prawdziwe klejnoty?

— Żeby umowa była wiążąca. Westhaven spisał większość punktów dotyczących finansów po francusku. Między innymi jest tam lista klejnotów, prawdziwych i fałszywych. Wyjaśniłem jej to przed wyjazdem.

Maggie znowu wpatrywała się w konwalie.

— Niepotrzebnie to wszystko robiłeś, Benjaminie. Kocham cię za to, że uratowałeś moją siostrę, ale jestem wściekła, że musiałeś kontaktować się bezpośrednio z Cecily.

To był bardzo delikatny moment — moment, w którym Ben najchętniej padłby na kolana przed swoją narzeczoną, jak powinien to zrobić wiele tygodni temu, ale musiał jej powiedzieć jeszcze kilka rzeczy, a ona musiała go wysłuchać.

— Za to ty kontaktowałaś się z nią przez wiele lat. Bez niczyjej pomocy, tylko ze względu

na dziewczynkę, którą mogłaś właściwie zostawić samej sobie, zmagając się z tą żmiją i robiłaś wszystko, żeby ochronić Bridget. Miałaś rodziców, miałaś braci. Niektórzy nawet dostali medale za wojenne zasługi w oddziałach kawalerii, a ty ich wszystkich chroniłaś. Tak się nie zachowują córki zdradzieckich kurtyzan, Maggie.

Pochyliła się jeszcze bardziej, ale Ben jeszcze nie skończył.

— Tak postępują kobiety z książęcego rodu. Dawni książęta stawiali na czele armii, Maggie, a ty miałaś tylko siebie i mimo to zwyciężyłaś.

Zaczęła dygotać jak osika. Zamknęła oczy, zacisnęła dłoń na jego palcach tak mocno, że zaczęły mu drętwieć, ale on mówił dalej.

— Kocham cię, Maggie Windham. Kocham twoją odwagę. Kocham twoją niezależność. Kocham twoją determinację i chcę mieć cię dla siebie. — Przerwał i zebrał się na odwagę. — Chcę... żeby nasze dzieci były takie, jak ich matka.

Dopiero po chwili jego słowa dotarły do targanej emocjami Maggie. Przez ten krótki moment ciszy marzenia i sny Bena, jego serce i dusza krążyły między blaskiem nadziei a cieniem rozpaczy.

— Benjaminie. — Przytuliła się do niego, łkając i płacząc, po raz pierwszy publicznie i w pełnym słońcu. — Przytul mnie. Przytul mnie i już nigdy od siebie nie puszczaj. Za nic w świecie.

Przytulił ją, ale po chwili zsunął się z ławki i ukląkł przed nią. Otoczyła go ramionami i tuliła przez długie, cudowne minuty. Szukając w kieszeni chusteczki, dziękował dobremu Bogu za kobietę, której starczyło odwagi, by przyjąć czyjąś miłość.

— Chciałam ci coś powiedzieć. — Maggie w końcu się uśmiechnęła. Odsunął się nieco, doceniając ten fakt, a ona zaczęła się bawić jego włosami.

— Co takiego?

Jej palce znieruchomiały.

— Ty zawsze wszystko zauważasz, Benjaminie. Na pewno przypominasz sobie, że prawie zemdlałam pod drzwiami lady Dandridge, prawda?

Wstał, otrząpął kolana i usiadł obok niej. Bardzo blisko.

— Biegałaś po deszczu Bóg jeden wie jak długo, nie spałaś całymi nocami i pewnie nic nie jadłaś. Gdyby wszystkie kobiety, które sznurują gorsety tak ciasno, spodziewały się dziecka, populacja tego kraju wkrótce byłaby dwa razy większa.

— Benjaminie, naprawdę będziemy mieć dziecko. Powinam ci o tym powiedzieć wcześniej, ale nie chciałam, żebyś czuł się złapany w pułapkę.

Znowu zaczęła wygładzać suknię i ścisnąć jego dłoń, co oznaczało, że wcale nie jest tak spokojna, jak można by sądzić po pozorach.

— Maggie, a czy ty czujesz się złapana w pułapkę? — To było uczciwe pytanie, z rodzaju tych, które nie dają uczciwym ludziom spać po nocach i męczą ich długimi latami.

— Z powodu dziecka? Oczywiście, że nie.

Albo — chyba nie.

— Chcesz tego dziecka?

— Na litość boską! Benjaminie, przecież walczyłam z Cecily przez te wszystkie lata tylko dlatego, że kochałam Bridget. Chroniłam moją książęcą rodzinę tylko dlatego, że ich kochałam. To dziecko też kocham. I ciebie kocham. Jak mogłaś pomyśleć, że jest inaczej?

— Będziemy musieli uważać na to twoje upodobanie do chronienia ludzi, których kochasz. Uśmiechnęła się potulnie.

— Chciałabym mieć dużą rodzinę, ale trochę za późno zaczynamy.

— W takim razie będziemy musieli się bardzo starać.

Jego Maggie — ta dzielna, niezależna, zdeterminowana i kochająca Maggie — zarumieniła się po uszy. Dopiero wtedy nie wytrzymał i ją pocałował. Posadził ją sobie na kolanach, dotknął ustami jej warg i przed Bogiem, a prawdopodobnie również na oczach księcia, księżnej, jej rodzeństwa i paru tuzinów służących, gapiących się na nich ze wszystkich okien, pocałował swoją przyszłą hrabinę w jasnym blasku słońca, nie kryjąc się przed nikim.

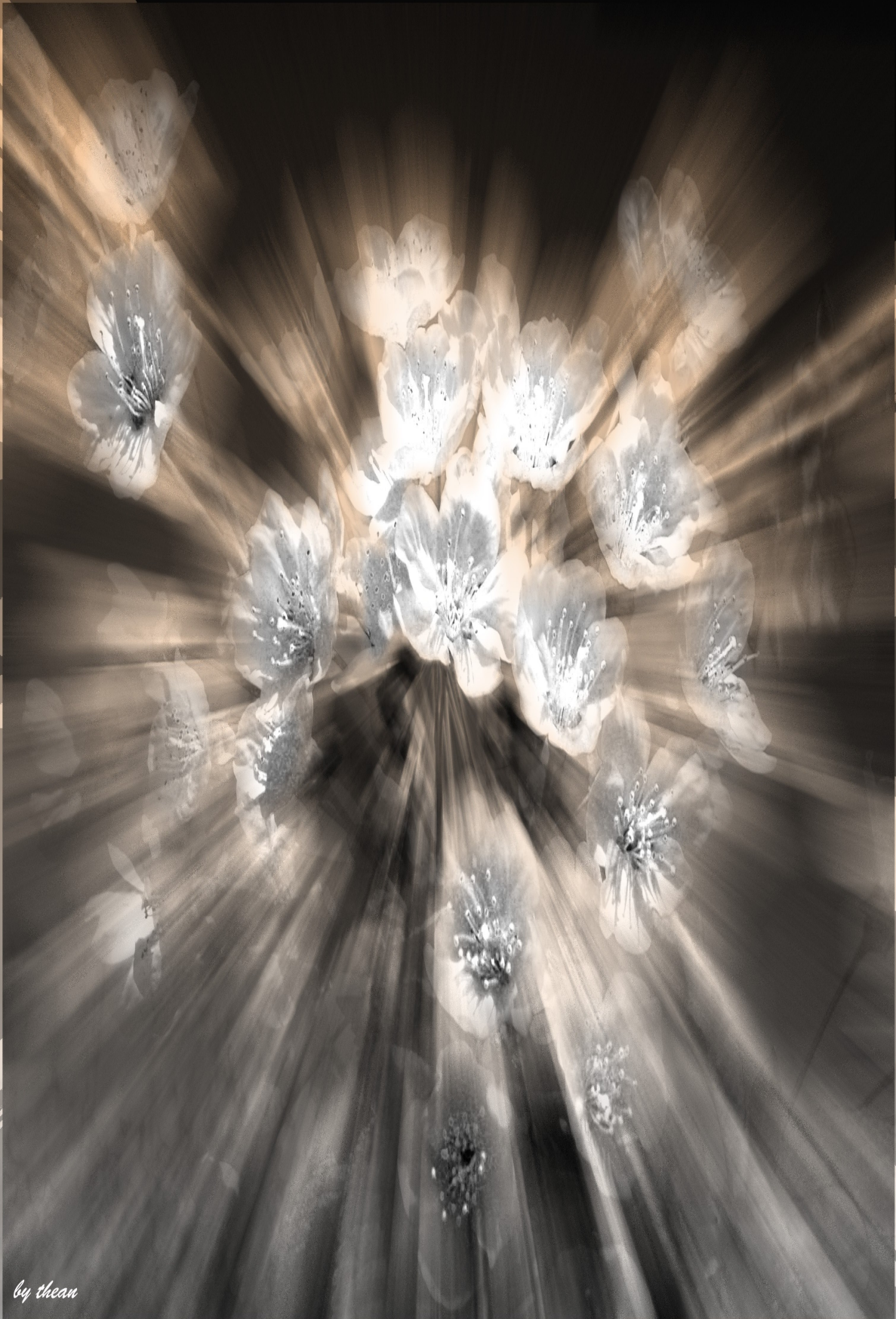
Podziękowania

Książki zwykle pisze się w samotności. Autor spędza miesiące na zbieraniu materiału i przesiadywaniu przed komputerem. Ja poza tym także godzinami wędruję po okolicy, jeżdżę od wybrzeża do wybrzeża i składam ofiary bogom sprzecznych interesów. Nie szukam wtedy towarzystwa.

Ale chociaż potrafię cieszyć się samotnością, nigdy nie jestem sama jako autor, ponieważ cały zespół wydawnictwa Sourcebooks — wydawca Dominique Raccach, redaktor Deb Werksman, wszyscy „ludzie książki”: Skye, Susie, Cat, Danielle, Madam Copy Editor, a także moi koledzy autorzy z wydawnictwa Casablanka i niezliczeni pozostali — służą mi pomocą. Wystarczy do nich zadzwonić lub wysłać e-mail. Od czasu do czasu również się spotykamy.

To nie są moje książki, a opowieści o braciach i siostrach z rodziny Windhamów nie są moimi opowieściami. Należą do ciebie, czytelniku, i do wszystkich z wydawnictwa Sourcebooks, bez których nigdy by nie ujrzały światła dziennego. Uważam, że nasza współpraca i wspólne wysiłki nadają bohaterom tych książek wiarygodności i wpływają w nieuchwytny sposób na moją twórczość.

Jestem niesłychanie wdzięczna losowi za to, że stanowią część tego zespołu. Pisanie książek to przyjemność. Pisanie z pomocą takiego zespołu to przyjemność i zarazem przywilej.



by thean